

RODZINNE
TAJEMNICE

BARBARA
DELINSKY

1

Wnocy coś ją przebudziło. Nie wiedziała, czy to kopanie dziecka, uderzenie morskiego powietrza o parapet, ryk wody rozbijającej się o skałę, czy może wreszcie zagłuszony szumem fal głos matki. Z otwartymi oczami leżała w ciemności, ale sen nie chciał odejść. To był stary sen, jednak wcale nie mniej żenujący dzięki temu, że dobrze znała przebieg zdarzeń. Była wśród ludzi i cały świat mógł zobaczyć, że brak jej istotnego fragmentu garderoby. Tym razem chodziło o bluzkę. Wyszła bez niej z domu i teraz tkwiła na stopniach prowadzących do ogólniaka - swojego dawnego ogólniaka - w samym staniku, do tego znoszonym. Nieważne, że skończyła szkołę szesnaście lat temu i nie znała nikogo z ludzi dookoła, każdy mógł ją sobie obejrzeć. Była koszmarnie przerażona. W dodatku, po raz pierwszy w takim śnie, nieco na uboczu stała jej teściowa, ze skonsternowaną miną i bluzką w rękach. Przedziwne.

Absurdalność nocnych majaków zapewne rozbawiłaby Dane, gdyby akurat w tym momencie coś innego nie zaprzętało jej myśli. Między jej nogami płynął strumień. To było coś zupełnie nowego.

Zbyt przestraszona, żeby się poruszyć, wyszeptwała imię męża. Nie reagował, więc wyciągnęła rękę, potrząsnęła jego ramieniem i powiedziała głośno:

- Hugh.
- Uhm? - wymamrotał.
- Musimy wstawać.

Poczuła, że się odwrócił i przeciągnął.

- Wody mi odeszły.

Błyskawicznie usiadł na łóżku. Pochylił się nad nią i głosem wyższym niż zazwyczaj spytał:

- Jesteś pewna?

- Ciągłe płyną. Przecież miałam rodzić dopiero za dwa tygodnie.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją. - Wszystko w porządku. Dziecko i tak waży ponad trzy kilogramy, urodzisz dokładnie w środku dopuszczalnego terminu. Która godzina?

- Dziesięć po pierwszej.

- Nie ruszaj się. Idę po ręczniki. - Przetoczył się i zsunął z łóżka.

Posłuchała, częściowo dlatego, że Hugh przeanalizował wszystkie aspekty porodu i dobrze wiedział, co robić, ale także dlatego, że nie chciała niczego brudzić. Kiedy wrócił, podtrzymała brzuch i się dźwignęła. Mrużąc oczy przed światłem lampy, które zniemka zalało pokój, chwyciła jeden z ręczników, wsunęła go między uda i powlokła się do łazienki.

Hugh zjawił się tam parę sekund później. Miał szeroko otwarte oczy i w oświetleniu nad lustrem wydawał się bardzo blady.

- Co widzisz? - zapytał.

- Nie ma krwi. Ale to na pewno dziecko, nie ja.

- Czujesz coś?

- Przerazenie? - Dana mówiła całkiem poważnie. Mimo że byli przygotowani, przeczytali mnóstwo książek, rozmawiali z niezliczonymi znajomymi, wypytywali o wszystko lekarkę, jej współpracowników, pielęgniarkę i personel szpitalny podczas zwiedzania oddziału położniczego, w rzeczywistości ta chwila okazała się zupełnie inna, niż oczekiwała. Teraz, w obliczu nagłego i nieuchronnego porodu, zaczęła się bać.

- Chodziło mi raczej o skurcze — wyjaśnił oschle.

- Nie. Tylko coś dziwnego. Jakby delikatne ściskanie.

- Jak to: delikatne?

- Lekkie.

- Czy to skurcz?

- Nie wiem.
- Przychodzi i ustępuje?
- Nie wiem, Hugh. Naprawdę. Obudziłam się i nagle napły-
nęło... — Urwała, bo coś poczuła. — Jakby skurcz. - Wstrzyma-
ła oddech, wypuściła powietrze z płuc i spojrzała w oczy męża.
— Bardzo łagodny.

- To skurcz przepowiadający czy zwykły?
- Zwykły. - Zadrzała. Tak długo na to czekali. Nie mogliby
być lepiej przygotowani.
- Dasz sobie radę, kiedy będę dzwonił do lekarki?

Skinęła głową, świadoma, że gdyby nie dała sobie rady, przy-
niósłby telefon do łazienki. Ale nie była bezradna. Choć Hugh
okazywał jej ostatnio ogromne wsparcie, Dana była niezależną ko-
bieta, przygotowaną na tę chwilę. Wiedziała, czym jest całkowita
zależność od kogoś, kto może nagle zniknąć. Trudno sobie wyob-
rzić coś gorszego.

Kiedy Hugh rozmawiał z lekarką, Dana wepchnęła ogromny
brzech w najnowszy, największy dres i włożyła między nogi pod-
paskę ze stosika poporodowego, żeby płyn owodniowy miał w co
wsiąkać. Potem przeszła korytarzem do pokoju dziecka. Ledwie
zdążyła zapalić światło, kiedy usłyszała głos Hugh.

- Dee?

- Tutaj!

Zapinając dzinsy, stanął w drzwiach. Ciemne włosy miał
zmierzwione, wzrok przejęty.

- Jeśli skurcze będą się pojawiały częściej niż raz na dziesięć
minut, mamy jechać do szpitala. Nic ci nie jest?

Pokręciła głową.

- Chciałam zerknąć ostatni raz.
- Wszystko jest idealnie, skarbie - powiedział, wkładając stary
granatowy podkoszulek. - Gotowa?

- Chyba pojawiają się rzadziej niż co dziesięć minut.
- W połowie drogi częstotliwość się pewnie zmieni.
- To nasze pierwsze dziecko — zauważyła. - Pierwsze dzieci
rodzą się dłużej.

- Może tak jest zazwyczaj, ale od każdej reguły są wyjątki. Chcesz o tym porozmawiać?

Wzięła Hugh za rękę, pocałowała wewnątrz jego dłoni i przycisnęła ją do karku. Potrzebowała jeszcze chwili.

Tutaj czuła się bezpieczna, chroniona, szczęśliwa. Ze wszystkich pokoi dziecięcych, które zaprojektowała dla klientów, ten był najpiękniejszy - na czterech ścianach rozpościerała się panoramiczna łąka pełna kwiatów i wysokiej trawy oraz skąpane w słońcu drzewa. Całość była biała, jasnopomarańczowa i zielona, a rozliczne odcienie tych kolorów uwypuklono okazjonalnymi plamkami błękitu w kwiatku lub na niebie. Czuło się, że to świat idealny, łagodny, harmonijny i bezpieczny.

Może była to z jej strony zarozumiałość, ale marzyła o nim od chwili, w której znowu odważyła się marzyć.

Hugh dorastał w takim właśnie świecie. Dzieciństwo spędził pod kloszem, w wiek dojrzewania wkroczył z dużymi pieniędzmi. Jego rodzina przybyła do Ameryki na „Mayflower” i od tamtych czasów cieszyła się powszechnym szacunkiem. Cztery stulecia sukcesów zaowocowały pomnażaną stabilizacją. Hugh mógł sobie bagatelizować ów stan rzeczy, ale był jego bezpośrednim beneficjentem.

- Twoi rodzice oczekiwali pastelowych baloników na ścianach - zauważyła, puszczając jego rękę. - Obawiam się, że ich rozczarowałam.

- Nie ty, tylko my oboje, ale to bez znaczenia — odparł. - Dziecko jest nasze, nie ich. - Ruszył do drzwi. - Muszę wziąć buty.

Odsuwając druty, które podtrzymywały górną część śpiworka w kolorze intensywnej zieleni, Dana ostrożnie usiadła na bujanym fotelu. Przywlokła go ze strychu, gdzie Hugh ukrywał większość swoich pamiątek, i choć zniosła również inne meble, obecnie rozstawione po całym domu, fotel należał do jej faworytów. Zakupiony w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku przez prapradziadka Hugh, przyszęłego generała w wojnie secesyjnej, mebel miał oparcie z pionowych poprzeczek oraz trzyczęściowe, falujące siedzisko, zresztą zdumiewająco wygodne jak na coś tak starego.

Wiele miesięcy wcześniej, zanim jeszcze na ścianach pojawiła się łąka, Dana oskrobała fotel z obłazącej farby i przywróciła mu dawną świetność. Hugh jej na to pozwolił. Wiedział, jak sobie ceniła rodzinne dziedzictwo, tym bardziej że sama była go pozbawiona.

Poza tym wszystko inne w pokoju było nowe - historia rodziny dopiero się rozpoczynała. Łóżeczko i komódkę do kompletu importowano, ale całą resztę, od nakładki do zmiany pieluch po ręcznie malowane zasłony na oknach i ściennie malowidła, wykonali zatrudnieni przez nią artyści. Do grupy tej należeli pierwszorzędni malarze, stolarze, projektanci dywanów i okien, a także babcia Dany i ona sama. Jeden koniec łóżeczka pokrywała narzuta, dzieło babci, z motywem łąki identycznej jak na ścianach, a na pościeli leżał kaszmirowy królik we wszystkich odcieniach pomarańcza, zrobiony przez Dane na drutach, śpioszki z kapturkiem, dwa swetry, rozliczne kapelusze i stos kołderek do wózka. Do tego dochodziły jeszcze niedokończone zimowe śpioszki w wiklinowym koszyku u stóp fotela oraz śpiworek w ręce Dany. Zdecydowanie przesadzili.

Kołysząc się leniwie, uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie chwil sprzed ośmiu miesięcy. Dopiero co zyskała pewność, że jest w ciąży, a kiedy wróciła do domu z pracy, cały pokój tonął w tulipanach czerwonych, żółtych, białych, tak świeżych, że mogły przetrwać wiele dni. Hugh zaplanował tę niespodziankę z wielką przyjemnością, a Dana była pewna, że od tego wszystko się zaczęło.

W tym pokoju kryła się magia. Nie brakowało tu ciepła, miłości i bezpieczeństwa. Dziecko po prostu musiało tu być szczęśliwe.

Położyła dłoń na brzuchu, absurdalnie wielkim w porównaniu z resztą jej ciała, i zaczęła go głaskać. Nie czuła ruchów dziecka — biedactwo miało zbyt mało miejsca na cokolwiek poza kiwnięciem palcem u ręki bądź u nogi - ale jej mięśnie zaciskały się, by mogła wydać je na świat.

- Oddychaj powoli. - Kojący baryton Hugh brzmiał dokładnie tak, jak na zajęciach w szkole rodzenia. Dana oddychała głęboko po tym, co zdecydowanie było skurczem, kiedy kłapanie japońskich ogłosło jego powrót.

Uśmiechnęła się do niego.

- Wyobrażam sobie maleństwo w tym pokoju.

Był jednak zbyt spostrzegawczy, żeby się nabrać.

- Znowu skurcz, co? Mierzysz czas?

- Jeszcze nie. Skurcze są zbyt rzadkie. Usiłuję zająć się czymś innym, myśleć o szczęśliwych chwilach. Pamiętasz, kiedy zobaczyłam twój dom po raz pierwszy?

Dobrze trafiła. Z uśmiechem oparł się o futrynę.

- Pewnie że tak. Byłaś ubrana w neonową zieleń.

- Wcale nie neonową, tylko limonkową. I nie wiedziałeś, co mam na sobie.

- Wiedziałem, co masz na sobie, nie wiedziałem tylko, jak to się nazywa.

- To się nazywa sweter.

Popatrzył jej w oczy.

- Możesz się nabijać, jak zawsze, ale ten sweter był bardziej niekształtny i asymetryczny niż wszystkie inne swetry, jakie w życiu widziałem.

- Modułowy.

- Modułowy - powtórzył i oderwał się od futryny. - Z kaszmiru i jedwabiu. Teraz wszystko jest jasne, ale co ja wtedy wiedziałem?

- Położył ręce na oparciach fotela i przykucnął. - Rozmawiałem z trzema projektantami. Przestałem brać ich pod uwagę w chwili, gdy przekroczyłaś próg mojego domu. Nic a nic nie znalazłem się na tkaninach ani na kolorze, nie wiedziałem również, że jesteś projektantką wewnątrz, wiedziałem za to, że David zakochał się w tym, co zrobiłaś z jego domem. No właśnie, igramy z ogniem, skarbie. David mnie zabije, jeśli nie dowiozę cię na czas do szpitala. Jestem pewien, że widział światła.

David Johnson mieszkał obok. Był rozwiedzionym chirurgiem ortopeda. Dana od dawna usiłowała go wyswatać, ale nieustannie marudził, że żadna kobieta nie jest nią.

- Nic nie widział — oznajmiła. - Przecież śpi.

Hugh odłożył robótkę do kosza i delikatnie pomógł Danie wstać.

- Jak się czujesz?

- Podniecona. A ty?

- Zdenerwowany. — Objął żonę w pasie, czy też w jego okolicach, ale kiedy zauważył po jej minie, że złapał ją następny skurcz, powiedział: - Na pewno nie minęło dziesięć minut. Może pięć?

Nie protestowała, tylko skupiła się na głębokim oddychaniu, dopóki ból nie ustąpił.

- No dobrze — powiedziała. - Ostatnia szansa, żeby odgadnąć płęć dziecka.

- Wszystko jedno, tak czy siak będzie wspaniałe. Nie możemy dłużej czekać, Dee. Musimy jechać do szpitala. - Usiłował wyprowadzić ją na korytarz.

- Nie jestem gotowa.

- Po dziewięciu miesiącach?

Przestraszona położyła mu rękę na piersi.

- A jeśli coś pójdzie nie tak?

Uśmiechnął się i nakrył jej dłoń swoją.

- Wszystko pójdzie jak trzeba. To mój szczęśliwy podkoszulek. Wkładałem go na każdy Super Bowl i wygrywali Patriots, i na World Series z Red Soxami.

- Mówię poważnie.

- Ja też - odparł z wielką pewnością siebie. - Robiliśmy badania. Dziecko jest zdrowe, ty również. Ma idealne rozmiary do porodu, ułożyło się prawidłowo. Mamy najlepszego położnika, najlepszy szpital...

- A później? Jeśli pojawi się problem, kiedy dziecko skończy trzy lata? Albo siedem? Albo jak będzie nastolatkiem? Dobrze wiesz, ile kłopotów mają Millerowie ze swoim synem.

- Nie jesteśmy Millerami.

- Trzeba patrzeć całościowo, Hugh. - Przypomniał się jej dziśniejszy sen. Nie było w nim żadnej tajemnicy, dotyczył lęku Dany przed tym, że inni odkryją w niej braki. - A jeśli nie będziemy tak dobrymi rodzicami, jak nam się wydaje?

- No cóż, można o tym podyskutować. Ale nieco za późno na takie przemyślenia.

- Czy zdajesz sobie sprawę, w co się wpakowaliśmy?

- Jasne, że nie - odparł. - Ale chcemy tego dziecka. Chodź, kochanie. Trzeba jechać.

Dana poszła jeszcze do największej łazienki, gdzie szybko umyła twarz, przepłukała usta i uczesała włosy. Odwróciła się, żeby po raz ostatni przyjrzeć się swojemu odbiciu z profilu w lustrze. Z uwagą wpatrywała się w brzuch. Jasne, wolałaby być szczupła - zmęczyło ją dźwiganie nadprogramowych piętnastu kilogramów — i jasne, marzyła o tym, żeby znowu nosić dzinsy i podkoszulek, jednak ciąża to było coś wyjątkowego.

- Dana - powiedział Hugh niecierpliwie. - Bardzo cię proszę.

Pozwoliła wyprowadzić się na korytarz. Po drodze znowu minęli pokój dziecięcy i ruszyli ku schodom. W kręgach architektonicznych ich dom był uważany za typowy dom letniskowy w Newport, chociaż przymiotnik ten odbierał mu jego splendor. Zbudowano go w kształcie podkowy o ramionach skierowanych ku morzu, z wieloma oszklonymi drzwiami, przez które można było wyjść na zadaszone patio, szeroki pas miękkiej trawy oraz grządkę krzewiastych róż nad skarpą. Budynek zdobiły rzucające się w oczy gzymsy, kolumny, białe wykończenia i gonty, delikatnie poszarzałe od morskiego powietrza. W jednym skrzydle mieściły się salon, jadalnia i biblioteka, w drugim - kuchnia i pokój rodzinny. Największa sypialnia i pokój dziecięcy znajdowały się w skrzydle na pierwszym piętrze, po drugiej stronie wybudowano jeszcze dwie sypialnie. Strych zajęty był przez gabinet z tarasem. Każdy pokój w domu, poza jednym jedynym wyjątkiem w postaci toalety na parterze, miał okna z widokiem na ocean.

Był to wymarzony dom Dany. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Często powtarzała Hugh, że nawet gdyby zamienił się w żabę po ich pierwszym pocałunku, i tak by za niego wyszła, wyłącznie dla tego domu.

Teraz, podchodząc do bliższych z dwóch par schodów, które symetrycznie prowadziły do głównego holu, zapytała:

- A jeśli to dziewczynka?

- Będę ją bardzo kochał.

— W głębi duszy chcesz chłopca, wiem, że tak, Hugh. Chodzi o nazwisko rodowe. Chcesz, żeby to był mały Hugh Ames Clarke.

— Tak samo ucieszę się z Elizabeth Ames Clarke, jeśli tylko nie będę musiał samodzielnie odbierać porodu. Uwaga - powiedział, kiedy ruszyli po schodach, ale Dana musiała przystanąć na pierwszym stopniu. Tym razem skurcz był mocniejszy.

Była przygotowana na ból, ale inaczej go sobie wyobrażała.

- Czy ja sobie poradzę? - zapytała z drzeniem przywierając do jego ramienia.

Podtrzymał ją mocniej.

- Ty? No pewnie.

Hugh ufał Danie od samego początku. Bardzo się jej to podobało. Nie zawahał się, kiedy zaproponowała deski ze stodoły na podłogę w jego nowoczesnej kuchni, ani później, kiedy się uparła, aby zawiesił rodzinne portrety — ogromne, ciemne oleje przedstawiające Clarke'ow z szerokimi brwiami, kwadratowymi szczękami i zaciśniętymi ustami - w salonie, chociaż najchętniej trzymałby je nadal spakowane na strychu.

Traktował spuściznę jako coś oczywistego. Nie, nawet nie tak. Protestował przeciwko obsesji swojego ojca na punkcie pochodzenia, twierdził, że to żenujące.

Dana najwyraźniej przekonała męża, że jest wartościowym człowiekiem niezależnie od swoich koneksji, bo w końcu pozwolił jej powiesić te oleje. Optycznie powiększyły pokój i nadały mu historycznej głębi. Ozdobiła duże skórzane meble poduszkami o ozdobnych fakturach i to także spodobało się Hugh. Mówił, że chce wygody, nie sztywności. Dostał to, czego chciał, dzięki miękkiej skórze oraz bogactwu połączenia supelkowatego jedwabiu i szenili. Oświadczył też, że nie podoba mu się ława, która należała do jego pradziadka, bo jest zbyt surowa, ale dał żonie wolną rękę. Dana odrestaurowała stary dąb, na nowo wyplotła trzcina siedzisko i zaprojektowała poduszki oraz narzutę, by złagodzić toporność ławy.

Akurat w tej chwili w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Była skoncentrowana na kolejnych stopniach i doszła do wniosku, że je-

śli te skurcze to tylko początek, ciąg dalszy nie zapowiada się zbyt ciekawie. Gdyby istniał inny sposób wydostania dziecka na świat, chętnie się na niego pisała.

Już na dole schodów wyszeptała:

- Zapomniałam poduszki.

— W szpitalu są poduszki.

— Ale ja chcę swoją. Proszę, Hugh.

Usadawił ją na dolnym schodku i pobiegł na górę, by po niespełna minucie wrócić z poduszką pod pachą.

— I wodę - przypomniała mu.

Znowu zniknął, tym razem w kuchni. Po chwili wyłonił się z dwiema butelkami.

— Co jeszcze?

— Komórka? BlackBerry? O Jezu, Hugh, dziś miałam iść na wstępne spotkanie z Cunninghamami.

— Wygląda na to, że nie pójdziesz.

— To poważne zlecenie.

— Pomyśl o urlopie macierzyńskim.

— To miało być moje zlecenie pomostowe. Obiecałam, że przygotowuję wstępne projekty tuż po porodzie.

— Cunninghamowie rozumieją. Zadzwoń do nich ze szpitala.

- Poklepał się po kieszeniach. — Komórka, BlackBerry, co jeszcze?

— Lista zleceń. Aparat.

— W twojej torbie. - Podniósł ją z szafki i z niesmakiem popatrzył na wystający z rozpiętego bagażu motek. - Dana, obiecałaś.

— To nic takiego - odparła szybko. - Drobiazg, żeby mieć się czymś zająć w razie, no wiesz, opóźnienia.

— Drobiazg - powtórzył, upychając włóczkę. - Ile tu jest, osiem motków?

— Sześć, ale to wełna czesankowa, boję się, że mi nie wystarczy. Nie bądź taki zirytowany, Hugh. Robienie na drutach mnie uspokaja.

Rzucił wymowne spojrzenie na szafę. Motki leżały na półce, a także na podłodze. Większość szafek w całym domu wyglądała identycznie.

— Wcale nie mam tego aż tak dużo - próbowała mu wyjaśnić.

— A właściwie co złego jest w tym, że chcę produktywnie wykorzystać czas spędzony w szpitalu? Babcia potrzebuje wzoru na jesień. A jeśli po urodzeniu dziecka będę musiała przystopować? Niektóre kobiety biorą ze sobą książki albo czasopisma. Ja się relaksuję w taki sposób.

- Mówili, że ile czasu spędzisz w szpitalu? - zapytał. Oboje wiedzieli, że jeśli nie wystąpią nieprzewidziane komplikacje, Dana wróci do domu następnego dnia.

- Ty nie robisz na drutach. Nie zrozumiesz.

- Nie da się zaprzeczyć. - Upchnął do torby butelki z wodą, zapiął ją, zarzucił na ramię i wyprowadził żonę przed dom. Zeszli z ganku na wybrukowany kamieniami podjazd, gdzie stało auto Hugh.

Zamiast myśleć o tym, że cała drży albo, co gorsza, że zaraz znowu dopadnie ją ból, Diana skoncentrowała się na małych bawełnianych śpioszkach w torbie. Kupiła je w sklepie, ale wszystko inne zrobiła sama. Hugh uważał, że zbyt dużo spakowała, jak jednak miała wybierać między tymi maleńkimi, zrobionymi na drutach czapeczkami i bucikami z bawełny, idealnymi na sierpień? Przecież prawie nie zajmowały miejsca. Jej dziecko zasłużyło na wybór.

Naturalnie, teściowie nie byli bardziej zachwyceni tymi rzeczami niż wystrojem dziecięcego pokoju. Kupili wyprawkę niemowlęcia u Neimana Marcusa i zupełnie nie mogli zrozumieć, dlaczego niemowlę nie miałoby nosić tych rzeczy.

Dana zrezygnowała. Tłumaczenie z pewnością by ich uraziło. Robienie na drutach oznaczało dla niej wspomnienie matki, miłość babci i troskę zastępczej rodziny w osobach przyjaciółek ze sklepu. Było niemal intymną czynnością, ale teściowie nie mogliby tego zrozumieć. Znali swoje miejsce w społeczeństwie i choć Diana świetnie się czuła w roli żony Hugh, podziwiała pewność siebie Clarke'ów oraz zazdrościła im przeszłości, nie mogła zapomnieć, kim sama jest.

- Wszystko dobrze? - spytał Hugh, kiedy pomógł jej wsiąść do auta.

- Dobrze - odparła z trudem.

Poprawiła pas, żeby nie zrobić krzywdy dziecku, gdyby musiała gwałtownie zahamować, chociaż to im raczej nie groziło. Jak na tak podminowanego człowieka, Hugh prowadził nadzwyczaj ostrożnie, więc kiedy czas mijał i skurcze zaczęły się nasilać, wręcz żałowała, że nie jada szybciej.

Ale Hugh wiedział, co robi. Hugh zawsze wiedział, co robi. Co więcej, na drodze nie było zbyt wielu aut, a do tego przez cały czas mieli zielone światła.

Ponieważ już wcześniej zarejestrowali się w szpitalu, teraz wystarczyło tylko podać nazwisko i natychmiast trafili na oddział. Dane błyskawicznie przebrano w szpitalną koszulę, do jej brzucha zostało umocowane KTG, po czym zbadał ją stażysta na dyżurze. Teraz skurcze występowały co trzy minuty, a potem co dwie, i dosłownie odbierały jej dech.

Następne godziny zlały się ze sobą. Niejeden raz, gdy tempo porodu zwalniało, Dana zastanawiała się, czy dziecko nie ma przypadkiem wątpliwości. Przez chwilę robiła na drutach, aż wreszcie skurcze ją pokonały i odtąd Hugh stanowił jej jedyne źródło pociechy. Masował jej kark i plecy, odgarniał włosy z twarzy i przez cały czas powtarzał, jaka jest piękna.

Piękna? Jej wnętrzości były jednym wielkim kłębem bólu, skórę miała mokrą, włosy zmatowiały. Piękna? Wyglądała okropnie! Ale przywarła do męża, usiłując uwierzyć w każde jego słowo.

Właściwie to ich dziecko przyszło na świat całkiem szybko. Niespełna sześć godzin po odejściu wód położna oznajmiła, że rozwarcie jest pełne i Dana przewieziono na salę porodową. Hugh robił zdjęcia - Dana była przekonana, że pamięta tę chwilę, chociaż zapewne stworzyła sobie wspomnienie na podstawie fotografii. Parła, jak się jej zdawało, w nieskończoność, ale zapewne trwało to krócej, tak krótko, że lekarka omal nie przegapiła porodu. Ledwie zdążyła się zjawić, a dziecko już przyszło na świat.

Hugh przeciął pępowinę i błyskawicznie położył płaczącego noworodka na brzuchu żony. Była to najpiękniejsza, najlepiej ukształtowana dziewczynka, jaką kiedykolwiek widziała Dana.

Nie mogła się zdecydować, czy śmiać się z wysokich pisków dziecka, czy jęknąć z zachwytu nad maleńkimi paluszkami. Dziecko miało chyba ciemne włosy - Danie stanęły przed oczami miękkie, ciemnobrązowe włosy Clarke'ów - ale trudno było stwierdzić to na pewno pod mlecznobiałą mazią na jej ciele.

- Do kogo jest podobna? - spytała, gdyż niewiele mogła dojrzeć przez łyzy.

- Do nikogo, kogo znam — odparł z radosnym śmiechem i zrobił jeszcze kilka zdjęć, zanim pielęgniarka wyniosła noworodka. — Ale jest piękna. — Uśmiechnął się przekornie. — Chciałaś dziewczynkę.

- Rzeczywiście - przyznała Dana. - Chciałam, żeby nosiła imię mojej matki.

Później pamiętała z niezwykłą jasnością, że w tym momencie wyobraziła sobie matkę, taką, jaką widziała po raz ostatni, energiczną i ożywioną tamtego słonecznego popołudnia na plaży. Głęboko wierzyła, że jej matka i córka zostałyby najlepszymi przyjaciółkami, co oznaczało, że Elizabeth Joseph byłaby tu z nimi na sali porodowej. Rzadko kiedy Danie aż tak rozpaczliwie brakowało matki, dlatego też nadanie dziecku jej imienia tak wiele dla niej znaczyło.

- To trochę tak, jakbym dostała ją z powrotem.

- Elizabeth.

- Lizzie. Wygląda jak Lizzie, prawda?

Hugh wciąż się uśmiechał, trzymając dłoń żony przy swoich ustach.

- Trudno powiedzieć. Ale Elizabeth to bardzo eleganckie imię.

— Następny będzie chłopak — obiecała mu Dana i wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć dziecko. — Co oni jej robią?

Hugh podniósł się ze stołka.

- Odsysają - wyjaśnił. - Oporządzają ją. Zakładają jej opaskę z identyfikatorem na rękę.

- Twoi rodzice chcieli wnuka.

- To nie jest dziecko moich rodziców.

- Zadzwoń do nich, Hugh. Będą zachwyceni. I do mojej babci. I do innych.

- Zaraz zadzwonię - obiecał. Patrzył na Dane z takim skupieniem, że znowu zaczęła płakać. - Kocham cię - wyszeptał.

Nie była w stanie odpowiedzieć, więc tylko zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego z całych sił.

- Proszę bardzo — rozległ się miły głos i nagle noworodek, czysty i opatulony, trafił do rąk Dany.

Wiedziała, że noworodki nie potrafią skupić wzroku i że pewnie tylko to sobie wyobraża, ale mogłaby przysiąc, że mała patrzy na nią, jakby była świadoma, że Dana jest jej matką, że zawsze będzie ją kochała i strzegła, gotowa oddać za nią życie.

Dziewczynka miała maleńki delikatny nosek, różowe usta i równie delikatny podbródek. Dana lekko uniosła różową czapeczkę. Włosy dziecka wciąż były wilgotne, ale bez wątpienia ciemne. I kręcone, widziała mnóstwo loków, co ją zdumiało. Zarówno ona, jak i Hugh mieli proste włosy.

- A to skąd się wzięło?

- Mnie nie pytaj. - W głosie Hugh zabrzmiał niepokój. - Popatrz na jej skórę.

-Jest bardzo gładka.

- Jest jakaś ciemna. - Jego przestraszone spojrzenie spoczęło na lekarzu. - Nic jej nie jest? Moim zdaniem sinieje.

Serce Dany zamarło. Nie zauważyła sinienia, ale dziecko natychmiast zabrano z jej objęć do badania. Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy pediatra obejrzał je uważnie, dał bardzo wysoką notę w skali Apgar i oświadczył, że to zdrowa, duża dziewczynka o wadze trzech kilogramów i dwustu gramów.

Kiedy Lizzie na powrót trafiła w jej ramiona, Dana uznała, że mała wcale nie jest sina. Nie była jednak również bladoróżowa, czego się spodziewali. Twarz dziecka miała miedziany odcień, uroczy, niemniej zastanawiający. Z ciekawością podniosła kocyk, żeby obejrzeć maleńkie ramię noworodka. Tam skóra miała podobny jasnobrązowy kolor, który jeszcze bardziej rzucał się w oczy przez kontrast z bladymi paznokietkami.

- Do kogo jest podobna? - mruknęła zaintrygowana Dana.
- Nie do Clarke'ow - odparł Hugh. - Nie do Josephów. Może do kogoś z rodziny twojego ojca?

Dana nie była w stanie tego potwierdzić. Właściwie znała swojego ojca tylko ze starego zdjęcia i z nazwiska.

- Za to wygląda zdrowo - oświadczyła.
- W książkach nie pisali o ciemniejszej skórze po narodzinach.
- Ja też nie czytałam nic na ten temat. Wydaje się śniada.
- To coś więcej. Spójrz na wnętrze jej dłoni, Dee. Jest jaśniejsze, paznokcie też.
- To południowy typ urody.
- Nie. Nie południowy.
- Hinduski?
- Nie, też nie. Dana, ona wygląda, jakby była czarna.

2

Hugh miał nadzieję, że to jakiś dowcip. On i Dana byli biali. Ich dziecko nie mogło być czarne.

A jednak, stojąc tam w sali porodowej i przyglądając się uważnie noworodkowi w ramionach żony, poczuł dreszcz lęku. Skóra Lizzie była o wiele ciemniejsza niż skóra tych dzieci z rodziny Clarke'ów, które kiedykolwiek widział, a oglądał ich naprawdę sporo. Clarke'owie lubili popisywać się potomstwem, o czym świadczył coroczny zalew wakacyjnych zdjęć od krewnych. Jego rodzony brat miał czwórkę dzieci, same blade anglosaskie typy, a cioteczni bracia razem spółdzili szesnastkę. Żadnemu nie trafiła się tak ciemna skóra.

Hugh był prawnikiem. Jego praca polegała na analizie faktów, a w tym konkretnym przypadku nic nie wskazywało na to, żeby jego dziecko mogło być rasy innej niż biała. Z pewnością tylko to sobie wyobrażał - przejaskrawiał fakty. Kto jednak mógł go za to winić? Był zmęczony. Późno się położył, bo oglądał mecz Soxów z Kalifornią, został obudzony godzinę później i od tego czasu nie przestawał się denerwować. Ale nie przegapił ani sekundy porodu. Patrzył, jak jego dziecko przychodzi na świat, przeciął pępowinę. Trudno byłoby zrobić więcej. Nic dziwnego, że znalazł się na emocjonalnej huśtawce.

Teraz poczuł się strasznie przygnębiony. To była jego córka, jego krew, geny. Powinna wyglądać jak on.

Czytał o tym, przez co przechodzą dzieci, usiłując wydostać się z macicy, i był przygotowany na widok zdeformowanej głowy,

wybroczyn albo nawet siniaków. Głowa jego córki była okrągła, skóra idealna.

Dziecko nie miało jednak cienkich, prostych kosmyków ani trójkącika włosów zarastającego środek czoła, tak charakterystycznego dla potomków Clarke'ów, ani też jasnych włosów i niebieskich oczu Dany.

Wydawało się obce.

Może uczucie zawodu było naturalne po wielu miesiącach narastającego napięcia. Może właśnie o to chodziło autorom książek, gdy pisali, że nie od razu czuje się miłość do własnego dziecka. Lizzie była odrębnym bytem. Będzie miała własne upodobania, własne mocne punkty, temperament. Może pod każdym względem będzie się różniła od Dany i od niego.

Naprawdę ją kochał. Była jego dzieckiem. Tyle że go nie przypominała.

Ale i tak czuł się za nią odpowiedzialny. Poszedł za pielęgniarką, która zabrała małą do osobnego pomieszczenia, i wyglądał przez okno, kiedy personel zakrapiał jej oczy i mył ją gąbką.

Jej skóra nadal wydawała się miedziana, co jeszcze bardziej rzucało się w oczy na tle jasnoróżowego kocyka i czapeczki.

Pielęgniarki wydawały się jednak nieświadome problemu. Mieśzane małżeństwa nie należały do rzadkości. Te kobiety nie miały pojęcia, że żona Hugh jest biała. Go więcej, w tym pomieszczeniu znajdowały się też znacznie ciemniejsze dzieci. W porównaniu z nimi Elizabeth Ames Clarke miała jasny odcień skóry.

Uczepiony tej myśli, wrócił do pokoju Dany i zaczął dzwonić. Nie myliła się, twierdząc, że jego rodzice pragnęli chłopca. Sami doczekali się dwóch potomków płci męskiej i mieli słabość do dzieci, które przekazywały nazwisko, ale i tak byli zachwyceni nowiną, podobnie jak jego brat. Kiedy Hugh zadzwonił do babci Dany, poczuł się znacznie lepiej.

Eleanor Joseph była niezwykłą kobietą. Po utracie córki i zięcia w tragicznych wypadkach, do których doszło w odstępie czterech lat, samodzielnie wychowała wnuczkę, co nie przeszkadzało jej założyć dobrze prosperującego biznesu. Oficjalna nazwa firmy

brzmiała Włóczkarnia, jednak nikt nie nazywał jej inaczej jak „U Ellie Jo”.

Zanim Hugh poznał Dane, nie miał pojęcia o wełnie ani nie znał nikogo, kto by się zajmował robótkami. Nawet teraz nie mógł zapamiętać, co to takiego splot patentowy, chociaż Dana nieraz mu to tłumaczyła. Doceniał jednak ciepło ulubionego szalika z alpaki, który zrobiła mu żona i który był znacznie ładniejszy od gotowych wyrobów, i czuł, że takie zajęcie może być pociągające. W ostatnich tygodniach ciąży, kiedy Dana pracowała mniej, częściej chodziła do sklepu babci. Hugh często tam wpadał, rzekomo po to, żeby sprawdzić, jak się czuje jego ciężarna żona, ale także po to, żeby chłonąć atmosferę spokoju. Kiedy klient go okłamywał, wspólnik zawałał sprawę sądową albo sędzia wydawał niekorzystny wyrok, Włóczkarnia oferowała mu chwilę wytchnienia.

Może była to kwestia lokalizacji — mało miejsc jest w stanie konkurować ze sklepem z widokiem na jabłkowy sad. Hugh wy-czuwał jednak, że raczej chodziło o ludzi. We Włóczkami Dana nie potrzebowała opieki męża, miejsce to było oazą pełną troskliwych kobiet. Wiele z nich miało własne dzieci i potrafiło okazywać uczucia. Zdarzało mu się wkroczyć w sam środek rozmowy na temat seksu i uderzyło go, że robótki na drutach to tylko pretekst do bycia razem. Te kobiety ofiarowywały sobie coś, czego brakowało im w życiu.

Prym wiodła tam Ellie Jo. Szczera aż do bólu, była naprawdę zachwycona, kiedy Hugh oznajmił, że urodziła się im córka, i wzbuchnęła płaczem na wieść o tym, jak dali jej na imię. Tara Saxe, najlepsza przyjaciółka Dany, też się rozpłakała.

Hugh zadzwonił do wspólników, Calliego i Kohna z kancelarii Calli, Kohn i Clarke, oraz do swojej sekretarki, która obiecała powiadomić pozostałych. Zatelefonował również do Davida, sąsiada, i garstki przyjaciół, brata i dwóch ciotecznych braci, z którymi był bardzo blisko.

Potem Dana została odwieziona z powrotem do pokoju. Chciała wiedzieć, co robi dziecko i kiedy dostanie je z powrotem. Marzyła o pogawędce z babcią i Tarą. Obie jużjechały do szpitala.

Pierwsi zjawili się rodzice Hugh, Eaton i Dorothy Clarke'owie. Mimo że była dopiero dziewiąta rano, ubrali się nienagannie, ojciec w granatowy blezer i elegancki krawat, matka w kostium Chanel. Hugh chyba nigdy w życiu nie widział ich w byle czym.

Przynieśli wielki wazon pełen hortensji.

— Z ogródka - oświadczyła Dorothy niepotrzebnie, gdyż od połowy lata do pierwszych przymrozków rozdawała hortensje przy każdej okazji. Trajkocząc o tym, jakie to szczęście, że tego roku wyrosło więcej białych niż niebieskich, skoro urodziła się dziewczynka, podała Hugh wazon i nadstawiła policzek do pocałunku, najpierw synowi, potem jego żonie. Eaton uściskał ich z nietypowym dla siebie wigorem i pytająco rozejrzał się dookoła.

Hugh poprowadził korytarzem ojca i matkę, która wciąż wzdziwiała nad szybkością porodu i postępami w położnictwie od czasów, gdy ona rodziła. Ojciec natychmiast zauważył nazwisko na łóżeczku za szybą.

— Tam leży — powiedział.

W tym momencie Hugh liczył na okrzyki zachwytu nad córeczką. Chciał, aby rodzice powiedzieli mu, że mała wygląda jak ukochana cioteczna babka jego matki albo daleka kuzynka ojca, albo po prostu, że ma niezwykle oryginalną urodę.

Milczeli jednak. Dopiero po chwili ojciec Hugh oświadczył ponuro:

— To nie może być ona.

Jego żona zmarszczyła brwi, usiłując odczytać nazwiska na innych łóżeczkach.

— To jedyne dziecko o nazwisku Clarke.

— To nie może być dziecko Hugh.

— Eaton, tu jest napisane: „Dziewczynka Clarke”.

— No to się pomylili - oznajmił Eaton. Jako historyk, i to zarówno nauczyciel, jak i pisarz, wierzył w fakty tak samo jak Hugh.

— Ma identyfikator - zauważyła Dorothy. - Ale w sumie nigdy nie ma się stuprocentowej pewności. U Oprah byli kiedyś rodzice, których dzieci pomyłono. Lepiej zapytaj, Hugh. To dziecko rzeczywiście nie wygląda na twoje.

"Jest moje. - Hugh stał się mówić tak, jakby go zdumiewały ich wątpliwości.

Dorothy była zmieszana.

- Ale ona nie jest ani trochę podobna do ciebie.

- A czy ja jestem podobny do ciebie? - zapytał. — Nie. Jestem podobny do taty. Poza tym to także dziecko Dany.

- Nie wygląda jak Dana.

W korytarzu pojawiła się nowa para i przycisnęła twarze do szyby.

- Ja bym to sprawdził, Hugh. — Eaton mówił teraz znacznie ciszej. — Takie zamiany się zdarzają.

- Gazeta zamieściła właśnie artykuł o kobiecie, która urodziła bliźniaki z cudzej próbki - dodała Dorothy. - Właściwie to rozumiały, niby jak mieliby rozdzielać te mikroskopijne rzeczy?

- Dorothy, to było in vitro.

- Możliwe. Ale to nie znaczy, że nie zdarzają się pomyłki. Poza tym synowie nieczęsto dzielą się z matkami informacją, w jaki sposób zapłodnili żonę. - Popatrzyła na Hugh ze zmieszaniem.

- Nie, mamo - powiedział. - To nie było in vitro. Zapomnij o pomyłce. Byłem w sali porodowej i widziałem narodziny dziecka. Sam przeciąłem pępowinę.

Eaton wciąż nie mógł się pozbyć wątpliwości.

—Jesteś pewien, że to było właśnie to dziecko?

- Całkowicie pewien.

- No cóż - odezwała się Dorothy cicho. - To, co tu widzimy, nie przypomina nikogo z naszej rodziny. Dziecko musi być podobne do kogoś ze strony Dany. Jej babka rzadko wspomina o krewnych. Na ślubie były tylko trzy osoby ze strony Josephów, razem z panną młodą. A przecież babka musi mieć rodzinę. No i pozostaje ojciec Dany, jeszcze większa zagadka. Czy ona w ogóle zna jego nazwisko?

- Zna - odparł Hugh i spojrzał ojcu w oczy. Wiedział, dlaczego Eaton się zamyślił. Pochodzenie bardzo się liczyło. Co do tego jego rodzice byli nadzwyczaj zgodni

- Dyskutowaliśmy o tym trzy lata temu, Hugh - przypomniał

mu starszy pan cicho, ale z irytacją w głosie. — Radziłem ci, żebyś go sprawdził.

- A ja odpowiedziałem, że nie zamierzam tego robić. To nie miało najmniejszego sensu.

- Przynajmniej wiedziałbyś, co poślubiłeś.

- Nie poślubiłem „czegoś”, tylko „kogoś” - zauważył Hugh.
- Myślałem, że definitywnie zakończyliśmy ten temat. Ożeniłem się z Daną, nie z jej ojcem.

- Nie zawsze da się oddzielić jedno od drugiego - odparował Eaton. - Śmiem twierdzić, że w tym wypadku się nie da.

Od odpowiedzi wyratowała Hugh pielęgniarka, która pomachała mu i popchnęła łóżeczko ku drzwiom.

Ten noworodek to było jego dziecko. Hugh brał udział w jego poczęciu i przyjściu na świat. Odciał pępowinę, która wiązała dziecko z matką. Tkwił w tym pewien symbolizm. Teraz nie tylko Dana odpowiadała za dziecko, on również w najbliższych latach miał do odegrania istotną rolę. Była to niezwykła myśl nawet w najbardziej zwyczajnych okolicznościach, a te okoliczności nie były ani trochę zwyczajne.

- Jesteście zadowoleni? - zapytał. - Czy przynajmniej cieszy się moim szczęściem? To moje dziecko.

- Czyżby? - mruknął Eaton.

Najpierw Hugh pomyślał, że to wyjątkowo głupia uwaga, a po chwili wpadł w furję. Jednak pielęgniarka już podeszła do nich z łóżeczkiem na kółkach. Hugh wyciągnął rękę, żeby pokazać kobiecie identyfikator na swoim przegubie.

- Czy to dziadkowie? - zapytała kobieta z uśmiechem.

- Naturalnie - odparł Hugh,

- Gratuluję. Jest cudowna. — Popatrzyła na niego. - Żona zamierza karmić piersią?

- Tak.

- Przyślę kogoś, żeby wszystko jej pokazał. - Drzwi do sali z noworodkami zamknęły się za nią i w tej samej chwili udawana pogoda ducha Hugh zniknęła.

Odwrócił się do ojca.

- Chcesz powiedzieć, że Dana miała romans?
- Takie rzeczy się zdarzają - odparła jego matka.
- Nie mnie - oświadczył Hugh. Kiedy rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, zniżył głos. - I nie w moim małżeństwie. Jak myślicie, dlaczego czekałem aż tak długo? Dlaczego nie chciałem się ożenić z tymi dziewczynami, za którymi przepadałiscie? Bo wtedy nie obeszloby się bez romansów. Moich. To nudne kobiety, które wiodą nudne życie. Dana jest zupełnie inna.

- Nie da się ukryć — zauważyło jedno z jego rodziców. Nieważne które. Oboje mieli oskarżycielski wyraz twarzy.

- Czy to oznacza, że nie obdzwonicie wszystkich Clarke'ów, żeby opowiedzieć im o moim dziecku?

- Hugh - powiedział Eaton.

- A co z country clubem? - ciągnął Hugh. - Myślicie, że będzie tam mile widziana? Czy będziecie ją ciągać od stolika do stolika podczas Kolacji z Grillem, żeby się popisować przed znajomymi, tak jak się popisujecie dziećmi Roberta?

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się country clubem - oznajmił Eaton. — Przejmowałbym się miastem, w którym mieszkasz, i szkołą, do której pójdzie mała. I jej przyszłością.

Hugh uniósł rękę.

- Chwila, mówisz do człowieka, który ma za współników Ku-
bańczyka i Żyda. I którego klienci to głównie mniejszości rasowe.
I którego sąsiad jest czarnoskóry.

- Całkiem jak twoje dziecko - powiedział Eaton.

Hugh odetchnął głęboko, ale wcale się nie uspokoił.

- Ja nie widzę czarnej skóry w tym pomieszczeniu za szybą. Wi-
dzą brązową, białą, żółtą i wszystkie odcienie pośrednie. W porząd-
ku, skóra mojego dziecka jest śniada. Tak się składa, że również jest
piękna. Jeśli nie możecie powiedzieć tego mnie... Jeśli nie możecie
powiedzieć tego Danie... Proszę... - Nie dokończył, tylko patrzył na
nich przez dłuższą chwilę, po czym popchnął łóżeczko na korytarz.

- Proszę o co? - zawołał Eaton i dogonił syna dwoma krokami.
Miał równie długie nogi jak Hugh. Czy też raczej Hugh miał rów-
nie długie nogi jak jego ojciec.

Proszę, idźcie do domu. Proszę, zatrzymajcie swoje brudne myśli dla siebie, zostawcie w spokoju mnie, moją żonę i nasze dziecko.

Hugh nie wypowiedział tych słów na głos. Mimo to jego rodzice je usłyszeli. Kiedy dotarł pod drzwi Dany, on i dziecko byli całkiem sami.

3

W Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Hugh, żeby Dana domyśliła się, co zaszło.

Czy jej radości nie przyćmił smutek? Rodzice Hugh byli dobrymi ludźmi. Hojnie dzielili się pieniędzmi z instytucjami dobroczynnymi, głównie z Kościołem, i uczciwie płacili podatki. Jednak nie chcieli zmian w swoim życiu. Jakakolwiek zmiana stanowiła zagrożenie. Dana musiała ugryźć się w język, kiedy wybuchła awantura po tym, jak South Shore - miasteczko, w którym mieszkali Clarke'owie - zagłosowało za wybudowaniem sieciowego baru szybkiej obsługi. Stało się tak mimo sprzeciwu Eatona, Dorothy i innych członków miejscowej elity, którzy nie zjedliby big maca, nawet gdyby ich życie od tego zależało.

Dana uwielbiała big maki. Już dawno temu pogodziła się z tym, że teściowie ich nie lubią.

Nie. Nie dbała o to, co myślą rodzice Hugh, jednak to, co myślał on sam, bardzo się dla niej liczyło. Mimo że był dorosłym i samodzielnym człowiekiem, rodzice potrafili popsuć mu humor.

I tym razem najwyraźniej tak się stało. Był roztargniony, wydawał się zły w chwilach, kiedy powinien się śmiać, przytulać ją, powtarzać, że bardzo ją kocha, tak jak to robił tuż po narodzinach dziecka.

Dana ogromnie tego potrzebowała. Jeśli jednak jej umysł zarejestrował problem, emocjonalnie była zbyt odrętwiała, by to odczuć. Hugh miał ze sobą dziecko i Dana zapragnęła wziąć je na

ręce. Instynkt nakazywał jej strzec maleństwa, nawet przed jego własnym ojcem, jeśli byłoby to konieczne.

Próbowała usiąść, ale Hugh gestem ręki kazał jej się położyć. Jego dłonie wydawały się absurdalnie wielkie pod dzieckiem. Objęła córeczkę, rozkoszując się jej ciepłem. Poza resztkami mazi w oczach, twarz dziecka była czysta i gładka. Dana patrzyła na nią z zachwytem.

- Spójrz na te policzki - wyszeptała. - I usta. Wszystko jest takie maleńkie. Takie delikatne. Nawet kolor. Jasnobrażowy? Płowy?

Delikatnie przytrzymując małą rączkę, patrzyła, jak palce dziecka badają powietrze, a potem obejmują jeden z jej płaców.

- Czy twoi rodzice wzięli ją na ręce?

- Tym razem nie.

- Są przygnębieni.

- Można tak powiedzieć.

Dana zerknęła na niego. Hugh nie odrywał wzroku od dziecka.

- Gdzie są teraz? — zapytała.

- Zakładam, że pojechali do domu.

- Winia mnie za to, prawda?

- To okropne słowo, Dee.

- Ale pasuje. Znam twoich rodziców. Nasze dziecko ma ciemną skórę, a oni wiedzą, że to nie ze strony waszej rodziny, więc z mojej.

- A czy tak jest? - Uniósł brwi.

- Możliwe — odparła swobodnie. Gdy dorastała, wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. - Mam jedno zdjęcie ojca. Widziałeś je. Jest równie jasnoskóry jak ty. Ale kto z nas wie, co się mogło zdarzyć dwa czy trzy pokolenia wcześniej?

- Ja

Tak, przyznała w duchu. Clarke'owie rzeczywiście sporo wiedzieli o tych sprawach. W przeciwieństwie do Josephów, niestety.

- A zatem twoi rodzice mają do mnie pretensje. Oczekiwali czegoś innego. Nie podoba im się nasza córka i uważają, że to moja wina. Ty też.

- Wina to nieodpowiednie słowo. Sugeruje coś złego.

Dana popatrzyła na dziecko, które zdawało się w nią wpatrywać. Dziewczynka była spokojna i zadowolona. Elizabeth Ames Clarke miała w sobie coś wyjątkowego. Jeśli to dzięki genom, których nikt się nie spodziewał, niech i tak będzie. Nie miała żadnej wady. Była absolutnie idealna.

— To nasze dziecko — wyszeptała Dana błagalnie. - Czy kolor skóry to coś innego niż kolor oczu, inteligencja lub temperament?

— I owszem, w tym kraju. Na tym świecie.

- Ja się na to nie godzę.

- Wobec tego jesteś naiwna. - Odetchnął głęboko. Wyglądał na wyczerpanego. Przeczesał włosy palcami, ale krótkie kosmyki, które zwykle opadały mu na czoło, błyskawicznie powróciły na poprzednie miejsce. Kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich rozgoryczenie. — Moi klienci pochodzą ze wszystkich mniejszości etnicznych, jednak czarnoskórzy Amerykanie twierdzą uparcie, że im jest najtrudniej. Obecnie i tak jest lepiej niż kiedyś, i będzie jeszcze lepiej, ale kolor z pewnością nie przestanie się liczyć. Przynajmniej nie za naszego życia.

Dana postanowiła się nie kłócić. Hugh był jednym z najbardziej tolerancyjnych ludzi, jakich znała. Stwierdzał fakty, a nie kierował się uprzedzeniami.

Może rzeczywiście była naiwna. Dziecko już wydawało się znajome, chociaż Dana miałaby trudności z odróżnieniem, którą konkretnie cechę odziedziczyło po niej, a którą po Hugh.

Zastanawiała się nad tym, kiedy drzwi się otworzyły, a babcia zajrzała do środka. Na widok jej twarzy Dana natychmiast zapomniała o wszystkich nieprzyjemnych wydarzeniach.

- Wchodź, babciu! - krzyknęła. Jej oczy wypełniły się łzami, kiedy podeszła do niej kobieta, której ufała najbardziej na świecie.

Wciąż piękna mimo siedemdziesięciu czterech lat, Ellie Jo miała gęste siwe włosy, podpięte na czubku głowy bambusowymi szpilkami, delikatną skórę i na tyle mocny kręgosłup, żeby się nie garbić. Prezentowała się tak, jakby wiodła życie całkiem wolne od stresów, ale jej wygląd był zwodniczy. Stała się mistrzynią prze-

trwania, głównie dzięki temu, że stworzyła sobie i wnuczce sensowne, produktywne i godne szacunku życie.

Weszła z uśmiechem na ustach. Jej ręka zdrząła nad bladoróżowym kocykiem. Starsza pani odetchnęła głęboko, a następnie w zachwycie wypuściła powietrze z płuc.

- Och, Dana Jo. To najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałam.

Dana wybuchnęła płaczem. Zarzuciła rękę na szyję babci i przywarła do niej, szlochając z powodów, których nie rozumiała. Ellie Jo przytuliła wnuczkę jedną ręką, a dziecko drugą, aż wreszcie łzy przestały płynąć.

Pociągając nosem, Dana sięgnęła po chusteczkę.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Hormony — wyjaśniła i zręcznie wytarła kciukiem łzy pod oczami wnuczki. - Jak się czujesz?

- Obolała.

- Lód, Hugh - poleciła Ellie Jo. - Dana musi siedzieć na zimnym. Zobacz, czy uda ci się coś skombinować.

Dana patrzyła, jak wychodził. Ledwie zamknęły się za nim drzwi, jej spojrzenie poszybowało ku twarzy babci.

- Co o tym myślisz?

- Twoja córka jest precudna.

- Co myślisz o kolorze jej skóry?

Ellie Jo nie próbowała zaprzeczać temu, co obie wyraźnie widziały.

- Myślę, że ten kolor składa się na jej niezwykłą urodę, ale jeśli pytasz, skąd się wziął, ja ci tego nie wyjaśnię. Kiedy twoja matka chodziła z tobą w ciąży, żartowała, że nie ma pojęcia, co z tego będzie.

- Czy były jakieś wątpliwości po stronie twojej rodziny?

- Wątpliwości?

- Nieznane korzenie, może adopcja?

- Nie. Wiedziałam, skąd pochodzę. Mój Earl też. Ale twoja matka niewiele wiedziała o twoim ojcu. - Uniosła nieco maleńką różową czapeczkę i wyszeptła z zachwytem: - Spójrz tylko na te loczki.

- Ojciec nie miał loków - zauważyła Dana. — I nie wyglądał na czarnoskórego.

- Adam Clayton Powell też nie wyglądał - odparła jej babka.
- Wiele czarnych grup nie chciało go przyjąć, bo wydawał się im zbyt biały.

- A biali traktowali go jak równego sobie?

- Zazwyczaj.

Ale nie zawsze, doszła do wniosku Dana.

- Hugh jest przygnębiony.

- Hugh? Czy jego rodzice?

- Rodzice, ale go zarazili. - Oczy Dany ponownie napełniły się łzami. — Tak bardzo chciałam, żeby się cieszył. Przecież to nasze dziecko.

Ellie Jo uspokajała ją przez chwilę, po czym oświadczyła:

- On się cieszy. Ale usiłuje sobie poradzić z tym, co widzi. My mogliśmy się spodziewać nieoczekiwanego. On nastawił się na to, że zobaczy najmłodszą Ames Clarke.

- Będzie żądał odpowiedzi — westchnęła Dana. — Jest bardzo uparty. Nie spocznie, dopóki nie znajdzie przyczyny, dla której Lizzie wygląda tak, jak wygląda. To oznacza, że zbada każdy centymetr naszego drzewa genealogicznego. Czy ja tego chcę? Czy chcę znaleźć swojego ojca po tylu latach?

- Hej! - rozległ się radosny okrzyk od drzwi.

Tara Saxe była najlepszą przyjaciółką Dany od czasu, gdy obie miały trzy lata. Obie przeżyły śmierć matek, niekończące się lata szkoły, końskie zaloty nastoletnich kolegów i niepewność co do wyboru zawodu w przyszłości. Tara wyszła za mąż od razu po college' u, za pianistę, który nie miał nic przeciwko temu, żeby zamieszkać w jej rodzinnym domu. Urodziła trójkę dzieci, najstarsze nie miało jeszcze ośmiu lat. Na studiach zaocznych zdobyła dyplom księgowej i pracowała na pół etatu. Nie znosiła tej pracy, ale bez niej ani ona, ani jej mąż nie mieliby za co się utrzymać. Jediną nieporządną rzeczą u Tary były jej wiecznie zmierzwione jasnobrązowe włosy, sięgające poniżej uszu, kręcone i rzadko czesane. Jako perfekcjonistka planowała bowiem najdrobniejsze szczegóły swojego życia.

Również robiła na drutach i była partnerką Dany w kopiowaniu nowych stylów innych projektantów. Na początku każdego sezonu wspólnie odwiedzały najbardziej ekskluzywne sklepy z odzieżą dla kobiet w Bostonie, by sporządzać notatki. Potem, mimo że obie miały inną pracę i zero wolnego czasu, Dana projektowała wzory, które razem robiły na drutach. Niekiedy wielokrotnie wykorzystywały jeden projekt, na przykład niemal taki sam sweter, za każdym razem lekko różniący się kolorem albo proporcjami. Reakcja Tary podpowiadała Danie i, co ważniejsze, Ellie Jo, czy wzór sprzeda się w sklepie.

Teraz Tara wyściskała ją i zaczęła zachwycać się dzieckiem, tak samo jak przed chwilą Ellie Jo. Tyle że Tary nie trzeba było pytać, co myśli. Była tak bezpośrednia, jak bywają tylko najlepsze przyjaciółki.

- O rany — powiedziała. - Patrzcie tylko na tę skórę. Mówiłaś, że skąd się wzięło dziecko, Dana Jo?

- Zakładam, że to pamiątka po mojej nieznannej przeszłości — odparła Dana. Czuła ulgę, że może żartować na ten temat. — Hugh jest przygnębiony.

- Dlaczego? Bo nie może powiedzieć, że to kopia jego pradiadka albo prapradziadka? A w ogóle to gdzie on się podział?

- Babcia wysłała go po lód.

- No tak, zakład, że zaczęłaś już go potrzebować. Patrz, maleństwo się wierci. Zgłodniało.

Piersi Dany były większe niż przed ciążą, ale takie same jak w zeszłym tygodniu czy przed dwoma tygodniami.

- Mam już zacząć karmić?

- Jasne. Ona nie musi jeszcze pić mleka, ale ty masz siarę.

Dana rozpięła koszulę. Tara pokazała jej, jak przystawić dziecko, żeby mogło jeść, ale dopiero po kilku minutach manipulowania sutkiem wreszcie coś z tego wyszło. Dane aż oszołomiła siła, z jaką dziecko przyssało się do piersi.

- Skąd ona wie, co robić?

Tara nie odpowiedziała, bo właśnie wrócił Hugh i zaczęła go ścisnąć, a Ellie Jo usiłowała odpowiednio ułożyć lód, więc pytanie

poszło w niepamięć. Niestety, obie ulubienice Dany wkrótce udały się do pracy, stanowczo zbyt szybko. Znowu została sam na sam z Hugh.

- Czy ona sse? - zapytał z zainteresowaniem i przez chwilę miała nadzieję, że uporał się już z nieżyczliwością swoich rodziców.

- Wykonuje wszystkie właściwe ruchy. Nie wiem, jak dużo dostaje.

- Tyle, ile potrzebuje - rozległ się głos za Hugh. Była to specjalistka od laktacji. Przedstawiła się, a potem obmacała pierś Dany. Po zadaniu kilku pytań i udzieleniu paru wskazówek wyszła.

Dana położyła sobie noworodka na ramieniu i masowała mu plecy. Ponieważ nie usłyszała beknienia, zaczęła je poklepywać. Zerknęła na twarz córki, ale nie dostrzegła jakichkolwiek oznak cierpienia, więc wróciła do masowania.

- No i co mówiła Ellie Jo? - zapytał Hugh z udawaną nonszalancją.

Pytanie było niewinne, ale mogło mieć drugie dno. Zniechęcona i nagle nieprawdopodobnie wyczerpana odparła:

- Była równie poruszona jak my.

- Majakieś pojęcie, skąd się wziął ten kolor?

- Nie jest genetykiem.

- Żadnych podejrzeń?

- Nie.

- Sugestii?

Danie zbierało się na płacz.

- Jakich sugestii? Jak rozjaśnić skórę dziecka?

Hugh odwrócił wzrok i westchnął ze znużeniem.

- Byłoby łatwiej, gdybyśmy znali parę odpowiedzi.

- Łatwiej wytłumaczyć twoim rodzicom? - zapytała Dana, wiedząc, że w jej głosie słychać gorycz. Pomiedzy nimi był... może nie mur, jednak coś ich dzieliło. Wcześniej zawsze się zgadzali.

Jego wzrok był ponury i, tak, nieobecny.

- Łatwiej wytłumaczyć twoim przyjaciołom? - ciągnęła.

- Twoim rodzicom byłoby łatwiej wytłumaczyć ich znajomym?

- Zgadza się - przyznał. - Posłuchaj, takie są fakty. Białej pa-

rze urodziło się czarne dziecko. To nie jest zwykłe wydarzenie, jedno z tysiąca. Ludzie będą zadawali pytania.

- A musimy udzielać na nie odpowiedzi? Niech sobie myślą, co chcą.

- I będą myśleli. Pierwsze przyjdzie im do głowy to, co mojej matce - że w laboratorium nastąpiła jakaś pomyłka.

- W jakim laboratorium?

- Racja. Powiedziałem jej to, chociaż to nie jej sprawa. Ale nie ona jedna będzie się dziwić.

- Czy miałyby to jakieś znaczenie, gdybyśmy skorzystali ze sztucznego zapłodnienia?

- Nie o to chodzi. Po prostu nie lubię, kiedy ludzie spekulują na temat mojego życia osobistego. A będą spekulowali, jeśli będą mieli ku temu powody. I tak... - Uniósł trzy palce. — Pierwsza możliwość to in vitro. — Zgiął palec. — Druga to krewny o afrykańskich korzeniach. - Zgiął następny palec. - A wiesz, jaka jest trzecia możliwość? - Opuścił rękę. - Że dziecko nie jest moje.

- Słucham?

- Że nie jest moje.

Omali nie wybuchnęła śmiechem.

- Co za idiotyzm. Nikt tak nie pomyśli.

- Moi rodzice tak właśnie pomyśleli.

Zaniemówiła.

- Żartujesz sobie?

- Nie. I nie odrzucaj tego. To logiczna możliwość.

- Logiczna? Twoi rodzice myślą, że miałam romans? — Była zbulwersowana. - Na litość boską, Hugh.

- Jeśli moi rodzice tak pomyśleli, innym też to przyjdzie do głowy.

Dana była wściekła.

- Tylko ci, którzy nas nie znają. Nasi znajomi wiedzą, że jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. I że spędzamy razem cały wolny czas.

- Wiedzą też, że dziewięć miesięcy temu byłem przez cały miesiąc w Filadelfii, przygotowując się do procesu.

- No! - Była oszołomiona.

Dziecko zapiszczało w odpowiedzi.

- Nie ja, Dee - powiedział Hugh, ale jego spojrzenie wciąż było ponure. - Nie ja. Ja tylko bawię się w adwokata diabła. Będą się zastanawiali, zwłaszcza że dziecko urodziło się o dwa tygodnie za wcześnie.

- Wobec tego powiesz im, że nie ma takiej możliwości - oświadczyła Dana.

- A skąd ja mam wiedzieć, co się działo, kiedy byłem w Filadelfii?

- Z całą pewnością wiesz, co się działo w weekendy, bo przyjeżdżałeś.

- Ale w tygodniu mogłaś to robić z kimś innym.

Dana omal nie wyszła z siebie.

- Nie wierzę, że mówisz coś podobnego.

- Mówię tylko to, co powiedzą inni.

Popatrzyła na twarz dziecka. Wykrzywiło buźkę, gotowe wybuchnąć płaczem. Zdjęła więc małą z ramienia i usiłowała kołysać, ale jej przerażenie stopniowo rosło.

- Czy byłabym na tyle głupia, żeby wdać się w romans z czarnoskórym i wciskać ci jego dziecko?

- Może nie byłaś pewna, czyje jest.

- Czekaj. Czyli zakładasz, że cię zdradzałam.

Krzyki dziecka przybrały na sile.

- Dlaczego ona płacze? — zapytał Hugh.

- Nie wiem. - Dana przytuliła córkę mocniej, ale to nie pomogło. — Może wyczuwa, że jestem zdenerwowana.

- Albo zgłodniała.

- Przed chwilą ją karmiłam.

- Nie masz jeszcze mleka. Może potrzeba jej sztucznego pokarmu.

- Hugh, będę miała mleko. Mnóstwo mleka.

- W porządku. Nie ma mokro?

Istniała taka możliwość. Dana rozejrzała się wokół siebie.

- Nic nie mam. Coś musi tutaj być.

-Gdzie?

- Nie wiem. Zadzwoń po pielęgniarkę.

- Pójdę po nią — powiedział Hugh. — I tak powinna tu siedzieć. Cholera, gdybyśmy chcieli sami sobie radzić, wybralibyśmy hotel Ritz. - Po tych słowach wyszedł.

Ponieważ wrócił niemal natychmiast, Dana domyśliła się, że pielęgniarka zapewne właśnie do nich szła. Łagodna i spokojna kobieta wzięła dziecko na ręce i położyła na łóżeczku. Potem otwierała jedną szufladę po drugiej, demonstrując rodzicom, gdzie znajdują pieluszki, maść, chusteczki do mycia dziecka, chustki na ramię, żeby noworodek przypadkiem nie zabrudził ubrania przy odbijaniu, i inne drobiazgi.

Małeństwo płakało głośno, gdy zostało bez pieluchy, ale pielęgniarka spokojnie pokazała im, jak wytrzeć mu pupę, nasmarować ją i włożyć nową pieluchę. Zademonstrowała również, jak podtrzymać głowę dziecka i opisała pielęgnację pępka.

Po wyjściu pielęgniarki Hugh stanął przy łóżeczku, tyłem do żony, w typowej dla Clarke'ów postawie. Niestety, Dana pochodziła z Josephów. A ta małeńka, bezradna dziewczynka, kim ona była?

4

Hugh bardzo długo wpatrywał się w noworodka. Dotąd był zachwycony faktem, że Dana w niczym nie przypomina jego rodziny, a teraz desperacko szukał czegoś znajomego w swoim dziecku. Dostał za swoje, że tak lekce sobie ważył rodzinne cechy - trafiło mu się dziecko, które ani trochę nie było do niego podobne.

Kompletnie bezradny pochylił się nad dziewczynką.

- Hej - wyszeptał. - Hej — powtórzył, tym razem z uśmiechem.

Lizzie nawet nie mrugnęła. Hugh uznał, że mała ma niezwykle oczy: ciemnobrązowe tęczówki, delikatne powieki, długie ciemne rzęsy. Jej nos był mały i idealnie ukształtowany. I tak, rzeczywiście miała niezwykle miękką, gładką skórę. Jej uroda wręcz zapierała dech. Hugh sięgnął po aparat i zrobił zdjęcie, potem zerknął na Dane.

Kochał żonę. Naprawdę. Kochał ją za wiele rzeczy, między innymi za to, że była naprawdę wyluzowana. Nie zagłębiała się w szczegóły, tak jak on. Nie odczuwała nieprzepartej potrzeby utrzymywania porządku, nie doszukiwała się wszędzie logiki ani precedensów. Po prostu płynęła z prądem, z uśmiechem przyjmowała zmiany i nie oglądała się za siebie. Podziwiał ją za to.

Przynajmniej tak było dotychczas. Teraz, kiedy znowu popatrzył na dziecko, nonszalancja Dany wydała mu się kompletnie nieodpowiedzialna. Powinna była uporządkować swoje życie i do wiedzieć się, kim był jej ojciec. To by znacznie wszystko ułatwiło.

Zaczął do niej mówić, ale spostrzegł, że zamknęła oczy. Wygodniej mu było wierzyć, że zasnęła, więc wyszedł z pokoju i zjechał windą na parter. Szukał spokojnego miejsca, z którego mógłby zadzwonić z komórki, kiedy nagle usłyszał, że ktoś wykrzykuje jego imię.

Zamaszystym krokiem zmierzał ku niemu David Johnson. Jego ogolona głowa lśniła, spod rozpiętego fartucha wyłaniał się gęsto owłosiony tors. David był nie tylko ich sąsiadem, ale również bliskim przyjacielem. Poznali się pięć lat wcześniej, kiedy akr nabrzeża, które kupił Hugh, był zaledwie piachem porośniętym rzadką trawą i wrzosami. Dom Davida stał się placówką wypadową dla Hugh przez rok budowania, z dostępem do piwa w lodówce i do wszelkiego typu udogodnień, które oszczędziły Hugh wiele czasu i wysiłku.

To David poznał go z Daną, i za to przede wszystkim Hugh czuł do niego wdzięczność.

— Cześć, stary! - wykrzyknął teraz David z szerokim uśmiechem na ustach i poklepał Hugh po plecach. - Jak się miewa świeżo upieczony tata?

Hugh uściśnął mu rękę.

- Wykończony.

- Szybki poród, Hugh. Nie narzekaj. Gzy małe jest ładne?

— Cudowne. To córka. — Poczł, że znowu potrzebuje pomocy Davida, — Przyszedłes czy wychodzisz?

- Przyszedłem z sali operacyjnej, idę do gabinetu. Mam trzy minuty, żeby skoczyć do was i zerknąć na dziecko. A ty dokąd?

— David zerknął na otwarte drzwi windy.

- Muszę odsłuchać wiadomości i zadzwonić w parę miejsc. Złapię cię później?

— Kończę o szóstej, ale potem mam spotkania na Harvardzie, więc albo zobaczę twoje dziewczyny teraz, albo jutro.

— Zobacz je teraz — poradził mu Hugh. - Dana się ucieszy.

David wskoczył do windy, tuż przed zamknięciem się drzwi. Odwrócił się i obdarzył Hugh olśniewającym uśmiechem, który rozjaśnił jego przystojną czarną twarz.

O tak, musieli pogadać. David z pewnością zrozumie problem. Nie tylko sam był kiedyś czarnym dzieckiem, ale po ślubie z białą kobietą miał córkę o odcieniu skóry takim samym jak odcień skóry Lizzie.

Córka Davida dobrze sobie radziła. Była szczęśliwa. Kurczowo uczepiwszy się tej myśli, Hugh znalazł spokojny kątek nieopodal wejścia do szpitala i zaczął odsłuchiwać nagrane na komórkę wiadomości.

Jego wspólnik w kancelarii, Jim Galii, oświadczył radośnie:

- Gratuluję wspaniałego dziecka, Hugh. Rita i ja wpadniemy, jak tylko twoje dziewczyny wrócą do domu. I nie przejmuj się robotą, Julian i ja damy sobie radę.

Melissa Dubin, jedna z jego współpracownic, wykrzyknęła triumfalnie:

- Gratuluję, Hugh! Dziecka i wygranej! Właśnie dzwonił prokurator w sprawie Hasslera. Powiedział, że wycofuje trzy najważniejsze zarzuty przeciwko naszemu klientowi. Dał jasno do zrozumienia, że utrzyma w mocy zarzut wykroczenia, ale wiemy wszyscy, że Hassler nie pójdzie siedzieć. Dobra robota.

Następna wiadomość była nieco mniej radosna.

- Cześć, stary - powiedział Henderson Walker niskim, pełnym zniecierpliwienia głosem. — Musimy pogadać. Tacy jedni chcą mi zrobić kuku. Już mi dwa razy grozili. I nie wciskaj mi kitu, że mam pogadać ze strażnikiem, bo strażnicy w tym siedzą. Muszą mnie przenieść. Masz im kazać.

Hugh czuł, że z Hendersonem będą kłopoty, i chociaż nie miał pewności, czy zagrożenie jest tak wielkie, jak się tego obawiał jego klient, i tak planował wpaść po południu do więzienia. Na BlackBerry wystukał e-maila do kolegi z kancelarii: „Henderson czuje się zagrożony. Zadzwoń do niego”.

Następna wiadomość zostawił jego brat. Robert, trzy lata młodszy od Hugh, był wicedyrektorem wykonawczym w firmie, która sześć pokoleń wcześniej wybudowała pewien hotel. Z jednego hotelu zrobiło się sześć, potem cały tuzin. Kolejne pokolenia Clarke'ów rozszerzyły działalność na bankowość, handel i roz-

rywkę. Konglomerat okazał się na tyle dochodowy, że regularnie odbudowywał zasoby finansowe rodziny. Teraz na jego czele stał stryj Hugh, ósmy Bradley Clarke.

Robert nigdy nie miał ochoty spróbować sił w nowej dziedzinie, jak Hugh oraz ich ojciec. Był rasowym biznesmenem i nie owi-
jął w bawętnę.

- Tata gada od rzeczy — oznajmił. — Zadzwoń.

Z niejakim przerażeniem Hugh wystukał prywatny numer brata.

- Jak to: od rzeczy? - zapytał bez żadnych wstępów.

- Czekaj chwilę. - Głos Roberta przycichł. - Możemy dokończyć później? Świetnie. Zamknij za sobą drzwi, dobrze?

Chwila ciszy, potem w oddali rozległo się stuknięcie. Hugh wyobraził sobie Roberta obracającego się na fotelu z wysokim oparciem i patrzącego na szklane ściany z widokiem na horyzont Bostonu. Po chwili w słuchawce rozległ się wyraźny głos:

- Tata mówi, że dziecko jest czarne. O co mu chodzi?

- Jej skóra nie jest całkiem biała.

- A jaka?

- Jasnobrązowa.

- To niemożliwe - oznajmił Robert. - Przecież ma dwoje białych rodziców.

—Jedno z nas musiało mieć afrykańskiego przodka.

- Na pewno nie ty, więc Dana. Wie, kto to może być?

- Chciałbym. To by zamknęło usta tacie.

- On twierdzi, że mogła to przed tobą ukrywać.

- Dana nic nie wie.

- Tata mówi, że jeśli nie ma czarnoskórego krewniaka, to miała romans.

Hugh poczuł, że zaczyna go boleć głowa. Zamknął oczy i ścisnął palcami nasadę nosa.

- Miała? — spytał Robert.

- Nie, do cholery.

- Jesteś pewien?

Hugh otworzył oczy.

- Dana to moja żona. Znam ją. Daj spokój, Rob, okaż mi wsparcie. Nie miała romansu. Powiedz to tacie, nie chcę, żeby zaczęła rozsiewać plotki.

- No to lepiej znajdź krewniaka Dany. Bo widzisz, jeśli chodzi o tatę, to z tych dwóch możliwości - czarny krewniak albo niewierność - niewierność byłaby dla niego łatwiejsza do przełknięcia.

Hugh domyślał się, dlaczego.

- Aż tak nie cierpi Dany?

- Zawsze uważał, że jesteś lepszy od niej, ale wolałby niewierność z jeszcze jednego powodu. Jeśli Dana cię zdradziła, tata może oświadczyć, że to nie jego wnuczka.

Hugh zbierało się na mdłości.

- Żałosne.

- Jest, jaki jest.

- Tak? No to jaki jest? Z jego książek można wywnioskować, że uważa, iż mniejszości są od lat niesłusznie prześladowane. A teraz nie chce mieć nic wspólnego z własną wnuczka, bo ma ciemniejszą skórę? Jak to świadczy o nim?

- A tak, że to hipokryta - odparł Robert spokojnie. - Chcesz wiedzieć, co jeszcze mówi?

Hugh nie musiał odpowiadać. Był pewien, że Robert i tak mu powie. Rywalizowali ze sobą od dzieciństwa. Robert nadal uwielbiał utrzymywać przewagę nad starszym bratem, choćby dzięki temu, że wiedział o czymś, o czym Hugh nie miał pojęcia.

Zdumiewające było - uświadomił sobie Hugh — że choć Robert zaszedł dalej od niego, jeśli brać pod uwagę władzę i pieniądze, wciąż nie wyzbył się tej dziecięcej potrzeby.

- Uważa, że albo naprawdę nic nie wiedziałeś o jej romanse, albo wiedziałeś, tylko nie chcesz przyznać, że popełniłeś błąd, żeniąc się z nią. Powiedział, że na pewno nie będzie żadnych wystawnych chrzcin, skoro ojcostwo budzi takie wątpliwości.

- Chrzciny to nie jego sprawa, tylko Dany i moja.

- Jedno jego słowo i połowa gości się nie zjawi.

- No i dobra - oświadczył Hugh. Miał dosyć. - Robert, muszę kończyć. Zrób mi przysługę, co? Zadzwoń do taty i powiedz mu,

że bardzo się myli co do Dany. Nie miała romansu, a jeśli będzie poruszał ten temat ze swoimi kumplami w klubie, doigra się. Dana i ja wyjaśnimy sprawy, ale we własnym tempie.

- Przy okazji, tata uważa, że to twój sąsiad.

- David?

—Jest czarnoskóry.

- To jeden z moich najlepszych przyjaciół! Odbiło ci?

- Nie mnie. Tacie. Ale lepiej to sprawdź. Znam dobrego detektywa...

- Ja też, dzięki - odparł Hugh i szybko zakończył rozmowę. Naprawdę znał detektywa i zamierzał zlecić mu wytropienie ojca Dany. Najpierw jednak postanowił skontaktować się ze znajomą genetyk, która wykonywała dla niego większość badań DNA.

Zadzwoił do niej, ale jej nie było, więc kupił sobie kawę i wyszedł na taras. Właśnie siadał na ławce, gdy usłyszał telefon. Na wyświetlaczu widniał numer jego współnika.

- Cześć, Julian.

- Muszę być w sądzie na sprawie Ryana, ale to nie potrwa dłużej niż godzinę. Pomyślałem, że podjadę potem do domu po Deb. Bardzo chce zobaczyć małą. Czy Dana jest gotowa na wizytę?

Julian był jednym z najlepszych przyjaciół Hugh. Poznali się na studiach, gdzie przyciągnęła ich do siebie identyczna wizja przyszłej kariery prawniczej. Julian był tolerancyjnym i troskliwym człowiekiem, podobnie jak inni znajomi, jednak Hugh się zawałał.

- Sam nie wiem, Julian. Jest bardzo wyczerpana. Niewiele spałiśmy, a Dane już boli. Może lepiej zaczekajmy z tym do powrotu do domu.

- Ale nic jej nie jest, prawda?

- Wszystko w porządku. Po prostu jest wyczerpana.

- No to tylko zerknijemy na dziecko i już nas nie ma.

-Jeśli przejedziecie taki szmat drogi, Dana uprze się, żebyście posiedzieli dłużej. Poważnie, Julian. Daj jej dzień.

- Deb będzie rozczarowana. Ale dobrze, rozumiem. Dasz mi znać, jeśli będę miał coś do zrobienia w kancelarii?

Gdy Hugh skończył rozmowę, poczuł się jak idiota. Przecież nie mógł ukrywać dziecka. Wszystko jedno, czy Julian zobaczy je dziś, jutro czy pojutrze, skóra Lizzie nadal będzie miała miedziany odcień. Julianowi to nie będzie przeszkadzało, Deb też nie. Ale zaczną zadawać pytania.

Siedział na ławce, ze stygnącą kawą w dłoni, i bezmyślnie wpatrywał się w ptaka, który przycupnął na oparciu ławki. Nagle w jego myśli wdarł się wysoki głos po drugiej stronie żywopłotu otaczającego taras.

Zignorował go. Miał własne problemy. Nie musiał wysłuchiwać cudzych zwierzeń. Kiedy jednak ów zestresowany głos znów przybrał na sile, Hugh nie mógł nie słuchać.

- Usiłowałam! - krzyczała kobieta. - Nie mogę się dodzwonić!
- Nastąpiła przerwa, po czym nieznajoma ciągnęła z rozpaczą:
- Niby jak mam to zrobić? On nie odbiera moich telefonów!- Teraz mówiła już nieco ciszej, ale i tak wszystko słyszał. - To pierwsza operacja. Będzie w gipsie przez sześć tygodni. Ciągłe gadają o metalowych płytkach wzrostowych do łączenia kości, a to oznacza więcej operacji. Nie mam na to pieniędzy. - Umilkła. - A ty masz ubezpieczenie? Nie chodzi tylko o mnie - dodała z drżeniem w głosie. - To nie przeze mnie ten samochód go przejechał, mam. Byłam w ogródku. Auto wyjechało znikąd i wpadło na chodnik.

Wbrew sobie Hugh był zaintrygowany.

- Przecież właśnie ci mówiłam. Nie odbiera moich telefonów, a wiem, że jest w Waszyngtonie. Przedwczoraj był w wiadomościach, mówił coś o jakimś ważnym senackim głosowaniu. Tylko nie chce się przyznać, że Jay to jego syn.

Hugh uśmiechnął się do siebie. Dobrze znał kongresmenów i inne ważne szczyty ich pokroju. Większość z nich była aroganckimi sukinsynami.

- Nie zamierzałam również zachodzić w ciążę - ciągnęła kobieta. — Ale przecież nie zrobiłam tego sama. Czy on nie ma obowiązku nam pomóc?

Owszem, ma, pomyślał Hugh. Jeśli nieznajomy mężczyzna rzeczywiście był ojcem dziecka, miał taki obowiązek.

Rozległ się cichy szloch, a potem słowa:

- Mamo? Proszę, nie rozłączaj się. Mamo?

Nie moja sprawa, pomyślał Hugh. A już na pewno nie teraz.

Wylał resztkę kawy w krzaki i wstał z ławki. Jednak zamiast wrócić do budynku, ruszył wzdłuż żywopłotu i wszedł do przyszpitalnego ogrodu.

Skulona kobieta siedziała na ławeczce podobnej do tej, na której on sam przed chwilą siedział. Widział nogi w dżinsach, plecy w obcisłym podkoszulku i potarganą masę kasztanowych włosów. Przed tenisówkami kobiety na ziemi leżały niedopałki papierosów.

- Przepraszam? - zagadnął nieznajomą.

Zaskoczona uniosła głowę. Jej lewe oko powędrowało w bok, lecz prawe uważnie spojrzało mu w twarz. I jedno, i drugie było czerwone od płaczu.

- Siedziałem po drugiej stronie żywopłotu i mimowolnie usłyszałem pani rozmowę - wyjaśnił łagodnie. - Może zdołałbym pomóc.

Otarła oczy drżącymi palcami.

- Dowalając się do mnie?

Uśmiechnął się.

- Nie - zaprzeczył. - Jestem żonaty. Moja żona właśnie urodziła. Jestem również adwokatem. Zdaje się, że ojciec dziecka odmawia uznania go za własne.

- Kto panu dał prawo podsłuchiwać?

- Obawiam się, że nie mówiła pani szeptem. Na ojcu dziecka ciąży prawny obowiązek rodzicielski. Wiem o tym doskonale. Prowadziłem już sprawy o uznanie rodzicielstwa.

Posłała mu niechętnie spojrzenie.

- Nie wygląda pan na prawnika.

- Już mówiłem, że moja żona jest świeżo po porodzie. Naprawdę. Przez całą noc nie zmrzyliśmy oka. Proszę mi wierzyć, gdy jestem w sądzie, prezentuję się inaczej.

Zaśmiała się cicho, choć nie wydawała się rozbawiona.

- Jak miałabym opłacić adwokata, skoro nie stać mnie na leczenie syna?

- Kiedy sprawa jest tego warta, nie pobieram opłaty.
- Akurat. - Wstała. Była wysoka, miała jakieś metr siedemdziesiąt pięć. Zdrowe oko popatrzyło na niego cynicznie. - Już w to wierzę. - Wcisnęła telefon do kieszonki z przodu dżinsów i odwróciła się po wytartą, płócienną torbę.

Wyciągnął portfel z kieszeni spodni i podał nieznajomej wizytówkę.

Nie wzięła.

Niezrażony kontynuował rozmowę.

- Znam Waszyngton od podszewki - podkreślił. - Utrzymuję kontakty z wieloma osobami, które tam mieszkają.

- Tego człowieka raczej pan nie zna. Nie może mi pan pomóc.

- Jest aż tak wysoko postawiony?

Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Ale też nie odwróciła się i nie uciekła.

- W jakim wieku jest pani syn? - zapytał.

Uniosła brodę.

- Ma cztery lata.

- Samochód go potracił?

- Tak. Dwa dni temu. Ma pokiereszowany kręgosłup. I nogę.

- Ojciec dziecka jest senatorem?

Nie odrywając od niego wzroku, zarzuciła torbę na ramię.

- I nie odbiera pani telefonów? - naciskał Hugh. - Mogę się z nim skontaktować.

- No. Już. Skoro nie chce rozmawiać ze mną, to niby czemu miałyby gadać z jakimś adwokatem? - Ostatnie słowo zaakcentowała tak, jakby adwokaci byli bandą szumowin.

- Zrobi to, bo będzie się bał nagłośnienia sprawy - zapewnił kobietę Hugh. — Wystarczy skorzystać ze wsparcia adwokata, a momentalnie zechce rozwiązać problem szybko i dyskretnie. Proszę mi wierzyć. Dobrze znam ten typ ludzi. Sądzą, że wszystko im wolno, kiedy prowadzą kampanię wyborczą.

- Nie prowadził kampanii. Wybrał się na polowanie.

- W tych okolicach?

- W New Hampshire. Jadł kolację w restauracji, w której jestem kelnerką. Obsługiwałam go.

Słowa kobiety wydawały się wiarygodne. Ani zmierzwił włosy, ani blada cera, ani nawet zez nie mogły ukryć faktu, że nieznamąca była bardzo atrakcyjna.

- Stamtąd pochodzi? Z New Hampshire?

- Nie. Był u kogoś z wizytą.

- Pani jest z New Hampshire? - Jeśli tak, sprawa nie podlegałaby jego kompetencji.

- Z Massachusetts - odparła. - Tuż za miedzą.

Mógł brać się do roboty.

- Czy potrafi pani dowieść, że byliście razem?

- Nie.

- Może ktoś was widział? - Nie odpowiedziała, więc spróbowała zachęcić. - Czy aby na pewno wszystko wydarzyło się zgodnie z pani opisem?

- Wynajęłam pokój w motelu - burknęła. - Recepcjonista mnie widział. Ale nie mam pojęcia, czy zwrócił uwagę na mężczyznę, z którym się zjawiłam. - Opuściła wzrok i zaczęła grzebać w torbie.

- Czy rozmawiała pani z nim po tamtej nocy?

- Zadzwoiłam do niego, żeby powiedzieć, że urodził się Jay.

— Wyciągnęła papierosa.

- Rozmawiała z nim pani osobiście?

- Nie. Powiedziałam, że chodzi o sprawę prywatną. Połączyli mnie z kimś, kto powiedział, że takie jak ja zawsze wydzwaniamy w prywatnych sprawach.

- Jak rozumiem, człowiek, z którym pani była, wyparł się ojcostwa.

- A jakże. - Wrzuciła papierosa z powrotem do torby.

- Czy jest pani całkowicie pewna, że on jest ojcem?

- On i Jay są podobni jak dwie krople wody.

- Wygląd bywa zwodniczy - zauważył Hugh. - Zapłacił pani?

- Nie muszę się panu spowiadać - warknęła i ruszyła przed siebie.

- Proszę zaczekać. Przykro mi, ale to rutynowe pytania. Jeśli ja ich pani nie zadam, z pewnością zrobi to ktoś inny.

- Nikt ich nie zada, jeżeli nie będę się nigdzie pchała - mruknięła cicho.

- Coś trzeba zrobić. Musi pani mieć na względzie dobro syna. Potrzebna mu opieka, a pani nie jest ubezpieczona. Co z kierowcą samochodu?

- Nie żyje.

- Wypadek był aż tak poważny?

- Nie. Miał zawał - wyjaśniła spokojnie. - Dlatego doszło do wypadku. To był dziadek koło osiemdziesiątki. Nawet nie miał prawa jazdy.

- Zatem nie był też ubezpieczony.

- W tym problem.

- Matka nie może pani wesprzeć. A ojciec? Partner?

Powoli pokręciła przecząco głową.

- Wobec tego pozostaje tylko ten człowiek w Waszyngtonie - podsumował. - Jest to paninien. Hugh widział możliwość skutecznego poprowadzenia sprawy i był zadowolony, że może skupić uwagę na obowiązkach zawodowych. — Pani syn potrzebuje pomocy. Jestem gotów reprezentować panią bezpłatnie. Większość matek bez wahania skorzystałaby z okazji. - Ponownie wyciągnął dłoń z wizytówką. - To dla pani. Proszę dzwonić, kiedy się pani zdecyduje. Jeśli nie, to nie.

Popatrzyła na wizytówkę i w końcu ją przyjęła. Jej ręka nadal drżała. Hugh zastanawiał się, kiedy kobieta ostatnio coś jadła. Chętnie dałby jej pieniądze, podejrzewał jednak, że by ich nie przyjęła.

Popatrzyła na wizytówkę.

- Skąd mogę wiedzieć, że to on pana nie nasłał? Może chce pan mnie skłonić do podpisania kiepskiej ugody?

- Nawet nie wiem, kim jest ten człowiek.

- Skąd mogę wiedzieć, że pan nie kłamie?

- Niech pani mnie sprawdzi. Na wizytówce widnieje moje nazwisko. Proszę zadzwonić do innego prawnika w mieście albo zaj-

rzyć do Internetu. Przekona się pani, jakiego typu sprawy prowadzę. Chciałbym występować jako pani przedstawiciel.

- Dlaczego?

- Bo ten problem uderza w moją czułą strunę. Bo nie uważam, że mężczyznom wolno robić dzieci i migać się od odpowiedzialności za nie. Powiedziałem to pani na początku rozmowy.

Zmrużyła oczy.

- Ma pan z tym jakiś osobisty problem? Może pana ojciec potraktował tak pana matkę?

- Nie. Ale znałem mężczyzn, którzy tak się zachowali. Wiem, jak to działa. Tacy ludzie zawsze próbują unikać wszelkiej odpowiedzialności, a poddają się dopiero wtedy, gdy zostaną przyparci do muru. Wtedy błyskawicznie miękną. Proszę mi wierzyć, ma pani prawo wałczyć w sądzie.

Chciał wziąć tę sprawę. Lubił pomagać bezbronnym ludziom. Prawa zapewniające im ochronę liczyły sobie setki lat, podobnie jak historia rodziny Hugh.

Nieznajoma nadal się wahała, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Miewał klientów, którzy przy pierwszej prowokacji byli skłonni wypaplać swoje tajemnice obcym osobom, a nawet dziennikarzom. Tacy ludzie przysparzali mu kłopotów.

Ostrożni klienci nie sprawiali problemów. Ta kobieta zdecydowanie zachowywała się ostrożnie.

- Skąd mogę wiedzieć, że nie zamierza pan postawić mi ukrytych zarzutów i zmusić mnie do płacenia? A jeśli chce pan ściągnąć ode mnie pieniądze, zamiast cokolwiek mi dawać?

- Podpiszemy umowę, w której zaznaczę, że rezygnuję z prawa do wynagrodzenia.

- Tak, akurat. I mam wierzyć, że będzie pan naprawdę o mnie walczył, choć nie zobaczy pan ani grosza?

Musiał przyznać, że nie była głupia.

- Tak, powinna pani w to wierzyć - potwierdził. - Ten rodzaj pracy nosi nazwę „pro bono”. Każdy prawnik, który ma choć odrobinę ludzkich uczuć, przyjmuje takie sprawy. W moim wypadku chodzi także o reputację.

- Skąd mam wiedzieć, że nie chce pan tylko zyskać popularności?

- Gdybym potrzebował taniego poklasku, poszedłbym do kogoś innego. Tego typu sprawy załatwia się dyskretnie. Czasami wystarczy dać zainteresowanemu do zrozumienia, że stanie przed sądem. Póki co, ten człowiek żyje w przekonaniu, że pani nic nie zrobi. Z tego wynika jego arogancja. Wystarczy jeden telefon od prawnika, a zacznie postrzegać panią w zupełnie innym świetle.

Jej opór wyraźnie zmalął.

- Chcę tylko zadbać o syna...

- Co dokładnie mówią lekarze?

- Ma złamany kręgosłup. Odłamek kości utkwił w kanale kręgowym, więc przeprowadzono natychmiastową operację, ale lekarze martwią się płytkami wzrostowymi. Z wiekiem Jay może cierpieć na coraz silniejszą skoliozę. Jeśli do tego dojdzie, będzie wymagał kolejnych operacji. Miejscowi lekarze się ich nie podejmą - podobno do tego potrzeba specjalisty, i to najlepszego, z St. Louis. Będę musiała znaleźć dach nad głową, a do tego stracę pracę. Jak to wszystko opłacić, nawet gdybym miała za co leczyć syna?

Dotknął jej ramienia.

- Jestem w stanie zapewnić pani pieniądze na kurację.

Strzasnęła jego dłoń.

- A jeśli jednak nie? A jeśli ten człowiek odmówi? Z czym zostanie?

- Z tym samym, co ma pani w tej chwili. Proszę się zastanowić. Co ma pani do stracenia?

- Chce pan sobie coś udowodnić?

- Chodzi o osobistą sprawę - przyznał. Rzeczywiście, pragnął podjąć się zadania, które powinien bez trudu doprowadzić do szczęśliwego końca. Potrzebował tego teraz, gdy czuł się bezsilny po narodzinach córki. Przyjęcie łatwej sprawy poprawiłoby mu samopoczucie po wątpliwościach dotyczących Lizzie. - Ale powinniśmy sobie coś wyjaśnić — dodał i cofnął się o krok. - Nie zamierzam pani do niczego przymuszać. Ma pani moją wizytówkę, zna moje nazwisko. Ja nie znam pani godności i podejrzewam, że nie

jest pani gotowa się przedstawić. Jeśli jednak postanowi pani zaryzkować, proszę zadzwonić i powiedzieć, że przy telefonie mama z ogrodu.

Po tych słowach odwrócił się i ruszył z powrotem do szpitala.

5

Zmordowanej Danie wystarczył jeden rzut oka na Lizzie, by kompletnie zapomnieć o zmęczeniu. Zatelefonowała do przyjaciół, aby podzielić się z nimi dobrą nowiną: Elizabeth Ames Clarke, waga trzy kilogramy dwieście gramów, długość czterdzieści osiem centymetrów, przyszła na świat o siódmej dwadzieścia trzy rano. Między jedną a drugą rozmową Dana robiła na drutach, karmiła dziecko, zjadła tosta, wypła herbatę, stała nad łóżeczkiem tak długo, aż nogi zaczęły jej drżeć, potem zaś powoli wróciła do łóżka.

„Sypiaj wtedy, gdy śpi dziecko” - w ostatnich tygodniach nieraz radziła jej Ellie Jo, podobne zalecenia przewijały się też w książkach, które czytała Dana. Bardziej niż snu potrzebowała jednak męża. Ta potrzeba okazała się tak przejmująca, że uniemożliwiła jej odpoczynek.

Dana położyła dłoń na niemal płaskim brzuchu. Dziwne, zaledwie kilka godzin, a tak ogromna różnica. Poczwała dziwny ucisk. Macica się obkurczała? Niewykluczone. Bardziej prawdopodobne jednak było to, że dał o sobie znać strach, a także poczucie straty związane z nieobecnością Hugh.

Dana doskonale wiedziała, czym jest strata. W dzieciństwie miała okazję dobrze się z nią zapoznać. Miała pięć lat, kiedy straciła matkę, ale dopiero po następnych trzech przeszły jej przez gardło słowa „nie żyje”. Musiało minąć jeszcze kilka lat, nim zrozumiała, co to dokładnie znaczyło.

„Strata” to łagodniejsze określenie. Babcia wielokrotnie go używała po tym, jak morze zabrało Elizabeth. Dana nigdy nie wi-

działa martwej mamy. Brodziły przy brzegu, potem Dana bawiła się na płyciźnie, a jej matka wypłynęła poza obszar grzywaczy. Dziewczynka nie dostrzegła, jak matkę porywa podwodny prąd. Nie zauważyła także fali, która w nią uderzyła i pozbawiła ją przytomności. Ocknęła się w szpitalu, dziesięć dni później. Było już po pogrzebie. Nawet nie widziała trumny matki.

„Strata”. To słowo sugerowało, że matkę można było jeszcze odnaleźć. Dlatego właśnie Dana godzinami przesiadywała we Włóczkach, ze wzrokiem wbitym w drzwi. Czekwała przepełniona strachem, że jej świat legnie w gruzach, jeśli mama nie wróci do domu.

Strach powoli ustępował. Sklep stał się jej przystanią, a Ellie Jo kotwicą. Wciąż jednak jakaś jej część czuła pustkę. Potem poznała Hugh i pusta przestrzeń się skurczyła.

Otworzyła oczy, słysząc skrzypnięcie drzwi. Patrzyła uważnie, jak Hugh podchodzi do łóżka. Chciała się zorientować, w jakim był nastroju. Hugh skupił uwagę na Lizzie, pogrążonej we śnie na ręce matki. Jego oblicze wyraźnie złagodniało.

Kochał swoje dziecko. Dana nie miała żadnych wątpliwości. Musiał je kochać. Takim był człowiekiem.

- Widziałas się z Davidem? — spytał po chwili.
- Pewnie - odparła swobodnie. - Był uroczy.
- Co mówił?

Nie powtórzyła, jak entuzjastycznie David wychwalał dziecko. Nie to chciał usłyszeć Hugh.

- Uznał, że jedno z nas ma afrykańskie korzenie. Jego zdaniem to wyjaśnia, dlaczego zawsze byliśmy mu bliscy.

Hugh prychnął. Dana popatrzyła na niego pytająco.

- Cieszę się, że jesteśmy mu bliscy - wyjaśnił. - Powie nam, czego możemy się spodziewać, skoro Ali jest dwurasowa.

- Przyjeżdża w tym tygodniu. Pozostanie tu do rozpoczęcia szkoły.

Hugh skinął głową.

- Ali jest pierwszorzędna - zauważył po chwili. - Uwielbiam z nią rozmawiać. - Ponownie umilkł. — Mogę ją potrzymać? - spytał ze wzrokiem utkwionym w noworodku.

Pokrzepiona Dana ostrożnie przekazała zawiniątko w ręce Hugh. Lizzie się nie obudziła.

Patrzył uważnie na małą.

- Sprawia wrażenie spokojnego dziecka. Ciekawe, czy tak jej zostanie?

- O to samo spytałam pielęgniarkę. Usłyszałam, że na dwoje babka wróżyła. Jadłeś coś?

Skinął głową i rzucił okiem na tacę na nocnej szafce.

- A ty?

- Trochę. Dzwoniłeś jeszcze do kogoś?

- Przeważnie się nagrywałem. Rozmawiałem z Robertem.

Tata się zamartwia.

- Go za szczęście, że to nie dziecko taty - zauważyła Dana żartobliwie, naśladując wcześniejsze komentarze Hugh. Nie zareagował, więc dodała: - Rozmawiałeś z nim osobiście?

- Nie.

- Może powinienes. Wyłożyłbyś kawę na ławę.

—Jeszcze nie jestem gotowy. Moi rodzice są... jacy są.

- Są elitarystami - zauważyła.

- Nie bądź niesprawiedliwa.

- Ale czy mam rację?

- Nie - zaprzeczył. O sekundę za późno.

- Zatem problemem jest tylko zaskoczenie - podsumowała Dana. - Przyzwyczajają się, Hugh. Nie zdarzyła się żadna tragedia.

Poprawił dziecko na rękę, odwrócił się i przysiadł na skraju łóżka.

- Żadna tragedia — powtórzyła z naciskiem. - Tragedia jest wtedy, gdy dziecko rodzi się z wadą serca albo z chorobą zwyrodnieniową. Nasza mała jest zdrowa. Bez zarzutu reaguje na bodźce. Jest piękna.

- Ale nie jest taka jak my! — wyrzucił z siebie wyraźnie poruszony.

- Nie taka jak my? A może po prostu nie znamy siebie?

- Co za różnica?

- Istotna. Dzieci często się rodzą z cechami osób z poprzednich

pokoleń. Wystarczy trochę pogrzebać w przeszłości, aby poznać źródło. - Hugh milczał, więc dodała: - Spójrz na tę sprawę z innej perspektywy. Kolorowe dziecko umocni twój wizerunek adwokata buntownika. — Prychnął ponownie, więc postanowiła się z nim podrażnić. - Przecież chciałeś się wyróżniać, prawda? - Milczał. - Daj spokój, Hugh - poprosiła. — Może się uśmiechniesz?

Uśmiech pojawił się na twarzy Hugh dopiero wtedy, gdy jego wzrok ponownie padł na dziecko.

- To wyjątkowe maleństwo - westchnął.

- Zrobiłeś jakieś niezłe zdjęcia?

Spojrzał na aparat fotograficzny, który leżał w fałdach jej torby przy ścianie.

- Dobrze wiesz, że tak - odparł z nagłym entuzjazmem, wręcz z zachwytem. Poprawił dziecko na lewej ręce, sięgnął po aparat i od razu go uruchomił. Potem usiadł obok żony, czując, że jest mu bardzo bliska, i oboje skupili się na oglądaniu zdjęć. W tym ułamku sekundy wszystko między nimi było tak, jak być powinno.

- Rany boskie, patrz tutaj! — krzyknęła. — Kiedy zrobiłeś to zdjęcie? Kilka sekund po porodzie?

- Na tym trzymasz ją po raz pierwszy.

- Wyglądam upiornie!

Zachichotał.

- No, nie wyglądasz, jakbyś właśnie wróciła z majówki. - Wyświetlił następne zdjęcie. — Spójrz na te oczy. Jest wyjątkowa. Od pierwszych chwil taka świadoma. Zaczekaj... - Znowu przesunął fotografie. — Tutaj.

Dana wstrzymała oddech.

- Trudno uwierzyć, że wyszło ci takie ujęcie. Spogląda na mnie, jakby wszystko rozumiała. Dałoby się mnie wyciąć?

- Po co? To niesamowite zdjęcie matki i córki.

- Do zawiadomienia. Potrzebny nam tylko jej portret.

Hugh przewinął jeszcze kilka fotografii.

- To jest całkiem przyjemne. Wydrukuję je dziś wieczorem i włożę wszystkie do albumu, który dostałaś na przyjęciu przednarodzinowym.

- A co z zawiadomieniem? - Dana nie zamierzała odpuścić.
- Potrzebujemy odpowiedniego zdjęcia. W drukarni obiecali, że uwiną się w tydzień, jeśli dostarczymy wszystkie materiały.

Hugh skupił uwagę na ekranie. Przesuwał zdjęcia do przodu i do tyłu.

- Nie jestem przekonany, czy którekolwiek z nich jest idealne.

- Nawet to pierwsze? Uwielbiam je, bo mała nie jest jeszcze w nic zakutana. Ma takie delikatne dłonie.

- Jest wypaprana po porodzie.

- To dowód na spontaniczny charakter zdjęcia - przekonywała go.
- Zresztą zrób kilka dodatkowych, jeśli wolisz.

- Kiedy się przebudzi.

Dana pomyślała, że buzia Lizzie jest równie niezwykła we śnie, jak i wtedy, gdy dziewczynka nie śpi.

- Och, Hugh. Nie chcę czekać. Koperty są już zaadresowane, ze znaczkami. Tyłu osobom chcielibyśmy się pochwalić...

- Większość z nich i tak się dowie - oświadczył z nieoczekiwaną irytacją. — W gruncie rzeczy nie do końca rozumiem, po co w ogóle wysyłamy zawiadomienia.

Dana nie kryła zdumienia.

- Od tygodni nękałeś mnie, bym umówiła się z kimś z drukarni. To ty się uparłeś. Sam wybrałeś zawiadomienie fotograficzne i twierdziłeś, że zrobisz odpowiednie zdjęcie.

Nie poruszył się. Nadal siedział obok Dany, ale poczuła, jak przenikają chłód. Po chwili wstał, odłożył aparat i ostrożnie położył dziecko do łóżeczka.

- Hugh?

Gdy w końcu spojrział jej w oczy, dostrzegła w nich zakłopotanie.

- Nie jestem pewien, czy powinniśmy dołączać zdjęcie do zawiadomienia.

- Nie chcesz, żeby ludzie ją widzieli. - Opadła na poduszkę.
- Przecież i tak ją zobaczą. Nie będziemy ukrywali dziecka w domu.

- Wiem. Ale rozesłanie zdjęć tylko sprowokuje pytania. - Wes-

tchnął. — Czy musimy wystawiać się na widok publiczny? Wiadomość o dziecku i tak się rozejdzie. Ludzie ubóstwiają gadać.

- No i co z tego?

- Czy naprawdę trzeba dawać pożywkę plotkom? Co innego, gdybym mógł jednoznacznie stwierdzić, że dziadek mojej żony był czarny.

- Czemu ktokolwiek przywiązuje do tego wagę? — krzyknęła Dana. Nie dbała o to, czy jej dziadek był czarny, nawet kolor skóry ojca jej nie obchodził. Ten fakt nie miał żadnego wpływu na to, jakim była człowiekiem.

Niestety, dla Hugh ta sprawa była istotna.

- Musimy odnaleźć twojego ojca.

Dana momentalnie się zjeżyła.

- Proponowałam to, jeszcze zanim zaszłam w ciążę - przypomniała mu. - Powiedziałaś, że to bez znaczenia. Zwracałam ci uwagę, że może zaistnieć jakiś problem zdrowotny, a ty odparłeś, że to cię nie interesuje, a jeśli nawet się pojawi, to się z nim uporamy.

- Właśnie to robimy. Aby uporać się z problemem, musimy jak najszybciej zlokalizować twojego tatę. Mój człowiek się tym zajmie.

Jego człowiek nazywał się Lakey McElroy. Ten maniak komputerowy pochodził z rodziny irlandzkich policjantów i mimo wybitnej inteligencji był społecznie nieprzystosowany. Tam, gdzie jego bracia znali ulice, on penetrował ukryte alejki. Wyjątkowo sprawnie poruszał się po sieci, niejedną raz odszukał informacje, których nie potrafił znaleźć Hugh. Jeśli ktoś był w stanie zlokalizować ojca Dany, to tylko Lakey.

Dane znowu dopadły dawne rozterki - zarazem chciała poznać ojca i nie chciała. Może Hugh słusznie obstawał przy swoim. Nie chodziło już tylko o nią, w grę wchodziła także Lizzie.

- Nie bardzo mamy od czego zacząć - przypomniała mężowi.

- Dysponujemy nazwiskiem i zdjęciem. Znamy także miejsce, miesiąc i rok.

- Z grubsza - mruknęła. Myślała o tym już wcześniej, znacznie intensywniej niż Hugh. — Moja mama nigdy nie sprezyowała,

kiedy spali ze sobą, więc możemy to mniej więcej wyliczyć na podstawie mojej daty urodzenia. Jeśli jednak urodziłam się za wcześniej lub byłam przenoszona, nasze szacunki wezmą w łeb.

- Nigdy jej nie spytałaś?
- Miałam pięć lat, gdy umarła.
- Ellie Jo na pewno wie.
- Zaprzecza.
- Może przyjaciele twojej mamy? Nie zwierzyłyby się im?
- Już ich kiedyś pytałam. Mogę ponownie spróbować.
- Zrób to w miarę szybko, z łaski swojej.

Nie spodobał się jej wydźwięk ostatnich słów. Zabrzmiały jak podsumowanie rozmowy w kancelarii po tym, jak klient sprawił mu zawód. Przekonywała samą siebie, że to tylko drobna rysa rodziny Clarke'ow na jego dobrym charakterze, ale w jej oczach pojawiły się łzy.

- Teraz nie mogę - zaprotestowała. - Właśnie urodziłam dziecko.

- Nie mówię, że teraz. - Zabrzęczał jego telefon komórkowy. Hugh rzucił okiem na wyświetlacz. - Sam się tym zajmę. Może to coś da.

Genevieve Falk była genetyczką, którą Hugh poznał kilka lat wcześniej, przy okazji poszukiwań niezbędnego w sprawie sądowej specjalisty od badania DNA. Nie brakowało jej inteligencji i rzeczowości.

- Cześć, Genevieve - powitał ją Hugh. Stanął przy oknie i przycisnął telefon do ucha. - Dzięki, że oddzwoniłaś.

- Jesteśmy na wyspie Nantucket, ale mówię, że to pilne.

- Potrzebuję twojej pomocy. Powiem ci, w czym rzecz. Białej do szpiku kości parze rodzi się dziecko o ciemnej skórze i lokach typowych dla czarnej rasy. Ani rodzice, ani dziadkowie nie mają śniadej skóry ani kręconych włosów. Nasuwa się wniosek, że murzyńskie koneksje sięgają wcześniejszych pokoleń. W grę może wchodzić pradziadek albo prababcia. Czy to możliwe?

- Pradziadek albo prababcia? Jedna osoba? Tylko z jednej

strony rodziny dziecka? Bardziej prawdopodobna byłaby sytuacja, w której taki krewny pojawiłby się z obu stron.

- Nie pojawił się. Rodzina ojca dziecka jest doskonale udokumentowana.

- Czy matkę adoptowano?

- Nie, ale jej ojciec pozostaje nieznan. Dysponujemy tylko jednym jego zdjęciem. To jasny blondyn.

- Wygląd nie ma znaczenia, Hugh. Krzyżowanie się ras doprowadziło do powstania pokoleń ludzi o mieszanej krwi. Niektórzy zakładają, że zaledwie co dziesiąty czarnoskóry mieszkaniec Ameryki jest genetycznie czysty. Skoro pozostałe dziewięćdziesiąt procent nosi choćby częściowo biały materiał genetyczny i z każdym poziomem prokreacji następuje dalsze jego rozrzedzenie, należy uznać, że ich potomkowie nie tylko będą biali, ale i nieoczekiwane przyjście na świat dziecka o murzyńskich rysach jest nieprawdopodobne.

- Nie interesuje mnie to, co prawdopodobne, tylko to, co możliwe - wyjaśnił jej Hugh. - Czy to możliwe, aby cechy rasowe pozostawały w uspieniu przez kilka pokoleń, aby nieoczekiwane się ujawnić? Czy jasnoskóra blondynka może urodzić dziecko o rysach niezbyt typowych dla białego człowieka?

Genevieve nie kryła sceptycyzmu.

- Zasadniczo może, ale szanse na to są nikłe, zwłaszcza jeśli kilka poprzednich pokoleń zdominowali jasnowłosi przodkowie.

- A jeśli, powiedzmy, dziadek dziecka był w jednej czwartej czarny, ale wyglądał na białego, a matka dziecka nie miała żadnych murzyńskich cech, to czy dziecko może odziedziczyć ciemną skórę i mocno kręcone włosy? - nie ustępował Hugh.

- Coś takiego zdarza się bardzo rzadko.

- Jakie jest prawdopodobieństwo zaistnienia takiej sytuacji?

- Nie jestem w stanie tego określić, ale na tej samej zasadzie należałoby oczekiwać przyjścia na świat rudego dziecka po kilku pokoleniach nie-rudzielców.

- W porządku. Zatem w którym momencie taka sytuacja staje się nierealna?

- Nierealna? To złe słowo. Zawsze należy brać pod uwagę przypadkowe zdarzenia genetyczne. Powiedzmy, że im odleglejszą przeszłość musisz zbadać, tym mniej prawdopodobny staje się twój scenariusz. Czy mama dziecka nie zna żadnych czarnych krewnych?

- Żadnych.

- Zatem podejrzewam bzykanie na boku. — Genevieve nie owijała w bawełnę. - Ktoś tu sobie zafundował romans i z całą pewnością nie był to tatuś. Skłoń klienta do przeprowadzenia badania DNA w celu dowiedzenia ojcostwa. To byłaby najbardziej oczywista i najprostsza droga postępowania. Pozwolę sobie zmienić temat - jak się miewa twoja żona? Zdaje się, że wkrótce urodzi?

Dana wsłuchiwała się w słowa Hugh. Miała zamknięte oczy, ale otworzyła je natychmiast, gdy zakończył rozmowę. Na widok jego ponurej miny ścisnął się jej żołądek.

- Czy to nie jest możliwe?

- Nie da się tego wykluczyć, jeśli twój ojciec miał w żyłach sporą porcję murzyńskiej krwi. Im mniejsza była jej dawka, tym bardziej znikome prawdopodobieństwo.

- Zatem to możliwe - mruknęła. - Właśnie tak musiało być. Matka na pewno by wiedziała, gdyby mój ojciec był mieszany rasowo w pierwszym lub drugim pokoleniu, a zdaniem babci Ellie, o niczym takim nie miała pojęcia. Chyba że starannie ukryła ten fakt przed wszystkimi.

Hugh wyginał szyję raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Genevieve zasugerowała, cytując, bzykanie na boku - oświadczył.

- Chodzi o to, że żona miała romans? No jasne, że to zasugerowała. Przywykła do współpracy z tobą na gruncie zawodowym, a twoich klientów trudno uznać za świętych. W życiu by nie doszła do takiego wniosku, gdyby wiedziała, że mówisz o nas. Czemu jej nie powiedziałaś?

- Bo to nie jest sprawa Genevieve - wyjaśnił. - Poza tym chciałem usłyszeć obiektywną opinię.

- Gdybyś jej powiedział, że chodzi o nas, być może usłyszałbyś opinię osoby poinformowanej.

Prychnął zniecierpliwiony.

- Genetycy najzwyczajniej nie potrafią określić prawdopodobieństwa takiego zdarzenia. — Odwrócił się do okna i wymamrotał: — Trochę żałuję, że nie miałas tego romansu. Przynajmniej wszystko byśmy wiedzieli.

- Też żałuję - odgryzła się Dana. — Chciałabym wiedzieć, czemu moja mama zmarła, gdy miałam pięć lat, i dlaczego mój ojciec nigdy się mną nie zainteresował, a także z jakiego powodu Earl, mąż babci Ellie, najlepszy, najwrażliwszy człowiek na świecie, nie dożył dnia mojego ślubu. Problem w tym, że niektórzy z nas nie mogą liczyć na wyjaśnienia. Nie każdy cieszy się takimi przywilejami jak ty, Hugh.

- To wszystko jest takie dziwne. Miło byłoby znać jakieś konkrety.

- Ale ich nie znamy.

Zerknął na nią.

- No to je poznamy. Jeśli zdarzy ci się rozmawiać z kimś, kto mógłby dysponować informacjami na temat twojego ojca, kto miałby jakiegokolwiek pojęcie, skąd on pochodził, wówczas uruchomię Lakeya. Popytasz wśród ludzi? Dana, to naprawdę ważne. Nie chodzi o pustą ciekawość. Obiecasz mi, że się zajmiesz tą sprawą?

Zirytowały ją te słowa.

- Nie jestem ślepa. Doskonale wiem, jakie to dla ciebie ważne.

- Dla ciebie to powinno być równie ważne — zauważył. - Nie znaleźlibyśmy się w takiej sytuacji, gdybyś w młodości wytropiła swojego ojca.

- A gdybym go odnalazła i dowiedziała się, że płynie w nim choć odrobina murzyńskiej krwi, czy wówczas ożeniłbyś się ze mną? A może twoja miłość jest ograniczona rasowo?

- Skąd. Ani trochę. Kocham nasze dziecko.

- Miłość to tylko słowo, Hugh. Pytanie, czy rzeczywiście ją czujesz? Muszę to wiedzieć, dla dobra Lizzie i własnego.

- Nie mogę uwierzyć, że o to pytasz.

— Sama też w to nie wierzę - odparł Dana. Widziała, jak mąż zamyka się w sobie; Nagłe stał się na wskroś typowym członkiem swojej rodziny.

-Jesteś zmęczona - zauważył chłodno i ruszył do drzwi. - Podobnie jak ja.

Mogła zawołać go z powrotem, mogła przeprosić albo błagać. Jej poczucie straty było bardziej dotkliwe niż kiedykolwiek.

Zdecydowana je osłabić, sięgnęła po robótkę leżącą na skraju nocnego stolika i zanurzyła palce w wełnie - mieszance alpaki i jedwabiu w intensywnym kolorze zielononiebieskim, z turkusowym odcieniem, wystarczająco subtelnym, aby nadać dziełu wrażenie ruchu i nie zepsuć wypukłych wzorów, pęczków ani warkoczy, które zamierzała wpleść w robótkę.

Zaczęła pracę od przekładania oczek z jednego drutu na drugi, rząd po rzędzie, nić po nici, zachowując spokój, który od zawsze zapewniał jej równowagę psychiczną. Nie potrafiłaby powiedzieć, jakiego rozmiaru drutów używała, czy nadszedł już czas na pęczek, czy udało się zrobić zaplanowany splot. Po prostu wsuwała drut w oczko, przekładała wełnę i przeciągała ją przez środek, raz za razem, raz za razem.

Potrzebowała snu, ale jeszcze bardziej zajęcia. Robienie na drutach zapewniało jej równowagę. Wolałaby być w domu, jednak nie w tym z widokiem na ocean. Pragnęła zabrać dziecko do domu z widokiem na sad, na końcu wysadzonej drzewami kamiennej ścieżki prowadzącej z Włóczkami. Kołysałaby Lizzie, siedząc z uniesionymi nogami na wiklinowym fotelu na werandzie Ellie Jo. Popijałaby świeżo wyciśnięty sok, jadłaby jeszcze ciepłe ciastka czekoladowe, poklepywałaby Veronice, kotkę Ellie Jo. Potem przeszłaby się z dzieckiem po kamiennej ścieżce do sklepu... Och, ta potrzeba była niesłychanie silna. Dana ogromnie pragnęła usiąść przy długim, drewnianym stole z misą jabłek pośrodku. Marzyła o tym, aby usłyszeć warkot wentylatora pod sufitem, rytmiczny stukot drutów, przyciszoną rozmowę przyjaciółek.

Jeżeli miała jakąś historię - miejsce, w którym kochano ją bezwarunkowo - to tylko tam.

6

Dostawa włóczki do Włóczkami zawsze była wydarzeniem. Nowe kolory z Manos, faktury z Filatura Di Crosa, mieszanki z Debbie Bliss... Po otwarciu pudeł nowiny ze zdumiewającą prędkością rozchodziły się wśród członkiń miłośniczek robótek ręcznych, ściągając te umiarkowanie zaciekawione, wyraźnie zainteresowane oraz uzależnione. W dniach po dostawach, zwłaszcza z okazji nadejścia nowego sezonu, Ellie Jo wiedziała, że należy się spodziewać większej liczby gości. Wiedziała także, co się komu spodoba, kto co kupi i kto będzie podziwiał nową dostawę, ale kupi tylko stare, ulubione towary.

Babcia Dany wyczekiwała nowej dostawy równie niecierpliwie jak jej klientki. Rzadko kiedy wystawiała motki na sprzedaż, nie zachowując jednego dla siebie. Miała przy tym całkowicie uzasadnione wytłumaczenie - należało przygotować próbkę robótki, aby klientki widziały, jak prezentuje się włóczka w gotowym wyrobie. Rzecz jasna, dzięki temu starsza pani zyskiwała możliwość wypróbowania towaru. Jeśli włóczka przypadła jej do gustu w dotyku i odpowiednio prezentowała się w gotowym wyrobie, wówczas starsza pani zamawiała motki dla siebie.

Dzisiaj, po powrocie z wizyty u Dany i noworodka, postanowiła najpierw wpaść do domu, okazało się jednak, że przed wejściem do Włóczkami zaparkowała furgonetka UPS. Ktoś musiał wpuścić kuriera do środka, a sklep otwierał podwoje dopiero za dziesięć minut.

Zaparkowała obok ciężarówki na małym, kamienistym parkingu, otworzyła drzwi i pokazała mężczyźnie, gdzie postawić pudła.

Ledwie kurier odjechał, zjawiła się kierowniczką sklepu, Olivia McGinn, ciekawa wszystkich nowin o Danie. W ten sposób Ellie Jo ponownie musiała odłożyć domowe obowiązki. Potem przyszły klientki i sklep zaczął tętnić życiem.

Wszystkie kobiety z entuzjazmem mówiły o dziecku, o Danie i o pudłach. Ellie Jo nie miała pewności, czy zdoła się skupić na tyle, aby sprzedawać towar. Na szczęście Olivia mogła się tym zająć. Zresztą już obsługiwała jakąś panią oraz jej dwudziestoparoletnią córkę, które właśnie uczyły się robić na drutach i potrzebowały nowych gatunków włóczki na jesienne szaliki.

Takie klientki gwarantowały dobrą sprzedaż. Nowe gatunki wełny były drogie i szybko się dziergało, a to znaczyło, że zadowolona klientka wkrótce wróci po więcej. Po szaliku mogła przyjść kolej na czapkę, potem na narzutę i wreszcie na sweter. Jeżeli miał być wykonany z kaszmiru kosztującego ponad czterdzieści dolarów za motek, a potrzeba było co najmniej ośmiu motków, w zależności od rozmiarów i stylu, wówczas sprzedaż mogła się okazać niezwykle dochodowa. Co więcej, za rok ta sama matka lub jej córka zapewne dołączą do pań, które szturmują sklep w dniu przybycia nowego towaru.

Tak funkcjonował sklep. Ellie Jo metodą prób i błędów nauczyła się go prowadzić. Z początku niechętnie sprzedawała te same, drogie gatunki włóczki. Najwyżej ceniła włókna naturalne, ale skoro nowoczesne włóczki przyciągały klientki pragnące być na topie, czemu miała się skarżyć? W ten sposób zyskiwała fundusze na zaspokajanie swoich bardziej „naturalnych” preferencji. W ostatnich latach nabrała ogromnego szacunku dla innowacji.

Właśnie dlatego postanowiła jeszcze trochę opóźnić powrót do domu. Sięgnęła po nóż i otworzyła pierwsze z nowych pudeł. Wewnątrz znajdowała się tradycyjna włóczka, mieszanka kaszmiru i wełny. Nadesłane motki były złote, pomarańczowe, ciemnordzawe i ciemnobrązowe, fantastyczne na jesień. Ta linia kolorystyczna pojawiła się we Włóczkami po raz pierwszy, lecz Ellie Jo dostrzegła ją wcześniej na kwietniowych targach

włókiennictwa i od razu wiedziała, że towar będzie się dobrze sprzedawał.

Przy drzwiach wejściowych ponownie zadźwięczał dzwonek i Gillian Kline z entuzjazmem wykrzyknęła imię Ellie Jo. Gillian uczyła angielskiego w pobliskiej szkole policealnej. Jej godziny pracy były na tyle elastyczne, że mogła często odwiedzać sklep. Gillian miała pięćdziesiąt sześć lat, była niewysoka, a skłonność do tycia zmuszała ją do bezustannego przestrzegania diety. Najbardziej rzucały się w oczy jej rude, falujące włosy, które z wiekiem nie tylko nie traciły wyrazistej barwy, ale i nie rzedły. Teraz Gillian ujarzmiła je spinką w kolorze fukcji, którą mogła nosić tylko ona. Z bukietem różowych róż w dłoni podeszła prosto do Ellie Jo i mocno ją przytuliła. Należała do grona najbliższych przyjaciółek Elizabeth, a po jej śmierci pełniła rolę zastępczej córki Ellie Jo. Żadna z kobiet nie wypowiedziała na głos myśli, że Elizabeth powinna być wśród nich, aby powitać wnuczkę.

- To dla ciebie, prababciu Ellie - oznajmiła Gillian. - Twoja Lizzie jest prawdziwą doskonałością.

Ellie Jo się rozpromieniła.

- Widziałas ją? - Przyjęła kwiaty, które jedna z pań odebrała jej po paru sekundach i wstawiła do wody.

- Przed chwilą. — Gillian przetrząsnęła przewieszoną przez ramię torebkę. - Ma zaledwie kilka godzin, a nigdy w życiu z nikim bym jej nie pomyliła. - Błyskawicznie wyświetliła zdjęcie Dany i dziecka na ekranie cyfrowego aparatu, aby inne panie mogły je podziwiać.

Ellie Jo odetchnęła z ulgą. Dana wydawała się zmęczona, ale szczęśliwa, i całkiem pewnie trzymała noworodka. Trudno było się zorientować, że Lizzie wygląda nieco inaczej, niż oczekiwali. Dana była tak blada, że w porównaniu z nią każde dziecko wydałoby się ciemnoskóre. Rzecz jasna, Ellie Jo ani przez moment nie przejmowała się kolorem skóry dziewczynki, tylko zwyczajnie nie była w nastroju do wyjaśnień.

- Jaka ona słodka! - wykrzyknęła jedna z pań.

- Ma usteczka po Hugh - zdecydowała druga.

- Zrób zbliżenie - zażądała trzecia.

Juliette Irving, przyjaciółka Dany i zarazem młoda matka, której roczne bliźniaki spały w wózku przy drzwiach, zauważyła:

- Patrzcie! Czy ma nos po Danie? Kiedy wracają do domu?

-Jutro - odparła Gillian.

- Elizabeth Ames Clarke - obwieściła Nancy Russell, najwyraźniej poruszona brzmieniem nazwiska. Najnowszą pasją Nancy, florystki, było robienie na drutach kwiatów, filcowanie ich i przyszywanie na szalach, swetrach i torebkach. Nancy zaliczała się do grona rówieśniczek Gillian i również była przyjaciółką z dzieciństwa Elizabeth.

- Długie nazwisko — mruknęła Gillian. — Damy radę przez noc?

Chodziło jej o ręcznie zrobioną na drutach kołderkę z imieniem i nazwiskiem dziecka, a także datą urodzenia, wpisaną w odpowiednie pola w kształcie kwadratu. Kobiety przygotowały już kwadraty żółte, białe i jasnozielone. Jako że płeć dziecka była znana, pozostałe pola postanowiły częściowo wypełnić różem. Każde z nich miało rozmiar około pięćdziesięciu centymetrów kwadratowych, a od inwencji twórczyni zależał rodzaj włóczki i jej odcień. Osoby najbliższe Danie i Ellie Jo przygotowywały pola z literami.

- Kwadraty będą potrzebne do jutrzejszego południa, abyśmy zdążyły je pozszywać - wyjaśniła Nancy. — Juliette, możesz zadzwonić do Jamie i Tary? Ja zadzwonię do Trudy. Gillian, zawiadomisz Joan, Saundrę i Lydię?

Jedna z kobiet, Corinne James, zabrała aparat Gillian i z bliska wpatrywała się w zdjęcie. Corinne była rówieśnicą Dany, wysoką i szczupłą, z modną fryzurą do ramion. Miała na sobie doskonałej jakości lniane spodnie, równie wysokiej klasy top na ramiączkach i wysadzaną brylantami obrączkę. Chociaż jej zażyłość z bywalczykami sklepu nie wykraczała poza jego teren, często i chętnie tu przychodziła.

- Dziecko o wyjątkowo interesującym wyglądzie - zauważyła.

- Ma ciemną skórę.

- Nie ciemną - sprzeciwiła się jedna z kobiet. -Jasnobrązową.

- Ellie Jo, kto w rodzinie ma taki odcień skóry? - spytała Corinne.

Ellie Jo nagle poczuła, że robi się jej gorąco.

- Właśnie usiłujemy rozwikłać tę zagadkę - odpowiedziała za nią Gillian i wymieniła spojrzenie z Nancy. - Co wiemy o Jacku Jonesie?

- Niewiele - odparła Nancy.

- Jack Jones? - powtórzyła Corinne.

- Ojciec Dany.

- Mieszka nieopodal?

- Gdzie tam. Nigdy nie pojawił się w tej okolicy. Elizabeth poznała go w Wisconsin. Tam studiowała w college'u.

- Byli małżeństwem?

- Nie.

- Pochodził z Ameryki Południowej?

- Nie.

- Naprawdę nazywał się Jack Jones?

Ellie Jo zaczęła się wachlować fakturą z pudła z włóczką.

- A czemu nie? - spytała klientkę, choć pytanie jej nie zdziwiło. Corinne James była ciekawska i, co dziwne w wypadku osoby w jej wieku, miała coś do powiedzenia na niemal każdy temat.

Młodsza kobieta uśmiechnęła się pogodnie.

- Jones to dobry pseudonim.

- Tak jak James? - spytała Gillian znacząco. - Nie, Corinne. Jack Jones to jest jego prawdziwe nazwisko. Albo było. Nie mamy najmniejszego pojęcia, czy ten człowiek jeszcze żyje.

- Dana też tego nie wie?

- Nie. Nie utrzymują ze sobą kontaktu.

- No to skąd ta ciemna skóra? - drażzyła Corinne, jakby łamała sobie głowę nad istotnym problemem intelektualnym. - Ze strony Hugh?

Gillian zachichotała.

- Śmiem wątpić - prychnęła, - Rodzina Hugh to wzorzec tradycyjnej białej Ameryki.

- No to zostaje tylko twój mąż, Ellie Jo.

Ellie pośpiesznie pokręciła głową.

- Earl Joseph był rumiany, ale biały - wyjaśniła Gillian. -- Poza tym był najmiłszym facetem na świecie. Po okolicy krążyły o nim legendy. Wszyscy go znali.

- Był łagodny i wrażliwy - dorzuciła Nancy. — I uwielbiał Ellie Jo, a także Dane. Nie posiadałby się z radości na wieść o wnuczce.

- Kiedy odszedł? — zapytała Corinne.

- Ile to czasu minęło? - Gillian spojrzała na Ellie Jo.

- Ćwierć wieku - westchnęła Ellie Jo, głaszcząc palcami nowy motek. Włóczka kojarzyła się z ciepłem i domowym zaciszem. Kolorystycznie doskonale się nadawała na szare dni, a jej miękkość łagodziła trudy życia. Należało ją mieć przy sobie, była prawdziwą poduszką bezpieczeństwa.

— Jak umarł? - spytała Corinne z troską.

Ellie Jo dostrzegła spojrzenie Gillian, lecz szczegóły wypadku były ogólnie znane.

- Pojechał w podróż służbową, upadł w hotelowym pokoju i uderzył się w głowę. Doznał poważnego wstrząsu mózgu. Zmarł przed przybyciem lekarza.

- O, strasznie mi przykro. Musiałaś to mocno przeżyć. Mój tata miał podobny niecodzienny wypadek.

- Twój tata? - zainteresowała się Ellie Jo.

- Tak. Kierował przedsiębiorstwem inwestycyjnym, które założył z grupą kolegów ze szkoły handlowej. Leciał służbowym odrzutowcem z dwoma współnikami. W pewnej chwili samolot runął na ziemię. Ja i mój brat mieliśmy wtedy po dwadzieścia parę lat. Nadal uważamy, że doszło do sabotażu.

- Sabotażu? - zdumiała się Juliette.

- Też powątpiewaliśmy - wyznała Corinne. — Ale robiło się coraz dziwniej. Firma nie chciała przeprowadzić dochodzenia. Powiedziano nam, że zaszkodziłoby ono interesom spółki, a Federalny Urząd Lotnictwa oświadczył, że przyczyną wypadku było złe utrzymanie samolotu. Na tym sprawa została zamknięta. Całą odpowiedzialnością obarczono mojego ojca. A potem...

Ellie Jo doszła do wniosku, że dość już usłyszała. Podniosła rękę.

- Niech Corinne dokończy opowieść, ja muszę pędzić do domu. Olivia, zaraz wracam! - zawołała, zmierzając ku wyjściu. Nagle dzwonek u drzwi ponownie zadźwięczał.

Do sklepu weszła Jaclyn Chace, zatrudniona tu na pół etatu. Jej oczy błyszczały.

- Gratulacje, Ellie Jo! — oświadczyła już w progu. — Widziałas już prawnuczkę?

- Widziałam — potwierdziła w biegu Ellie Jo. — Na stole jest jeszcze jedno nowe pudło. Będiesz grzeczną dziewczynką i otworzysz je za mnie?

Zamknęła za sobą drzwi i kamienistą ścieżką podażyła do domu. Budynek liczył sobie ponad sto lat, miał gołębioszare okiennice i okazałą werandę. Ellie Jo wspięła się po dwóch drewnianych stopniach z tyłu i weszła do kuchni. Pręgowana kotka Veronica wyciągnęła się na parapecie i grzała na słońcu. Jej pani ruszyła przez korytarz na górę, do sypialni. Przy każdym kroku czuła nasilający się upał.

Także i tutaj okna były otwarte, jednak firanki niemal się nie poruszały. Ellie Jo nie zważała na skwar. Z półki sekretarzyka z żaluzjowym zamknięciem zdjęła album, otworzyła go i wbiła wzrok w spłowiałe, czarno-białe fotografie. Na jednej z nich widniał Earl, tuż po tym, jak się poznali. Pracował jako przedstawiciel handlowy firmy Fuller Brush i pojawił się u drzwi Ellie Jo, aby namówić ją na kupno szczotek. Jego starania zostały uwieńczone sukcesem, nabyła kilka sztuk. Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtych szczęśliwych dni. Uśmiech przygasł, gdy skupiła uwagę na luźnych kartkach papieru, upchniętych za zdjęciami. Wyciągnęła kilka z nich.

Zamknęła album i odłożyła go na półkę. Przyciskając do piersi kartki, które z niego wydobyła, poszła korytarzem do dawnego pokoju Elizabeth. Nadal znajdowało się w nim jej łóżko, komoda i nocny stolik. Garderoba znalazła nowe zastosowanie. Ubrania zostały wyniesione już dawno temu, teraz leżało tam mnóstwo włóczki.

Ellie Jo odsunęła stojące na środku pudła i pociągnęła za sznur, aby rozłożyć drabinę na strych. Mocno chwytając się szczebli, wdrapała się na górę. Powietrze było całkiem nieruchome, panował tu nieznośny upał. Na strychu zostało niewiele przedmiotów godnych uwagi: może jedynie karton z pooblupywanymi naczyniami z porcelany, których używała po ślubie, krótki ślubny welon w pudle na kapelusz i jeszcze ulubiony stary leżak Earla. Z rzeczy Elizabeth było tu tylko jedno pudło z książkami z ostatniego semestru studiów.

Gdyby Danie przyszło do głowy wybrać się tutaj na poszukiwania, z pewnością szybko dałaby za wygraną. Biorąc pod uwagę skwar latem, chłód zimą i brak czegokolwiek interesującego, raczej nie wpadłaby na to, żeby pochylić się pod okapem i sięgnąć do jego krawędzi tak, jak to teraz uczyniła Ellie Jo, a następnie zdjąć fragment różowej izolacji. Zainstalowano ją zaledwie kilka lat temu, w ramach bezowocnej walki z upałem i zimnem. Starsza pani wsunęła papiery między dwie belki stropowe, ponownie zainstalowała izolację termiczną i powoli zeszała po drabinie. Potem złożyła i zamknęła właz.

Wcześniej wielokrotnie czytała te papiery i nadal zdarzało się jej to robić, ale nikt inny nie mógł ich ujrzeć. Miały tkwić pod okapem do czasu, gdy dom spłonie w pożarze, legnie w gruzach pod uderzeniami burzącej kuli albo rozpadnie się ze starości. Wtedy już nie pozostanie przy życiu nikt, kto znał Earla, nikt, kto pomyślałby o nim z niechęcią za to, co uczynił. W oczach mieszkańców miasta jej mąż na zawsze już będzie się cieszył opinią dobrego człowieka, i tak być powinno.

Clarke'owie mieszkali na nadmorskim osiedlu, czterdzieści minut na południe od Bostonu. Ich elegancki, kolonialny dom stał wśród innych, równie eleganckich budynków z cegły przy wysadzanej drzewami ulicy, chlubie miasta. W okolicy rzadko widywano turystów, gdyż konsekwentnie wybierali przejażdżki wzdłuż linii brzegowej. Taka sytuacja odpowiadała mieszkańcom Old Burgess Way. Cenili sobie prywatność. Byli zadowoleni, że dozorczy bez trudu zauważają auta obcych.

Old Burgess rozpościerało się na łagodnym łuku wzniesienia, nawet wyżej od nadmorskich domów wybudowanych na klifie. Gdyby nie gęsto rosnące klony, dęby i sosny, a także bujne kępy ozdobnych krzewów, mieszkańcy okolicy mieliby widok na ocean, co samo w sobie nie byłoby złe. Niestety, oznaczałoby to jednocześnie konieczność oglądania przesadnie okazałych posiadłości, zbudowanych przez nowobogackich kosztem bardziej atrakcyjnych domów letniskowych, obecnie wyburzonych niemal co do jednego. Rezydenci Old Burgess szczerze gardzili nuworyszami i dlatego dbali o swoje ogrodzenie z liści.

Byli dystygowanymi ludźmi. Większość z nich mieszkała w tych domach na tyle długo, by odchowić pokolenie dzieci, lub też sami należeli do drugiego pokolenia i wychowywali trzecie. Gdy organizowali przyjęcia, głośna muzyka cichła o jedenastej.

Eaton i Dorothy mieszkali przy Old Burgess Way od trzydziestu pięciu lat. Ich ceglany dom wyróżniały białe kolumny i okiennice, czarne drzwi i elementy wykończeniowe z kutego żelaza. W środku znajdowało się pięć sypialni, sześć łazienek i basen z morską wodą. Choć w ostatnich latach zdarzało się, że dom świecił pustkami, właścicielom nawet przez myśl nie przeszło, by go sprzedać.

Eaton lubił przebywać wśród ludzi, którzy podzielali jego system wartości. Nie był ani najbogatszym, ani najbardziej prominentnym człowiekiem w okolicy, ale też nie musiał nim być. Jako historyk i poczytny pisarz najbardziej lubił wtapiać się w otoczenie. W związku z tym rozdawanie autografów było dla niego uciążliwe, gdyż musiał przebywać w gronie kompletnie obcych sobie osób. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa zajęć, które prowadził na uniwersytecie. Miał tam do czynienia z poważnymi, uzdolnionymi studentami, w większości ostatniego roku, którzy pragnęli uzyskać zakulisowe informacje na temat pisania o historii, gdyż ich również fascynowała. Obdarzony miłością do zdarzeń z przeszłości i nienaganną pamięcią, Eaton potrafił bez przygotowania mówić o niemal każdym okresie z dziejów Ameryki.

Sprawa zakulisowych wskazówek pisarskich również nie spędzała mu snu z powiek. Szczegóły znał z własnego życia. Rzecz

jasna, rozliczne koneksje otwierały przed nim drzwi. Jego studenci w większości nawet nie mogli o tym pomarzyć. Przodkowie Eatona odgrywali istotną rolę w historii Ameryki. W każdej jego książce pojawiała się podobizna przynajmniej jednej osoby z rodziny Clarke'ów. Był to wspólny element w jego dorobku, na który składało się osiem książek. W dziewiątej, która miała się ukazać zaledwie za pięć tygodni, Clarke'owie odgrywali wiodącą rolę. *Rodowód pewnego człowieka* opisywał dzieje rodziny, nieodłącznie powiązanej z najbardziej wpływowymi postaciami kraju, z pokolenia na pokolenie nabierającej coraz większego znaczenia i gromadzącej bogactwo. Osia książki była historia. Ostatecznie właśnie jej badaniom Eaton zawdzięczał sławę. Tym razem jednak dzieło obejmowało znacznie większy przedział czasowy niż, dajmy na to, pozycja o upadku Ligi Narodów. Silnie zaakcentowany był także czynnik osobisty — autor opisywał intymne szczegóły z życia swoich przodków.

- Drukarz właśnie dostarczył próbkę zaproszenia na przyjęcie z okazji publikacji książki - obwieściła Dorothy od drzwi biblioteki. - Eaton, moim zdaniem coś jest nie tak. Zaproszeniu brakuje dystynkcji, nie wyczuwam jej.

Położyła druk na biurku. Eaton pochylił głowę i natychmiast zorientował się, w czym problem.

- Kolor tuszu jest niewłaściwy. Użyto sinego, a powinien być zielonoszary.

Dorothy zmarszczyła czoło.

- Skoro tylko w tym rzecz, nie jest najgorzej. Tak czy owak, trzeba odesłać próbkę i muszą to poprawić. Jeśli rysunek na kopercie pasuje do sinego zaproszenia, to również koperty trzeba będzie zmodyfikować. Kiedy problem zostanie rozwiązany, a zamówienie zrealizowane, będziemy musieli natychmiast rozesłać zaproszenia. Dalsze opóźnienie nie wchodzi w grę.

Eaton nie miał ochoty rozmawiać na ten temat.

- Powinniśmy byli zlecić tę pracę mojemu wydawcy.

- Przecież ostatnim razem przygotowali coś dramatycznie ohydneho. Te zaproszenia trafią w ręce ludzi, na których opinii

nam zależy. Czy pokazałbyś się w Klubie Uniwersyteckim ubrany w garnitur z lumpeksu? Wykluczone. Chcesz się odpowiednio prezentować, a równie istotne jak ubiór jest zaproszenie na ważną dla ciebie uroczystość. Mówimy o początku twojej trasy promocyjnej, imprezie zorganizowanej na terenie twojej posiadłości. To rzecz ogromnej wagi. Dzwoniłeś do Hugh?

- Czy Hugh dzwonił do mnie? - spytał Eaton po chwili.

Pytanie miało charakter retoryczny. Telefon urywał się od momentu, w którym przekroczyli próg domu. Gdyby wśród dzwoniących znalazł się Hugh, Dorothy nie musiałaby pytać, zatem telefonowały wyłącznie osoby, do których dotarła wiadomość o narodzinach dziecka Hugh. Na myśl o tym Eaton wyraźnie się zdenerwował.

Miał dwóch synów. O ile Robert był zgodnym tradycjonalistą i nieźle mu się wiodło w interesach, o tyle Hugh był bardzo podobny do ojca. Obaj mieli atletyczną budowę ciała, obu cechowała intelektualna kreatywność. Wybrali kierunki spoza tradycyjnej dziedziny zainteresowań członków rodziny i świetnie sobie radzili.

Jeśli Eaton miał do kogoś słabość, to z pewnością do Hugh.

- Gdzie Mark? - warknął.

- Posłałeś go do domu - odparła pośpiesznie, przyjmując pozycję obronną. - Zostawiłeś mu wiadomość, zanim pojechaliliśmy do szpitala, pamiętasz? Napisałeś, że będziemy uroczyście obchodzili narodziny dziecka, więc dzisiaj ma wolne. Zresztą i tak nie wiem, jaką pracę można by mu zlecić. Eaton, to twój badacz, a książka jest gotowa.

- Mój asystent - poprawił żonę Eaton. - Owszem, cały czas jest coś do zrobienia. Trzeba dokończyć wywiady, sporządzić zarysy prelekcji. Kiedyś podczas promocji wystarczyło się podpisywać na własnych książkach, teraz należy wygłosić prelekcję. Ludzie oczekują rozrywki. Czy ten jednodniowy urlop Marka miał być płatny?

- Tego nie wiem, ale jeśli tak postanowiłeś, to tak się stało i nie ja za to odpowiadam, więc na mnie nie wrzeszcz, bardzo proszę.

Eaton umilkł. Nie mógł się złościć na Dorothy. Nie ponosiła winy za wybryki Hugh.

- Zadzwoń do niego? — spytała powtórnie, bardzo ostrożnie.

Eaton nie odpowiedział. Odchylił się na skórzanym fotelu i popatrzył na otaczające go książki. Zajmowały wszystkie półki, od podłogi do sufitu. Podobnie jak sąsiadów, książki zaliczał do grona przyjaciół. Pozycje jego autorstwa stały razem na bocznej półce, dobrze widoczne, choć w żaden sposób nie wyeksponowane. Eaton był dumny z każdej z nich, lecz nie powstałyby one, gdyby nie te, które napisano wcześniej.

Po jednym pokoleniu pojawiało się następne. Czyż nie taki był temat przewodni *Rodowodu pewnego człowieka*? Przedpremierowe recenzje opisywały książkę jako „fascynującą lekturę”, „wciągające dzieło”, „amerykańską sagę”. I chociaż Eaton wzbraniałby się przed użyciem tego ostatniego określenia, gdyż trąciło komercją, niemniej zgadzał się z ogólnym wydźwiękiem tych słów. Drzewa genealogiczne pojawiały się w rozmaitych miejscach książki, a im bliższe były współczesności, tym większą odznaczały się precyzją. Robiły wrażenie.

- Eaton?

- Nie. Nie zadzwoniłem.

- Nie sądzisz, że powinienes? To twój syn. Twoja aprobatą jest dla niego warta krocie.

- Gdyby tak było, nie poślubiłby tej kobiety - zauważył Eaton.

- Przecież widziałeś, jaki był blady i zmęczony. Tak, wiem, że przez całą noc nie zmrugał oka, ale nie podejrzewał, że zaistnieją takie okoliczności. Nic nie wskazywało na to, że jej ojciec jest czarnoskóry. Zresztą może wcale nie jest. Niewykluczone, że w grę wchodzi rodzina babki. Zadzwoń do niego, Eaton.

- Zobaczmy - odparł Eaton niezobowiązująco.

Tym razem jednak Dorothy czuła się silniejsza, bardziej zdecydowana.

- Doskonale wiem, co to oznacza - oświadczyła. - Nie za-

mierzasz zadzwonić do Hugh. Eaton, pamiętaj, że chodzi o dziecko. To żyjąca, wrażliwa istota ludzka. Poza tym ma przynajmniej część naszych genów.

- Jesteś pewna?

- Tak, jestem.

- Przesadny optymizm.

- Niewykluczone, ale ja po prostu kocham swojego syna. Nie chcę, aby ktoś go krzywdził. To się odnosi i do ciebie, i do niej.

- Dorothy, on właściwie kazał mi spadać.

- Wcale nie.

- Ależ tak. Widziałem to w jego oczach. Nie stałaś dostatecznie blisko, nie mogłaś tego dostrzec.

- Był zdenerwowany. Na miłość boską, skoro nas poruszył widok tego dziecka po tylu miesiącach oczekiwania, skoro teraz boimy się, że coś jest nie w porządku i nie wiemy, co o tym myśleć, to wyobraź sobie odczucia Hugh!

- A co z naszymi odczuciami? Rzeczywiście, czekaliśmy na to dziecko. Nasi przyjaciele najlepiej wiedzą, jak bardzo się na nie cieszyliśmy. Właśnie, powiedz mi, kto dzwonił.

Dorothy się rozpromieniła.

- Dzwonił Alfred. I Sylvia. A także Porter i Dusty. Telefowali z dwóch aparatów i oboje mówili jednocześnie, więc mało co rozumiałam.

- Ile wiedzą?

Jej radość prysła.

- Tylko tyle, że to dziewczynka. I jeszcze Bradley. Dzwonił także Bradley.

Eatonowi zahuczało w głowie.

- Skąd Brad o tym wiedział? Robert. - Odetchnął głęboko.
- Czy ten chłopak wie, co to takiego dyskrecja?

- Och, Eaton - westchnęła Dorothy z rezygnacją. - Brad i tak by się o wszystkim dowiedział, jeśli nie od Roberta, to od kogoś innego. Takich rzeczy nie da się długo utrzymywać w tajemnicy.

Eaton miał świadomość tego faktu i był nim zirytowany.

- Czego Hugh się spodziewał, biorąc za żonę tę kobietę? Powiedziałem to wtedy i powtórzę teraz: niewykluczone, że wyszła za niego dla pieniędzy.

- Och, śmiem wątpić...

- Ależ to naturalne - przerwał jej. - Nie chcesz przyznać, że Hugh popełnił błąd, a zresztą Dana zrobiła ci na drutach szal, który chciałaś mieć. Jej podarunek odbierasz jako oznakę sympatii, choć rzeczywistość nie musi wyglądać tak różowo. Ślub z kimś tak odmiennym musi budzić pytania o jego pobudki.

- Skoro to tylko kwestia majątku, to dlaczego Dana pracuje? Na litość boską, mogłaby chodzić na lunchy z przyjaciółkami albo całymi dniami przesiadywać w spa. Czy wysilałaby się tak bardzo, gdyby w grę wchodziły wyłącznie pieniądze Hugh?

Eaton prychnął.

- Ona się wysila? Daj spokój. Jej zajęcia nie sposób nazwać pracą. Jeździ od domu do domu i odwiedza ludzi, leniwych łub pozbawionych smaku, a potem gna do Ośrodka Wzornictwa, najpewniej po to, aby kupować rzeczy do własnego domu. Z całą pewnością nie pracuje tak ciężko, jak Hugh.

- Ale zarabia. Zresztą nie jest jedyną żoną, która pracuje. Pomyśl o Rebecce Boyd. Albo o Amandzie Parker.

- Pomyśl o córce Andrew Smitha i dziewczynach Hardingów — ripostował Eaton. — One nie pracują. Dana mogłaby robić rozmaite rzeczy, aby pomóc Hugh w karierze. Mogłaby zajmować się dobroczynnością i w ten sposób umożliwiać mężowi nawiązywanie ważnych znajomości.

- Przecież on reprezentuje kryminalistów.

Eaton westchnął.

- Nie, Dorothy - zaprzeczył z cierpliwością człowieka nawykłego do obcowania ze źle poinformowanymi studentami. - On reprezentuje ludzi, którzy są o to oskarżeni. Jack Hoffmeister jest prezesem banku. Jeden z jego zastępców zarzucił mu defraudację po tym, jak został wylany za niekompetencję. Oskarżenie okazało się całkowicie fałszywe i Hugh tego dowiódł. Zarobił przyzwoite pieniądze i garść rekomendacji. Kto skontaktował go z Jackiem?

Ty. Poznałaś go w szpitalu, za pośrednictwem Stowarzyszenia Przyjaciół. Zona Hugh powinna angażować się w pracę takich grup. Powtarzałem mu to dziesiątki razy, ale najwyraźniej nic do niego nie docierało.

- To, co się teraz zdarzyło, to coś zupełnie innego. Powinieneś z nim porozmawiać.

Eaton jednak nie zamierzał ustępować.

-Jeśli on chce, żebym z nim porozmawiał, musi mnie przeprosić. Mam swoją godność.

- Wiem, kochanie. To tłumaczy, skąd godność u niego.

Eaton pozostawał niewzruszony.

- Stajesz po jego stronie?

- Tu nie ma stron. Mówimy o naszym synu.

Wycelował w nią palec.

- Dorothy, będzie lepiej dla ciebie, jeśli poprzysz mnie w tej sprawie. Naprawdę będzie lepiej dla ciebie.

7

Hugh wracał do domu, aby wziąć prysznic i się przebrać. Gdy Hjechał, jego komórka bezustannie dzwoniła. Telefonowali przyjaciele z gratulacjami, obiecywali, że wkrótce wpadną z wizytą. Na przemian z telefonem odzywał się BlackBerry.

„Nie możemy się doczekać spotkania z dzieckiem!”

„Fajnie, że niedługo zobaczymy małą”.

„Kiedy będziemy mogli rzucić okiem na maleństwo?”

Wszyscy chcieli obejrzeć jego córkę. Powinien to odebrać jako hołd składany Danie i jemu, dowód na to, że przyjaciele byli zainteresowani ich życiem osobistym. Hugh powinien pękać z radości.

Nie rozumiał, dlaczego jest inaczej. Nie wiedział, czemu na myśl o dziecku czuł ucisk w żołądku. Przez cały czas dźwięczały mu w uszach słowa Dany, rozczarowanej jego reakcją. Nie wiedział, co dalej robić. Ich miłość przyszła tak szybko. Wzięli ślub po ośmiu miesiącach od pierwszego spotkania i nigdy nie oglądali się za siebie. Teraz też tego nie robił. Najwyraźniej jednak ona postanowiła inaczej.

„A może twoja miłość jest ograniczona rasowo?”

Nie była, i Hugh miał jej za złe to pytanie. Nie miał żadnych uprzedzeń. Wystarczyło, by spojrzała na jego osiągnięcia zawodowe, a uzyskałaby dowód.

„A może twoja miłość jest ograniczona rasowo?”

Pytanie zabrzmiało ponownie, tym razem donośniej. Przypominało wyzwanie. Gdyby odgrywał rolę adwokata diabła, mógłby

powiedzieć, że to z jej strony próba odwrócenia uwagi lub, co gorsza, zatuszowania skandalu.

Hugh nie chciał tak myśleć. Nie wierzył, że była niewierna. Za bardzo go kochała, by sprawić mu taki ból - a gdyby jej zdrada stała się faktem, jego ból byłby nieopisany.

Urodziło się jednak dziecko o pięknej, brązowej skórze, której pochodzenia nie sposób było ustalić. Czy nie miał prawa zadawać pytań? Czy wybór jednego z kilkunastu innych zawiadomień bez zdjęcia noworodka na pierwszej stronie nie był rozsądnym posunięciem?

Wszedł do kuchni i podniósł słuchawkę. Migoczące światło świadczyło o tym, że na sekretarce pojawiły się nowe wiadomości, ale na razie nie zamierzał ich odsłuchiwać. Postanowił zadzwonić do kancelarii.

Sekretarki nie ucieszył dźwięk jego głosu.

- Nie powinien pan pracować — upomniała go. - Powinien pan być z Daną i dzieckiem. Otrzymałam polecenie, by nie rozmawiać z panem o sprawach zawodowych.

- Więc mów tylko tak albo nie, jeśli można — zaproponował z rozbawieniem. — Czy Alex skontaktował się z Hendersonem Walkerem?

- Tak.

- Idzie do więzienia?

- Nie.

- Sytuacja jest niejasna?

- Tak.

- Uzyskaliśmy możliwość kontynuowania sprawy Paquette'a?

- Tak.

- Dzwoniła do mnie osoba przedstawiająca się jako „mama z ogrodu”?

- Nie.

- W porządku. Wystarczy. Sheila, jeśli „mama z ogrodu” za-telefonuje, poinformuj mnie o tym jak najszybciej. Nie przekazuj sprawy nikomu innemu. W grę wchodzi problemy natury osobistej.

W odrobinę lepszym humorze odwiesił słuchawkę, lecz kilka sekund później podniósł ją i wystukał inny numer.

- Hammond Security - zabrzmiał znajomy głos, niski i lekko skażony obcym akcentem.

- Witaj, Yunus. Mówi Hugh. Co u ciebie?

- W porządku, przyjacielu. Od bardzo dawna nie rozmawialiśmy.

- Moja wina. Jestem bardzo zajęty. Ale często o tobie myślę. Co słychać w pracy?

Yunus El-Sabwi, urodzony i wychowany w Iraku, przed dwudziestym piątym rokiem życia uciekł z ojczyzny, zabierając młoda żonę i dwie córki. Osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, aby zapewnić rodzinie lepszy byt. Gdy uzyskał amerykańskie obywatelstwo, zapisał się do akademii policyjnej, ukończył ją jako prymus i dzięki tendencji do zatrudniania mniejszości narodowych załapał się na etat w Bostońskiej Komendzie Policji. Po ośmiu latach służby mógł się poszczycić różnymi wyróżnieniami i nagrodami w pracy. Potem nadszedł jedenasty wrzeźnia i wszystko się zmieniło. W komendzie nagle zaczęto go spychać na margines. Koledzy stracili do niego zaufanie ze względu na jego silne więzi z krewnymi w Iraku. Ktoś rozpuścił pogłoski, że pieniądze wysyłane przez niego co miesiąc dla rodziców w gruncie rzeczy są przeznaczone dla terrorystów. Inna plotka głosiła, że przekazywał wrogom ważne, zaszyfrowane wiadomości związane z bezpieczeństwem kraju. Kiedy władze federalne odmówiły wniesienia przeciwko niemu oskarżeń (bardziej obawiały się Amerykańskiej Unii Wolności Obywatelskich niż Yunusa), lokalne władze oskarżyły go o posiadanie narkotyków.

W sądzie Yunusa reprezentował Hugh, który zgodził się z klientem, że sprawa została ukartowana. Ława przysięgłych przyznała adwokatowi rację i na tym stanęło. Nikogo nie oskarżono o podrzucenie narkotyków do szafki Yunusa, i choć przywrócono go do służby, otoczenie tak bardzo uprzykrzało mu życie, że w końcu złożył wymówienie. Obecnie pracował w prywatnej firmie ochroniarskiej, działającej w przedsiębiorstwie należącym do rodziny Hugh.

- Wszystko idzie dobrze - odparł Yunus. - Otrzymałem dobre świadectwo po roku pracy.

- A z nim podwyżkę, jak sądzę.

- Podwyżkę też. Moi przełożeni wiedzieli, że gdybym nie dostał podwyżki, musieliby odpowiedzieć przed tobą. Dziękuję ci, przyjacielu.

- Nie masz mi za co dziękować. To ty ciężko pracujesz. Co u Azhar i dziewcząt?

- *Hamdel lah*, miewają się dobrze. W tym roku Siba skończy college. Postanowiła zostać lekarzem. Pragnie się dostać na Harvard.

- To doskonały wybór, Yunus.

- Musi się dostać. Przeprowadzono z nią rozmowę kwalifikacyjną i ma dobre stopnie.

I niezłe znajomości, pomyślał Hugh. Postanowił zadzwonić do dyrektora rekrutacyjnego, przyjaciela rodziny Clarke'ow.

- Powiedz mi, jak się miewa twoja żona? - zapytał Yunus.

- Czy już urodziła?

- A jakże. Dziewczynkę.

-*Hamdallah ala alsalama!* Dobre wieści! Azhar będzie szczęśliwa, słysząc nowiny! Może wkrótce wpadniemy z wizytą?

- Zapraszam serdecznie.

Gdy Hugh odkładał słuchawkę, na jego twarzy gościł uśmiech. Został wyznaczony przez sąd do reprezentowania Yunusa po tym, jak trzech adwokatów niezależnie od siebie odmówiło. Przyjmując sprawę, Hugh musiał przeciwstawić się woli komendy policji, miejscowego prokuratora okręgowego, jak również FBI. Za pracę nie otrzymał wynagrodzenia ani nawet zwrotu kosztów sądowych. Nagroda emocjonalna była jednak nie do przecenienia. Yunus El-Sabwi okazał się człowiekiem pracowitym i konsekwentnie dążącym do celu. Byłby gotów oddać życie za swoją rodzinę, charakteryzowała go również bezgraniczna lojalność wobec przyjaciół. Do Hugh żywił wyjątkowo ciepłe uczucia.

W nieco lepszym humorze Hugh poszedł na piętro, aby wziąć prysznic i się ogolić. Odświeżony wciągnął czyste dżinsy i nową

koszulkę, brudną pościel wepchnął do pralki, świeżą rozłożył na łóżku, a następnie ponownie pojechał do szpitala. Po drodze zatrzymał się przed kwiaciarnią, aby kupić pęk baloników, w miejscowym butik nabył niedorzecznie drogie, ręcznie farbowane na różowo śpioszki, a w barze „U Rosie”, ulubionym lokalu Dany, kupił sałatkę z grillowanego kurczaka.

Gdy przyjechał, Dana karmiła dziecko. Nadal pogodny Hugh uśmiechnął się, pozachwycał kwiatami przysłanymi przez przyjaciół, spytał żonę o samopoczucie, zainteresował się, czy odwiedził ją lekarz, i chciał wiedzieć, kiedy wróci do domu. Potem wręczył żonie sałatkę, zabrał dziecko i jakoś po raz pierwszy w życiu zmienił pieluchę.

Ani słowem nie wspomniał o zawiadomieniach i nie poruszył tematu ojca Dany ani przodków. Jego pogodę ducha nieco zmącił telefon od stryja, który indagował go o kolor skóry Lizzie. Hugh był twardy. Powiedział, że to nie ma nic do rzeczy, i kontynuował rozmowę na temat cudu narodzin.

Dana doceniła entuzjazm męża. Uśmiechała się. Odpowiadała na pytania. Całą uwagę skupiła jednak na dziecku, nie spuszczała oka z córki nawet podczas jedzenia. Hugh wyczuwał jej rezerwę.

Później, w drodze do domu, nie potrafił przestać myśleć o tym fakcie. Nie zastanawiał się nad kolorem skóry Lizzie ani nad nieuprzejmym zachowaniem stryja, ani nad tym, że żadne z jego rodziców nie zadzwoniło. Chodziło mu po głowie tylko jedno — skoro Dana zachowuje się z rezerwą, to znaczy, że ma coś do ukrycia.

Późnym rankiem następnego dnia Dana została wypisana. Przebrała dziecko w różowe śpioszki, co okazało się niełatwym zadaniem. Czworo dorosłych rąk - niedoświadczonych, dodajmy - bezustannie wchodziło sobie w paradę. W końcu jednak starania rodziców uwieńczył sukces, a gdy Hugh podjechał samochodem, bez trudu przypięli dziewczynkę pasami do fotelika.

Hugh czekał na ten moment, wielokrotnie wyobrażał sobie, jak

wiezie żonę i dziecko do domu. Z początku było świetnie, ogarnęła go taka sama euforia jak wcześniej. Dana siedziała u jego boku, z przodu, i co kilka minut zerkała na dziecko, wyraźnie podekscytowana.

Potem mała zaczęła marudzić. Hugh zjechał na pobocze, Dana przesiadła się do tyłu i ruszyli w dalszą drogę. Lizzie nadal płakała.

- Go jej jest? — spytał, z niepokojem zerkając do lusterka wstecznego. Niewiele widział, dziecko leżało bezpośrednio za jego plecami, buzią w drugą stronę.

- Bo ja wiem - odparła Dana i wyciągnęła smoczek z torby. Rozwiązanie poskutkowało tylko na kilka kilometrów. Potem Lizzie znowu się rozwrzeszczała.

- Ma mokro? - zasugerował.

-Jeśli nawet, to niespecjalnie. Zmieniłam jej pieluchę tuż przed wyjazdem.

- No to pewnie zgłodniała?

- Moim zdaniem po prostu jest rozmarudzona. Najchętniej rozpięłabym pasy i wzięła ją na ręce, ale to byłoby potwornie niebezpieczne.

- I na dodatek niezgodne z prawem - dodał Hugh. — Mam się zatrzymać?

- Nie. Jedźmy prosto do domu.

Prowadził przy wtórze sporadycznych szlochów. Gdy od domu dzieliło ich pięć minut jazdy, Lizzie w końcu zasnęła.

W domu czekały już Ellie Jo i Gillian Kline. Na ich widok Hugh odetchnął z ulgą, a Dana nie kryła zachwyty. Obie doświadczone mamy świetnie wiedziały, czemu dzieci płaczą. Obecność pań okazała się tym istotniejsza, że rodzice Hugh nie raczyli się zjawić, choć ich przybycie byłoby jak najmilej widziane w tak szczególny dla rodziny dzień.

Ellie i Gillian przewinęły małą, wręczyły ją Danie do karmienia, wyszeptaly parę słów otuchy, gdy noworodek przez kilka chwil przymierzał się do ssania. „To zupełnie normalne”, powtarzały. „Będzie jadła”, twierdziły i dodawały: „No widzisz, patrz, wszyst-

ko jest jak należy". Hugh obserwował je od drzwi i czerpał ukojenie z ich spokoju. Kiedy Lizzie zasnęła i zaproponował, żeby przenieść ją do łóżeczka, Dana oświadczyła, że woli mieć małą na oku w dużym pokoju.

Panie umieściły noworodka w koszyku, Dane posadziły na sofie obok, a potem wyciągnęły torbę zakupów z pobliskich delikatesów i przygotowały lunch. Hugh nie myślał wcześniej o jedzeniu, ale chętnie się poczęstował. Gdy posiłek dobiegł końca, nastąpiła zmiana warty. Ellie Jo i Gillian ustąpiły miejsca Tarze oraz Juliette, które po pewnym czasie zostały zastąpione przez dwie przyjaciółki Ellie Jo. One z kolei zwolniły miejsce dla dwóch sąsiadek z tej samej ulicy. Wszystkie kobiety rwały się do pomocy i dysponowały rozległą wiedzą na temat dzieci. Każda przydźwigała owiniętą folią patelnię. W ten sposób młodzi rodzice zgromadzili zapas kolacji na cały tydzień.

Hugh tylko stał w progu salonu, kiedy kobiety troszczyły się o dziecko. Czuł się jak piąte koło u wozu, zdegradowany do roli obserwatora. Ogarnęła go pokusa, by iść do kancelarii, gdzie w końcu poczułby, że jest z niego jakiś pożytek. Gdyby jednak to zrobił, straciłby możliwość wysłuchania rozmów gości.

Wszystkie panie zgodnie twierdziły, że Lizzie jest piękna i ma uroczę usposobienie. Kilka z nich dostrzegło podobieństwo tego i owego:

- Hugh, moim zdaniem ma usta po tobie. - Albo: - To bez wątpienia nos Dany.

Hugh nie widział ani jednego, ani drugiego. Przewijały się też uwagi na temat skóry i włosów, wyłącznie przychylne: - Ma elegancki odcień skóry. - Albo: - Co ja bym dała za takie loczki.

Rzecz jasna, padały pytania o źródło tych cech, nie raz i nie dwa towarzyszyły im przekorne spojrzenia na Hugh:

- No więc, Hugh, mówiłeś, że gdzie się podziewałeś dziewięć miesięcy temu?

Za pierwszym razem Hugh się roześmiał, za drugim uśmiechnął, ale gdy pytanie padło po raz trzeci, odrzekł bez ogródek:

- W Filadelfii.

Pytająca wybuchła śmiechem, a Dana pośpieszyła z wyjaśnieniem. Gdy następnym razem powtórzył odpowiedź, posłała mu zirytowane spojrzenie. Nie dręczyły go jednak wyrzuty sumienia. Ostrzegał żonę, że padną tego typu pytania, i miał dość docinków wyłącznie pod swoim adresem.

Przed siedemnastą zaczęli się schodzić przyjaciele Hugh. Przyszło kilka osób z kancelarii, z kwiatami i upominkami. Goście wyrażali się o Lizzie uprzejmie i z entuzjazmem, ale potem zjawili się przyjaciele rodziny Hugh, młodzi mężczyźni, wśród których dorastał. Najwyraźniej powiedziano im o Lizzie i przyszli, żeby na własne oczy się przekonać, czy to prawda. Ich ciekawość była niemal wyczuwalna. Ani słowem nie wspomnieli o pochodzeniu Lizzie, podobnie jak nie zająknęli się na temat jej karnacji, co samo w sobie stanowiło jednoznaczną deklarację ich odczuć.

Koledzy Hugh z boiska do koszykówki nie byli tak powściągliwi. Przybyli niedługo po szóstej wieczorem, czterej wysocy faceci, jadący na cotygodniową rozgrywkę. Danie przynieśli róże, dla Lizzie mieli śpiochy w kolorach Boston Celtics. Na widok dziewczynki komicznie zamilkli.

- Hugh, brachu, kto to ma być?

- Dana, ty spryciaro. Ciężko pracowałeś z klientem, co? Każda się tak tłumaczy.

- No, wygląda na to, że my jesteśmy kryci, może z wyjątkiem Denny'ego. Właśnie, gdzie Denny?

Denny, jedyny czarnoskóry członek drużyny, tego wieczoru śpiewał na comiesięcznym spotkaniu kościelnego chóru. Zupełnie inaczej miała się sprawa z Davidem. Kiedy drużyna koszykarska zbierała się do wyjścia, David wszedł energicznie do domu. Fakt, były otwarte na oścież. Fakt, David zawsze poruszał się energicznie. Fakt, należał do ludzi, którzy lubią kontakt fizyczny i chętnie się rzucają do obejmowania przyjaciół. Hugh obserwował, jak sąsiad się pochyla, aby pocałować Dane, a potem zagląda do koszyka i patrzy na dziecko, które do tego stopnia przypomina jego własne, że chyba tylko święty nie nabrałby podejrzeń.

Kilka minut później na chodniku przed domem koszykarz Tom spojrzął na Hugh.

- Co to za historia z tym kolesiem? — zagadnął przyjaciela.

- Historia?

- Jego relacje z Daną. Na pewno nie ma się do czego przyczepić?

- W żadnym wypadku - zapewnił go Hugh, ale nagle ogarnęła go złość na Toma, na rodziców, na Davida. David był tak dobrym przyjacielem, że Hugh nigdy wcześniej nie zwracał uwagi na kolor jego skóry. Dopiero teraz wszystko się zmieniło.

Potem, gdy koszykarska czwórka zjechała z krawężnika, Hugh odwrócił się ku domowi i usłyszał, jak ktoś woła go po imieniu. Skierował spojrzenie na ulicę i ujrzał tam sąsiadkę, która pośpiesznie biegła w jego kierunku. Monica French już wcześniej wpadła z wizytą do jego domu. Była to kobieta po czterdziestce, z dwójką nastolatków, trzema psami i wiecznie nieobecny mężem. Towarzystwa dotrzymywały jej dzieci i zwierzęta. Tym razem czworonogi, trzy wielkie akita, kręciły się przy niej tak żywiotowo, że gdy spróbowała się zatrzymać, niemal ją przewróciły.

- Hugh - powiedziała. - Muszę ci coś powiedzieć, choć wiem, że to może zabrzmieć niestosownie. W grę wchodzi jednak kwestia mojego czystego sumienia. Czy David to twój przyjaciel?

- Najlepszy - potwierdził Hugh, doskonale świadomy, do czego zmierza ta rozmowa. Monica była wścibska z natury i trzy razy dziennie wyprowadzała psy na spacer, podczas którego bez najmniejszych oporów potrafiła zademonstrować nieświadomemu właścicielowi domu uschnięty krzak w ogrodzie, przepaloną żarówkę nad drzwiami garażu albo gniazdo pszczoł przy okiennicy.

- Jeśli to prawda - powiedziała - to nie masz się czym przejmować, bo najlepszy przyjaciel nie zrobiłby tego, co mam na myśli. Wcześniej jednak przyglądałam się temu maleńkiemu dziecku i zadawałam sobie pytanie, skąd ten kolor skóry. Musisz wiedzieć, że David często się tu kręci.

- No i? - spytał Hugh.

- No i on jest czarny.

- Również to zauważyłem.
- Widziałam, że przychodził do Dany, kiedy przebywałeś poza domem.
- Mówiła mi o tym... To znaczy nie o tym, że ją widziałas, tylko o tym, że David czasem do nas zagląda.
- Niekiedy przesiaduje w waszym domu przez okragłą godzinę!
- Równo okragłą? Na pewno nie trzy czwarte albo półtorej? Monica wpatrywała się w niego.
- Nabijaj się ze mnie, bardzo proszę, ale moim zdaniem David kocha twoją żonę.
- Nie wątpię — odparł Hugh spokojnie, choć aż się gotował ze złości. - To jednak nie oznacza, że kiedykolwiek zaciągnął ją do łóżka. Moja żona mnie kocha, Monica.
- Przecież istnieje seks z miłości i seks dla seksu. David to seksowny facet.
- Ach, to wyjaśnia, czemu z taką uwagą kontrolujesz jego wyjścia i powroty. Napaliłaś się na niego, co?
- Wpatrywała się w Hugh jeszcze przez chwilę, nim oznajmiła:
- Zapomnij o tym, co powiedziałam.
- Szarpnęła psy, aby pociągnęły ją z powrotem do domu. Poszła sobie w samą porę - gdyby została chwilę dłużej, zauważyłaby nadjeżdżającego ulicą czarnego sedana. Wskoczył z niego Robert, brat Hugh, i odwrócił się, aby pomóc stryjowi wyjść z auta.

Bradley Clarke, pięć lat starszy od Eatona, liczył sobie prawie siedemdziesiąt cztery lata. Nie był tak wysoki ani przystojny jak brat, choć miał charakterystyczne dla Clarke'ów szerokie brwi i mocną szczękę. Niedostatki aparycji nadrabiał sukcesami w interesach. Żyli jeszcze starsi od niego Clarke'owie, kilku kuzynów po dziewięćdziesiątce, lecz to Bradley zapewniał rodzinie finansowy dobrobyt i z tego względu uważano go za patriarchę.

Hugh podziwiał stryja, cieszyło go, że rodzinnymi interesami kieruje ktoś tak sprawny, ale za nim nie przepadał. Uważał go za osobę arogancką, nieuprzejmą i do cna wypraną z wszelkiego cie-

pła. Robert, który blisko współpracował ze stryjem, twierdził, że wielokrotnie dostrzegał u niego przejawy życzliwości. Hugh musiał mu wierzyć na słowo.

Jego wiara przeszła ciężką próbę, gdy tylko starszy pan otworzył usta. Chwilę wcześniej Robert wszedł do domu, aby Bradley i Hugh mogli zamienić słowo na chodniku.

- Coś ty, u licha, powiedział ojcu, że teraz chodzi jak struty?

- Przykro mi, jeśli przekazał ci swoje przemyślenia - odparł Hugh z należnym szacunkiem, ale bez uniżenia. - Nieładnie się wyrażał na temat mojego dziecka.

- Jest twoje?

- Tak.

- Wykombinowałeś już, skąd u niego ten kolor?

- To dziewczynka. Zakładamy, że jeden z przodków Dany był Murzynem.

- Zatem Dana jest czarna.

- Podobnie jak twój kierowca - zauważył Hugh lekkim tonem i z uśmiechem skinał głową Calebowi. Przetrwiał niejedno potwornie nudne spotkanie rodzinne, stojąc przy samochodzie i gawędząc z szoferem. - Może chciałby wejść do środka i spojrzeć na moją córkę?

- Nie ma potrzeby - powiedział Bradley. - Ale ja wejdę.

Znajdował się w połowie schodów, kiedy ze środka wyszedł David i bez zastanowienia wyciągnął rękę do starszego pana.

- Pan Clarke. David Johnson. Miło ponownie pana widzieć.

Bradley z kamienną twarzą dotknął dłoni Davida i uściśnął ją rutynowo. Potem wszedł do środka.

Hugh zaklął pod nosem i potarł obolały kark.

- Kłopoty? - spytał David.

Hugh prychnął.

- Przynajmniej nie widział, jak się na niej pokładasz.

David osłupiał.

- Co takiego?

- Och, daj spokój. Mogę się tylko z tego śmiać.

- Raczysz wyrażać się jaśniej?

- Wszyscy uważają, że jesteś ojcem.

David uniósł brodę.

- Poważnie? Ho, ho. Co za zaszczyt.

- Dla ciebie to zaszczyt, dla mnie upokorzenie. Dana jest moja żona. Super, że uważasz ją za fantastyczną kobietę, ale czy naprawdę musisz pakować się do mojego domu jak do siebie?

David cofnął się o krok i podniósł dłoń.

- Nikogo nie chciałem urazić.

Ale lawina już ruszyła. Hugh nie potrafił się powstrzymać.

- Człowieku, gdzie twój zdrowy rozsądek? Cholera, możemy udawać, że nie widzimy jej karnacji, ale ten noworodek wygląda kubek w kubek jak ty. I co jeszcze wiemy? Że kochasz się na zabój w mojej żonie...

- Hugh, weź na wstrzymanie. Twoja żona jest moją przyjaciółką.

- Zналиście się, zanim ją spotkałem - uświadomił sobie z pewną przykrością. - Czy wówczas coś was łączyło? Jakaś tajemnica, której postanowiliście dochować?

- Nie.

- Ale ty bezustannie się spotykasz z białymi kobietami. Z jedną wzięłeś ślub. W moim zawodzie to się nazywa precedens.

- Przeginasz.

- Nie mów mi, że przeginam! — krzyknął Hugh. — To moja żona!

- Hugh — odezwał się Robert, otwierając siatkowe drzwi.

Hugh odwrócił głowę i popatrzył na brata i stryja. Czuł się zapędzony w kozi róg, zupełnie jakby coś go spychało tam, gdzie nie chciał się znaleźć, ale nic nie mógł na to poradzić.

Nie spuszczać wzroku z Hugh, David ostrzegawczo podniósł dłoń. Potem się odwrócił i zszedł po schodach.

- Co tam znowu? - zapytał Bradley władczo.

Hugh zignorował pytanie.

- Widziałeś moją córkę?

- Tak.

- Twoim zdaniem to moja krew?

- Z pewnością jest dzieckiem Josephów.

- A co z ojcem? - nie ustępował Hugh. — Kto nim jest, twoim zdaniem?

- A co ty o tym sądzisz? - Bradley uchylił się od odpowiedzi.

- Sądziłem, że to moja córka, ale ogarnęły mnie wątpliwości, gdy wszyscy zaczęliście patrzeć na niego - oświadczył i ruchem głowy wskazał dom Davida. - Istnieje jednak sposób, aby to sprawdzić. Macie pojęcie, ile badań DNA zleciłem na życzenie klientów? Wiem, jak się do tego zabrać i kto jest najlepszym fachowcem. - Minał krewnych i wszedł do domu.

Dana była zmęczona. Bolały ją pośladki, a piersi zaczęły twardnieć. Uwielbiała spotkania z przyjaciółmi, chętnie widywała się z Davidem, ale obesłaby się bez brata i stryja Hugh. Robert przez moment okazywał jej nieszczerą sympatię, stryj nie zdobył się nawet na to. A teraz Hugh... Co on powiedział?

- Chcę, żebyśmy przeprowadzili badania DNA. Usłyszałem o jedną uwagę za dużo.

- Badania DNA? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Aby dowieść, że jestem ojcem Lizzie.

- Co ty mówisz?

- Mówię o Davidzie - odparł ponuro. - Jego imię bezustannie przewija się w rozmowach. Chcę, aby to było ustalone.

Dana nie wierzyła własnym uszom.

- Ustalone?

Dziecko się rozpłakało. Dana dźwignęła się z kanapy i wyjęła Lizzie z koszyka. Zaczęła ją kołysać, lecz dziewczynka nie chciała się uspokoić. Dana oparła się zatem o poduszki, uniosła podkoszulek, rozpięła stanik i potarła sutkiem usta noworodka. Z początku Lizzie nie chciała się przyssać. Szukała, napinała się i płakała. Dana zaczęła podejrzewać, że coś musi być nie tak, bo przecież Tara wyraźnie mówiła, iż dzieci mają wrodzoną umiejętność ssania, a Lizzie robiła to już... Ile razy? Dwadzieścia, trzydzieści? W końcu jednak się udało.

- Ustalone - potwierdził Hugh.

Dana patrzyła mu w oczy na tyle długo, by zyskać pewność, że mówił poważnie. Potem znowu skupiła uwagę na dziecku.

- Jeśli choć przez jedną chwilę wierzyłeś, że to jest dziecko Davida, jeśli byłeś w stanie uwierzyć, że mogłabym zainteresować się innym mężczyzną niż ty, jeśli przeszło ci przez myśl, że byłabym gotowa związać się z innym mężczyzną niż mój mąż, to znaczy, że jest z nami bardzo źle. Co więcej, bardzo źle jest z naszym małżeństwem. - Głos jej się łamał. — Sądziłam, że mi ufasz.

- Ufam ci.

- Ale oskarżasz mnie o romans z Davidem —jęknęła, nie odrywając wzroku od Lizzie, aby nie załamać się kompletnie, - I nie wmawiaj mi, że odgrywasz rolę adwokata diabła, bo w tym wypadku nic ci to nie da. Teraz chodzi o zaufanie. - Łzy zebrały się jej pod powiekami. W ostatniej chwili je powstrzymała, ale zmusiła się do tego, żeby ściszyć głos. Dopiero wtedy uniosła wzrok.

- Hugh, co się z nami dzieje?

Przycisnął przedramię do czoła, potem wziął się pod boki.

Czuła, jak pęka jej serce. To był jej mąż, jej własny mąż, który nagle tak strasznie się od niej oddalił.

- Naprawdę uważasz, że Lizzie jest córką Davida? - spytała przyciszonym głosem.

- Nie po mnie odziedziczyła kolor skóry.

- Po mnie też nie, ale żadne z nas nie wie na pewno, jaki kolor skóry miał każdy z naszych przodków. — Pośpiesznie pokiwała głową. - Zgoda. Niech ci będzie. Ty wiesz na pewno. Zatem jeden z moich krewnych pochodził z Afryki. Ta myśl nie spędza mi snu z powiek. A tobie? Robi się wiele hałasu o nic. Przecież jesteś człowiekiem tolerancyjnym, Hugh.

- Nie mieszaj pojęć. Niewierność nie ma nic wspólnego z tolerancją.

Dane przepełniało... co? Niedowierzenie? Złość? Ból?

- Naprawdę uważasz, że miałam romans? Gdybyś uczciwie rozmawiał ze swoją znajomą genetyczką, być może podniosłaby cię na duchu. Nie powinniśmy raczej skupić się na poszukiwaniach mojego ojca?

Hugh skierował wzrok ku oknu i zapatrzył się na morze. Gdy ponownie spojrzął na żonę, jej serce zamarło. Potrzebowała ciepła, lecz nie mogła na nie liczyć. Miała przed sobą prawnika, zdecydowanego wykonać powierzone mu zadanie.

- Zaczniemy od badania DNA - orzekł. - Ono dowiedzie, że jestem ojcem.

Dana pochyliła głowę nad dzieckiem i wybuchnęła płaczem. Nigdy, przenigdy nie przeszłoby jej przez myśl, że dojdzie do czegoś podobnego.

— Dowiedzie, Dana - podkreślił. - Ratujmy, co się da. Ciebie nie obchodzi, co mówią ludzie. To już ustaliliśmy. Ja przywiążuję do tego wagę. Jeszcze nie jesteś gotowa do wszczęcia poszukiwań ojca, które mogą przypominać szukanie igły w stogu siana. Zaproponowałem najszybszą metodę wyeliminowania jednej z możliwości.

Podniosła głowę ogarnięta nagłą furją.

- Skoro o tym mowa, czemu nie poprosimy Davida, aby podał się badaniu?

- Jeśli to zrobimy, urazimy uczucia Davida. Jeżeli zadzwonimy do mojej znajomej genetyczki, która mi zleci badanie, będę się czuł niezręcznie.

- A co z moimi uczuciami? - wyszeptała Dana w loczki dziecka.

- Nie słyszę cię.

Oczywiście, że nie, pomyślała, łagodnie kołyszac noworodka.

- Pozostaje jeszcze jedna sprawa - oświadczył Hugh z całą stanowczością. — Karmisz dziecko. Ellie Jo kołysze dziecko. Gillian, Tara albo Juliette zmieniają dziecku pieluchy. Czy mnie jako ojcu przysługuje jakieś zajęcie?

Czuł się odrzucony. Dana zastanowiła się, czy ten fakt był źródłem jego frustracji. Wytłumaczenie wydawało się zaskakujące, ale miało sens. Cała reszta sprawiała wrażenie absurdu.

Dana dokończyła karmienie i wręczyła Lizzie mężowi. Potem powlokła się na piętro, wzięła prysznic i dla odprężenia sięgnęła po robótkę. Tyle tylko, że nagle wszystko wydało się jej beznadziejne

- włóczka, wzór, wszystko. W przypływie niezadowolenia ściągnęła oczka z drutów i spruła całą pracę. Wystarczyło szarpnąć, by robótka znikła jej z oczu niczym jeszcze jedna iluzja. Wepchnęła poplątaną włóczkę do torby, otworzyła okno, opadła na łóżko i wsłuchiwała się w przybrzeżne fale. Tak bardzo pragnęła usłyszeć głos matki. Przypływ nie przyniósł jej jednak słów pociechy. W jej gardle wyrosła wielka gula. Dana mogła wymyślać najdziwniejsze wytłumaczenia, lecz żadne z nich nie zmieniało faktu, że słowa Hugh zraniły ją do żywego.

Zgubione oczka można ponownie nabrać, niedopasowany sweter da się przerobić, nieodpowiedni motek wystarczy wymienić na nowy. Słowa to zupełnie co innego. Raz wypowiedzianych nie da się cofnąć.

8

Dana wiedziała, co oznacza badanie DNA. Wiedziała również, że istnieją rozmaite rodzaje tych testów, od tych z użyciem krwi, włosów czy szpiku kostnego, po takie, które były w stanie uzyskać wynik z analizy przeżutej gumy. Hugh podczas procesów coraz częściej wykorzystywał wyniki tych badań i nieraz rozmawiał z nią o tym. Wiedziała, że jeśli rezultaty badania mają stanowić dowód w sprawie, należy się trzymać ustalonych standardów, jednak uparcie nie zgadzała się na żadne agresywne metody, takie jak pobranie krwi córce. Ze śmiertelną powagą oświadczyła mężowi, że jeśli chce to zrobić, będzie musiał wytoczyć jej sprawę.

Zadowolili się wymazem. Do badania należało go pobrać z wewnętrznej strony policzka. Hugh nie tracił czasu. W czwartkowy poranek w domu pojawił się kurier z trzema zestawami do badania.

- Trzy? - Dana z niesmakiem wpatrywała się w pojemniki.
- Po jednym dla każdego z nas - wyjaśnił jej cierpliwie Hugh.
- Po co dla mnie? Przecież wiemy, że jestem matką — oświadczyła zaczepnie.

—Jesteś naszą linią odniesienia — odparł. - Jako że wasze pokrewieństwo nie ulega wątpliwości, najpierw laboratorium porówna DNA twoje i Lizzie. Jakikolwiek genetyczne komponenty, które się nie zgadzają, muszą pochodzić od ojca. Wtedy sprawdzą moje DNA w poszukiwaniu tych komponentów.

Dana zerknęła na kuriera, który stał w kuchni i czekał.

- Czy to świadek, że nie będę próbowała podmienić twojej próbki na próbkę z DNA Davida?

Hugh poprosił kuriera, żeby zaczekał przed domem. Po jego wyjściu powiedział:

— To było zupełnie niepotrzebne.

— Dlaczego? Przecież to kwestia zaufania.

— Nie ułatwiasz mi zadania.

Dana natychmiast się wściekła.

— Ostatnie czterdzieści osiem godzin powinno być najszcześniejsze w moim życiu, a przez ciebie było okropne. Pomyśl, Hugh, teraz nie tylko ty się dla mnie liczysz. — Popatrzyła niechętnie na zestawy. - Możemy mieć to już z głowy?

Nie trwało to długo. Hugh potarł policzek dziecka, potem Dany. Zmusiła się do patrzenia, jak pobiera wymaz sam sobie, zamyka pojemniki i oddaje je kurierowi. Kiedy wrócił do domu, była na górze. Najpierw znów wzięła prysznic, a potem na przewijarce umyła dziecko gąbką, od stóp do głów. Czuła się brudna po badaniu. Musiała wyczyścić siebie i córkę.

Przebrała Lizzie w nowe śpioszki, odłożyła ją do łóżeczka i nakryła kołderką zrobioną przez babcię Ellie. Przez kilka minut, kiedy dziecko układało się do snu, tylko stała nieruchomo i patrzyła, zdumiona doskonałością małej. Potem rozejrzała się po sypialni. Miały tu królować szczęście i radość. Pokój nadal prezentował się idealnie, co tylko świadczyło o tym, jak zwodnicze bywają pozory.

Dana najchętniej zapłakałaby nad niesprawiedliwością losu, jednak była na to zbyt zmęczona. Zwinęła się wygodnie na bujanym fotelu, zamknęła oczy i zapadła w drzemkę. Rozległ się dzwonek od drzwi, ale go zignorowała, podobnie jak telefon.

Tuż przed południem usiłowała ponownie nakarmić Lizzie. Napłynęło mleko i małej trudno było ssać ze stwardniałych piersi, a może pokarm jej nie smakował. Dana próbowała na różne sposoby, w końcu dziecko zaczęło jeść, ale najwyraźniej doszło im jeszcze jedno zmartwienie.

— Mam ją przytrzymać, żeby się jej odbiło? - spytał Hugh od progu.

Zaniepokojona Dana uniosła wzrok.

- Nadal tu jesteś?
- A niby gdzie miałbym być?
- W pracy - odparła. Była wściekła na siebie, że mówi takim jęklwym tonem.

- Wiesz przecież, że wziąłem urlop po urodzeniu dziecka - zauważył.

Tak, wspólne dni miały być takie cudowne. Odsunęła dziecko od piersi, oparła je na ramieniu i zaczęła głaskać po plecach.

- Dzwoniła Gillian. Nie chciałem cię budzić.

Dana pokiwała głową.

- Dostaliśmy prezenty. Niektóre są naprawdę niezłe - dodał, wciąż stojąc w drzwiach.

Miała ochotę o nie spytać. Była ciekawa, ale obecność Hugh studziła jej entuzjazm.

- Nadal jesteś zła - zauważył.

Popatrzyła na buzię Lizzie, lekko klepiąc ją po plecach.

- Porozmawiaj ze mną, Dana.

Spojrzała na niego z rozpaczą.

- Niby co mam powiedzieć? Że rozumiem? Że popieram to, co zrobiłeś? Przykro mi, tak nie jest.

Lizzie otworzyła usta i cicho beknęła. Dana uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Grzeczna dziewczynka - zagruchała. Podniosła dziecko, podtrzymując palcami jego główkę. Oczy koloru gorącej czekolady uśmiechały się do niej. - Jesteś moją słodką maleńką córeczką, masz tylko dwa dni. Chcesz jeszcze mleka? Odrobinkę? Zobaczymy. - Przystawiła ją do drugiej piersi i znowu minęło trochę czasu, nim dziecko chwyciło brodawkę. W trakcie Hugh chyba coś powiedział, ale go zignorowała. Kiedy Lizzie ssała, Dana usiadła wygodniej i przymknęła oczy.

- Wszystko z nią w porządku? - zapytał.

- Tak.

- No to dlaczego tyle to trwało?

- Jeszcze się uczy. Jak ja.

Przez dłuższą chwilę milczał, po czym spytał:

- Mogę coś zrobić? Potrzebujesz pieluszki czy kremu? A może masz ochotę na lunch z baru „U Rosie”?

- Nie, dziękuję.

- Przygotować lunch z tego, co mamy w domu?

- Babcia przyniesie kanapki.

- O. Aha. Może pójde do apteki?

- Później Tara podrzuci mi tubę kremu do pielęgnacji sutków. Niczego więcej nie potrzebuję. Chociaż mógłbyś kupić jeszcze jedną przewijarkę. Przyda mi się w pralni, kiedy będę chciała przewinać małą na dole.

- Mogę. — Umilkł i zaczął: - Co do zawiadomień...

- Miałaś rację — przerwała mu natychmiast. Otworzyła oczy i spojrzała na męża. - Nie musimy ich wysyłać. Zwłaszcza że nie wiemy, czy faktycznie jesteś jej ojcem.

- Dana - westchnął.

- Co? Mam się nie złościć o to, że podejrzewasz mnie o romans? Dlaczego przyszło ci to do głowy? Bo jestem nieślubnym dzieckiem? Bo nasza córka nie wygląda tak jak ty? Szczerze mówiąc, Hugh, wygląda. Macie takie same usta.

- Ja tego nie widzę.

- Bo dostałaś obsesji na punkcie koloru jej skóry. Gdybyś dobrze się przyjrzał, zobaczyłybyś, że tak samo wykrzywia usta. Nie przez cały czas, tylko kiedy się czemuś przygląda. To taka zamysłona mina małego Hugh. Czy to nie ironia losu?

Nie odpowiedział.

Dana znowu zamknęła oczy i karmiła córkę, aż mała wyraźnie zwolniła. Potem położyła ją na kolanie, trzymając rękę pod brodą Lizzie, i pogłaskała ją po plecach.

- Chcesz, żebym ja to zrobił?

Miała ochotę odpowiedzieć, że nie potrzebuje jego pomocy, ale nie znosiła tego swojego tonu. Z jej ust i tak już padło zbyt wiele gorzkich słów. Ostrożnie podała mu maleństwo, po czym wyjęła z kosza naręczce brudnych rzeczy i zaniósła je do pralni. Zaparzyła sobie herbatę i właśnie ją popijała, kiedy pojawiła się Ellie Jo.

Dana natychmiast poczuła się lepiej. Babcia była opoką. Dowodem na to, że złe rzeczy mijają.

Ellie Jo wzięła małą do pokoju dziecięcego, a Dana poszła do siebie. Rozpaczliwie pragnęła powrotu do normalności, więc wbiła się w dzinsowe szorty sprzed ciąży. Chociaż z ogromnym trudem, zdołała jednak dopiąć zamek niegdyś luźnych szortów. Rozpogodzona włożyła też nakrapiany różowy podkoszulek, płócienne klapki i związała włosy w ogonek.

Chwilę później wyszła razem z babcią na patio. Zjadły kanapki i rozłożyły się na wygodnych fotelach pod baldachimem. Robiły na drutach, a dziecko spało niedaleko w wózeczku. Późnosierpniowe słońce mocno przygrzewało, ale bryza nieco chłodziła powietrze. W takiej atmosferze Dana energicznie dodawała kolejne rządki oczek raz w jedną, raz w drugą stronę jasnozielonego śpiworka, przeznaczonego na jesień dla Lizzie.

Skrzyżowała bose stopy i głęboko odetchnęła. Kochała ocean od zawsze, co było dziwne, zważywszy na to, jak zginęła jej matka. Ellie Jo zabrała Dane do wody tego samego lata, w którym utonęła Elizabeth. Chociaż dziewczynka początkowo bardzo się bała, zaczęła jednak pływać i okazało się, że woda przynosi jej ukojenie. Elizabeth kochała morze. Dana wyobrażała sobie, że dusza matki unosi się na falach. Czuła się tam bezpieczna.

Teraz, oddychając słonym powietrzem i niemal hipnotycznie poruszając drutami, zaczęła się uspokajać.

Matka umarła, ale po jej śmierci życie toczyło się dalej. Teraz też musiało toczyć się dalej.

Po chwili odłożyła druty i podeszła do skraju trawnika. Ostatnie róże wyglądały jak przypadkowe plamki różu w morzu zieleni. Dana przyklękła, wzięła jedną z róż w dłoń, dotknęła płatków. Tak jak w zapachu morza, i w tym odnajdywała spokój.

- Dana! Hej, Dana! Tutaj! To ja, Ali!

Dana popatrzyła w stronę ogrodu Davida i rzeczywiście stała tam Ali. Zwinna siedmiolatka podskakiwała, jednocześnie machając rękoma, a loki kołysały się dziko wokół jej twarzy.

Dana uśmiechnęła się szeroko i również jej pomachała, po

czym podniosła się i ruszyła w kierunku małej. Nie dzielił ich żaden drut ani żywopłot. Mimo że dom Davida był dosyć typowy, w przeciwieństwie do domu Dany i Hugh, również otaczała go trawa i nadmorskie krzaki.

Ali rzuciła się w ramiona Dany.

- Tata mówi, że mam ci nie zawracać głowy. Bardzo chciałam, żebyś była przed domem, i byłaś! Tata mówi, że macie nowe dziecko. Chcę je zobaczyć, mogę?

- Najpierw niech ja ci się przyjrę. - Dana postawiła małą na ziemi i ujęła ją za brodę.

Promienna - to skojarzenie nasunęło się Danie, gdyż ciemna skóra Ali lśniła w słońcu. Górka Davida miała brązowe, roziskrzone oczy, usta rozciągnięte w szerokim uśmiechu, drobne białe zęby i włosy w kilkunastu odcieniach czekolady.

Dana uwielbiała Ali. Zawsze pociągało ją jej radosne podejście do życia. Uściskała dziewczynkę raz jeszcze i cofnęła się o krok, żeby jej się lepiej przyjrzeć.

- Jesteś wyższa i znacznie ładniejsza niż poprzednio. Jak to możliwe?

- Starzeję się. Niedługo będę miała osiem lat i przez większość lata grałam w piłkę, więc mama mówi, że nogi mi się wydłużyły. Mogę zobaczyć dziecko?

- Alissa! - zawołał David od drzwi z tyłu domu. - Mówiłem ci, żebyś nie zawracała głowy Clarke'om.

Dawniej Dana potraktowałaby te słowa jako niewinną uwagę, ale wszystko, co „niewinne”, znikło przez podejrzliwość jej męża.

- Nie ma problemu! - zawołała do sąsiada. - Hugh wyszedł na parę godzin, jesteśmy same, babcia i ja. Ojej - dodała z rozbawieniem, patrząc na Ali. — I dziecko. Jest taka nowa, że ciągle zapominam. Oczywiście, że możesz ją zobaczyć. Leć i popatrz sobie. Nie zapomnij przywitać się z babcią Ellie.

Patrzyła, jak dziewczynka odbiega, wymachując rękami i nogami. Babcia Ellie uniosła wzrok i dołączyła do małej przy wózku.

Dana zastanawiała się właśnie, czy Ali zwróci uwagę na karnację dziecka, kiedy podszedł do niej David. Miał na sobie koszulkę

poło i luźne spodnie. Najwyraźniej korzystając z przyjazdu córki, wziął parę dni wolnego.

- Może być nieco niezręcznie - zauważył. - Ali będzie chciała spędzić z tobą trochę czasu, ale to się nie spodoba twojemu mężowi.

Ze spokojem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Hugh uwielbia Ali.

- Kiedyś może i uwielbiał, ale wtedy jeszcze lubił i mnie. Wiesz, że on uważa Lizzie za moje dziecko, prawda?

- Tak powiedział? - spytała zakłopotana. - Strasznie mi przykro. Nie jest teraz sobą.

- A może jest - mruknął David. - Może właśnie teraz widzimy prawdziwego Hugh. Nie byłby wyjątkiem. Wiesz, ilu ludzi wierzy w równouprawnienie, dopóki w sąsiedztwie nie pojawi się rodzina czarnoskórych? Wiesz, ile osób wierzy w politykę pozytywnej dyskryminacji, dopóki ich dziecko nie zostanie odrzucone przez uczelnię, która przyjmuje czarnego dzieciaka z gorszymi stopniami?

- David...

- Wiesz, ile razy żałowałem, że nie jesteś moją żoną? - Jego głos złagodniał. - Może Hugh to wyczuł, ale przecież oboje wiemy, że nawet cię nie dotknąłem. - Zmarszczył czoło. - Chryste, na mnie nigdy nie patrzyłaś tak, jak na niego. Go on sobie wyobraża?

- Nic - odparła Dana i przez chwilę zaczęła zastanawiać się nad tym, co też sobie wyobraża David. „Wiesz, ile razy żałowałem, że nie jesteś moją żoną?”. Nie chciała słuchać takich wyznań, wobec tego postanowiła skoncentrować się na tym, co mówił o Hugh. Zastanawiała się, czy to prawda. Zawsze wierzyła, że jej mąż jest człowiekiem tolerancyjnym, ale jeśli rzeczywiście tak było, to nie potrafiła wytłumaczyć jego zachowania po narodzinach Lizzie.

- Czy on się na tobie wyżywa? - zapytał David.

Dana nie wspomniała o badaniu DNA. To było zbyt upokarzające. Popatrzyła tylko na wodę i westchnęła.

- Nie jestem pewna, które z nas zachowuje się gorzej. Teraz żyjemy w systemie dwugodzinnych zmian i czujemy się dziwnie. Jesteśmy zarazem zmęczeni i oszołomieni nową sytuacją.

- Pomaga ci? Ja bym pomagał. Może i schrzaniłem wszystko w małżeństwie, ale naprawdę pomagałem przy Ali.

Dana popatrzyła na niego.

- Co schrzaniłeś?

- Moja praca była ważniejsza niż żona. Ali też była ważniejsza. Traktowałem Susan jak służącą.

- Świadomie?

- Nie. - Dziwnie wykrzywił usta. - Podświadomie. Chyba. Matka mojej matki była służącą. Matka była nauczycielką, ale to ona zajmowała się wszystkim w domu. Uznałem więc, że będzie sprawiedliwie, jeśli moja biała żona będzie czyściła ubikacje. - Wzruszył ramionami. - Ale naprawdę miała więcej czasu niż ja.

- Byłeś wierny? - zapytała Dana. To na pewno interesowałoby Hugh.

David popatrzył na Ali. Pod czujnym okiem Ellie Jo przesuwała wózek do przodu i do tyłu.

- Czy Ali obudzi małą?

- Nie. Wszystko w porządku. Byłeś wierny, David?

Nie odpowiedział od razu.

- Byłem wierny aż do samego końca. Wtedy już tylko Ali łączyła mnie i Susan. A ja miałem zbyt wiele pracy i czułem się samotny. To była przygoda na jedną noc. Susan się dowiedziała. No i koniec. Następnego dnia wystąpiła o rozwód, zupełnie jakby tylko czekała na pretekst. Niewierność była łatwiejsza do przełknięcia niż niezgodność rasowa.

- Niezgodność rasowa? - powtórzyła Dana. — Wyjaśnij.

- Chyba zaczęła mieć wątpliwości.

- Bo wyszła za czarnoskórego? Poważnie?

- Może i nie - przyznał. - Może to tylko moja wyobraźnia. Byłem chirurgiem, ona pielęgniarką. Ciągłe powtarzała ludziom, żartem, że wychodząc za mnie, awansowała społecznie. Ale powiedziała to o jeden raz za dużo. Jej przyjaciele, to znaczy nasi przyjaciele, byli przede wszystkim biali. Odnosiłem wrażenie, że tłumaczy się ludziom, dlaczego zgodziła się mnie poślubić.

- Sądzę, że to tylko twoje obawy.

-Może.

- A co z Ali? Czy twoja żona też się tłumaczy, skąd ciemniejsza skóra jej córki?

- Nie. Uważa, że Ali to najwspanialsze dziecko pod słońcem, najmądrzejsze i najpiękniejsze, i bez przerwy się nią chwali. Czy coś sobie w ten sposób kompensuje?

- Nie. Ali jest najwspanialsza - powiedziała Dana z pełną świadomością, że jest stronnicza. - A ty przesadzasz, David.

- Tak czy owak, mieszkają na Manhattanie. Połowa dzieciaków w jej klasie nie jest biała, więc nie ma problemu.

- Czy Ali zauważy kolor skóry Lizzie?

- Pewnie nie. Kolor skóry nie jest zbyt wysoko na jej liście priorytetów. W żaden sposób nie czuje się inna.

- A boisz się, że zacznie?

Odetchnął głęboko.

- Tak, boję się. Jeśli zakocha się w białym facecie, jego rodzice niekoniecznie będą zachwyceni. Rodzice mojej żony nie byli.

- Odchrząknął. - To im przede wszystkim wciskaliśmy tę gadkę o chirurgu.

- Czy są blisko z Ali?

- Tak. Od samego początku dostrzegali w niej cząstkę swojej córki. Daj teściom trochę czasu, Dana. Na razie Lizzie to rzecz, jak wszystkie noworodki. Kiedy już ujawni, że ma osobowość, pokochają ją. Nic nie będą mogli na to poradzić.

- Masz na myśli to, że pokochają ją wbrew sobie? - zapytała oschle. - Nie chcą jej kochać tylko dlatego, że nie wygląda jak jedna z Clarke'ow?

- Nie o to chodzi - przerwał jej. - Nie przeszkadzałoby im, gdyby była kopią ciebie. Problemem jest jej kolor.

Dana zaczynała nienawidzić tego słowa.

- Tak ma wyglądać jej życie? Ludzie będą widzieli przede wszystkim jej kolor? Co się stało z polityczną poprawnością?

- To ideał. Ale cholera, to idiotyczne, kiedy facet napada na bank, a gliny mówią, że szukają kogoś o wroście stu dziewięćdziesięciu centymetrów, ciemnych włosach i szczupłej budowy ciała,

ostatnio widzianego w dżinsach i czerwonej kurtce. Czy nie powinni do tego dorzucić koloru skóry? Czy to nie część wyglądu zewnętrznego? I nie mów mi, że kasjer nie zauważył. — Mówił podniesionym z irytacji głosem. — To tak oczywiste pominięcie faktu, że przyczyna mówi sama za siebie. Tak, kolor to pierwsze, co zauważają ludzie. Każdy, kto twierdzi inaczej, kłamie.

- Jesteś przygnębiony. To przez Hugh.

- Nie, Dana. Mówię ci tylko, jak jest.

- Masz na myśli swoją córkę czy moją?

- Obie. To zawsze gdzieś się kryje.

- Wcześniej nigdy o tym nie wspomniałeś - zauważyła.

- Wcześniej nigdy o tym nie dyskutowaliśmy.

Dana uświadomiła sobie, że to prawda. David zawsze był po prostu Davidem.

- Czy kiedykolwiek w twoim życiu był okres, w którym nie zdawałeś sobie sprawy z koloru skóry? - zapytała.

- To znaczy z dyskryminacji? Jasne. W dzieciństwie. Mój ojciec był biały, jeden z braci wyglądał jak jego kopia. W naszym domu kolor skóry był czymś takim jak kolor włosów, zwykłą cechą fizyczną.

- Kiedy to się zmieniło?

- Kiedy miałem cztery lata. Dzieciaki na placu zabaw potrafią być okrutne. Nie miałem pojęcia, co znaczą te wyzwiska. Rodzice mi wytłumaczyli.

- Jak? Co powiedzieli?

- Że ludzie ciągną do tych, którzy ich przypominają, i boją się inności. A najbardziej rzucającą się różnicą jest kolor skóry, bo nie można go ukryć. Na studiach harowałem dwa razy więcej od innych i teraz, jak lekarz, też haruję. Czy myślisz, że ja prostu mogę usiąść na tyłku i sobie bimbać? No to pomyśl jeszcze raz. - Wskazał palcem na swoją twarz. - Kiedy coś pójdzie nie tak, to pierwsza rzecz, którą zauważą.

- W twoim wypadku? - mruknęła sceptycznie.

- Uwierz mi, Dana. Patrz, co się teraz dzieje z tobą, z twoim dzieckiem. On myśli, że jest moje? Kompletnie mu odbiło?

- To przez jego rodzinę...
- Zaraz - przerwał. W jego oczach błyszczała złość. - Ile on ma lat? Czterdzieści? Nie zwalaj winy na jego rodzinę. Mógł coś powiedzieć.
- I powiedział, wierz mi, ale ta rodzina to styl życia.
- Dlaczego ty ich bronisz?
- Nie bronię. Żyją w tak elitarnym świecie, że pod pewnymi względami są pół wieku z tyłu.
- No cóż, mylą się.
- Jasne, że się mylą - przytaknęła. — Nie wierzę, że reszta świata jest zła, a przynajmniej nie chcę w to wierzyć. Twoja Ali jest szczęśliwa. Akceptuje kolor swojej skóry, tak jak akceptuje włosy i uśmiech. Chcę, żeby Lizzie była taka sama.
- No to popracuj nad mężem — mruknął.
- Tato! - wrzasnęła Ali, podbiegając do nich. — Widziałam dziecko, E-lizabeth. Dana, Dana, ona jest taka ma-ła. - Skuliła ramiona i postukała kciukiem o palec wskazujący. - Jej nos jest taki ma-ły, i usta, i oczy. Dlaczego jest taka ma-ła?
- Dana położyła rękę na głowie Ali.
- Ma dopiero dwa dni. Zdumiewające, prawda?
- Ali złapała Dane za rękę.
- Chcę ją potrzymać. Babcia Ellie kazała cię zapytać. Mogę, Dana?
- Najpierw Lizzie musi się przebudzić.
- Mogę ją zabrać na spacer? Popchać wózek? Babcia Ellie mówi, że może mi pozwolić...
- Nic z tego, słonko - wtrącił David. - Niedługo idziemy na spotkanie z trenerem.
- Biorę lekcje pływania na basenie - wyjaśniła Ali i spojrzała na ojca. - No to może później? - zapytała błagalnie. - Przecież mamy całe popołudnie i cały wieczór.
- Nie, nie mamy - odparł. — Musimy kupić parę rzeczy na wyprawę, a potem się spakować. Wyjeżdżamy jutro z samego rana.
- Ali przywarła do Dany.
- Będę miała śpiwór, latarkę i plecak - wyjaśniła podnieconym

tonem. — Babcia Ellie robi sweter dla małej E-lizabeth. Ja też jej zrobię sweter. Mogę, Dana?

- Sweter? — powtórzyła Dana z uśmiechem. - Kiedy nauczyłaś się robić na drutach?

- Jeszcze nie zdażyłam, ale ostatnio obiecałaś, że mnie nauczysz. Chcę się teraz nauczyć.

- Nie jesteś za mała? - spytał David.

- Nie. Dana miała siedem lat. Ja mam prawie osiem.

David westchnął.

- Może i tak. Ale to nie jest najlepszy moment. Dana właśnie urodziła dziecko.

Ali objęła Dane w pasie i powiedziała:

- Mogę zająć się dzieckiem, kiedy będzie mnie uczyła. - Spojrzała w górę. - Będziemy się uczyć w sklepie?

- Ali... - zaczął David, ale Dana dotknęła jego ramienia.

- Bardzo chętnie, David. Wracacie z wycieczki w niedzielę wieczorem, prawda? No to może w poniedziałek?

- Na twoim miejscu nie składałbym żadnych obietnic — powiedział.

Pomyśl o Hugh, dodały jego oczy.

- Zrobię, co zechcę - oświadczyła stanowczo. - Z przyjemnością pokażę Ali, jak się robi na drutach. I z przyjemnością zrobię to w poniedziałek.

9

Mama z przyszpitalnego ogrodu nazywała się Crystal Kostas, chociaż Hugh poznał jej nazwisko dopiero podczas spotkania w cztery oczy. Kiedy zadzwoniła do jego biura późnym wtorkowym popołudniem, przedstawiła się tylko jako Crystal i nie chciała zostawić numeru telefonu. Na szczęście sekretarka Hugh, Sheila, od razu wyczuła zdenerwowanie dziewczyny i umówiła ją na spotkanie w piątek rano.

Crystal przyszła ubrana w długą spódnicę i podkoszulek oraz znoszone sandały. Jej kasztanowe włosy ze śliwkowymi pasemkami były ujarzmione na karku kłamrą, a twarz wydawała się jeszcze bardziej spięta niż wtedy w szpitalu.

Zaprowadził ją z recepcji do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Wskazał kobiecie jeden ze skórzanych foteli, a ponieważ wyglądała na ogromnie zdenerwowaną, dodał:

- Wolałaby pani, żeby był tu z nami mój wspólnik?

Pokręciła głową i rozejrzała się wokół siebie. Popatrzyła najpierw na dyplomy na ścianie, na zdjęcie Dany na stoliku, a potem na podpórki do książek, wykonane z brązu przez artystę z Martha's Vineyard. Rodzice Hugh mieli dom w Menemsha, ale Hugh i Dana dopiero tego lata tam dotarli.

- Kawy? - spytał.

Pokręciła głową.

Postawił popielniczkę na stoliku nieopodal jej fotela i usiadł.

Teraz przyglądała się zdjęciom na ścianach. Oprawione w drewniane ramki fotografie z rozmaitych imprez charytatyw-

nych przedstawiały Hugh w towarzystwie sław. Na pewno była pod wrażeniem, jak większość jego klientów. Przecież o to właśnie chodziło.

Pochylił się i oparł ręce na kolanach.

- Gzy dziś bardziej przypominam prawnika?

Miał na sobie beżowe spodnie, rozpiętą pod szyją koszulę i granatowy sweter.

Zerknęła na niego.

-Tak.

-Jak się miewa pani syn? - zapytał.

- Niezbyt dobrze.

- Czy stan jest stabilny?

Skinęła głową.

- Proszę powiedzieć coś więcej, Crystal.

Przygryzła wargę, po czym, najwyraźniej zrezygnowana, przyznała:

- Dobrze się goi po operacji. Jest w gipsie, i złamaną nogę też ma w gipsie. Ale przynajmniej zniknęły ból i odrętwienie. I paraliż.

- Paraliż?

- Z powodu... eee... - Niepewnie machnęła ręką. - Nazywają to jakąś znieczulicą. Siodłową. Podniosła wzrok, lewe oko znowu uciekło w bok. - Znieczulica siodłowa. Nie kontrolował pęcherza. Po operacji jest już w porządku.

- Kiedy wróci do domu?

- Wkrótce. - Z wyrazu jej twarzy wynioskował, że nie jest to dobra informacja. - Nie wiem, jak będę go nosić z tym całym gipsem po schodach. No i minie trochę czasu, zanim dowiemy się czegoś o tych płytkach.

- Ile to jest trochę czasu?

- Może sześć tygodni, kiedy wrócimy na zmianę formy gipsu na mniejszą. Albo za dwa lata. Nie chcą, żeby Jay krzywo rósł. Operacje by temu zapobiegły. - Wyraźnie się ożywiła. - Ciągłe gadają o takim jednym lekarzu w szpitalu dziecięcym w St. Louis. Że gdyby Jay był ich dzieciakiem, to tylko jemu by go powierzyli, ale to daleko, a ja nie mam forsy na podróż. No a kiedy siedziałam

i karmiłam Jaya, babka ze szpitala przyszła pogadać o finansach. Szpital chciał zrobić operację, bo myśleli, że nie mam żadnych pieniędzy, a potem zajrzeli w dokumenty i twierdzą, że za dużo zarabiam. Zarabiam dwadzieścia osiem tysięcy dolarów rocznie. Wie pan, jak to niewiele, kiedy się próbuje wychować dziecko?

Hugh już to przerabiał z innymi klientami.

- Nadal chce pani ze mną pracować?
- Nie zapłacę - oświadczyła z naciskiem.
- Mówiłem, że nie wezmę od pani żadnych pieniędzy, i obiecałem, że poświadczę to na piśmie. Proszę o nazwisko, od tego zaczniemy. — Wziął kartkę papieru i długopis. — Crystal, tak?
- Sprawdziłam pana - powiedziała. - Nikt pana nie pozwał.
- Nie.
- I wygrał pan sporo spraw.
- Staram się.
- I pańska żona rzeczywiście właśnie urodziła dziecko.
- Skąd pani to wie? - spytał nieco podejrzliwie. — Dane w szpitalu nie są ogólnie dostępne.

Crystal z niejaką satysfakcją uniosła brodę.

- Po naszej rozmowie poszłam do informacji i oświadczyłam, że przyszłam do Clarke'ow. Powiedzieli mi, w którym pokoju leży pana żona. Chciałam tylko sprawdzić, czy pan nie kłamie.
- Nie kłamię - odparł i czekał. Wiedziała, co dalej robić, jeśli mieli współpracować. - Zaczniemy od nazwiska. A właściwie od trzech nazwisk - pani, jego i syna.

Zaczęła od siebie.

- Nazywam się Kostas. - Przeliterowała. - Mój syn to Jay Liam Kostas.
- A ojciec?
- J. Stanton... - zawahała się.
- J. Stanton. Był tylko jeden J. Stanton w Kongresie.
- Mówi pani o Hutchinsonie?
- Zacisnęła usta.

- Stan Hutchinson jest ojcem pani dziecka? - zapytał ze zdumieniem.

- Nie wierzy mi pan. — Złapała za torebkę. - Nie powinnam była przychodzić.

- Wierzę pani. - Chwytał ją za nadgarstek. — Znam jego reputację. - Puścił rękę kobiety. - Proszę usiąść.

Przełknęła ślinę, usiadła i powiedziała posępnie:

- Reputację? Jeśli słuchał go pan w telewizji, na pewno nie przyszło panu do głowy, że może mieć coś na sumieniu.

- Jasne, że nie. Poucza wszystkich na temat moralności, ale z przykrością muszę pani wyznać, że...

Urwał. Wiele kobiet wierzyło, że to właśnie one odbijają tego człowieka żonie. Zastanawiał się, czy Crystal Kostas również żywiła taką nadzieję.

- Chce pan powiedzieć, że nie jestem pierwsza - odezwała się bezbarwnym tonem. - Jego człowiek już mi to mówił, kiedy zadzwoniłam do siedziby sztabu. Śmiał się okropnie i powiedział, że kobiety bez przerwy usiłują oskarżyć o takie rzeczy senatora i że powinnam ustawić się w kolejce. Dodał, że to strata czasu, bo wszyscy wiedzą, że senator jest żonaty i nie uznaje zdrady małżeńskiej. Tyle że ja nie chcę senatora. - Prychnęła z obrzydzeniem. - Po prostu chcę najlepszej opieki medycznej dla swojego syna. Dla jego syna.

- Hutchinson. To będzie niezła sprawa.

- Mam szansę wygrać?

- Zakładając, że znajdziemy niepodważalne dowody na to, że była pani razem z nim w chwili poczęcia dziecka. Mówiłem to pani w szpitalu we wtorek. Hutchinson nie będzie chciał przydawać tej sprawie rozgłosu. Dwa jego główne postulaty to wartości rodzinne i opieka medyczna dla nieubezpieczonych. Wasz syn stanowi jawne zaprzeczenie ich obu.

- Ale te inne kobiety... Domyśla się pan, jak ja się wtedy poczułam.

Hugh miał ochotę zauważyć, że przecież spała z żonatym. Jego zadaniem nie była jednak ocena moralności klientki, tylko reprezentowanie jej praw.

- Ironia losu polega na tym, że senator miał tyle kobiet, że szef jego sztabu może sobie pozwalać na teksty, przez które one wszyst-

kie czują się okropnie. - Hugh odchylił się i uśmiechnął. - Najwyraźniej żadna z tych kobiet nie miała możliwości go poznać. Pani ma. - Wyciągnął notatnik. - Ile ma pani lat?

- Dwadzieścia dziewięć.

- Chłopiec ma cztery?

- Tak.

- Gdzie mieszkanie?

Kiedy zapisał adres, wydarł kartkę i zadzwonił do Melissy Dubin. Być może mężczyzna lepiej poradziłby sobie z adwokatem Hutchinsona, ale Melissa z całą pewnością lepiej poradzi sobie z Crystal, a na tym etapie to ona była najważniejsza. Bez miażdżących dowodów nie uda się zmusić Hutchinsona do badania DNA, a tylko ono mogło bez cienia wątpliwości udowodnić ojcostwo senatora.

Hugh pomyślał o Danie i poczuł niepokój. Była naprawdę zła. Nie chciał uwierzyć, że spała z Davidem, ale czy rzeczywiście dobrze go znał? Czy dobrze znał Dane?

- Proszę opowiedzieć mi o sobie - zaproponował.

Pogrzebała w torebce i wyciągnęła z niej papierosa, ale go nie zapaliła.

- Proszę pytać.

- Dorastała pani w Pepperell?

- Tak.

- Z rodzicami?

- Ojciec zmarł, kiedy miałam dziesięć lat. Rak płuc.

Hugh robił wszystko, żeby tylko nie patrzeć na papierosa w jej ręce. Nie był jednak lekarzem, a już na pewno nie jemu było osądzać jej postępowanie.

- Ma pani rodzeństwo?

- Brata w lotnictwie. Rzadko go widzimy.

- Więc mieszka pani sama?

- Z Jayem.

- Umawia się pani na randki?

- Kiedyś się umawiałam. - Zmarszczyła brwi. - Już nie, odkąd urodził się Jay, ale jakie to ma znaczenie?

Hugh odłożył długopis.

- Jeśli oświadczy pani, że Stan Hutchinson jest ojcem dziecka, pierwsze, co zrobią jego ludzie, to będą usiłovali wykazać pani rozwiązłość. Test DNA potwierdzi, kto jest ojcem dziecka, ale oni postarają się nie dopuścić do badania. Jeśli często miewała pani przygody na jedną noc albo problemy, które mogły znaleźć się w aktach, muszą to wiedzieć. Czy jest coś, co powinienem wiedzieć na temat pani i mężczyzn?

- Nie.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, po chwili Melissa wśliznęła się do gabinetu. Hugh przedstawił ją Crystal, dał jej wydartą kartkę papieru i poprosił o sporządzenie umowy.

Po wyjściu Melissy ponownie spojrzął na Crystal.

- Chciałbym porozmawiać z lekarzami syna. Nie ma pani nic przeciwko temu?

- Czy to, co mówię, nie wystarczy? - zapytała.

- Mnie wystarczy. Ale nie Hutchinsonowi ani nie sędziemu. Im więcej ludzi będzie ręczyło za panią i waszą sytuację, tym lepiej. Jay znajduje się w dobrym szpitalu. Opinia lekarzy będzie zasadnicza do oceny stanu jego zdrowia. Poza tym, musimy też wiedzieć, ile pieniędzy potrzeba na leczenie w następnych latach.

Crystal włożyła papierosa do ust i zaczęła szukać w torebce zapalek.

Hugh jej nie poganiał. Z tego, co widział do tej chwili, nie wątpił, że kobieta podejmie właściwą decyzję.

- No dobrze — powiedziała w końcu. - Jego lekarz nazywa się Howe. Chyba Steven Howe.

Hugh znał to nazwisko. Steven Howe był doskonałym lekarzem. Punkt dla nich. Zapisał nazwisko na bloczku i przełożył kartkę.

- Proszę opowiedzieć o swojej pracy.

- Jestem kelnerką.

- Zawsze nią pani była?

- Tak. Zaczęłam pracować w weekendy, kiedy miałam szesnaście lat. Jeśli czeka pan, aż powiem, że marzyłam o studiach,

to się pan nie doczeka. Beznadziejnie się uczyłam, nie cierpię tego.

- Proszę opowiedzieć mi o swojej pracy. Gdzie pani pracuje?

Zaciągnęła się papierosem i wydmuchując kłęb dymu, odparła:

- To grill bar. Mnóstwo wołowiny i kurczaków. I stałych klientów, którzy zostawiają sporo napiwków. I dużo wody. Bardzo dużo. Z tego są największe profity dla szefa i dla mnie.

- Kto jest pani szefem?

Popatrzyła na swoje ręce, obróciła papieros w palcach, zaciągnęła się ponownie.

- Muszę wiedzieć - wyjaśnił jej Hugh spokojnie. - On zaświadczy, że Hutchinson był w barze tamtego wieczoru, kiedy pani pracowała.

- Todd MacKenzie - wymamrotała. — Grill bar „U Maca”. To właściciel.

Hugh zapisał to wszystko.

- Od dawna tam pani pracuje?

- Od ośmiu lat, z dwumiesięczną przerwą po narodzinach Jaya.

- Pracowała pani aż do porodu? - spytał Hugh ze zdumieniem.

- Nie przytyłam tak bardzo, a poza tym stali klienci mnie lubią — dodała z półuśmiechem. - Tak jakby się mną opiekują.

Hugh podejrzewał, że z pewnością wpadła w oko niejednemu z nich. Już przy poprzednim spotkaniu zauważył, że jest atrakcyjna.

- Czy Todd wie, kto jest ojcem pani dziecka?

- Domyślił się. Nie zaprzeczyłam.

- Widział, jak wychodzi pani z Hutchinsonem?

- Nie wyszłam z nim. Czekał na zewnątrz w swoim aucie, kiedy skończyłam pracę.

- Był sam?

- Tak.

- Czy samochód był z wypożyczalni?

- Nie wiem.

- Kolor? Marka?

- Nie pamiętam.
- Kto zaczepił kogo?
- Ja poszłam do samochodu. On czekał, nikogo już nie było. Zapytał, dokąd moglibyśmy pojechać. Powiedziałam, żeby jechał za mną.

- Dlaczego?
- Bo nie znał drogi.
- Chodzi mi o to, dlaczego chciała pani z nim być? Przecież podobno nie miewała pani jednonocnych przygód.

Znów się zaciągnęła.

- Czułam się samotna. On był pod ręką, do tego przystojny.

- Wiedziała pani, że jest żonaty?

- Wtedy nie.

- No dobrze. Pojechaliście do motelu. Nazwa?

- Exit Inn. To taki motel trochę na uboczu.

Hugh wszystko zapisywał.

- Pani wynajęła pokój?

- Tak. Dał mi pieniądze.

- Pamięta pani nazwisko recepcjonisty?

- Nie.

- Cofnijmy się trochę w czasie. Czy Hutchinson miał na sobie garnitur?

- Nie. Koszulę w kratę i spodnie.

- Flanelową? Taką jak na polowania?

- Tak.

- Kolor?

- Nie pamiętam.

- Flirtowała z nim pani w barze?

- Nie rozmawialiśmy. Tylko... Tylko on tak na mnie patrzył.

Hugh nie musiał pytać, co to znaczy „tak patrzył”. Hutchinson był wytrawnym uwodzicielem. Mógł rozmawiać w pokoju pełnym ludzi, ale kiedy jego wzrok spoczął na kobiecie, czuła się tak, jakby była tam jedyną osobą.

- Czy ktoś jeszcze to zauważył? Może szef?

- Nie wiem.

- Czy Hutchinson rozmawiał z któryś klientów?

- Nie pamiętam.

- Czy płacił za posiłek kartą kredytową? - spytał Hugh. Wyciąg z banku byłby dowodem na obecność Hutchinsona w lokalu.

- Nie płacił. Zapłacił ten, który był razem z nim.

- Pamięta pani datę?

- Siedemnastego października.

- Nie zastanawiała się pani nawet przez chwilę - zauważył Hugh.

- Bo to moje urodziny — wyjaśniła. - Nikt nie pamiętał o moich urodzinach, on zresztą też nie. Ale tamtej nocy i tak coś dostałam. - Zgasiła papierosa. - Jay był najlepszym prezentem urodzinowym, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Nigdy nie żałowałam, że się urodziłam. To najwspanialsze, co mi się w życiu przydarzyło. Jego ojciec był... — wyduła górną wargę — ...tylko sposobem na to, żeby Jay przyszedł na świat. Gdyby nie ten wypadek, w życiu bym nie próbowała się z nim skontaktować.

Chociaż jej pewność siebie była krzepiąca, nasuwało się następne pytanie.

- Zaplanowała to pani? Czy chciała pani zająć w ciąży?

To by nieco skomplikowało sprawę.

- Nie - oświadczyła z naciskiem. - Kazałam mu włożyć prezerwatywę. Nie sprawdziła się.

- Skoro po tej nocy nie chciała pani mieć z nim do czynienia - zaczął Hugh, próbując przygotować ją na to, co z pewnością powie adwokat Hutchinsona, gdy Crystal będzie zeznawała — po co zadzwoniła pani do niego po narodzinach Jaya?

- Tylko żeby mu powiedzieć, że ma syna.

Hugh pomyślał, że Stan Hutchinson ma jeszcze dwóch synów i trzy córki, o kilkorgu wnuczętach nie wspominając, kiedy Crystal dodała:

- Pomyślałam, że może będzie chciał poznać swojego syna. Głupia byłam. Dał mi nauczkę. Więcej nie dzwoniłam. I teraz też nie chciałabym jego forsy, gdyby nie Jay. Pana zdaniem nie będzie chciał tego nagłaśniać ze względu na swoją reputację, ale co ze

mną? Myśli pan, że fajnie jest domagać się pieniędzy od kogoś, kto uważa mnie za szmatę?

- Nie. Pewnie nie.

- Na pewno nie — podkreśliła dobitnie. - Nie znoszę bogaczy. Są płytycy, bezduszni i skąpi. Wykorzystują ludzi i wyrzucają ich, kiedy nie są im do niczego potrzebni.

- Ja jestem bogaty - powiedział Hugh.

Płytki i bezduszny? Nie. Jemu badanie DNA potrzebne było, by uciąć pytania rodziców i żarty kolegów.

Wróciła Melissa Dubin z umową. Hugh przejrzał dokument i wręczył go Crystal. Przeczytała go raz, potem drugi.

- Gdzie haczyk?

- Haczyk jest taki, że po podpisaniu będzie pani musiała odegrać swoją rolę. Przeszukać pamięć, naprawdę ją przetrząsać i przypomnieć sobie każdy szczegół dotyczący tamtej nocy z Hutchinsonem. Wszystko, co zdoła sobie pani przypomnieć, może okazać się pomocne. Takie drobiazgi jak to, czy nosił zegarek, czy zachowywał się nietypowo, jakie miał ubranie, jak wygląda jego ciało. Będziemy rozmawiali z lekarzami i pani szefem, ale to pani była z tym mężczyzną tamtej nocy. Wystarczy, że powie pani, że ma myszkę na udzie - zakładając, że brukowce nigdy o tym nie pisały - mamy przewagę.

Wydawała się zniesmaczona.

- Nie poradzę sobie bez pani - ostrzegł ją. - Oferuję swoje usługi za darmo, ale nie zamierzam przegrać, a tak się stanie, jeśli nie będziemy ze sobą współpracowali. Czy to jasne?

Wahała się przez chwilę, ale podpisała dokument. Hugh także podpisał, złożył jeden egzemplarz, wsunął go do koperty i jej podał.

- To co, pomyśli pani?

- Teraz? — spytała potulnie.

Podszedł do stolika, wyciągnął z niego niewielki notes, wziął długopis i podał Crystal oba przedmioty.

- Jak najszybciej. Proszę zapisywać te rzeczy. Proszę spróbować przeżyć tamtą noc po raz drugi. Chcę wiedzieć, co miała pani

na sobie, o której wyszła pani z pracy, o której przyjechaliście do motelu, o której wyszliście. Proszę przypomnieć sobie recepcjonistę. I to, gdzie pani zaparkowała. Czy Hutch zaparkował obok? Kiedy wychodził, czy mówił, dokąd idzie? Jeśli zna pani szczegóły z jego rozkładu dnia, które nie są publicznie znane, to dowód, że naprawdę z nim pani była.

Zmarszczyła czoło, wpatrzona w notes. Kiedy uniosła wzrok, spytała podejrzliwie.

- Hutch? To przezwisko?

- Hm, tak.

- Nigdy nie słyszałam tego w telewizji.

- Szczerze mówiąc, znam go osobiście — wyznał Hugh. — Ma dom letniskowy niedaleko naszego.

- Jeśli to pana sąsiad, to dlaczego chce pan go dopaść? - zapytała ze zdumieniem.

Hugh mógłby powiedzieć coś o świętoszkowatości tego mężczyzny albo jego skłonnościach do nieczystej gry. Mógłby wspomnieć, że Hutch przemawia na każdej imprezie dobroczynnej, ale nigdy nie otwiera portfela, albo że potraktował Eatona z wyższością, odmawiając wywiadu do *Rodowodu pewnego człowieka*. Mógłby też dodać, że facet upiera się przy obsłudze grilla, ale przypała hamburgery i hot dogi, a kukurydzę gotuje tak długo, że ziarna robią się twarde, ale przecież nie o to chodziło.

- Bo źle postępuje - odparł krótko.

10

Wtym samym czasie, gdy Hugh wypytywał Crystal, Dana wyruszyła do Włóczkami z podobną misją. Miała niewątpliwie trudniejsze zadanie. Po pierwsze, jej matka, która znała poszukiwanego mężczyznę, nie żyła. Po drugie, zdarzenia rozegrały się trzydzieści pięć lat temu.

Na domiar wszystkiego, mężczyzna nazywał się Jack Jones. Nie ulegało wątpliwości, że w czasie poczęcia Dany, w mieście Madison i jego okolicach w stanie Wisconsin przebywało co najmniej kilkudziesięciu Jacków Jonesów. Znalezienie właściwego mogło graniczyć z cudem, ale Dana niemal rozumiała, dlaczego Hugh tak zawzięcie dąży do odkrycia prawdy.

— Cześć, Lizzie, jak się miewa moja Lizzie? — zawołała, patrząc w lusterku na tylne siedzenie. Jak na ironię, przyczyna niezgody mogła być jedyną pociechą w tych ciężkich chwilach.

Niezgody? Sytuacja była o wiele poważniejsza i budziła niepokój. Dana usiłowała odzyskać dobre samopoczucie, przypominając sobie, że robi karierę zawodową, ale kiedy zadzwoniła do Cunninghamsów w sprawie przełożenia spotkania, nikogo nie zastała. Podobnie rzecz się miała z Izbą Wystawienniczą Projektantów Północnego Wybrzeża, dla której przygotowywała projekt, swój debiut po narodzinach dziecka. Gdy zadzwoniła, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja z kilkoma meblami zamówionymi przez dotychczasowych klientów, nie dowiedziała się więcej niż przy okazji rozmowy telefonicznej przed tygodniem.

Tak czy owak, czuła ulgę, mogąc wyrwać się z domu. Organizm Dany jeszcze nie odzyskał dawnej sprawności, lecz przyciśnięcie stopą pedału gazu sprawiało jej niesłychaną przyjemność. Babcia Ellie trafnie to ujęła. Powiedziała, że życie przypomina surową wełnę, pełną kudłów i supłów, które należy starannie usunąć i wygładzić podczas przędzenia.

Staranne przędzenie. Tylko tyle. Da sobie radę. Z pewnością.

Skręciła w kierunku podjazdu do Włóczkami i dostrzegła samochód babci zaparkowany obok domu z werandą. Minęła auto i dojechała do sklepu. Tam wygramoliła się z fotela kierowcy, po czym otworzyła drzwi od strony Lizzie.

- Witaj, maleńka - odezwała się i pochyliła z promiennym uśmiechem nad córką. - Chcesz zobaczyć, gdzie dorastała mamusia? A może popatrzysz, gdzie mamusia mamusi kiedyś spędzała czas? - Głos uwiązał jej w gardle, więc skupiła uwagę na odczepianiu fotelika ze specjalnej podstawy. - Bardzo ci ładnie w zielonym - zapewniła córkę, podziwiając jej śpioszki oraz czapeczkę do kompletu. Po kilku sekundach ściągnęła ją dziecku z głowy i rzuciła na tylne siedzenie. - To nam nie będzie potrzebne - zdecydowała. Zmierwiła loczki Lizzie i pocałowała ją w czoło. - To też nie - dodała i zostawiła w samochodzie kocyk.

Ledwie zdążyła uchylić drzwi siatkowe, gdy Gillian znalazła się u jej boku. W mgnieniu oka otoczyły ją także Tara, Olivia oraz Nancy, i zgodnie zaczęły głośno zachwycać się maleństwem.

Roześmiana Dana postawiła torby na ławce przy drzwiach. Ellie Jo, która obserwowała całą scenę przy długim dębowym stole, szeroko rozłożyła ramiona.

- Nie powinnaś była prowadzić - zbeształa wnuczkę. - Jeszcze nie doszłaś do siebie.

- Lekarz mi nie zabronił. Babciu, czuję się dobrze, naprawdę.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Ty też. Ja jestem usprawiedliwiona, a ty?

Ellie Jo się uśmiechnęła.

- Zmartwienia. - Wzięła Dane pod rękę i odciągnęła od przyjaciółek. - Jak tam Hugh?

— Bez zmian. — Dana rozejrzała się po sklepie. Uwielbiała jego szaloną kolorystykę. Uniosła twarz ku wentylatorowi pod sufitem i wciągnęła do płuc esencję aromatu wczesnych jabłek odmiany makintosh. — Ach — westchnęła. - Od razu lepiej. - Popatrzyła na dziecko.

Gillian trzymała Lizzie w objęciach, a pozostałe kobiety kręciły się dookoła.

— Musimy zrobić zdjęcie - zdecydowała Dana.

Corinne wzięła aparat Gillian i przystąpiła do pstrykania fotografii. Dana dyrygowała.

-Już. — Rozbłysnął flesz. - Teraz Gillian i Lizzie we dwie. Idealnie. - Następny błysk. - Ellie Jo, dołącz do nich, dobrze?

Gdy ktoś zaproponował, aby Dana też wystąpiła na zdjęciu, młoda mama zgodziła się z ochotą. Przyszło jej do głowy, że właśnie na tym polega macierzyństwo.

Gillian uparła się, żeby zaprezentować kołyskę, którą cała grupa kupiła dla Lizzie.

-Jest wspaniała! - wykrzyknęła Dana i zasłoniła usta dłonią. Z kołyski zwisała estetycznie udrapowana, zrobiona na drutach kołderka. Widniało na niej imię i nazwisko dziecka oraz data narodzin. Upominek był tak piękny, że Dana wybuchnęła płaczem. Wyściskała wszystkie przyjaciółki, a potem postanowiła koniecznie otulić Lizzie kołderką. Corinne nie omieszkała zrobić kilku zdjęć dziecku z prezentem.

Noworodek się rozpłakał.

— Ma za ciepło — zauważyła jedna z licznych matek.

— Zgłodniała — zaopiniowała inna.

Dana złożyła kołderkę i użyła jej jako poduszki, aby do karmienia wygodnie usadowić się na jednym z krzeseł. Lizzie przyssała się natychmiast, za pierwszym razem, co świadczyło o jej głodzie lub o komfortowej atmosferze w sklepie. Dana była pewna, że chodzi o to drugie, i cieszyła się z przyjazdu tutaj. Przyjaciółki miały na nią krzepiący wpływ do tego stopnia, że postanowiła poruszyć temat ojca.

— Muszę go znaleźć - oznajmiła cicho.

- To nie lada wyzwanie, moja mała - ostrzegła ją Gillian. — Od chwili, gdy ujrzałam Lizzie, usiłuję sobie przypomnieć wszystko, co wiem, i zebrało się tego tyle, co nic. Dorastałam z twoją mamą. Byłyśmy przyjaciółkami od serca, oddaliłyśmy się od siebie tylko podczas studiów. Widywałyśmy się wówczas na Boże Narodzenie i latem. Rozmowy telefoniczne były naprawdę kosztowne. Jak sądzę, Liz poznała twojego ojca podczas przerwy wiosennej, potem zajęła się pracami semestralnymi i przygotowaniem do końcowych egzaminów. Gdy wróciła do domu na lato, wiedziała już, że jest w ciąży.

Informacje Gillian pokrywały się z tym, co ustaliła Dana.

- Czy on tam studiował?

- Tego nie wiem. Twoja mama nie chciała o tym mówić. Oświadczyła tylko, że między nimi wszystko skończone, że chce cię urodzić i że nie wraca do college'u.

- Czemu wołała o tym nie mówić?

- Zapewne dlatego, że poruszanie tego tematu sprawiało jej ból.

- Nie chciała, żeby to się skończyło?

Gillian uśmiechnęła się melancholijnie.

- Tak bym to rozumiała. Każda kobieta marzy o tym, by jej bohater się objawił i zabrał ją ze sobą. - Nagle się zreflektowała.

- Cóż, przynajmniej dawniej marzyło się nam coś podobnego.

Dana nie uważała, by czasy jakoś szczególnie się zmieniły. Wystarczyła jedna lub dwie kosmetyczne korekty, a opowieść Gillian jak ulał pasowałaby do jej doświadczeń z Hugh.

- Wiedział o mnie? — spytała, wróciwszy do tematu ojca.

- Odnoszę wrażenie, że zniknął, zanim Liz zorientowała się, że jest w ciąży.

- Mam zdjęcie ojca z jakiegoś baru. Kto je zrobił?

Gillian pokręciła głową.

- Przyjaciółka? Może współlokatorka?

- Pamiętasz nazwiska jej przyjaciółek z tamtego miejsca?

- Tylko niektóre imiona. Pamiętam jakąś Judy i jeszcze Carol.

Nazwisk sobie nie przypomnę.

- Mieszkała w jednym pokoju z Carol - oświadczyła Ellie Jo.
- Nazwiska zapomniałam.

—Jest szansa, że znajdziemy te dziewczyny w księdze rocznikowej? - spytała Tara.

Dana znała odpowiedź na to pytanie.

- Nawet jeśli tam figurują, to i tak nie mamy księgi. Mama nie ukończyła college'u. Zrezygnowała z nauki po trzecim, przedostatnim roku, aby mnie urodzić. Zresztą nawet gdybyśmy jakoś zdobyły księgę rocznikową, to możecie sobie wyobrazić, ile Carol i Judy studiowało na dwudziestotysięcznej uczelni. - Spojrzała na Gillian. —Jak sądzicie, zwierzyła się komuś innemu? Lekarzowi?

- Leczyła się u doktora Toma Milтона, tu w mieście, ale on już od lat nie żyje.

- Zatem pozostaje tylko współlokatorka - mruknęła Dana.
- Gdzieś musi widnieć jej nazwisko. Może w pudle na strychu?

- Tam są tylko podręczniki - odparła Ellie Jo. - Na dodatek zaledwie kilka sztuk. Elizabeth nie darzyła szkoły sentymentem. Po egzaminach zawsze sprzedawała podręczniki, które nie były jej już potrzebne. Tych nie zdążyła się pozbyć.

- Czemu je trzymasz? - zainteresowała się Tara.

Ellie Jo myślała przez dłuższą chwilę, nim odparła:

- Bo należały do niej.

Och, Dana doskonale ją rozumiała. Sama przechowywała pudła ze zgromadzonymi przez mamę materiałami do robótek: nigdy nie wykorzystaną włóczką, wzorami, resztkami motków.

- Może coś się kryje w podręcznikach - zasugerowała. - Jakaś znacząca notatka na marginesie...

- Przejrzałam każdą z tych książek z osobna i nic tam nie ma - upierała się jej babcia. - Nie trać czasu. Masz dziecko, którym powinnaś się zajmować.

Dana ułożyła Lizzie na kolanach i zaczęła masować jej plecy. Corinne podeszła bliżej.

- Ona ma taką piękną skórę - westchnęła. - Oliver i ja przyjaźnimy się z kobietą, której prababcia niewątpliwie była czarnoskóra. Nasza przyjaciółka ma jasne włosy i niebieskie oczy. Zawsze

uważałam, że wyglądałaby znacznie bardziej charakterystycznie, gdyby zachowała parę cech przodków.

Charakterystycznie. Danie spodobało się brzmienie tego słowa. Charakterystyczny znaczyło wyjątkowy, szczególny. Właśnie w taki sposób Dana postrzegała swoje dziecko. Ten wyraz mógł także oznaczać rzucające się w oczy cechy. Clarke'owie tak widzieli dziewczynkę.

- Czy wasza przyjaciółka identyfikuje się z babcią?

- Identyfikuje? Może w skrytości ducha. Przyznaje do niej? Na pewno nie publicznie. Dla innych jest biała aż do szpiku kości.

Dana się wzdrygnęła.

- Ciekawe, dlaczego ta uwaga zabrzmiała nieprzyjemnie?

- Bo została wypowiedziana prosto z mostu - wyjaśniła Gillian.

- Fakt — przyznała Corinne. - Ale jest celna. Bycie czarnym nadal nie jest w dobrym tonie.

Ta uwaga jeszcze mniej się podobała Danie.

- Jak zdefiniowałabyś słowo „czarny”? - spytała.

- W tym kraju przestrzega się zasady jednej kropli - odparła Corinne bez namysłu. - Właśnie dlatego moja przyjaciółka milczy na temat swoich korzeni. W Yale mieszkaliśmy w jednym pokoju. Niedługo po tym, jak zaczęłam się spotykać z Oliverem, ona zainteresowała się jego czarnoskórym przyjacielem. Jej matka dostała szału, gdy się dowiedziała. To zdarzenie nas zbliżyło. Szanuję to, kim ona jest, i rozumiem, co robi. Razem pracujemy w zarządzie muzeum.

- Wobec tego, czy różnica między rasami ma charakter społeczno-ekonomiczny? — zapytała Dana.

Ale Corinne patrzyła już na tarczę rolexa.

- Coś mi się przypomniało w związku z zarządem - oświadczyła. — Muszę uciekać. Przygotowujemy się na spotkanie z naszym najważniejszym sponsorem. Lizzie jest naprawdę cudowna, Dana. Ciesz się nią, ile możesz.

Dana patrzyła, jak Corinne podchodzi do stołu, wkłada swoją robótkę do torby i rusza do drzwi. Po jej wyjściu zirytowana rozmową nie mogła powstrzymać pełnych goryczy słów.

- Jak to możliwe, że lniane ubranie Corinne nigdy się nie gnie-

cie? — westchnęła. Jej własna bluzka wyglądała tak, jakby ostatniej nocy posłużyła za piżamę. Inna sprawa, że jeszcze przed chwilą leżało pod nią dziecko. Mimo to... - Wystarczy, że spojrzę na len i od razu jest wymięty.

— Krochmal — orzekła Tara. — Ona jest cała sztywna od krochmalu.

Dana się zgodziła. Przed rozmową z Corinne czuła się całkiem nieźle.

Podniosła Lizzie i popatrzyła małej w twarz.

— Corinne jest dziwna.

Dziecko beknęło. Dana i Tara się roześmiały.

— Zawsze kupuje najtańszą włóczkę - ciągnęła Dana. - Zauważyliście? Zachwyca się motkiem czystego kaszmiru i mówi o tym, ile go potrzebuje na jakiś sweter, a potem dodaje: „Kupię go, jak dokończę szal”. Ostatnio tylko szale jej w głowie. Kiedyś dziergała wyłącznie swetry.

— Szale są modne.

— Ona robi takie, do których wystarcza najłżejszy motek wełny, nie droższy niż pięć doliców.

— Świetnie sobie radzi. - Ellie Jo postanowiła bronić Corinne.
- Nie wszystkie kobiety tak sprawnie robią na drutach.

— Ale nigdy nie kupuje drogiej włóczki, mam rację?

Ellie Jo pokręciła głową.

— Nie masz - zaprzeczyła. — Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu kupiła motek podwójnego jadeitowego szafiru. Za trzydzieści pięć dolarów.

— Motek? Jeden?

— Tyle było trzeba zgodnie ze wzorem. Corinne robi берет.

— Niech będzie - westchnęła Dana i podsunęła Lizzie drugą pierś. - Może w tej sprawie się mylę, ale mniejsza z kupowaniem włóczki. Ta kobieta jest zbyt gładka, aby ją uznać za rzeczywistą. Nic nie jest w stanie jej poruszyć.

— To zaleta - zaoponowała Ellie Jo. - Nie kpiłabym z niej.

— Nie kpię — zaprzeczyła Dana i zastanowiła się, jak wyrazić to, co czuje. - Po prostu jest taka... spokojna. Pomyślcie tylko,

opowiadała historie o swojej mamie, która uciekła, aby dołączyć do sekty, i o mężu, który w dzieciństwie przeżył białaczkę, i o facecie, który wyremontował ich dom i przy okazji zwinął setki tysięcy dolarów. Mam wrażenie, że jej życie składa się z niezwykle dramatycznych przeżyć, a po niej wszystko spływa jak po kaczce.

- Powinnaś jeszcze wspomnieć o jej ojcu, który zginął w katastrofie lotniczej - mruknęła Gillian.

— Jej ojciec zginął w katastrofie? — Dana nie wierzyła własnym uszom.

- Jest przekonana, że przyczyną tragedii był sabotaż.

Dana powiodła spojrzeniem po twarzach innych kobiet.

- Widzicie? Właśnie o to mi chodzi. Jak ktoś może doświadczyć tylu potworności i zachować spokój?

- Jest bogata - zauważyła Tara. - To pomaga.

Zasadniczo, jako żona Hugh Clarke'a, Dana również była majątna. To jednak nie wyeliminowało u niej emocjonalnych gór i dołków. A teraz Corinne wspomniała o zasadzie jednej kropli. Dana nie czuła się czarna. Jak mogłaby spojrzeć w lustro na swoją bladą skórę oraz jasne włosy i tak się poczuć? Czy taką jednak widzieli ją Clarke'owie? Nie, nie czuła się czarna. Ale coraz bardziej czuła się obnażona.

- Może kuzynka Emma ma coś do powiedzenia? - mruknęła.

- Niezmiennie podkreślała, że była blisko związana z mamą.

- Nie dzwoń do Emmy — sprzeciwiła się Ellie Jo. - Ona o niczym nie wie.

Dane zdumiał stanowczy ton babci.

- Nie sądzisz, że dla dobra Lizzie...

- Nie, nie sądzę. Twój ojciec nie uczestniczył w twoim wychowaniu. Nie ma nawet pojęcia o twoim istnieniu. Spędził tydzień z twoją matką i nigdy potem nie przyszło mu do głowy, aby zadzwonić. Takie postępowanie nie ma nic wspólnego z troską ani z odpowiedzialnością.

- A jeśli on nie był studentem? - zapytała Gillian. — A może tylko przypadkowo znalazł się w tamtym miejscu? Mógł przecież

później próbować odnaleźć Elizabeth, ale ona już wyjechała. Można to wyjaśnić na dziesiątki niewinnych sposobów.

Ellie Jo podjęła jednak ostateczną decyzję. Z nietypową dla siebie werwą rozkazała:

- Nie szukaj tego człowieka, Dana. Ta sprawa tylko przysporzy ci bólu.

Po tym wybuchu zapadła cisza. Dana była oszołomiona, podobnie jak pozostałe kobiety w sklepie. Ellie Jo była wzorcowo łagodnym człowiekiem. Jedyne, co mogło tłumaczyć jej zachowanie, to obawa przed pojawieniem się ojca Dany i rywalizacją o względy ukochanej wnuczki.

Ellie Jo wstała.

- Na chwilę wracam do domu.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Gillian.

- Dobrze. Naprawdę dobrze. Nie macie żadnych powodów do niepokoju. Chyba wolno mieć siedemdziesiąt cztery lata na karku?

- Babciu? - zawołała Dana, zmartwiona podobnie jak Gillian.

Ale Ellie Jo się nie zatrzymała. Siatkowe drzwi otworzyły się hałaśliwie i zamknęły z trzaskiem.

11

Dana wpatrywała się w nie uważnie. Kiedy po chwili rozległ się dzwonek, pomyślała, że Ellie Jo zapewne już żałuje obcesowego pożegnania. Do sklepu weszła jednak Saundra Belisle, oglądając się za siebie, najwyraźniej zdumiona, że Ellie Jo nie zatrzymała się na pogawędkę.

Saundra była elegancką ciemnoskórą kobietą o krótkich siwych włosach, wysoką, smukłą i stylową. Dziś ubrała się w białe spodnie i bluzkę w kolorze czerwonego wina. Jej ubrania nie miały logo wielkich projektantów. Saundrze mogło brakować pieniędzy, ale nie klasy.

Ta pielęgniarka na emeryturze przychodziła do sklepu dopiero od kilku lat, jednak robiła na drutach przez całe życie. To właśnie sprawiło, że bez lęku zabrała się do skomplikowanych wzorów i z radością uczyła ich inne panie.

Dana dostrzegła wzrok Saundry i ruchem ręki zaprosiła ją do środka. Odsunęła dziecko od piersi, oparła je na ramieniu i pomasaowała maleńkie plecy. Kiedy jednak znowu spojrzała na drzwi, zobaczyła, że Saundra nawet nie drgnęła. Spojrzenie jej ciemnych oczu spoczywało na dziecku. Wydawała się niepewna.

- Powiem jej, żeby tu podeszła. - Gillian wstała z miejsca. - I tak muszę lecieć. - Pocałowała Dane, a potem dziecko. — Wywołam zdjęcia, zrobię dużo odbitek. Miej oko na Ellie Jo, dobrze?

- Jasne — odparła Dana. — I dziękuję za kołdrę. Wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Gillian uśmiechnęła się i ruszyła do Saundry, która weszła już

do sklepu, nie spuszczać wzroku z dziecka. Stanęła za krzesłem Dany i pochyliła się, żeby lepiej widzieć twarz Lizzie. Drżącą ręką dotknęła główki dziewczynki.

- Słyszałam o tym maleństwie - powiedziała bardzo cicho. — Witaj, Elizabeth. — Pogłaskała Lizzie po główce, po czym równie cicho zapytała Dane: — Mogę ją potrzymać?

Dana przekazała Lizzie w niewątpliwie fachowe ramiona.

- Ojej — zagruchała Sandra. Jedną rękę trzymała pod główką dziecka, drugą pod jego pupą. - Popatrz tylko. Popatrz tylko.

- Nie spodziewałaś się tu niemowlaka, co? — zapytała Dana.

- O nie, droga moja, z pewnością nie - powiedziała Sandra, nietypowo dla siebie przeciągając sylaby. - To twarz z przeszłości. Zupełnie niewiarygodne.

To słowo przypadło do gustu Danie.

- I tajemnicze. Nie mieliśmy pojęcia o żadnym moim czarno-skórym krewniaku.

- Kolorowi, po których nie widać pochodzenia, raczej się nim nie chwala.

- Ty od razu je dostrzegłaś.

- O tak. - Sandra uniosła brwi. - Nie jest latynoską. Moja, moja, moja — zaśpiewała do dziecka.

Dana z uwagą patrzyła na twarz Saundry. Usta kobiety były pełne, ale nos wydawał się znacznie węższy od nosów Murzynów czystej krwi.

- Jesteś częściowo biała, prawda?

- A tak - odparła Sandra, wciąż podśpiewując. - Mama była czarna, tata biały.

Z niezwykłą ostrożnością położyła sobie Lizzie na ramieniu. Trzymając małą niczym delikatny kryształ, opuszkami długich, zakończonych czerwonymi paznokciami palców zaczęła rysować kółka na jej plecach.

-- Niepokoił cię kolor skóry twoich dzieci? - zapytała Dana.

Nigdy dotąd nie rozmawiały o rasie. Podobnie jak w wypadku Davida, było to zupełnie nieistotne.

- Nie mam dzieci - przypomniała jej Sandra.

- Właśnie z tego powodu?
- Było zbyt wiele innych, którymi należało się zająć. Ale jeśli pytasz o kolor skóry, to nie, nie przejmowałabym się tym. Dobrze się z nim czuję i dobrze czułabym się z kolorem skóry moich dzieci.
- Masz rodzeństwo? - wtrąciła Tara.
- Już nie. Ale miałam. Brata. Zmarł kilka lat temu. Dzieliła nas spora różnica wieku.
- Jak wyglądał? - chciała wiedzieć Dana.
- Saundra uśmiechnęła się półgębkiem.
- Był jeszcze bardziej siwy i pomarszczony niż ja.
- Wcale nie jesteś pomarszczona - oznajmiła Dana, gdyż poza paroma kurzymi łapkami Saundra miała niezwykle gładką skórę.
- A poza tym nie o to mi chodziło.
- Wiem - złagodniała starsza pani. - W młodości mój brat był prawdziwym przystojniakiem. Wysokim, szczupłym i o smuklejszej budowie niż ja.
- Miał dzieci?
- O tak - oznajmiła głośno. - Niejedno.
- Hm - mruknęła Tara. - Rozsiewał nasienie po okolicy?
- Ja ujęłabym to bardziej subtelnie - powiedziała Saundra.
- Ale i owszem.
- Jak wyglądały jego dzieci? - dociekała Dana.
- Gustował w białych kobietach, więc i dzieci były białe.
- Zupełnie białe? - Chciała wiedzieć, ilu trzeba pokoleń, by kolor całkiem się rozmył. Dzięki temu miałyby jakieś pojęcie, w jak odległych czasach szukać czarnego przodka.
- Niektóre były całkiem białe, inne wyglądały jak twoje małżeństwo.
- Właściwie dlaczego wolał białe kobiety? - zainteresowała się Tara.
- Saundra dotknęła policzkiem główki noworodka i zaczęła delikatnie kołysać Lizzie.
- Pewnie doszedł do wniosku, że biali mają bardziej uprzywilejowaną pozycję niż czarni - odparła cicho.
- Ty też tak uważasz? - spytała Dana.

Saundra wzruszyła ramionami.

- Ja uważam, że więcej ludzi biednych jest niewykształconych i skłonnych do przestępstw, i że więcej biedaków ma czarną skórę, nie białą. Niekoniecznie wierzę w stereotypy, ale rozumiem, skąd się wzięły.

Dana była niespokojna.

- Uważasz, że jestem lepsza od ciebie, bo moja skóra jest biała? Z całą pewnością płynie we mnie murzyńska krew.

- Nie jesteś czarna — prychnęła Saundra.

- Ależ jestem - upierała się Dana. - Wystarczy jedna kropla, żebym była czarna.

Mimo to czuła się jak oszustka.

Saundra przewróciła oczami, całkiem jakby chciała powiedzieć: „Daruj sobie”.

- Nie uważam cię za lepszą od siebie, bo nigdy się tak nie zachowywałaś. Traktujesz mnie jak własną babkę, poza tym Ellie Jo i ja jesteśmy podobne do siebie. Obie awansowałyśmy na drabinie społecznej i mamy na tyle pokaźne oszczędności, żeby pozwolić sobie na dostatnie życie. — Zmarszczyła czoło. - Przy okazji, czy Ellie Jo dobrze się czuje? Wydawała się przejęta, kiedy ją mijałam.

- Bo była. - Dana ponownie popatrzyła na drzwi. - Nie wiem, w czym rzecz. Jeszcze nie wróciła.

- Mam sprawdzić, co się z nią dzieje? - zapytała Tara.

- Nie. Jeśli nie wróci za parę minut, ja pójdę. Wracając do kwestii finansowych, Saundra - oszczędzałaś w ostatnich latach?

- Owszem. I trochę odziedziczyłam. - Uśmiechnęła się. - Teraz nie czuję się gorsza. Ale za młodu było inaczej, wtedy się tym przejmowałam. Przez wiele lat byłam służącą.

- Myślałam, że pielęgniarką. - Tara ściągnęła brwi.

- Od szesnastego roku życia do czasu, kiedy zostałam wykwalifikowaną pielęgniarką, czyściłam ubikacje i prałam ubrania. Wtedy nie czułam się lepsza od nikogo, ale czy byłoby inaczej, gdybym była biała i wykonywała te same czynności? Bycie służącą to pewien sposób myślenia, niezależnie od koloru skóry. Jedyna przewaga, jaką ma biała służąca nad czarną, polega na tym, że

podczas jazdy autobusem do i z pracy nikt się nie domyśla, czym się zajmuje. - Podniosła głowę i zerknęła na Lizzie. - Aniołek chyba zasnął — szepnęła.

Tara wstała z miejsca.

- Odłóż ją do kołyski, Dana, niech się tam prześpi. Chcę zobaczyć, co zrobiłaś ze swetrem.

Z niezwykle czułym wyrazem twarzy Saundra jeszcze przez chwilę trzymała dziecko, zanim zwróciła je Danie.

Lizzie miała zamknięte oczy i wydęte usta, najwyraźniej ssała we śnie. Nagle jej wargi się rozchyliły i w kącikach znów pojawił się uśmiech Hugh.

W przypływie czułości Dana dotknęła policzkiem policzka córki.

- W jednej chwili wydaje mi się taka prawdziwa, a w następnej nie mogę uwierzyć, że jest tutaj z nami. - Trzymała ją w objęciach, póki to uczucie nie ustąpiło. Potem położyła małą w kołysce i sięgnęła po kołdrę. - Widziałaś? - zapytała Saundrę.

- Jasne, że tak. — Saundra uśmiechnęła się szeroko.

- Zrobiłaś fragment, prawda? Który? Czeka, chyba wiem.

- Dana rozłożyła kołdrę i wskazała żółty kwadrat, a potem jasnoniebieski, z rozgwiazdą i konikiem morskim w takim samym kolorze jak tło, ale obrębione kontrastującym ścięciem, w niemożliwym do podrobienia stylu Saundry. Uściskała starszą kobietę. - To cudowne, Saundra. Dziękuję. Moja mała dostała od was tyle miłości.

Ponieważ dziecko nie potrzebowało teraz kołdry, Dana złożyła ją u stóp kołyski.

- Jak twój mąż sobie radzi? - zapytała Saundra po wyjściu Tary.

- Świetnie - odparła Dana z entuzjazmem. - Zmienia pieluchy, czeka, aż się jej odbije, nosi ją, kiedy Lizzie płacze. Miał spotkanie w kancelarii, więc pomyślałam, że ją tu przyniosę.

- A co myśli o jej karnacji?

- Jest zdumiony.

- Przygnębiony?

- Och, nie sądzę, żeby był przygnębiony kolorem jej skóry.
- Postanowiła rozstrzygnąć wątpliwości na jego korzyść. - Gnębi go to, że nie zna moich korzeni. Ale kocha Lizzie.

- I dobrze - odparła Saundra. - Tojego córka.

Dana zerknęła na drzwi.

- Wciąż nie ma ani śladu babci. Chyba pójde sprawdzic, co z nią, póki Lizzie śpi. Będiesz tutaj?

Saundra uśmiechnęła się do niej.

- Nie ruszę się ani na krok.

Dana energicznie ruszyła ścieżką i wspięła się na tylne schody.

- Ellie Jo?

Babcia nie odpowiedziała, tylko kot na stopniach miauknął cicho. Veronica nie zbiegła po schodkach, jak zazwyczaj, by otrzeć się o nogi Dany, ale nie przestawała miauczeć. Coś się stało.

- Babciu? - zawołała przestraszona Dana. Wbiegła za kotem po schodkach. — Babciu?

Veronica zaprowadziła ją przez korytarz do sypialni Elizabeth. Ellie Jo siedziała na podłodze w garderobie, u stóp prowadzącej na strych drabiny. Jej twarz była blada jak ściana, starsza pani oddychała płytko i szybko. Wokół niej leżały rozrzucone książki, obok stał na wpeł opróżniony karton.

Dana podbiegła i uklękła.

- Co się stało?

- Schodziłam.

- Z tym kartonem? I upadłaś? Coś cię boli?

- Stopa.

Dana już sięgała po telefon. Szybko wystukała numer do sklepu. Jak najspokojniejszym głosem oznajmiła:

- Olivia, to ja. Jestem u babci. Przyślesz tu Saundrę i Tarę?

- Nie ma potrzeby - powiedziała Ellie, gdy Dana się rozłączyła. - Nic mi nie jest.

Usiłowała wstać, ale Dana jej na to nie pozwoliła.

- Saundra jest pielęgniarką. Ja się wszystkim zajmę. Czy to podręczniki, o których mówiłaś?

- Nic więcej tam nie ma.

- Dana? - zawołała Tara z dołu.
- W pokoju mamy!

Po chwili rozległ się hałas na schodach i pojawiły się obie kobiety. Kiedy Saundra uznała, że w wypadku ucierpiała jedynie kostka Ellie Jo, starsza pani oddychała już bardziej miarowo. Odmówiła wezwania karetki, więc Dana uparła się, że zawiezie ją do szpitala.

We trzy dźwignęły Ellie Jo na nogi i zdołały ją sprowadzić. Tara zaproponowała, że zawiezie staruszkę do szpitala, jednak Dana się sprzeciwiła.

- Jaja zawiozę.
- A co z dzieckiem?

- Mam wszystko, czego jej potrzeba, mogę ją nakarmić, kiedy zgłodnieje. Poważnie, źle bym się czuła, gdybym tu została. Poza tym musisz wracać do domu, do dzieci.

Tara usiłowała protestować, ale Dana się uparła. Kiedy Saundra zaproponowała, że pojedzie z nimi, sprawa została załatwiona.

Lizzie musiała wyczuwać, że jej prababcia zrobiła sobie krzywdę, gdyż przespała większość podróży, a już w szpitalu nadal drzemała w chuście, przytulona do matki.

Na szczęście złamanie okazało się nieskomplikowane. Ellie Jo dostała opatrunek gipsowy i kule na kilka pierwszych dni.

Dana z ulgą podjechała pod główne drzwi szpitala. Ledwie zdążyła usadzić babcię w aucie, ujrzała Hugh. Stał tuż przy wejściu, z ręką na ramieniu atrakcyjnej kobiety o kasztanowych włosach. Byli pogrążeni w rozmowie.

Dana nie miała pojęcia, kim jest nieznajoma i co tu robi w towarzystwie Hugh, ale wstrząsnął nią widok męża. Nie mogła ot tak, wsiąść do auta i odjechać.

- Zaraz wracam - powiedziała do Ellie Jo i szybko weszła do budynku. Jeszcze nie zdążyła podejść do Hugh, kiedy podniósł wzrok, zobaczył ją i zbladł.

12

Na widok Dany natychmiast pomyślał, że coś złego stało się dziecku.

- Gdzie Lizzie?

- W aucie - odparła i pośpiesznie dodała: - Z Saundrą i Ellie Jo. Babcia upadła i złamała nogę w kostce. Już założyli opatrunek. Właśnie miałam odwieźć ją do domu.

Zatem nie chodziło o dziecko. Ulżyło mu, ale już w następnej chwili się zmartwił. Lubił Ellie Jo, zawsze traktowała go jak rodzynego wnuka, no i nie była już taka młoda.

- Wszystko w porządku? - Gdy Dana skinęła głową, dodał: - Powinnaś była do mnie zadzwonić, pomógłbym.

- Byłeś w kancelarii. Nie chciałam ci przeszkadzać. - Jej spojrzenie było jednak wymowne.

Nie zamierzał się w to zagłębiać, więc powiedział:

- Dana, to Crystal Kostas. Będę reprezentował ją w sądzie. Jej syn leży na górze, dochodzi do siebie po operacji. Crystal, to moja żona Dana. — Chciał porozmawiać z Daną, więc powiedział do Crystal: - Chyba już wszystko omówiliśmy. Proszę zadzwonić, jak sporządzi pani notatki. Ma pani mój numer do domu? — Kiedy skinęła głową, wziął Dane pod rękę i ruszył z nią do samochodu. - Jak Ellie Jo upadła?

- Szukała czegoś na strychu i straciła równowagę, schodząc po drabinie. Co się stało synowi tej kobiety?

- Samochód go potrącił. Chłopiec ma cztery lata.

- W jakim jest stanie? .

- Na tyle kiepskim, że bez następnych operacji pewnie nie wydobrzeje.

Dana przystanąła.

- No, to stawia sprawy w zupełnie innym świetle.

- Nie znasz nawet połowy faktów - ciągnął, przekonany, że Dana chętnie posłucha czegoś o jego pracy. - Ojcem, który nie chce uznać chłopca, jest Stan Hutchinson.

Szeroko otworzyła oczy.

- Ten senator?

- Ten sam. A Crystal nie ma ubezpieczenia zdrowotnego.

- Uhm. Przykra sprawa. Gzy twój ojciec wie?

- Nie. - Wyrzał na ulicę. - Nie mogę się zmusić, żeby zadzwonić.

- Gniew? Duma? Strach?

- Gniew — odparł. Nie do końca mówił prawdę, ale to musiało wystarczyć.

- Czasem gniew długo nie odpuszcza - zauważyła.

- Tak. - Hugh kontynuował marsz do samochodu. - Czy Lizzie była grzeczna?

- Idealna. To najspokojniejsze dziecko na świecie.

- No jasne, masz porównanie z całym stadem niemowlaków - zażartował i otworzył drzwi od strony Ellie Jo. - Spora ta twoja stopa, Ellie Jo. Boli?

- Trochę - odparła starsza pani.

- Hugh! - zawołała Dana z przodu. Oparła kolano na fotelu dla kierowcy i zapytała: - Poznałeś już Saundrę Belisle?

Hugh wyciągnął rękę.

- Chyba widziałem panią w sklepie.

Pamiętał ją. Miała w sobie charakterystyczną godność.

- Bardzo mi miło. - Sandra uścisnęła jego dłoń. — Proszę mi mówić po imieniu. Gratuluję narodzin dziecka. To niezwykle maleństwo.

Hugh jej wierzył. Nieco pokrzepiony, usiłował dojrzeć Lizzie, ale z miejsca, w którym stał, nic nie zobaczył. Zamknął drzwi od strony Ellie Jo, okrążył auto i otworzył drzwi.

— Cześć — odezwał się cicho do małej.

Natychmiast zamknęła oczy. Najwyraźniej badanie DNA nie podobało się nie tylko matce, ale i córce. Żałował, że nie umie jej wytłumaczyć, że tylko zbierał argumenty przemawiające na korzyść ich sprawy. I żałował, że nie potrafi również wytłumaczyć tego własnej żonie.

— Muszę odwieźć Ellie Jo do domu - powiedziała Dana. Mówiła uprzejmym tonem, ale w jej oczach niewiele było ciepła. Wciąż czuła złość. Im dłużej ten gniew trwał, tym bardziej go martwił. Nie taką Danę znał.

Chciał o tym porozmawiać, ale to nie była odpowiednia chwila. Wobec tego pochylił się, żeby pocałować Lizzie, a potem wyprostował i zamknął drzwi.

— Kiedy będziesz w domu?

— Zależy od tego, co zastanę w sklepie. Muszę porozmawiać z Olivia i dziewczynami, które pracują na pół etatu, i dopilnować, żeby jedna z nas codziennie zamykała i otwierała.

— Jedna z nas? — powtórzył cicho. — Przecież właśnie urodziłaś dziecko.

— Lizzie świetnie się czuje w sklepie — odparła z entuzjazmem. - Powinieneś zobaczyć kołyskę, poza tym dziewczyny zrobiły przepiękną kołdrę. Sklep to dla niej idealne miejsce. Tam jest cicho i zawsze znajdzie się ktoś do pomocy.

Hugh był w stanie w to uwierzyć.

— Czy to złośliwa aluzja?

Nie zaprzeczyła, ale wyraz jej oczu złagodniał.

— Muszę jechać, Hugh. - Wśliznęła się do auta.

Zamknął drzwi i cofnął się o krok. Nagle uświadomił sobie, że nie zapytała, kiedy zamierzał wrócić do domu. Zastanawiał się, czy była aż tak przejęta wypadkiem babci, czy po prostu miała to gdzieś.

Już za miastem w końcu zadzwonił do ojca. Nie zdziwił się, że odebrała matka. Kiedy Eaton pracował, to ona przejmowała wszystkie domowe obowiązki.

- Cześć, mamó.

Przez chwilę panowała cisza, po czym usłyszał pełne ulgi:

- Hugh. - Mówiła bardzo cicho. - Cieszę się, że w końcu poszedłeś po rozum do głowy i zadzwoniłeś. Twój ojciec zachowuje się niemożliwie. Naciskałam, ale jest piekielnie uparty. Jak mała?

- W porządku.

- Chętnie bym wpadła ją obejrzeć, ale trudno dogadać się z Eatonem. Zrób coś z tym, Hugh. Uważa, że go śmiertelnie obraziłeś.

- Ja jego?

- Coś mu powiedziałaś, kiedy byliśmy w szpitalu.

- Ja? Przecież to wy sugerowaliście, że nie jestem ojcem Lizzie!

- Eaton był bardzo przygnębiony.

- Zaraz, zaraz, mamó. — Chociaż nie chciał na nią napaść, nie była tak całkiem niewinna. - Nie powiedziałaś mu, że się myli. Co właściwie powiedziałaś? Że zdarzały się już dziwniejsze rzeczy?

- No tak, zdarzały się, ale to była taka luźna uwaga. Tak czy siak, to właśnie w takich chwilach powinniśmy trzymać się razem. Wspierać się, a nie obrażać i nie rozmawiać ze sobą.

- Trzymać się razem? To znaczy ty, ja i tata przeciwko mojej żonie i dziecku?

- Nie to miałam na myśli.

- Masz jakiś problem z kolorem skóry Lizzie? - spytał bez ogródek.

- Nie - zaprzeczyła. - Dobrze wiesz, że nie. Pierwsza poszłam do Parkerów, żeby pogratulować im wnuczka adoptowanego z Korei. Pierwsza zaproponowałam, żeby organizacja charytatywna w szpitalu uhonorowała Leilę Cummings, jedną z naszych genialnych czarnoskórych lekarek. Nawet pierwsza zachęcałam twojego stryja Bradleya, żeby ufundował stypendium naukowe dla dzieci pracowników z mniejszości rasowych. Jak możesz nazywać mnie hipokrytką?

- Przecież wcale nie nazwałam cię hipokrytką. Ale Lizzie jest jedną z nas. Dlaczego nie przyszłaś jej odwiedzić, nawet bez taty?

- Ponieważ twój ojciec jest przeciwny tej wizycie, bo go obraziłeś, i nie ruszy... tyłka, dopóki go nie przeprosisz.
- W porządku - powiedział Hugh. - Jest tam?
- Tak - odparła. — Możesz być równie niemiły jak on. Poczekaj.

Hugh poczekał. Jechał środkowym pasem autostrady, z prawej i lewej wyprzedzały go inne auta. Gdyby ktoś zatrafił, żeby go pośpieszyć, Hugh nie odmówiłby sobie ordynarnego gestu.

Minęła minuta. Najwyraźniej Eaton nie miał ochoty na rozmowę. Hugh zaczynał się zastanawiać, w którym momencie się rozłączyć, kiedy nagle usłyszał kliknięcie, a potem bardzo formalny głos.

- Tak, Hugh?

Nagle nie był już pewien, czy chce usłyszeć, co ma do powiedzenia jego ojciec.

- Co tam z książką? - spytał niedbałym tonem.
- Nie z książką. Z promocją. Z wydawnictwa właśnie dostałem faksem plan, od tego czasu stale prowadzę rozmowy. Mam podpisywać książkę w supermarketach. W supermarketach, na litość boską! Kiedyś trasa związana z promocją książki była wydarzeniem kulturalnym.

- Nie masz nic do powiedzenia w tej sprawie?
- Owszem - oświadczył Eaton powoli - ale statystyki są po ich stronie. Ludzie kupują książki w dużych sklepach. Ale czy sprzedawcy w marketach polecają coś od siebie? Czy oni w ogóle cokolwiek czytają? — W jego głosie pobrzmiwała rezygnacja. - Zresztą wszystko jedno. Nie mam pewności co do tej książki, może zawierać błędy.

- Jakie znowu błędy?
- Takie, które mogą zaważyć na mojej karierze.
- Bardzo w to wątpię - powiedział Hugh. - Jesteś niezwykle ostrożny. W przeciwieństwie do swojego przyjaciela Hutch.
- Przyjaciela? - prychnął Eaton.
- Reprezentuję w sądzie kobietę, która twierdzi, że Hutch jest ojcem jej dziecka.

Zapadło milczenie.

- Może to udowodnić? - spytał Eaton nieufnie.

- Pracujemy nad tym.

- Musicie mieć mocne dowody, inaczej Hutch oskarży cię, że uwziąłeś się na niego, bo mnie wkurzył - przestrzegł go Eaton.

- Czego ona chce, pieniędzy?

Hugh położył dłoń na klaksonie, kiedy jakieś auto wjechało na jego pas tuż przed maską.

- Nie dla siebie. Jej syna potrącił samochód, chłopca czekają poważne operacje. Usiłowała skontaktować się z Hutchem po porodzie, ale kazano jej ustawić się w kolejce za innymi kobietami, które też wysuwają roszczenia pod adresem senatora.

- Hutch nie jest święty.

- Nie. Pewnie nikt z nas nie jest. - Wyglądało na to, że nadeszła pora na prawdziwą rozmowę. - Jeśli obraziłem cię w szpitalu, przepraszam.

- Jeśli? - spytał ojciec z oburzeniem. - Masz jakieś wątpliwości?

- Tato, byłem zdenerwowany. - Hugh czuł się jak dziesięciolatek. - Powiedziałaś coś niesłychanie obraźliwego.

- Ale może nie całkiem od rzeczy - zaprotestował Eaton.

- Brad wspomniał, że zrobiłeś test na ojcostwo. Co oznacza, że i ty masz wątpliwości.

- Nie. To oznacza, że moja rodzina wywarła na mnie presję, żebym zdobył solidny dowód na to, że dziecko jest moje. Badanie DNA to jedyny znany mi sposób.

- No i? Co mówili w laboratorium?

- Powiedzą, że dziecko jest moje. Formalne wyniki otrzymam dopiero za kilka dni.

- Naprawdę nie masz żadnych wątpliwości, mimo tego sąsiada z naprzeciwka?

- Nie więcej niż ty, mieszkając przez tyle lat obok człowieka, z którym mama spotykała się, zanim zaczęła umawiać się z tobą.

- Znowu obraźliwa uwaga - warknęła Eaton.

- Tato. - Sfrustrowany Hugh zaśmiał się bezsilnie. - Dlaczego-

go coś jest obraźliwe, kiedy ja to mówię, a w porządku, kiedy mówisz ty?

- Jestem mężem twojej matki od ponad czterdziestu lat. Urodziła wyłącznie moje dzieci.

Tego było już za wiele.

- Na pewno? - spytał Hugh. — Ja rzeczywiście jestem do ciebie podobny, ale Robert? W ogóle cię nie przypomina.

- Dość, odkładam słuchawkę - oświadczył Eaton.

- Nie rób tego - ustąpił Hugh. - Proszę. Naprawdę chcę porozmawiać.

- O tym, kto jest ojcem twojego brata?

- O tym, dlaczego kolor skóry mojej córki ma aż takie znaczenie. Bronisz mniejszości w swojej książce. Ja bronię ich w sądzie. Czyżby chodziło wyłącznie o ego? Czy naprawdę wierzymy w równość? Bo jeśli tak, to ciemna skóra Lizzie nie powinna mieć najmniejszego znaczenia.

- A czy dla ciebie ma znaczenie?

- Tak — wyznał Hugh. — Ma. Nie wiem, dlaczego.

- A jak myślisz?

- Nie wiem. Gdybym wiedział, to bym nie pytał. Może dlatego, że to jest istotne dla mojej rodziny. Korzenie Dany nie mają wpływu na to, kim jest.

- Dla ciebie nie.

- A dla ciebie? — spytał Hugh i zatrząbił długo i natarczywie, kiedy inny samochód ponownie zajechał mu drogę. — Niby dlaczego? Tę kobietę wybrałem. Czy miałyoby znaczenie, gdyby była fioletowa?

- Dla innych fioletowych zapewne nie.

- Na litość boską, tato!

- Przykro mi, Hugh, ale swoi ciągną do swoich. To niezaprzeczalny fakt.

- Lizzie jest jedną z nas.

- Pogadamy o tym, kiedy już będziesz miał wyniki badań.

- Co jeśli dowiodą, że jestem jej ojcem?

- Nie chcę teraz o tym dyskutować.

Hugh jednak chciał.

- Co wtedy? Zaakceptujesz Lizzie jako swoją prawowitą wnuczkę? Zaakceptujesz Dane?

- Nie teraz! - ryknął Eaton z surowością, którą Hugh rzadko słyszał w jego głosie. — Nie mogłeś sobie wybrać gorszego momentu. I tak mam za dużo spraw na głowie.

- W porządku - powiedział Hugh i dodał lekkim tonem: - Nie ma sprawy. Niedługo porozmawiamy. Cześć.

Zapadał zmierzch, kiedy Dana wróciła do domu i ujrzała auto Hugh na podjeździe. Ucieszyła się, że już przyjechał. Poza tym doszła do wniosku, że jest zbyt zmęczona, żeby czuć cokolwiek poza zniechęceniem. Po odwiezieniu Ellie Jo pozbierała rozrzucone książki spod drabiny na strych i włożyła je z powrotem do kartonu. Przeszukała wszystkie w nadziei, że znajdzie coś, co zostawiła jej matka - cokolwiek, list między stronicami, notatkę na marginesie - i co podsunie jej jakąś wskazówkę co do tożsamości ojca, albo chociaż imię współlokatorki bądź przyjaciółki. Książki służyły jej matce w ostatnich miesiącach nauki w college'u, więc wydawało się logiczne, że jeśli Elizabeth zanotowała coś istotnego, to właśnie w nich.

Wciąż je przeglądała, kiedy Ellie Jo krzyknęła, że musi iść do łazienki. Doszło im nowe zmartwienie. Starsza pani nie mogła zostać tu sama.

Dana pomyślała, że wprowadzi się do babci. Hugh dostałby za swoje. Nie mogła jednak wyobrazić sobie wstawania co parę godzin do Lizzie i dodatkowo opieki nad Ellie Jo.

Zatrudnienie pielęgniarki wydawało się rozsądne, ale babcia od razu odmówiła. Upierała się, że poprosiła o pomoc tylko dlatego, że Dana akurat była w domu, i że sama znakomicie sobie poradzi. Zademonstrowała to wnuczce, samodzielnie wracając do łóżka.

Wkrótce Dana się poddała. Była zbyt zmęczona na walkę.

Teraz zaparkowała obok auta Hugh. Zanim jeszcze wyjęła dziecko z samochodu, stanął w otwartych drzwiach. Nie zaproponował, że ją wyręczy, tylko stał i patrzył.

Przydałaby się jej jego pomoc, ale za żadne skarby nie powiedziałaby tego na głos. Na twarzy Hugh widniał typowy dla Clarke'ów wyraz. Nie miała pojęcia, w jakim był nastroju. Dopiero w domu zabrał fotelik z jej rąk, więc bez słowa wróciła do auta po resztę rzeczy.

Kiedy ponownie weszła do domu, zdążył już odpiąć Lizzie i wziąć ją na ręce. Popłakiwała, najwyraźniej bliskość ojca nie poprawiała jej humoru.

- Co się dzieje? - zapytał Dane.

- Jest głodna. Nakarmię ją. - Położyła torby u stóp schodów, po czym wzięła dziecko i usiadła na sofie w salonie.

- Wyglądasz na zmordowaną - powiedział lekko oskarżycielskim tonem. - Przez całe popołudnie byłaś na nogach?

- Nie, odpoczęłam u babci.

- Za krótko. Ellie Jo może być chwilowo niezdolna do pracy, ale ty musisz zająć się sobą. Zwłaszcza że karmisz. Jeśli się przeforsujesz, to z pewnością zaszkodzi Lizzie.

- Wiem - odparła. Przytrzymała nabrzmiałą część piersi, żeby popatrzeć, jak dziecko ssie.

Hugh usiadł ma skórzanym fotelu naprzeciwko żony i oparł łokcie na kolanach.

- Porozmawiaj ze mną, Dana — poprosił zaskakująco łagodnym tonem. - To milczenie w ogóle do ciebie nie pasuje. My się tak nie zachowujemy.

Mruknęła z niechęcią.

- A wiesz, jak się zachowujemy? Jeśli tak, oświeć mnie, bo ja nie wiem, do cholery.

- Może ujmę to inaczej - powiedział. - Nie tak się zachowywaliśmy przed narodzinami dziecka.

Nie. Rzeczywiście. Było to tak smutne, że Dane zatkało.

- Porozmawiaj ze mną - powtórzył.

Przełknęła ślinę i uniosła wzrok.

- Co niby mam powiedzieć?

- Że rozumiesz. Że masz świadomość, że postąpiłem jak najlepiej dla nas.

- Nieprawda - odparła jedynie, patrząc mu w oczy. Kiedyś potrafiła się w nich zatracić, teraz już nie.

- Daj spokój - poprosił. — Powiedz, co czujesz.

— Chodzi o zaufanie — wyznała. — Zaufanie zawsze było dla mnie bardzo ważne. Wiara, że druga osoba będzie przy mnie, zawsze będzie przy mnie, w przeciwieństwie do matki. Nie chcę znowu kogoś stracić. Potem zjawiłeś się ty i uznałam, że mogę być pewna, że zawsze będziesz przy mnie, ale jednak nie mogę. Nie mogę zaufać ci, że będziesz po mojej stronie. Nie mogę zaufać, że będziesz mnie kochał, jeśli okaże się, że mój ojciec był mieszanej krwi. Czuję się brudna. Czuję się tak, jakbyś mnie zdradził.

Zamarł.

- Chodzi ci o badanie DNA czy o dzisiejszy dzień?

- Dzisiejszy dzień? — Nie zrozumiała.

- O to, że byłem z Crystal.

- Crystal? Twoją klientką? - Dopiero po chwili zrozumiała, o co mu chodzi, i popatrzyła na niego ze zdumieniem. - Pytasz, czy się zastanawiałam, czy ona jest dla ciebie kimś więcej? Jasne, że nie, Hugh. Jesteś moim mężem. Poza tym nieustannie obracasz się wśród kobiet. Taką masz pracę.

- Niektóre żony czułyby się zaniepokojone.

- Ja nie. - Lizzie wypuściła sutek z ust i nerwowo kręciła główką, dopóki Dana jej nie pomogła. - Ufam ci, jeśli chodzi o inne kobiety — powiedziała, nie podnosząc wzroku. - Martwi mnie co innego. To, że ty mi nie ufasz.

- Ufam.

- Niedostatecznie. - Spojrzała na niego ostrzegawczo. Miała nadzieję, że oszczędzi jej przemowy o potrzebie solidnego dowodu dla rodziny. - Widzisz, nie mogę przestać myśleć o tym, że to był nasz pierwszy poważny sprawdzian i że go oblaliśmy. Przy okazji, nie posunęłam się ani o krok w poszukiwaniach ojca. Rozmawiałam z babcią i przyjaciółkami mamy, przejrzałam też jej rzeczy, ale nie znalazłam nic, co podsunęłoby mi wskazówkę, gdzie mogę go znaleźć. W najlepszym wypadku mam szansę odszukać współlokatorkę matki z college'u. Miała na imię Carol, i to wszystko,

co wiem. W college'u nie zostały dokumenty, nie wiadomo, kto to taki, a nawet gdyby zostały, i tak pewnie niewiele pamięta.

- Być może Lakey znajdzie jej nazwisko.

- Dobrze. - Dana postanowiła powiedzieć mu wszystko, co wiedziała. - Moja matka nazywała się Elizabeth Joseph. Zaczęła studia na uniwersytecie Wisconsin w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, po pierwszym roku zrezygnowała, żeby mnie urodzić. Nie wiem, jak się nazywał jej akademik. Studiowała historię sztuki, ale miała również zajęcia z angielskiego, hiszpańskiego i matematyki. Była beznadziejna z matematyki. Dziś znalazłam parę jej klasówek. Ze wszystkich dostała tróje z minusem.

- Przekażę te informacje Lakeyowi.

- Chcę, żebyś wiedział, Hugh, że gdyby nasze dziecko urodziło się białe, nie szukałabym tego człowieka. Gdyby Lizzie przysłała na świat z rudymi lokami, też uważałbyś odnalezienie go za konieczność? Jasne, że nie. No to po co to robisz? Dlaczego to jest takie istotne? Czy naprawdę mnie interesuje, skąd pochodził mój praprapradziadek? A jeśli odnajdę ojca, będę myślała o sobie co innego?

Hugh nie odpowiedział na żadne z tych pytań.

To ją zirytowało. W końcu to on chciał porozmawiać.

- Rozmawiajmy — nakazała mu. — Wszyscy tak opowiadamy się za mniejszościami - prawa obywatelskie, akcja afirmacyjna wspierająca dyskryminowane grupy, równość w miejscu pracy - ale chcemy być biali. Czy jesteście hipokrytami?

- My?

- Ty. Przede wszystkim uważasz się za Clarke'a. Ja myślę o sobie jako o Danie. Czy to nie mówi czegoś o nas?

- Gdyby twoja rodzina miała tak długą historię jak moja, zrozumiałabyś.

- Gdyby twoja miała taką historię jak moja, ty byś zrozumiał. — Odetchnęła głęboko. - Nie chodzi tylko o ciebie i twoją rodzinę, ani o mnie i moją. Chodzi o to, z czym się zetknie nasza córka, gdy będzie dorastała, oraz o to, czy ona i ja będziemy musiały same stawić temu czoło.

- Będę przy was.
- Czyżby?
- Przecież byłem tutaj, prawda? To ty zniknęłaś.

Odsunęła dziecko od piersi i położyła je na ramieniu, po czym poklepała po plecach.

- Dlaczego wszystko poszło nie tak? - zapytała ze znużeniem.
- Nic nie poszło nie tak.
- Owszem. Spójrz tylko na nas, Hugh.
- To minie. Już za kilka dni przyjdą wyniki z laboratorium.

Dana miała ochotę krzyczeć.

- Przecież nie o to chodzi. Mówię o zaufaniu.
- Daj spokój — westchnął. - To był tylko wymaz, Dana.

Dana wychodziła z siebie. Posłuchała cieniutkiego, odpowiedzialnego głosu w głowie, opuściła nogi na podłogę i postanowiła iść z córką na górę.

- Co z weekendem? — spytał Hugh.

- No co?

- Pojedziesz do babci?

- Na parę godzin.

- Julian i Deb chcą do nas wpaść. A także **Jim i Rita**.

- W porządku.

- Czy sytuacja będzie niezręczna?

Niezręczna? Biorąc pod uwagę poprzedni weekend, mogła być koszmarnie niezręczna.

- Nie dla mnie. - Nagle wpadła we wściekłość. - Ja uważam, że nasze dziecko jest idealne. To ty masz problem. Może jeśli powiesz im o kłopotach zdrowotnych mojej babci, trochę poczekają.

- Nie da się tego odkładać w nieskończoność.

- Przecież to ty się przejmujesz niezręcznością. Zamierzasz im powiedzieć, że nie jesteś pewien, czy to twoje dziecko?

- Jasne, że nie.

- A więc będziesz udawał, że jest twoje. Aha. Znowu przedstawienie. Myślisz, że dasz radę odstawić?

Patrzyli na siebie bardzo długo, Dana stała, Hugh siedział w fotelu. Nie było jej przykro, że wyrzuciła to z siebie.

Hugh przemówił pierwszy.

— Czy to cynizm, czy zmęczenie?

Skruszona odetchnęła głęboko i powiedziała cicho:

- Pewnie jedno i drugie. Idę do łóżka.

13

Eaton Clarke miał zgagę. Podejrzewał, że po meksykańskich potrawach, które jadł w piątkowy wieczór. Restauracja była nowa i zebrała dobre recenzje. To on zasugerował, żeby ją sprawdzili, a dwie towarzyszące Eatonowi i Dorothy pary chętnie na to przystały. Jednak już w chwili, w której weszli do środka, ogarnęły go złe przeczucia co do tego miejsca. Stoliki stały zbyt blisko siebie, a kelner był zbyt familiarny.

Dyskusja przy kolacji też się nie udała. Wszyscy chcieli rozmawiać o Hugh i jego córce, czy też raczej o Danie i jej dziecku, gdyż brat Eatona, Brad, nie trzymał języka za zębami i opowiedział o wątpliwościach dotyczących ojcostwa Lizzie. Przez te trzy godziny Eaton dostał więcej rad, niżby sobie tego życzył, od: „Nie zakładaj dziecku funduszu szkolnego, jeśli nie jest wasze”, przez: „Zmień testament”, aż po: „Nie zaszkodzi przekazać w zarząd powierniczy posiadłości na Vineyard”.

Przez całą noc paliło go w klatce piersiowej. Poczuł się lepiej w sobotni poranek, ale znowu mu się pogorszyło, gdy dołączył do swoich partnerów na cotygodniową partię tenisa. Oni również udzielali mu rad.

W drodze z klubu do domu zadzwonił do brata. Był w fatalnym nastroju.

- Go ty, do diabła, wyprawiasz, Brad? Dokądkolwiek pójde, wszyscy wiedzą o dziecku Hugh. Masz jakiś powód, dla którego powtarzasz każdemu, kto się napatoczy, że Hugh niekoniecznie jest ojcem?

- To prawda. Niekoniecznie.

- Ale być może jest, i co wtedy? To nasza osobista sprawa, Brad.

- Nie, jeśli dziecko nie jest Hugh. Tamtego popołudnia widziałem jego minę. Wścieka się na żonę. Mówię ci, Eaton, szykują się kłopoty.

Eatonowi nie podobał się ton brata.

- Czy to ci sprawia przyjemność?

- To nie ma nic wspólnego z tym, czy to mi sprawia przyjemność czy nie. Wszyscy mieliśmy wątpliwości co do Dany.

- Myślałem, że ją lubisz.

- Lubiłem, kiedy była wierna, ale wygląda na to, że Hugh ma dowód w rękach.

- To ci sprawia przyjemność? Czy dzięki sytuacji Hugh rozwód twojej córki mniej cię boli?

- Rozwód Anne nie ma z tym nic wspólnego - warknął Brad. - Jeśli myślisz, że to zabawa w *wet za wet*, to się mylisz. Co mnie zresztą nie dziwi. Jesteś pisarzem, ja biznesmenem. Ty siedzisz i czekasz na koronowane głowy, podczas gdy ja wzbogacam naszą rodzinę. Nie pogrywam w żadne gierki, Eaton. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Zgadza się - przytaknął Eaton. - Więc zamknij się i przestań gadać o Hugh! Nie bądź takim małostkowym człowiekiem, który we wszystko wsadza nos! Nie twoja sprawa i trzymaj się z dala od tego!

Zakończył rozmowę z pełną świadomością, że obraził brata, ale odczuwał perwersyjną satysfakcję z tego, że do niego należało ostatnie słowo. Zniknęła, kiedy w drzwiach wejściowych Dorothy powitała go informacją, że zaledwie dwie minuty wcześniej dzwonił Justin Field. Justin był jego długoletnim przyjacielem, osobistym prawnikiem i zarządzającym jego posiadłości.

- Czego chciał? - spytał Eaton, chociaż niestety się domyślał.

- Rozmawialiśmy przez chwilę o weselnych planach Julie. Justin i Babs są zachwyceni. Julie ma trzydzieści osiem lat, więc niemal stracili nadzieję, ale wciąż mówił o tym, jaki wspaniały jest

ten jej narzeczony. A potem oświadczył, że chce z tobą porozmawiać o Hugh.

Eaton stał w holu przy stoliku z palisandru i przeglądał pocztę.

- Czy to przypadek, że właśnie grałem w tenisa z partnerem Justina? — warknął. - Dlaczego ci faceci zachowują się jak stare baby?

- Takie jak ja? - zapytała po krótkiej chwili milczenia.

- Dot, przecież nie o to mi chodziło. Stare baby plotkują, bo nie mają nic innego do roboty. Ty masz.

- Też plotkuję. Ale ja nie uważam tego za plotki, tylko za dzielenie się nowinami z przyjaciółmi.

Popatrzył na żonę, zastanawiając się, do czego zmierza.

- Jesteś złośliwa?

- Naturalnie, że nie.

- Na tym polega różnica - oświadczył. — Moi partnerzy od tenisa nie posiadają się z radości, kiedy mam problemy. Bradley tak samo. Nigdy mi nie darował, że nie chciałem razem z nim robić interesów, a co do moich partnerów od tenisa, to mają pretensje, bo nie zamierzam w nieskończoność zasypywać ich egzemplarzami moich książek. Z jakiego powodu nie mogą sobie kupić książki, którą chcą wręczyć, wraz z moim autografem, proktologowi kuzynki żony? Czy ja jestem instytucją charytatywną?

- Nie, skarbie - odparła Dorothy. - Chyba właśnie o tym chciał porozmawiać Justin.

Eaton popatrzył na nią przenikliwie.

- O tym, że jestem instytucją dobroczynną?

- Że żona Hugh będzie próbowała tak cię potraktować, jeśli to małżeństwo się rozpadnie. Dokładnie to samo mówili wczoraj wieczorem nasi przyjaciele.

- Co było niesłychanie denerwujące.

- Zwyczajnie troszcza się o ciebie.

- Czy ja prosiłem o pomoc?

- Nie, ale i jej nie odrzuciłeś, a to jest często traktowane jak zachęta. - W jej głosie nagle dał się słyszeć smutek. - Nic nie mów, Eaton. Nie rozwiązałeś ich wątpliwości. Dlaczego po prostu nie po-

wiesz im, że się mylą? Dlaczego nie powiesz, że to dziecko Hugh, że w tym małżeństwie nie dzieje się nic złego i że kolor skóry dziecka to rodzinna atrakcja? Przecież wiesz, że tak właśnie jest. Ja nie mam najmniejszego problemu z wnuczką o afroamerykańskich korzeniach. A ty?

Eaton westchnął.

- Wciąż jesteś zła, że nie chcę odwiedzić Hugh?

- No cóż, zadzwonił.

- I wcale mi nie pomógł. Zadaje takie same pytania jak ty i to wtedy, kiedy absolutnie nie chcę o tym myśleć. Dorothy, moja książka wychodzi za nieco ponad trzy tygodnie. Gzy na pewno powiadomiłaś koordynatora promocji, że chcę, aby na przyjęciu z okazji publikacji książki pojawiły się *hors d'oeuvres*?

- Tak, skarbie.

- A co z zaproszeniami? Czy już poszły?

- Zostały nadane wczoraj. Mówiłam ci to, Eaton.

Eaton odetchnął głęboko, starając się zachować cierpliwość.

- Jeśli mi mówiłaś, a ja nie dosłyszałem, to dlatego, że mam mnóstwo innych spraw na głowie. Wystąpię w ogólnokrajowej telewizji i możesz być pewna, że zapytają mnie o rodzinę. Będą chcieli, żebym wytłumaczył się z rzeczy, które napisałem.

- Niby z czego? — prychnęła Dorothy. - Napisałeś tę książkę na długo przed narodzinami małej Elizabeth. Nikt nie będzie miał ci za złe, jeśli nasza wnuczka nie znajdzie się na drzewie genealogicznym, a już na pewno nie ma potrzeby dołączać drzewa rodziny Dany. Ale zapomnij o książce. - Z lekceważeniem machnęła dłonią. - Nie mówię o niej, tylko o naszym synu i jego dziecku. Chcę ich odwiedzić.

Eaton popatrzył na nią ze zdumieniem.

- W porządku. Jedź tam.

- Chcę, żebyś wybrał się ze mną. Jeśli przyjdę bez ciebie, to nie będzie to samo. Pomyślą, że coś jest nie tak.

- Bo coś jest nie tak.

- No to zrób coś z tym! - krzyknęła. - Zatrudnij detektywa. Zmień testament. Przekaż w zarząd powierniczy posiadłość na Vi-

neyard, żeby nie mogła położyć na nim ręki. Albo zaakceptuj to dziecko, albo nie. Nie widzisz, ile szkody wyrządzasz tym wahaniem? — Spojrzała na zegar na ścianie, po czym chwyciła torebkę. - Muszę iść na targ. Skoro Emery'owie przyjdą tu na *hors d'oeuvres* przed teatrem, trzeba kupić coś do jedzenia.

Eaton patrzył za nią, kiedy wychodziła.

—Jedź ostrożnie — powiedział w końcu, wyłącznie z przyzwyczajenia.

Dorothy trzymała obie ręce na kierownicy, mocno zaciskając usta. Eaton nie musiał jej radzić, żeby ostrożnie jechała. Zawsze była ostrożnym kierowcą, od czterdziestu dziewięciu lat, i nigdy nie miała żadnej stłuczki, czego jej mąż nie mógł powiedzieć o sobie. Miał na koncie dwa wypadki - raz wpadł w poślizg podczas zimowej zadymki, a drugi raz wziął udział, wraz z dziewiątką innych samochodów, w karambolu na autostradzie. Za ten pierwszy mogła winić pogodę, ale drugiemu nietrudno byłoby zapobiec, gdyby Eaton zachował należytą odległość między swoim autem a tym, które jechało przed nim.

Nie, Eaton nie będzie jej mówił, jak ma prowadzić.

Doszła również do wniosku, że nie będzie jej mówił, do kogo ma chodzić, a do kogo nie. Zdjęła rękę z kierownicy, otworzyła komórkę i wystukała numer Hugh. Sygnał rozległ się kilka razy, po czym usłyszała nagrany na sekretarkę głos Dany.

Ponownie złapała za kierownicę obiema rękoma i skręciła w lokalną drogę do supermarketu. Włączyła kierunkowskaz, żeby zjechać na parking, kiedy nagle zmieniła zdanie i pojechała przed siebie. Trzy minuty później zaparkowała przed pobliskim butikiem, który promieniował żółcią, oranżem i różem. Ten nieduży sklep był własnością dwóch młodych kobiet, a Dorothy odkryła go zupełnie przypadkowo, kiedy na gwałt potrzebowała prezentu dziękczynnego dla przyjaciół, do których wybierała się z weekendową wizytą.

Weszła do sklepu, uśmiechnęła się do właścicielki i oznajmiła stanowczym głosem:

- Potrzebuję jednego z waszych zestawów dla matki i córki, dla mojej synowej i jej nowo narodzonego dziecka. Co jest najbardziej niezwykle?

Dana lubiła jaskrawe i niezwykle rzeczy. Pewnie chciałyby no-
sić jaskrawe i niezwykle rzeczy.

Wkrótce Dorothy wyszła z paczką opakowaną i przewiązaną wstążką w żółtych, pomarańczowych i różowych barwach. Zadowolona darowała sobie wizytę w supermarkecie i wjechała na mniejszy parking przed delikatesami. Tam kupiła kawałek sera, kilka rodzajów krakersów i — nadal w wojowniczym nastroju - tuzin domowej roboty paluszków z kurczaka z posypką kokosową oraz tuzin szaszłyków z wołowiny w sosie z orzeszków ziemnych. No i co z tego, że Eaton nie dostanie swoich ukochanych minitart, według przepisu, który stosowała od lat? Te przekąski były równie dobre, a przynajmniej nie musiała marnować pełnej godziny w kuchni. Postanowiła podać je na eleganckiej zastawie, tak żeby goście nie zauważyli różnicy.

Zadowolona po raz drugi w ciągu ostatnich trzydziestu minut, wróciła do auta. Zerknęła na jaskrawą paczkę na siedzeniu pasażera, po czym uruchomiła silnik i wrzuciła jałowy bieg, jednocześnie wystukując numer Hugh.

Tym razem Dana podniosła słuchawkę.

Przez chwilę Dorothy się wahała. Zwykle nie robiła rzeczy, które psułyby humor Eatonowi, i nie była to kwestia posłuszeństwa, tylko szacunku. Intuicja rzadko kiedy go zawodziła i zwykle miał serce po właściwej stronie. Problem w tym, że teraz nie miała pojęcia, co się dzieje w jego sercu.

- Dana, tu Dorothy - oświadczyła mężnie. Zwykle przedstawiała się jako mama, ale Dana wolała mówić jej po imieniu. Być może tak rzeczywiście było lepiej. - Jak się miewasz?

Zapadło milczenie, po czym Dana odparła ostrożnie:

- Dobrze. A ty?

- Bardzo dobrze, dziękuję - oznajmiła Dorothy, jak gdyby nigdy nic. — Powiedz mi, jak maleństwo.

- Jest urocza - powiedziała Dana pogodniejszym tonem.

- Mogłabym przysiąc, że właśnie się uśmiechnęła. Wiem, że jest za mała i to pewnie gazy, ale ślicznie wyglądała.

- Ma apetyt?

- Znakomity. Chyba udało nam się ustalić pewien rytm.

- A co ze snem?

- No, nad tym trzeba jeszcze popracować. Nadal ma problem z rozróżnieniem dnia i nocy.

- Nie zapalasz światła, kiedy karmisz ją w nocy?

- Tylko lampkę nocną.

- Bardzo dobrze. To nie pora na zabawy. Niech w nocy śpi tak długo, jak chce, ale w dzień budź ją co cztery godziny, - Słyszając własne słowa, dodała pośpiesznie: — Naturalnie, tylko sugeruję. Moja kolej minęła, jak zawsze mawia Robert, kiedy usiłuję narzucać mu, jak ma wychowywać dzieci.

Znowu zapadło milczenie, po czym Dana powiedziała:

-Jestem otwarta na sugestie. Jedyna rzecz, której nie zdołam zmienić, to kolor skóry Lizzie.

- A zatem mówisz na nią Lizzie? Urocze imię dla takiego malucha. Elizabeth to piękne imię i pewnie będzie w przyszłości należała, żebyśmy tak się do niej zwracali, ale Lizzie lepiej pasuje do dziecka. Dziwne, Robert był zawsze Robertem, tylko Hugh mówił na niego Bob. Przy okazji, co tam słychać u Hugh? Pomaga ci przy dziecku? Wspominałam ci, że Eaton nigdy nie zmienił pieluchy? Ani jednej. Zresztą żaden z jego przyjaciół też nie. W tamtych czasach wszystko spoczywało na nas, no ale wtedy byliśmy pełnoetatowymi mamami. Co nie znaczy, że zajmowanie się czymś poza dzieckiem to coś złego. - Urwała zaniepokojona milczeniem Dany. - Jesteś, moja droga?

-Jestem - odparła Dana.

- Chciałabym do was przyjść - oznajmiła Dorothy. - Kupiłam pewien drobiazg dla ciebie i Lizzie i chciałabym ją zobaczyć. Pewnie sporo się zmieniła przez te cztery dni.

- Ale kolor skóry pozostał, Dorothy. Musisz to wiedzieć.

- Wiem - przyznała Dorothy cicho. Ponieważ jednak wydało się jej to zbyt lakoniczne, dodała: - Nie usiłuję zaprzeczać jej po-

chodzeniu, bo przez ostatnie dni głównie o tym myślę. Ale tak się składa, że to dziecko jest moją wnuczką.

- Niektórzy nie są tego pewni — powiedziała Dana i Dorothy zrobiło się wstyd. Pomyślała, że ta rozmowa w szpitalu będzie ją prześladowała do końca życia.

- Kiedy kogoś spotyka wstrząs, zwykle uderza na oślep. Ja naprawdę wierzę, że Lizzie to moja wnuczka.

- A Eaton?

- Hm, mówię za siebie.

- Czy on wie, że zadzwoniłaś?

- Nie - odparła Dorothy, zanim przyszło jej do głowy, żeby skłamać, po czym natychmiast zaczęła się wycofywać: — Ale to nie ma nic do rzeczy, bo ja chcę zobaczyć wnuczkę. Jutro to nie najlepsza pora, ale poniedziałek mi pasuje. - Eaton będzie pracował w gabinecie. Zamierzała mu powiedzieć, że jedzie do Bostonu na zakupy. - Czy poniedziałek ci odpowiada?

- W poniedziałek będę w sklepie. Babcia złamała nogę w kostce, więc staram się tam trochę pomagać.

- Złamanie? O mój Boże. Przykro mi to słyszeć. Mam nadzieję, że to nic skomplikowanego?

- Nie, ale przez to nie może poruszać się tak swobodnie, jak by chciała.

- Co z dzieckiem? - chciała wiedzieć Dorothy. - Kto z nią zostaje, kiedy ty jesteś w sklepie? Mogłabym wam pomóc. Przypilnować jej, kiedy będziesz zastępowała Eleanor.

- Muszę mieć Lizzie przy sobie, bo karmię piersią. Mamy tam kołyskę.

- Och. No to może we wtorek? — Eaton znowu miał grać w tenisa. — Rozumiem, że Hugh już wraca do pracy?

- Tak.

- No to doskonale - pisnęła Dorothy z zachwytem. Nie miała teraz ochoty na spotkanie z Hugh, nie chciała też, żeby Eaton dowiedział się o jej poczynaniach. To była sprawa między Daną, Lizzie i nią. — Mogłabym przyjść wcześniej, jak tylko Hugh wyjdzie do pracy, i nawet przynieść śniadanie.

- Obiecałam Tarze, że spotkamy się na śniadaniu - powiedziała Dana.

- Czy to rozsądne zabierać takie małe dziecko do restauracji?

- To blisko, tylko pięć minut jazdy od domu. Poza tym pediatra mówił, że mogę.

- No dobrze — oznajmiła Dorothy pogodnie, chociaż humor się jej popsuł. Najwyraźniej Dana nie miała ochoty na wizytę teściowej, i trudno ją było za to winić. Problem w tym, że Dorothy naprawdę chciała zobaczyć małą.

- Może przed południem we wtorek? - zaproponowała Dana.

- Powinnyśmy wrócić przed dziesiątą, a do Włóczkami idę dopiero po lunchu.

Dorothy od razu się rozpromieniła.

- Przyniosę lunch. Jak miło. Wiem, że lubisz potrawy z baru „U Rosie”. Wstąpię tam pod drożdże. Powiedz mi, co byś chciała.

- Jakaś sałatkę z grillowanym kurczakiem...

- Nie, nie. Dokładniej.

- Sałatkę cesarską z grillowanym kurczakiem i niedużą ilością sosu.

- I to właśnie zjemy.

14

Dana nie powiedziała Hugh, że dzwoniła jego matka. Wiedziała, że to małostkowe i że milczy dlatego, by zyskać poczucie kontroli nad sytuacją. Czuła się jednak wyjątkowo bezbronna. Narodziny Lizzie zmusiły ją do rozważań na temat jej ojca i problemów rasowych. Co pewien czas spoglądała w lustro, zastanawiając się, jak różniłoby się jej życie, gdyby miała skórę taką jak Lizzie. Przede wszystkim wątpiła, czy wyszłaby za Hugh.

Ale wyszła. I ten weekend był trudny. Hugh wydawał się dwiema różnymi osobami - ostrożną przy niej, entuzjastyczną w towarzystwie przyjaciół. Kiedy Julian wyciągnął aparat i postanowił zrobić rodzinne zdjęcia, Hugh był cały w uśmiechach. Obejmował Dane i przytulał do siebie ją i dziecko. Chociaż wiedziała, że to hipokryzja z jego strony, ta demonstracja pozytywnie wpłynęła na zachowanie ich przyjaciół. O dziwo, o to jej przecież chodziło. Tak, padały pytania, ale skończyły się w chwili, kiedy Hugh wyjaśnił, że Dana nie zna swojego ojca. Powiedz ludziom prawdę, a dadzą ci spokój, mówiła wcześniej. Okaż entuzjazm, odpłacą się tym samym.

Problem pojawiał się wtedy, gdy byli sami. Dzieliło ich badanie DNA i właśnie z tego powodu każde trzymało się swojej strony łóża królewskich rozmiarów.

Kiedy w niedzielny poranek Hugh poszedł do szpitala, by odwieźć Jaya Kostasa, wziął ze sobą torbę pełną książek, sterowany samochódzik i obszerny podkoszulek Patriots. Jaya umieszczono

w czteroosobowej sali, ale oprócz niego leżał tam tylko jeszcze jeden chłopiec, którego rodzice zasunęli zasłonkę.

Jay nie był dużym dzieckiem. Gips pokrywający jego korpus sprawiał, że chłopiec wydawał się pękaty, ale wystarczyło popatrzeć na jego niesłychanie cienkie ręce i nogi, by to wrażenie przysło. Gdy zjawił się Hugh, mały oglądał kreskówki w telewizorze na ścianie. Crystal podsyiała na krześle. Jay rozpoznał gościa, w końcu Hugh już raz go odwiedził. Jego oczy rozbłyły na widok prezentów.

- Obudź się, mamusiu - wyszeptał.

Crystal podniosła głowę. Przez chwilę usiłowała się skupić, co świadczyło o tym, że najwyraźniej od dawna porządnie nie wypo- częła we własnym łóżku. W końcu powiedziała zaspanym głosem:

- Cześć.

- Co słyszeć? - zapytał Hugh.

- Nie jest najgorzej. - Przeciągnęła się.

- Co masz? - Jay nie spuszczał wzroku z prezentów.

- To dla twojej mamy.

Twarz chłopca wyraźnie się wydłużyła.

- Żartowałem - zaśmiał się Hugh. Położył książki na stoliku z tacą. - Może ci się spodobać, a może nie. Musiałem zaufać sprzedawcy, od moich czwartych urodzin minęło już sporo czasu. Ale auto to co innego. - Jay już zdążył po nie sięgnąć, tak samo jak po koszulkę.

- Ma numer?

- No pewnie.

-Jaki?

- Cztery - odparł Hugh i pomógł mu rozłożyć koszulkę.

Już miał powiedzieć chłopcu, że czwórka to numer Vinatieriego, kiedy Jay zapytał z podnieceniem:

- Mogę ją włożyć, mamó?

Hugh domyślał się, że to trochę potrwa. Crystal już rozpinała górę od piżamy syna. Pochyliła Jaya do przodu i ją zdjęła. Gipsowa forma przypominała kamizelę z chińskim kołnierzykiem — zaczęła się tuż pod brodą, kończyła na biodrze.

- Nie jest najgorzej - zauważył Hugh. - Jak się czujesz?

- Swędzi - odparł chłopiec.
- Powinienem być przynieść drapaczkę.

Waga formy też stanowiła problem. Hugh widział, jaka jest ciężka, gdyż Crystal z trudem próbowała podtrzymywać chłopca i jednocześnie wciągać na niego koszulkę. Hugh jej pomógł.

Gdy było już po wszystkim, Jay powiedział:

- O rany. To moja najlepsza koszulka.

Sięgnął po pilota i zaczął się bawić nowym autem. Entuzjazm chłopca nie umknął uwagi Hugh, podobnie jak jego zadowolenie z siebie po szczególnie udanej przejażdżce. Niezwykle przypominał J. Stana Hutchinsona.

Patrzył, jak Crystal bawi się z synem, i myślał o tym, że nie tylko jest niezwykle atrakcyjną kobietą, ale i dobrą matką. Jej uśmiech zdradził mu, że doceniła jego gest.

Miło było czuć czyjąś aprobatę. Przyszło mu do głowy, że Dana miałaby za swoje, gdyby zainteresował się inną kobietą. Problem w tym, że nie chciał żadnej innej.

- Usiłuję sobie wszystko przypomnieć. — Crystal podeszła do niego.

- Chcesz mi coś powiedzieć?

- Jeszcze nie. — Popatrzyła w przestrzeń za nim. — Przyszedł lekarz.

Mężczyzna w białym fartuchu obserwował Jaya.

- Wszystko w porządku z kciukami - mruknął do siebie, po czym wyciągnął rękę do Hugh. — Steven Howe.

- Hugh Clarke. Parę dni temu rozmawiałem z pana wspólnikiem. Nie widział oświadczenia podpisanego przez Crystal i nie czuł się upoważniony do udzielania informacji.

- Ja widziałem - powiedział doktor. - Mam teraz kilka minut. — Poprowadził Hugh do niewielkiego gabinetu tuż obok pokoju pielęgniarek. - Co chce pan wiedzieć?

- Muszę znać dokładny charakter obrażeń i sposób leczenia — odparł Hugh.

- Wypadek spowodował pęknięcie uciskowe czwartego kręgu lędźwiowego — zaczął lekarz. - Zdarzenie doprowadziło do

obustronnej utraty czucia w miednicy. Wykonany natychmiast rezonans magnetyczny wykazał wsteczne uwypuklenie kości, owocu-ające uciskiem na kanał kręgowy, co z kolei doprowadziło do naruszenia struktury oraz deformacji korespondującego poziomem woreczka osłonkowego.

- A po ludzku?

- Pęknięcie jednego z kręgów sprawiło, że odpryski kości kręgosłupa wbiły się w kanał kręgowy i uciskały zakończenia nerwowe. Otworzyliśmy kręgosłup i usunęliśmy wystarczająco dużo odprysków, aby zniwelować ucisk na zakończenia nerwowe. Gdybyśmy tego nie zrobili w ciągu pierwszych kilku godzin, zapewne doszłoby do nieodwracalnych zmian neurologicznych.

- A więc nie ma trwałych obrażeń?

- Nie ma neurologicznych. Odlew Rissera przytrzymuje pękniętą kość w odpowiedniej pozycji, umożliwiając prawidłowy wzrost. Na tym etapie nie powinny wystąpić żadne problemy.

- Matka wspominała o płytkach.

- W tym sęk. Biorąc pod uwagę pierwotną formę pęknięcia oraz moje doświadczenie z podobnego typu schorzeniami, mogę zakładać, że nastąpiło mniejsze lub większe uszkodzenie płytek po prawej stronie ciała. Jeśli ta diagnoza zostanie potwierdzona, lewa strona ciała dziecka będzie rosła dalej, podczas gdy rozwój prawej zostanie zahamowany. Rezultatem musi być deformacja w postaci skoliozy.

- To znaczy?

- Tułów chłopca będzie się przechylał na prawą stronę. Gdy do tego dojdzie, jego organizm będzie usiłował kompensować zaburzenie równowagi rozwoju, a to zaowocuje wieloma innymi problemami. Nie chcemy, aby one wystąpiły, i dlatego zalecamy szybką interwencję chirurgiczną.

Hugh zrozumiał, że teraz padnie słowo „ale”, i opuścił głowę.

- To bardzo wyspecjalizowana dziedzina - powiedział lekarz.

- Crystal wspomniała o St. Louis.

- Tam jest najlepszy lekarz.

Hugh pomyślał, że zapewne i jego pozwie na świadka. Teraz zapytał tylko:

- Czy zechce pan poświadczyć to wszystko pisemnie, pod przysięgą?

- Naturalnie. - Lekarz wyciągnął wizytówkę.

- Czy rokowania są dobre? - spytał Hugh.

- Chodzi o Jaya? Przy odpowiednim leczeniu, bardzo dobre. Byłby już w domu, gdyby nie forma na nogę. Chcemy, żeby przez parę tygodni nie chodził, a odlew Rissera utrudnia korzystanie z kul. Przyuczamy go do chodzika. Kiedy już to opanuje, wypuścimy go do domu. Spotkamy się za sześć tygodni, wtedy będziemy mieli bardziej precyzyjną ocenę sytuacji, jeśli chodzi o płytki. Jeśli niedługo potem pojedzie do St. Louis, w przyszłym roku będzie mógł grać w piłkę.

- A jeśli nie?

- Do końca życia będzie tylko obserwował grę.

Kiedy późnym niedzielnym popołudniem Dana wracała ze sklepu, niosąc śpiącą Lizzie w foteliku, David i Ali akurat wychodzili z domu, żeby urządzić sobie grilla na tarasie. David zerknął na Dane i natychmiast skupił się na rozpalaniu grilla. Ali pomachała jej i krzyknęła, po czym spojrzała na ojca i zamilkła.

Dana nie zamierzała tego dłużej znosić. Dziecko nie mogło cierpieć przez to, co David myślał o Hugh. Zostawiła Lizzie w foteliku i przeszła przez własny ogród do ogródka sąsiadów.

- Cześć - powiedziała. - Wróciliście wcześniej, niż się spodziewałam. Jak się udała wyprawa?

Ali natychmiast do niej podbiegła, tak jakby wejście Dany do ogródka zdjęło z niej jakieś magiczne zaklęcie. Dziewczynka miała potargane włosy i niebieskie plamy na podkoszulku, ale jej policzki były zarumienione, a w ciemnych oczach migotały ogniki.

- Super! Tata i ja chodziliśmy godzinami, a potem... - machała rękami, żeby zilustrować swoje słowa - znaleźliśmy takie miejsce, gdzie drzewa nie rosty za blisko siebie, rozstawiliśmy namiot, a potem zebraliśmy patyki i piekliśmy na ogniu.

- Co piekliście?

- Cukierki piankowe.

- Cukierki piankowe. I to wszystko?

- Nie, inne rzeczy też, ale cukierki były najlepsze. - Znowu zaczęła wymachiwać rękami. - Najpierw bierzesz patyk i szczyrzykiem czyścisz go i ostrzysz, a potem nabijasz cukierek na patyk. Musisz trzymać patyk nad ogniem. — Pokazała jak. - I obracać przez cały czas, bo inaczej się zapali i osmali.

- Osmali - poprawił ją David.

- Osmali. — Odwróciła się do Dany. - Czy jutro będziemy robić na drutach? Obiecałaś, że mnie nauczysz.

- I nauczę, tak, jutro.

- Super. Mam pływanie... O której, tato?

- O drugiej - odparł David.

- O drugiej, to możemy się umówić wcześniej, może o ósmej, dziewiątej albo o dziesiątej. - Podskakiwała na palcach, zerkając na fotelik. - Czy dziecko jest w tym czymś?

- Tak.

- Mogę ją zobaczyć? - Wzięła Dane za rękę.

- Ali... - zaczął David.

- Wszystko w porządku - przerwała mu. - Zaraz wrócimy.

Truchtem, żeby nadążyć za Ali, pobiegła wraz z nią do fotelika.

Dziewczynka pisnęła cicho. Przyklęła na kamieniu i złapała fotelik za uchwyt.

- Znowu śpi. - Popatrzyła na Dane. - Dlaczego ciągle śpi?

- Bo noworodki bardzo dużo śpią. Niewiele więcej potrafią, zanim urosną, a żeby rosnąć, muszą spać.

- I jeść - dodała Ali scenicznym szeptem. - Zakład, że małej E-lizabeth smakowałyby opiekane piankowe cukierki, pyszne, brązowe i lepkie... - Urwała nagle, uśmiechnęła się szeroko i wstała.

W drzwiach z siatką pojawił się Hugh. Z lekko przechyloną głową wpatrywał się w Ali. Miał żartobliwie sceptyczną minę, którą Dana uwielbiała.

- To nie może być Alissa Johnson - oznajmił. - Ta, którą pamiętam, jest z pół metra niższa i w ogóle nie przypomina tej młodej damy. Więc kto to taki?

- Ali. - Dziewczynka nie przestawała się uśmiechać.

Hugh wyciągnął rękę, jak do przybicia piątki. Dziecko przybiło. Kiedy uniósł dłoń wyżej, przybiło raz jeszcze.

- Tak trzymać - powiedział.

- Ali! - zawołał David.

- Muszę już iść - oświadczyła. - Obiecałam tacie, że pomogę mu przy kolacji. - Pobiegła przez trawnik.

Hugh patrzył za nią.

- Myślisz, że David jej powiedział, co się dzieje?

- Myślę, że kazał jej nie przeszkadzać, bo urodziło się nam dziecko. Nie wyobrażam sobie, żeby powiedział coś innego.

- Powinnaś go spytać.

- Moim zdaniem ty powinienesz.

Zerknął na nią z irytacją.

- Nie mogę.

- Kiedyś będziesz musiał go przeprosić.

- Tak, wiem, ale jeszcze nie teraz - odparł i ponownie test na ojcostwo stanął między nimi. Dana nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Jej ból musiał być widoczny, bo Hugh dodał szybko: - To zwykła formalność, Dee. Przecież wiesz, że ja wiem, że to ja jestem ojcem Lizzie.

Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Hugh odwrócił się do córki. Przyklęknął i dotknął jej osłoniętego śpioszkami w paski brzuszka. Miała przechyloną na bok głowę i zamknięte oczy, ciemne rzęsy dotykały jej ciemnozłotych policzków.

- Wracam ze szpitala. Byłem z wizytą u Jaya Kostasa. To uroczy chłopczyk, którego czeka sporo poważnych operacji. W takich chwilach człowiek zaczyna być wdzięczny za to, co ma. Lizzie jest wyjątkowo zdrowa.

Dana odetchnęła głęboko.

- Tak. Jest zdrowa. Jestem za to wdzięczna.

- Mam ją zanieść do domu?

- Nie. Świeże powietrze jej służy. Myślę, że szum oceanu ją uspokaja.

—Ją czy ciebie?

- Nas obie - przyznała. - Wśród fal słyszę głos mojej matki. Może Lizzie także.

Hugh popatrzył na nią.

- I co mówi twoja matka?

Dana nie odrywała spojrzenia od wody.

- Mówi, że to, co się dzieje w naszej rodzinie, nie jest dobre. Że tyle nas łączy i że nam odbiło, skoro dopuściliśmy do tego, by coś takiego stanęło między nami. Że zachowujemy się dziecinnie.

- Zgadzasz się z nią?

- Tak.

Wstał.

- No i...

Spojrzała mu w oczy.

- To nie takie proste. Nie chodzi o zwykłe pogodzenie się. Wszystko jest względne. Łączyło nas coś idealnego. - Słyszał ból w jej głosie. - Może to była iluzja. Ale ja chcę tego z powrotem, a to niemożliwe.

- Nic nie jest niemożliwe.

- Tak mówi ktoś, kto zawsze miał fart.

- Daj spokój, Dee - powiedział karcącym tonem. — Lepiej posłuchaj swojej matki.

Wybacz i zapomnij? Zjeżyła się na samą myśl. Jeśli Hugh nie dostrzegał, że ich życie zmieniło się na zawsze, nawet jeśli nie przez samo badanie DNA, to przez konsekwencje, jakie niósł za sobą kolor skóry Lizzie, to znaczy, że był infantylny.

- A czy ty zawsze słuchasz rodziców?

- Nie - przyznał, ale od razu zmienił temat. - Gzy Ali zauważyła karnację Lizzie?

- Nic nie powiedziała.

- Może bała się komentować?

- Ali? Ona bałaby się cokolwiek komentować? - spytała Dana z przekąsem. - Nie. Moim zdaniem nie widzi w tym nic nadzwyczajnego, jak wiele innych dzieci. Wszystko zależy od tego, jak je wychowano.

- Innymi słowy, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, będzie -

my musieli się upewnić, że pošlemy Lizzie do wielokulturowej szkoły.

- Czyli od razu możemy wykluczyć tutejsze szkoły państwowe - oznajmiła Dana. David był ich jedynym czarnym sąsiadem.

- Myślisz, że Ali źle się czuje, kiedy tu przyjeżdża? - zapytał Hugh. - Nie na miejscu?

Dana zastanowiła się nad tym.

- Nie wiem, jak ona się czuje. Może ja nie wyglądam, jakbym miała afrykańskie korzenie, ale najwyraźniej je mam, co oznacza, że różnię się od większości miejscowych. To niepokojące.

- Nikt nie widzi w tobie nic odmiennego.

- Czyli jestem w porządku, bo nie wyglądam na czarną?

- Skomplikowane pytanie.

- Ale istotne. Czemu moja córka ma być traktowana inaczej niż ja? Albo czemu Ali ma tak być traktowana?

Podrapał się po głowie i położył rękę na karku.

- W idealnym świecie nie byłyby traktowane inaczej.

-Jestem o pokolenie bliżej Afryki niż Lizzie. Na dobrą sprawę powinnam zetknąć się z większymi uprzedzeniami niż ona.

- Na dobrą sprawę powinnaś, ale to nie działa w taki sposób.

- To dość szokujące. I wypłynęło tak nagłe — powiedziała Dana, usiłując przekazać choćby część tego, co czuła. - Przynajmniej Ali i Lizzie będą przygotowane.

Od chwili, w której Dana przysłała po Ali w poniedziałkowy rano, dziewczynce usta się nie zamykały. Najpierw ze szczegółami streściła film, który poprzedniego wieczoru obejrzała z Davidem, a potem dokładnie opisała naleśniki z borówkami, dzieło opiekuńki zatrudnionej przez Davida na czas, kiedy on był w pracy. W końcu nadeszła pora na detale rozmowy telefonicznej z matką, przeprowadzonej niespełna godzinę wcześniej.

Ucichła trochę, kiedy dotarli do sklepu. Ledwie minęły próg, a już dostrzegła zrobione na drutach lalki, siedzące razem na wystawie obok poradnika.

Kilka z nich Dana zrobiła własnoręcznie. Były prześliczne i niezwykle skromne w porównaniu z lalkami sprzedawanymi w zwykłych sklepach z zabawkami. Wykonano je ścięciem półczochowym, w kolorach kremowym, brązowym lub beżowym, ich włosy były z włóczki, a buzie z filcu.

Ali była zaintrygowana. Dotykała twarzy lalek, łapała małe rączki, krzyżowała miękkie nogi. Kiedy Dana powiedziała jej, że może sobie wziąć jedną z lalek, twarz dziewczynki pojaśniała. Rozbrojona tą radością, Dana pozwoliła małej wziąć dwie lalki. Nie była to zresztą zwykła słabość. Najlepszym wyzwaniem dla siedmiolatki, która dopiero zaczyna uczyć się robić na drutach, był bez wątpienia szalik dla lalki.

Ali przyglądała się lalkom z taką uwagą, jakby chodziło o wybór brylantu. Dana zdążyła nakarmić Lizzie, zanim wybór został dokonany i dziewczynka stanęła przed nią, z dumą prezentując trofea. Kiedy usłyszała, że musi nadać im imiona, nie wahała się ani przez moment.

- Śmietanka - oświadczyła, wyciągając przed siebie lalkę w kolorze kości słoniowej, po czym wyciągnęła brązową. - I Czekoladka.

Dana nie tak by nazwała lalki, ale nie mogła zaprotestować.

- A zatem Śmietanka i Czekoladka - powiedziała i zaprowadziła dziecko do koszyka z resztkami pozostawionymi przez klientki, a także z ostatnimi kłębkami wycofanej z produkcji włóczki, słowem z kramem dla początkujących.

Ali bez wahania wyciągnęła kłębek jaskrawoczerwonej wełny.

- To będzie dla Śmietanki. Pasuje, prawda? - zapytała.

- A dla Czekoladki?

Tym razem trwało to dłużej. W końcu Ali wybrała ciemnozieloną wełnę czesankową, z odrobiną moheru, który nadawał jej miękkości.

Dana wzięła druty, usiadła przy stole obok dziewczynki i zademonstrowała jej podstawowy ścieg. Pokazała go raz, potem drugi, i to bardzo powoli. Za trzecim razem nadeszła pora na rymy:

*Wejdz przez drzwi frontowe, z tyłu zatocz koło,
Zajrzyj przez okienko i wyskocz wesoło.*

Ali uśmiechnęła się szeroko.

- Jeszcze raz - *zażądała*, więc Dana powtórzyła. Myślała o dniu, w którym Ellie Jo zaśpiewała tę piosenkę i nauczyła ją robić na drutach.

- Teraz ja. - Ali wzięła od niej druty. Dana pokazała jej, jak trzymać wełnę, i prowadziła jej ręce przez kilka pierwszych oczek. Więcej nie musiała. Ali była bystrą dziewczynką. Skoncentrowana na pracy, w ogóle nie denerwowała się pytaniami innych kobiet, które od czasu do czasu do niej podchodziły.

- Co robisz? - pytały.

- Dla kogo?

- A jeśli mu się nie spodoba?

- Skąd wzięłaś taki kolor?

Poruszając kołyską i obserwując Ali, Dana doszła do wniosku, że matka dziewczynki zdecydowanie wychowuje ją jak należy.

Hugh wrócił do pracy, i to w samą porę, gdyż nabierało się mnóstwo zaległych spraw. Miał do przedłożenia wniosek w sprawie o kradzież korespondencji, musiał się spotkać z biegłym patologiem sądowym w sprawie zabójstwa drogowego, a także czekało go spotkanie z nowym klientem, oskarżonym przez sąd federalny o krzywoprzysięstwo. Musiał także podjąć decyzje w związku z bezpodstawnym zerwaniem umowy o pracę. Przez cały czas powracał do tej sprawy. Jego klient był agentem ubezpieczeniowym, specjalistą od rynku nieruchomości. Pokrzywdzony twierdził, że podpisywał więcej umów niż inni agenci, lecz pod względem demograficznym jego klienci należeli do uboższej grupy, przez co jego średni dochód stale się obniżał, a to w końcu zaowocowało zwolnieniem z pracy. Był czarnoskóry, podobnie jak większość jego klientów.

Hugh chciał dołączyć do sprawy oskarżenie o dyskryminację rasową i przez większość poniedziałku obmyślał logistykę tylko po

to, by pod koniec dnia jednak z tego zrezygnować. Dyskryminacja rasowa byłaby trudna do udowodnienia i mogłaby odciągnąć uwagę od innych, lepiej udokumentowanych problemów. Praktykujący prawnik musiał wybierać sobie cele, które chce osiągnąć.

Uświadomił sobie, że życie również na tym polega. Mógł w nieskończoność spierać się z Daną o motyw, dla którego uparł się na badanie DNA, ale odnalezienie jej ojca było w tej chwili istotniejsze. I problematyczne, gdyż niewiele mieli poszlak.

We wtorkowy poranek, gdy zadzwoniła Crystal Kostas, z chęcią oderwał się od bieżących spraw. W podziękę za notatki z obrzymią przyjemnością postawił jej śniadanie w szpitalu. Zamówiła omlot z trzech jaj z tostem, frytkami i kawą. Jadła łapczywie, podczas gdy on czytał. Notatki były zaskakująco spójne, z nagłówkami na górze każdej strony.

Znalazła się tam lista innych klientów, którzy przebywali w barze, podczas gdy Crystal obsługiwała senatora. Gwiazdkami zaznaczyła nazwiska stałych klientów, którzy ją znali.

Znalazł też opisy recepcjonisty w motelu (przed trzydziestką, chudy, okulary) oraz auta, którym jeździł senator (ciemny samochód terenowy z bagażnikiem na dachu i rurami w jaśniejszym kolorze).

Zapisała datę i przybliżony czas spotkania oraz kilka stron tego, co pamiętała z rozmowy z senatorem. Odnotowała też kolejność zdarzeń - wynajęła pokój, senator dołączył do niej, gdy była w środku, i opuścił motel przed nią. Opisała jego wysoki wzrost, krzepką sylwetkę i łysiejący płatek na czubku głowy.

Ssał pastylki na odświeżenie oddechu, poczęstował ją jedną. Nie pamiętała marki.

Na ostatniej stronie zabrakło nagłówka. Widniało na niej jedynie imię.

- Dahlia? - zapytał Hugh.

Crystal odłożyła tost i wytarła usta papierową serwetką.

- Wykrzyknął je.

- Wykrzyknął? Kiedy?

- Kiedy doszedł.

- Doszedł? To znaczy, w trakcie stosunku?
Skinęła głową.
- Czy tak ma na imię jego żona? - zapytała.
- Niestety nie - odparł Hugh. Myślał nad tym intensywnie.
- Może to imię kochanki.
Crystal wydawała się rozczarowana.
- Zaprzeczy. Zaprzeczy, że miał kochanki.
- Może. - Podniecenie Hugh narastało. — Ale jeśli inne kobiety, te, o których wspominał szef sztabu Hutchinsona, zgodzą się zeznawać pod przysięgą, że wykrzykiwał to samo imię, gdy był z nimi?

15

We wtorkowy poranek Dana spotkała się z Tarą na śniadaniu. Dołączyły do nich jeszcze trzy znajome, żeby uczcić rodziny Lizzie bułeczkami cynamonowymi, grzankami z jajkiem, tartą z brokułami i orzechową kawą bez kofeiny. Ledwie zdążyła zaparkować na parkingu przed domem, Ali wyrosła jak spod ziemi tuż przy samochodzie.

- Patrz! - wykrzyknęła z radością, ledwo Dana otworzyła drzwi. Trzymała w rękach maleńki czerwony szalik, tak ostrożnie, jakby był ze szkła. - Skończyłam! Teraz muszę zrobić drugi dla Czekoladki, ale nie wiem, jak zapuszczać oczka.

- Spuszczać oczka - poprawiła ją Dana i spojrzała na dzieło w rękach dziewczynki. - Ali, to wspaniałe. Gratuluję.

- Uwielbiam to. Tata mówi, że się wynalazłam.

- Odnalazłam?

- Odnalazłam. Pomożesz mi zacząć następny? A potem chcę im zrobić kołderki na zimę. - Zasłoniła oczy i przytknęła buzię do szyby z tyłu. - Dlaczego mała E-lizabeth płacze?

- Jest głodna - wyjaśniła jej Dana. - Wiesz co? Widzisz te pudła na fotelu z przodu? Pomóż mi je wnieść, kiedy będę karmiła Lizzie, a ja cię nauczę spuszczać oczka. Przecież będziesz musiała robić to sama po powrocie do Nowego Jorku. - Otworzyła drzwi, żeby wyjąć dziecko.

- Nie wracam do Nowego Jorku.

- Nie? - To było coś nowego. - Dokąd jedziesz?

- Donikąd. Zostaję tutaj.

Dana wyłoniła się z auta z pochlipującą Lizzie.

- Od kiedy?

David nic o tym nie wspominał. Gdyby Ali miała z nim zamieszkać, z pewnością gorączkowo szukałby dla niej szkoły. Lektje na Manhattanie rozpoczynały się dopiero w połowie września, ale tutejsze szkoły otwierały się za niespełna tydzień.

- Od dzisiaj - odparła Ali. - Chcę zostać z tatą.

- A on wie?

- Powiem mu wieczorem. Na pewno się zgodzi. Uwielbia, kiedy u niego mieszkam. - Pobiegła do drzwi z przodu, gdzie leżały trzy pudła, jedno na drugim. Wyciągnęła pierwsze w chwili, gdy Dana podeszła z noworodkiem. — Czy to dla małej E-lizabeth?

Narzekania Lizzie przybrały na sile, więc Dana nieuważnie zerknęła na etykiety.

- Na to wygląda. Połóż tam, skarbie. Hugh otworzy je, kiedy wróci do domu.

Trzeba było nakarmić i przewinąć Lizzie. Zaraz po tym Dana nauczyła Ali spuszczać oczka. Później, z dziewczynką depczącą jej po piętach, zanosła Lizzie do pokoju gościnnego. Otworzyła drzwi szafki i wyciągnęła stamtąd karton. Ostrożnie położyła dziecko na orientalnym dywaniku i zabrała się do oglądania zawartości pudła.

- Ooooooch ~ jęknęła Ali. - Jeszcze więcej włóczki.

- Ta jest wyjątkowa - wyjaśniła jej Dana. - Należała do mojej matki, większość to resztki włóczki, z której zrobiła różne rzeczy, gdy byłam mała. Patrz. - Wyciągnęła sporą kulkę wełny w kolorze awokado, z której Elizabeth wyczarowała szalik, i resztki żółtej włóczki zużytej na kapelusik małej Dany. Innych motków nie rozpoznawała.

Zaciekawiona wyciągnęła projekty upchnięte z boku pudła. Wiele znajdowało się w książkach otwartych na stronach, nad którymi pracowała matka. Dana przewertowała je, rozpoznając niektóre dzieła Elizabeth.

Po chwili dotarła do pojedynczych kartek z projektami. Były to tradycyjne wzory, proponowane przez Włóczkarnię klasyczne swetry, swetry w serek i kardigany. Na początek podstawowy wzór

był kopiowany, a następnie w zależności od rozmiarów klientki oraz wagi wybranej włóczki sprzedawczynie zaznaczała, ile oczek trzeba będzie wykonać, ile razy powiększyć wzór, jakiej długości mają być poszczególne części swetra. Podczas pracy nad robótką klientka powracała za każdym razem, gdy należało wprowadzić poprawki.

Przyjrzawszy się bliżej kartkom, Dana zauważyła, że logo na tych wzorach nie należy do Włóczkami. Pochodziły ze sklepu w Madison, zatem Elizabeth zgromadziła je w latach nauki w college'u.

Lizzie spała na podłodze, a Ali starannie segregowała włóczki kolorami, więc zaintrygowana Dana mogła przejrzeć pozostałe wzory. Znalazła projekty swetrów z Wyspy Fair, swetrów rybackich i szalika szejkerów. Był tam też farerski szal, z Wysp Owczych, ze spłowiałym rysunkiem na froncie. Dana widziała w sklepie nowe książki z takimi wzorami. Najwyraźniej nastąpiła moda na szale wymyślone na islandzkich Wyspach Owczych kilka pokoleń wcześniej. Była oszołomiona faktem, że ponad trzydzieści pięć lat temu jej matka pracowała nad takimi właśnie szalami. Nagle, bez przeglądania pozostałych wzorów, Dana zrozumiała, że to będzie jej flagowy projekt na jesień. Dziergany od brzegu w górę, z klinem pośrodku pleców, przylegający na ramionach — taki szal można było projektować z długimi końcami, owijanymi wokół talii i wiązanyymi z tyłu. Zielononiebieskie, alpakowo-jedwabne szale Dany, choć cięższe od koronkowych, moherowych odmian z Wysp Owczych, zapowiadały się na nowoczesną odmianę klasycznego wzoru, idealną dla kobiet w jej wieku.

Podeksytowana już miała rozłożyć wzór, kiedy nagle zadzwoniła jej komórka. Dana wyciągnęła ją z kieszeni i otworzyła.

- Halo?
- Dana? Mówi Marge Cunningham. Go u ciebie?
- Wszystko w porządku, Marge. Dzięki, że oddzwoniłaś. Przepraszam, że odwołałam zeszłotygodniowe spotkanie. Mara nadzieję, że uda się nam szybko umówić.

- Szczerze mówiąc, przemyśleliśmy sprawę - odparła Marge.
- Masz teraz małe dziecko, a my musimy jak najszybciej urządzić nasz nowy ogromny dom, więc wynajęliśmy Heinricha i Dunna.

Dana poczuła ukłucie rozczarowania.

- Przykro mi. Nie miałam pojęcia, że się śpieszycie. Gdybym wiedziała, szybciej zorganizowałabym nasze spotkanie.

Mogłaby również dodać, że Heinrich i Dunn dadzą Cunninghamom dokładnie to, co stworzyli dla ich dwóch sąsiadów, czyli to, czego Marge za wszelką cenę pragnęła uniknąć.

- Och, sama wiesz, to była jedna z tych chwil, w których podejmiesz decyzję i chcesz jak najszybciej przystąpić do dzieła. - Marge zaśmiała się nieszczerze. — Ale wielkie dzięki, Dana. I dużo szczęścia dla córeczki. Podobno jest śliczna.

Dana zakończyła rozmowę. O dziwo, w ogóle nie było jej przykro. Z powodu niedyspozycji Ellie Jo i tak miała aż za dużo pracy w sklepie.

Zadowolona rozłożyła wzór. Podobnie jak tytuł na froncie, był narysowany odręcznie, a w środku znajdowała się notatka.

„Oto instrukcje. Moja mama przetłumaczyła je na angielski z farerskiego babci, coś mogło zaginać w tłumaczeniu. Ale Ty i tak wiesz wszystko o robieniu na drutach. Jeśli jest tu jakiś błąd, na pewno go wyłapiesz.

Tęsknimy za Tobą. Rozumiem, dlaczego odeszłaś, ale akademik bez Ciebie to już nie to samo. Proszę, zastanów się nad powrotem razem z dzieckiem w przyszłym roku. Jego już tu nie spotkasz, więc będziesz wolna”.

Dana przeczytała ostatnie zdanie. Serce waliło jej jak młotem. Odwróciła kartkę i ujrzała przyczepioną do niej zardzewiałym spinaczem kopertę. Widniało na niej nazwisko nadawcy, a także adres zwrotny.

Dana odkryła dwa sekrety. Pierwszy to nazwisko i adres kobiety, która znała jej matkę w tych najważniejszych dniach ciąży w Madison, i chociaż adres był bardzo stary, przynajmniej miała od czego zacząć.

Drugi sekret był bardziej intrygujący., Jego już tu nie spotkasz, więc będziesz wolna". Świadczyło to o tym, że ojciec Dany niekoniecznie był kochankiem na kilka nocy, jak to wmawiała ludziom Elizabeth. Dana nie była pewna, czy podoba się jej wzmianka o wolności, gdyż sugerowała coś kontrolującego, wręcz złego w tym człowieku. Dana już wcześniej przeszukała Internet w poszukiwaniu Jacka Jonesa w college'u w latach, w których jej matka tam przebywała, ale go nie znalazła, czyli niekoniecznie musiał być studentem. Być może przyjaciółka matki wiedziała trochę więcej.

Ali wyszła, jednak po tych odkryciach Dana nie od razu zabrała się do robotki. Hugh chciał jak najszybciej znaleźć jej ojca, ale ona nie była pewna, co o tym myśleć. Poza tym lada chwila miała się zjawić Dorothy.

Dana wpychała kopertę do kieszeni dżinsów, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Następna godzina upłynęła w naprawdę miłej atmosferze. Właściwie Dana nie powinna się dziwić - gdy były same, towarzystwo teściowej zawsze sprawiało jej przyjemność. Biorąc pod uwagę wydarzenia w szpitalu, niespodzianką okazała się jedynie autentyczna radość Dorothy na widok wnuczki. Nie było żadnej sztywności, żadnego trzymania Lizzie jak cudzego dziecka, żadnego skrywania uczuć. Dorothy traktowała Lizzie jak dzieci Roberta. Nawet prezent, ręcznie malowane bluzy dla matki i córki, był niezwykle przemyślany.

Dorothy uparła się, żeby przez cały czas trzymać małą na rękach, wypuściła ją tylko na czas karmienia. Wychodząc, oddała dziecko Danie, ale wciąż dotykała jego głowy ręką, jakby nie chcąc przerwać kontaktu, gdy mówiła o tym dniu sprzed tygodnia.

- Musisz wiedzieć, że ogromnie mi przykro z powodu tego, co zaszło w szpitalu. Człowiek trafia w pewne kręgi towarzyskie i zaczyna zachowywać się w specyficzny sposób. Nawet się nad tym nie zastanawia, bo wszyscy wokół niego tak się zachowują. Ale ja taka nie jestem, a przynajmniej nie tak mnie wychowano. Nie na snobkę. Kiedy jednak tak długo należy się do rodziny Clarke'ów, są pewne oczekiwania... - Jej głos odpłynął.

Co Dana mogła powiedzieć? Że wszystko w porządku? Że

przynależność do rodziny Clarke'ów usprawiedliwia złe zachowanie?

Jako że temat ten ranił ją do żywego, zdołała jedynie zapytać:

- Czy wątpisz, że Hugh jest jej ojcem?

- Jasne, że nie — prychnęła Dorothy, wciąż dotykając główki dziecka. - Nawet gdybym nie widziała tego na własne oczy, a przecież widzę, czuję w głębi duszy, że nie zdradziłabyś Hugh. Jesteś dobrą kobietą, Dana. Dobrą matką. Myślałam się przed narodzinami Lizzie, kiedy nalegałam, żebyś wzięła nianię do dziecka. Za moich czasów tak robiłyśmy, ale potem przemyślałam sprawę i doszłam do wniosku, że nie potrzebujesz pomocy. Sama straciłaś matkę, więc zapewne chcesz jak najwięcej czasu spędzać z własną córką. Rozumiem to. Matki pragną pewnych rzeczy. Marzą o tym, że ich rodzina zawsze będzie spójna i kochająca, ale czasem nie jest to możliwe. Jednak zbliża się przyjęcie z okazji publikacji książki Eatona i strasznie chciałabym, żeby wszyscy się na nim pojawili, zwłaszcza ty i Hugh. Jeśli nie znajdziecie opiekunki do dziecka, weźcie Lizzie ze sobą. Wszystko mi jedno, co powie Eaton.

Dana uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od przyjścia Dorothy wypowiedziała imię męża.

- Czy on wie, że tu jesteś?

- O tak - odparła Dorothy, po czym umilkła, spojrzawszy w oczy synowej i uniosła brodę. - Nie. Szczerze mówiąc, nie wie. To uparty człowiek. Nie chodzi tylko o ciebie, Hugh i maleństwo. Pokłócił się z bratem, nie rozmawiają ze sobą, a Bradley poskarżył się Robertowi, więc teraz Robert wścieka się na Eatona i na mnie, bo uważa, że powinnam przemówić mężowi do rozumu. Czy to nie idiotyczne? Wykradam się z domu, żeby kupić prezent dla mojej najmłodszej wnuczki. Zapłaciłam swoją kartą kredytową. Wiedziałas, że mam własną?

Dana nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Nie wiedziałam.

- Mam. Nie jestem aż taką idiotką.

Parę minut później, patrząc, jak teściowa odjeżdża, Dana przypomniała sobie sen, który miała tuż przed odejściem wód. W tym

śnie to Dorothy odkryła, że synowej czegoś brakuje. Teraz Dana zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem jej interpretacja nie była błędna. Równie dobrze Dorothy mogła znaleźć się w tym śnie, żeby jej pomóc.

Dana zdjęła słuchawkę z widełek. Drzemała na dużej sofie, kiedy Hugh wrócił do domu.

- Hej — powiedział cicho.

Drgnęła przekonana, że Lizzie płacze. Kiedy uświadomiła sobie, że Hugh przykucnął obok niej, zareagowała uśmiechem. Do tknęłaby jego policzka, gdyby nie zauważyła niestęchanego zadowolenia na jego twarzy.

- Laboratorium przefaksowało mi wyniki badania. Bez najmniejszych wątpliwości Lizzie jest moim dzieckiem. - Poklepał kieszeń. - Oto dowód, Dee. To uciszy moją rodzinę.

Dana usiadła.

- Kupiłem piękne maleńkie śpioszki — ciągnął. - A to dla ciebie.

Ujrzała bukiet róż, w takich samych kolorach jak tulipany rozrzucone w pokoju dziecięcym na wieść o ciąży. Było to słodko-gorzkie wspomnienie.

Odetchnęła głęboko, żeby odegnąć resztki snu, po czym powiedziała:

- Dziękuję.

- Cóż za entuzjazm.

Dana podeszła do wiklinowego koszyka. Dziecko nadal spało. Popatrzyła na morze, zastanawiając się, co jej matka powiedziałyby na odmowę przyjęcia kwiatów. Że to niewdzięczne? Nieuprzejme?

- Czy to z braku snu? — zapytał Hugh.

- Co? - Odwróciła się.

- Zręczliwość.

- To nie brak snu, tylko konsternacja. Mam być szczęśliwa, bo twoje badanie potwierdziło coś, co do czego nigdy nie było najmniejszych wątpliwości?

Patrzył na nią uważnie.

- Myślałem, że będziesz zadowolona. W końcu mamy ten temat z głowy.

- Hugh - westchnęła demonstracyjnie. - Nie chodzi o badanie. Chodzi o to, że chciałeś je zrobić!

- Musiałem. Postaraj się spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. - Wstał.

- Nie, to ty postaraj się spojrzeć na to z mojego - odparła. Nie wiedziała, czy to wizyta Dorothy dała jej siły, ale nie mogła i nie chciała się wycofać. - To, co łączyło nas wcześniej, było zupełnie wyjątkowe. Zanim cię poznałam, nigdy nie umówiłam się z żadnym superbogatym facetem. Nie ufałam im, sądziłam, że mnie wykorzystają i porzucą.

Hugh prychnął lekceważąco.

- Żaden facet by tego nie zrobił.

- Dorastałam w tym mieście - tłumaczyła. - Nieraz widziałam takie rzeczy. Byli superbogacze i cała reszta nas, czyli zabawki superbogaczy. Taki Richie Baker. Nazywaliśmy go Psujem, bo jego jedynym celem było rozdawanie dziewczyn. Gdy tylko się z którąś przespał, natychmiast ją porzucił. I z kim się ożenił? Z superbogatą dziewczyną. Nauczyłam się unikać facetów takich jak ty. I nagle cała ta ostrożność przestała mieć jakikolwiek sens, bo wszystko, dosłownie wszystko, świadczyło o tym, że jesteś przyzwoity i można ci ufać. Czy ja kiedykolwiek pytałam o kobiety, z którymi umawiałeś się przede mną? Nie. Były nieistotne, bo wiedziałam, że do mnie czujesz coś innego.

- Czułem. Czuję.

Musiała przyznać, że wydawał się przejęty. Pomyślała, że może w końcu coś do niego dociera.

- Wiem, że tak. Uwielbiałeś wszystko, co było we mnie inne. Teraz jednak nie jesteś pewien, czy to przypadkiem nie było złudzenie, tak jak moja czystość rasowa okazała się złudzeniem.

- Niepotrzebnie mieszasz te sprawy.

- W porządku. Wróćmy do testu na ojcostwo. Potrzebowałeś odpowiedzi, to był najszybszy sposób, żeby ją zdobyć. Masz już

wyniki. Zadzwoń do taty? Do stryja? Brata? Do kumpli od koszykówki? Powiesz Davidowi, że jest oczyszczony z podejrzeń?

- Oddychała szybko. - Gzy ty nie rozumiesz, Hugh? Rozpowszechnianie tej informacji jest dla mnie równie obraźliwe jak wykonanie badania.

- Hej, okaż mi trochę zaufania. Nie zacznę obdzwaniać ludzi, żeby przekazać im wyniki.

- Czyli powiesz im tylko wtedy, jeśli zapytają? Albo kiedy następnym razem ktoś zażartuje sobie na temat karnacji Lizzie, wyjaśnisz, że zrobiłeś badania na ustalenie ojcostwa i wiesz na pewno, że to twoja córka? No cóż, skoro jesteś ojcem Lizzie, oznacza to, że ja mam murzyńskie korzenie. Oswojenie się z tą myślą trochę potrwa.

Hugh nic nie powiedział.

- Zastanawiam się, czy cała sprawa z Davidem i badaniem nie była tylko zasłoną dymną, żebyś nie musiał stawić czoła prawdzie - ciągnęła. - No cóż, twoja rodzina może się cieszyć, że dziecko jest z prawego łóża, ale będzie się musiała pogodzić z moim dziedzictwem. Ty też. Może to twoje zastrzeżenia mają z tym coś wspólnego.

- Zastrzeżenia?

- Wątpliwości. Przekonanie, że spałam z Davidem. Moja nieodpowiedzialność, że wcześniej nie odnalazłam ojca. Czy teraz mniej mi ufasz, bo nie jestem całkiem biała? Nadal chcesz być moim mężem?

- Nie gadaj głupstw, Dana!

- Co to za odpowiedź? — warknęła. - Mówię o naszym małżeństwie, Hugh. Czy w ogóle zdołamy wrócić do tego, co było?

- Tak, ale najpierw musimy poznać prawdę - odparł. - Znajdźmy twojego ojca...

- A ten twój genialny Lakey? - przerwała mu.

- Pracuje nad tym.

Uznała jego brak sukcesu za potwierdzenie własnego.

- To niełatwe, prawda?

- Nie, ale damy sobie radę. Znajdziemy tego człowieka i dowiemy się, czy jest coś jeszcze, co powinniśmy wiedzieć.

- Niby co?

- Problemy zdrowotne. Przecież o to chodzi. Kiedy zgromadzimy wszystkie niezbędne informacje, zapomnimy o sprawie i będziemy żyć dalej.

Dana nie dała się zwiść.

- Wcale nie chodzi o te informacje. Chodzi o nas! — Zniechęcona dodała: - Nie wiem, co to warte, ale mam trop. Natrafiłam na kogoś, kto być może znał mojego ojca.

Uniósł brew.

- To ktoś tutejszy?

- Nie. Przyjaciółka mojej matki z Wisconsin. Znalazłam list, który wysłała po moich narodzinach. Sugerowała w nim, że matka była z tym człowiekiem dłużej niż tydzień.

- Poważnie? Interesujące. Ale jeśli był studentem, nie nazywał się Jack Jones. Lakey to sprawdził.

- Najwyraźniej tak się nie nazywał — podsumowała.

- Możesz się skontaktować z tą kobietą? - spytał Hugh.

- Nie wiem.

- Czy mam powiedzieć Lakeyowi, żeby spróbował?

- Nie, ja się tym zajmę. - Ujrzała powątpiewanie w jego oczach.

- Potrafię to zrobić, Hugh. Mogłam znaleźć ojca lata temu, mogłam sama zatrudnić detektywa, ale mi na tym aż tak nie zależało. Tobie zależy, więc to zrobię. Szanuję to, że musisz wiedzieć.

Wpatrywał się w nią.

- Czyli ja jestem tym złym, tak?

- Tak, cholera jasna! - wrzasnęła. — Bez przerwy wracam myślami do pierwszych godzin po narodzinach Lizzie i uświadamiam sobie, że to doświadczenie byłoby zupełnie inne, gdybyś tak bardzo nie dociekał, skąd wziął się kolor jej skóry, żeby nikt broń Boże nie pomyślał, że to twój problem. No cóż, to jest twój problem, Hugh. Tyle że to wcale nie musi być problem. Dlaczego nie możemy być dumni z naszej córki? Dlaczego nie wysłaliśmy zawiadomień o jej narodzinach? Kochasz Lizzie czy nie? Kochasz mnie czy nie? O to właśnie chodzi, Hugh. - Położyła rękę na piersi. - O to, co jest tutaj.

16

W czwartek w sklepie, po dwóch dniach wahania, Dana poszła do Gillian Kline. Były sobie bardzo bliskie i Dana ufała jej osądowi.

- Znalazłam list od Eileen O'Donnell do matki — powiedziała i czekała na reakcję.

Gillian jednak zmarszczyła czoło.

- Nic mi to nie mówi. Kto to taki?

- Współlokatorka mamy z akademika. To jej nazwisko pańskie, po ślubie nazywała się McCain. Eileen O'Donnell McCain.

- Nie znam.

Dana pokazała Gillian list i czekała, aż przyjaciółka go przeczyta.

- Pewnie powinniśmy go zignorować - oświadczyła po chwili.

- Jak mogłaby być kimś ważnym w życiu mamy, skoro nawet nie kojarzysz jej nazwiska?

- Twoja matka spędziła w Madison trzy lata, a mnie przy niej nie było - zauważyła Gillian trzeźwo. - Nie znałam wszystkich jej przyjaciółek. Być może miała takie, o których wolała mi nie wspominać.

- Ale dlaczego?

- Może go znały. Liz wmówiła nam, że to był nic nie znaczący epizod, ten list jednak świadczy o czymś innym.

- Ale kim jest Eileen O'Donnell i dlaczego miałabym jej wierzyć? - dopytywała się Dana.

Gillian objęła ją ramieniem.

- Bo nie masz nikogo innego. Poza tym ona nie napisała tego listu do ciebie, tylko do twojej matki. Założyła zapewne, że nikt więcej tego nie przeczyta, co go uwiarygodnia.

- Myślisz, że powinnam zadzwonić?

Gillian uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Myślę, że powinnaś. Tak daleko zaszłaś. Już zawsze się będziesz zastanawiała. Ale najpierw musisz zdobyć numer jej telefonu.

- Zdobyłam. - Dana westchnęła z rezygnacją.

- Przez detektywa Hugh?

- Nie. Przez spis absolwentów. Jest w sieci.

Gillian uśmiechnęła się chytrze.

- No widzisz, złotko, czy to o czymś nie świadczy?

Dana zadzwoniła, ale nie ze względu na siebie. Wciąż czuła się rozdarta. Nie była pewna, czy pragnie poznać tożsamość ojca, tym bardziej że matka tak bardzo starała się go unikać. Nie zadzwoniła również ze względu na Hugh. Zrobiła to dla Lizzie. Córka Dany urodziła się z cechami genetycznymi, które będą miały wpływ na jej życie. Za pewien czas zacznie zadawać pytania. Zasłużyła na odpowiedzi.

Eileen O' Donnell McCain mieszkała w Middleton, na przedmieściu Madison. Dana wystukała numer. Stała w salonie, obok koszyka, w którym Lizzie wymachiwała wszystkimi czterema kończynami.

Odebrała jakąś nastolatka.

- Poproszę Eileen McCain - oświadczyła Dana.

Najwyraźniej dziewczyna czekała na telefon od kogoś innego, gdyż rozległ się stłumiony jęk, ale również grzeczne:

- Kto mówi?

Dana odetchnęła głęboko. Nadeszła pora.

- Dana Joseph. - Nie widziała powodu, by podawać nazwisko męża. Przyjaciółka matki znała to nazwisko, a poza tym Dana nadal posługiwała się nim w pracy. - Moja matka była przyjaciółką pani McCain ze studiów.

- Chwileczkę. - W słuchawce coś szcęknęło.
- Halo? - rozległ się po chwili ostrożny głos, bardziej dojrzały niż poprzedni.

- Pani McCain?

- Tak?

- Nazywam się Dana Joseph. Zdaje się, że znała pani moja matkę w college'u. Elizabeth Joseph?

- Liz. Naturalnie. - Głos kobiety natychmiast się ocieplił.

- A więc pani jest jej córką? Tak się cieszę, że pani zadzwoniła. Dowiedziałam się wiele lat po fakcie, że pani matka zmarła. Bardzo mi przykro. Była wspaniałą osobą.

Dane ogromnie korciło, żeby spytać: „Pod jakim względem?”. Mimo wysiłków Ellie Jo i Gillian niewiele pamiętała i pragnęła wiedzieć więcej. Ale to nie było w tej chwili najważniejsze.

- Dziękuję - powiedziała po prostu. - Przeglądałam jej stare rzeczy i znalazłam wysłany przez panią wzór na farerski szal pani babki. Ja również uwielbiam robić na drutach, jak mama, więc otworzyłam instrukcję i znalazłam list, który pani wysłała. Zrozumiałam z niego, że zna pani mężczyznę, który był moim ojcem. Chodzi o to, że właśnie urodziłam dziecko i wystąpił pewien problem zdrowotny... a właściwie nie zdrowotny... ale muszę coś sprawdzić. Chciałabym się skontaktować z ojcem, tyle że nie mam pojęcia, od czego zacząć.

- Co matka powiedziała pani o nim?

- Niewiele - odparła Dana. Czuła się nielojalna. Wiedziała, że jej ton brzmi krytycznie, ale cóż, matka popełniła błąd. Rodzicielstwo niesło za sobą pewne obowiązki i właśnie dlatego Dana teraz zdecydowała się zadzwonić. Chociaż miała co do tego mieszane uczucia, jako matka Lizzie była to winna swojemu dziecku. — Wszyscy odnieśliśmy wrażenie, że to był ktoś całkiem nieistotny. Powiedziała mi, że nazywał się Jack Jones.

Po drugiej stronie zapadło milczenie, po czym Dana usłyszała westchnięcie.

- No cóż, częściowo tak się nazywał, i tak my go nazywałyśmy. Jego pełne nazwisko brzmiało Jack Jones Kettyle.

Jack Jones Kettyle. Kettyle.

- Znała go pani?

- Trudno go było nie znać. Studiował rok wyżej niż my. Balan-gowicz pierwszej wody - przynajmniej do czasu, gdy poznał pani matkę. Był w niej ogromnie zakochany. To ona z nim zerwała.

Dana była poruszona.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Z wielu powodów. Uwielbiał ją, być może za bardzo, czuła się zagłaskana. Ona aż tak go nie kochała. Poszło też o religię. Był dewotem.

- Dewotem? Jakiego wyznania?

- Katolikiem - odrzekła Eileen. - Pochodził z dużej rodziny i chciał założyć jeszcze większą. Nie robił tajemnicy z tego, że zamierza wrócić do Nowego Jorku i wychować synów na ministrantów. Żona miała siedzieć w domu i robić swetry na drutach.

- Odrzuciła go, bo był katolikiem?! - zapytała Dana z niedowierzaniem. Katolik, nie czarny. Oszałamiające.

- Nie chodziło tylko o religię. Jego rodzina była niezwykle dominująca. Liza raz się z nimi spotkała. Totalna kłapa. Ta wizyta zapewne przesądziła o kłęsce Jacka, jednak on naprawdę kochał Liz.

— Liz czy też jej wyobrażenie przy drutach? - zapytała Dana.

- Liz. Ale owszem, robienie na drutach jeszcze poprawiało jej wizerunek. Liz działała na niego krzepiąco. Na większość z nas tak działała.

Dana pomyślała o Gillian i o Nancy Russell, i o Trudy Payette. Wszystkie trzy znały młodą Liz i mówiły to samo.

- Miałam zaledwie pięć lat, kiedy zginęła. Była centrum mojego świata, to wiedziałam.

- I centrum świata Jacka, przez chwilę. Naprawdę się w niej zakochał.

Dana w milczeniu przetrawiała przez chwilę te słowa.

- Przepraszam - odezwała się, gdy udało się jej zebrać myśli.

- Nie tego oczekiwałam. — Znowu zamilkła, po czym zapytała: - Jak playboy może być dewotem?

- Słyszała pani kiedyś o JFK?

- Mam zdjęcie ojca. Nie był tak przystojny jak JFK.
- Może na zdjęciu nie, ale miał coś w sobie. Charyzmę. I bardzo się starał o pani matkę. Długo nie chciał przyjąć do wiadomości, że Liz za niego nie wyjdzie.

"Jego już tu nie spotkasz, więc będziesz wolna". To tłumaczyło list. Dana pragnęła jednak dowiedzieć się znacznie więcej. Nie wiedziała, czy Eileen McCain zna odpowiedzi, ale Gillian się nie myliła. Eileen była jedyną osobą, którą mogła pytać.

- Czy dowiedziała się o ciąży przed zerwaniem czy po?

~Po.

- I nie zmieniła zdania?

- Nie. Nie kochała Jacka. Nie chciała wychowywać dziecka w takiej rodzinie, jakiej on pragnął.

- Czy brała pod uwagę aborcję?

- Chryste Panie, nie. Pragnęła tego dziecka. Pani.

- Ale to oznaczało, że musiała rzucić studia.

- Nie musiała. Chciała. Cieszyła się, że wróci do domu. Kochała swoich rodziców i była pewna, że pokochają jej dziecko.

- Czy Jack Kettyle wiedział, że była w ciąży?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Przerwała naukę, zanim brzuch jej urósł.

- Pod jakim pretekstem?

- Oświadczyła, że tęskni za domem i że zrobi dyplom w Bostonie. Zrobiła?

- Nie. Wtedy właśnie moja babcia otworzyła sklep, a mama postanowiła tam pracować. Ale wróćmy do Jacka, proszę. Jeśli był w niej tak zakochany, dlaczego nie próbował się z nią skontaktować?

Eileen nie odpowiedziała od razu. Dopiero po chwili odezwała się przepaszającym tonem:

- Czuł się zraniony. Znalazł sobie inną dziewczynę, najprawdopodobniej, żeby jak najszybciej zapomnieć o Liz, zrobił jej dziecko i nigdy nie oglądał się za siebie.

- Poślubił ją?

- O ile wiem, tak.

- Nadal są małżeństwem?

- Byli, kiedy o tym słyszałam.
- Czy zdarzali się inni mężczyźni? Chodzi mi o mamę.
- Dziesiątki. Niektórzy byli naprawdę fantastyczni i tylko marzyli o tym, żeby się z nią umówić. A Jack, no cóż, miał nieodparty urok.

Dana postanowiła nieco inaczej sformułować pytanie.

- Chodziło mi raczej o to, czy sypiała z innymi. To byłoby przecież upokarzające dla nas obojga, to znaczy dla Jacka i dla mnie, gdybym niesłusznie wmawiała mu, że jest moim ojcem. Czy to pewne?

- Och. - Eileen zaśmiała się z zakłopotaniem. — Przepraszam, źle rozumiałam. Nie, tutaj nigdy nie spała z nikim innym. Jack Kettyle był jedyny.

- Prawdziwy klejnot - zauważyła Dana z przekąsem. - Playboy, ale dewot, i do tego ignorant. Nie słyszał o czymś takim jak antykoncepcja? Choćby o metodzie naturalnej? A czy po seksie bez zabezpieczenia nigdy nie przyszło mu do głowy, że mama mogła zająć w ciążę? Czy kiedykolwiek zadzwonił do niej do domu po tym, jak rzuciła studia?

- Nie znam odpowiedzi na te pytania.

Dana pochyliła się nad koszykiem i dotknęła policzka Lizzie.

- Chciałam dać upust złości - powiedziała cicho.

- Wspomniała pani o problemie zdrowotnym. Czy dziecko źle się czuje?

- Nie, wszystko w porządku. Jest wspaniała. Chodzi o to, że ma rysy typowe dla czarnej rasy, usiłujemy wytropić, skąd się wzięły. Historia rodziny mojego męża jest doskonale udokumentowana, więc wszystko wskazuje na mojego biologicznego ojca. Myśli pani, że Jack Jones Kettyle ma kolorowych przodków?

- Nie, ale mogę tylko zgadywać. Nigdy nie widziałam reszty jego rodziny. Liz tak, ale nie wspomniała nic o rasie.

- Czyżby sprawiedliwości stało się zadość? - spytała Dana.

- Martwię się, że moja córka zostanie odrzucona, bo jest częściowo czarna, a tymczasem moja własna matka odrzuciła kogoś z powodu jego religii?

- Nie z powodu religii, tylko stylu życia. Po prostu nie kochała go dość mocno.

- To smutne - powiedziała Dana. — Pozostało jeszcze tylko jedno pytanie. - Wie pani, gdzie on teraz jest?

- Nie, ale znajdzie go pani w spisie absolwentów.

Dana zaśmiała się z zakłopotaniem.

- No jasne. Przecież stamtąd mam pani numer. Można to nawet znaleźć w sieci.

- Nie musi pani szukać w sieci. Mam w domu zeszłoroczne wydanie. Proszę chwileczkę poczekać.

Dana odeszła od dziecka, żeby wziąć długopis i papier. Po chwili miała już nazwisko, adres i numer telefonu. Pozostało jeszcze zdecydować, co z tym zrobić.

W piątkowy poranek, dzięki uporowi detektywa, Hugh mógł wykonać pierwszy ruch przeciwko senatorowi. Najpierw zadzwonił do Crystal. Była w szpitalu, u Jaya. Choć wydawała się zadowolona, nie brakowało jej rezerwy.

- Jak się z nim skontaktujesz? — zapytała. Już wcześniej zaczęli mówić sobie po imieniu.

- Wyślę list z adnotacją „Osobiste i poufne”. To oznacza, że list otworzy szef jego sztabu. Napiszę, że reprezentuję Crystal Kostas w związku ze sprawą o ojcostwo jej syna, i zanim dojdzie do wszczęcia procedur prawnych, chętnie spotkam się z adwokatem senatora.

- Myślisz, że ktoś się z tobą skontaktuje?

- Tak właśnie myślę. Rozpoznają moje nazwisko i rozumieją, że nie mają do czynienia z typowym wyławiaczem łatwych spraw.

- Czy drugi świadek to wszystko, czego mi potrzeba?

- To niezły początek. Zwłaszcza jeśli obie niezależnie od siebie potwierdzicie pewne intymne szczegóły dotyczące senatora.

- Długo z nim była? Też zaszła w ciążę?

- Nie, nie zaszła, spała z nim tylko raz. Nigdy nie dzwoniła do jego sztabu, w związku z czym nie ma żadnego interesu w obciążaniu senatora.

- Jak twój detektyw ją znalazł?

- To popularna aktorka.

- Są razem na zdjęciach?

- Niepublikowanych - odparł Hugh z satysfakcją. - Lakey ma swoje źródło w brukowcach, to właśnie ono pokazało mu te zdjęcia. Tak to bywa, kiedy się jest osobą publiczną. Ona jest aktorką, nic jej to nie robi, że sfotografowano ją z żonatym senatorem. To raczej żonaty senator powinien się tym przejmować. Naturalnie taka sytuacja bardzo nam odpowiada.

- Ale czy ktoś z jego sztabu nie będzie próbował jej przekupić?

- Załatwię pisemne oświadczenie, zanim cokolwiek zrobią. Tymczasem mój detektyw nadal szuka innych kochanek senatora. Im więcej znajdziemy, tym szybciej on się podda.

Hugh zdawał sobie sprawę z tego, że w chwili, w której wysłał list, zegar zaczął tykać. Uznał, że wypełni wstępny wniosek sądowy o ustalenie ojcostwa, jeśli adwokat senatora nie skontaktuje się z nim do połowy tygodnia. Crystal nie chciała publicznego procesu, musieli jednak zwrócić na siebie uwagę senatora.

Hugh nie powiedział Crystal o tym, że trzy inne prominentne kobiety, do których trafił Lakey, odmówiły składania zeznań. Jedna tylko pokręciła głową i szybko zamknęła drzwi. Druga powiedziała: „Nie wolno mi z panem rozmawiać”, a trzecia po prostu: „Nie mogę”. Albo senator kupił sobie ich milczenie, albo obawiały się jego zemsty, w przeciwieństwie do aktorki, kobiety sukcesu, która nie czuła lęku.

Crystal Kostas nie była kobietą sukcesu, co oznaczało, że senator nie mógł jej zaszkodzić. Dla niego była nikim. Dla swojego syna jednak była całym światem.

Hugh zdawał sobie sprawę z władzy i bogactwa Hutchinsona i wiedział, że zapolowali na grubego zwierza.

Dana spędziła prawie cały piątek w sklepie. Tam, w otoczeniu przyjaciółek, czuła się najbezpieczniej. Również tam Lizzie miała tyle wielbicieli, że Dana mogła spokojnie zostawić ją śpiącą w kołyszce i spędzić trochę czasu z babcią.

Ellie Jo nie wyglądała najlepiej. W końcu zaczęła poruszać się

bez kul, ale wciąż była blada i niepewna. Starzała się na oczach Dany. Co gorsza, źle reagowała na troskę innych. Dana wiedziała, jak pielęgnować babcię, nie robiąc przy tym specjalnego zamieszania. Jednak w piątkowe popołudnie Ellie Jo wydawała się wyjątkowo niezadowolona.

- Czy coś cię gnębi? - zapytała ją Dana. Siedziały przy okrągłym stoliku w kuchni starszej pani. Białe talerze stały na pomarańczowych podkładkach, sfilcowanych przez Joan, przyjaciółkę Ellie Jo. Talerz Dany był już pusty. Chociaż szybko wracała do formy sprzed ciąży, apetyt zdecydowanie jej dopisywał. W przeciwieństwie do wnuczki, Ellie Jo ledwie skubnęła jedzenie.

- Nie podoba mi się ten gips — narzekała. - Spowalnia mnie.

- Czy chodzi o coś jeszcze? Jesteś okropnie blada.

— Bywa, kiedy człowiek się starzeje.

— Tak nagle? W tydzień?

- Owszem, w tydzień po czymś takim - odparła Ellie Jo i wskazała drżącą ręką na swoją stopę, która leżała na krześle obok. Veronica siedziała przy gipsie, mniej zainteresowana jedzeniem na talerzu swojej pani niż jej rozdrażnionym wyrazem twarzy.

— Kiedy ostatnio byłeś u lekarza? - zapytała Dana.

Ellie Jo popatrzyła jej w oczy.

— Pół roku temu.

- Wszystko było w porządku?

— Wszystko. Okaż mi trochę zaufania, Dana. Może i jestem stara, ale nie śpieszy mi się na tamten świat. Martwię się o ciebie i martwię się o Lizzie. Gdyby był tu mój Earl, zabierałby małą do miasta i popisywałby się nią. Bardzo by nam pomógł. To był dobry człowiek, Dana. Możesz być z niego dumna.

Dana była dumna z dziadka. Tak naprawdę wolałaby porozmawiać o swoim ojcu; kiedy jednak ostatnim razem poruszyła ten temat, Ellie Jo wybiegła ze sklepu, a potem spadła ze schodów wiodących na strych.

Wyszła zatem bez słowa o Jacku Kettyle. W drodze do domu przypomniała sobie, co matka szepnęła jej poprzedniej nocy. „Powiedz Hugh, czego się dowiedziałas”. Jednak Dana nie mogła tego

zrobić i czuła się przez to okropnie. Między innymi właśnie dlatego, gdy zauważyła Davida i Ali grających w koszykówkę na podjeździe, wzięła fotelik z Lizzie i ruszyła w ich kierunku.

David był przyjacielem. Dana potrzebowała przyjaciela.

Z uśmiechem patrzyła, jak podnosił Ali, żeby mogła wrzucić piłkę do kosza. W chwili, gdy stopy dziewczynki dotknęły ziemi, mała puściła się biegiem przed siebie i z całej siły objęła Danę. Nic nie mówiła, tylko tak stała, szeroko uśmiechnięta.

David otarł twarz ręką podkoszulka, ale dopiero kiedy Dana przywołała go ruchem dłoni, dołączył do nich.

- Jak leci? - zapytał.

- Nie najgorzej - odparła Dana, kiedy Ali oderwała się od niej.

- Wczoraj Lizzie budziła się dwa razy, co cztery godziny.

Uśmiechnął się do zagapionego w przestrzeń dziecka.

- Dana, patrz! - krzyknęła Ali i zaczęła dryblować.

- Świetnie! - odkrzyknęła Dana.

- Nauczę Lizzie, kiedy podrośnie - oznajmiła Ali. Kiedy Dana odwróciła fotelik w kierunku podjazdu, Ali wrzasnęła: — Patrz, Lizzie! Patrz, jak drybluję!

Ledwie zaczęła pokaz, David dotknął głowy córki.

- Złotko, leć i przynieś dwie wody z lodówki, dobrze?

Ali rzuciła piłkę na podwórze i pobiegła przed siebie, udając, że okropnie się śpieszy.

Gdy była poza zasięgiem jego głosu, David powiedział:

- Nadal wydajesz się zmęczona.

- To, że Lizzie śpi przez cztery godziny z rzędu, nie znaczy, że ja również - odparła Dana. - Czy Ali napomknęła coś o kolorze skóry Lizzie?

- Nie, ale mówiłem ci, że pewnie nic nie zauważy. W końcu jej matka też jest biała. - Zniżył głos. - Co w domu?

Uśmiechnęła się do niego smutno i wzruszyła ramionami.

- Czyli nadal zachowuje się jak dupek - mruknął David.

- Nie. To za mocne słowo. — Postanowiła bronić męża. - Nieźle sobie radzi z dzieckiem, dużo mi pomaga. Kochają, naprawdę.

- Przejechała palcem po miękkim policzku Lizzie i zagruchała:

- Jak się ma moje maleństwo? - Jej palec znieruchomiał. - Jednak jest mocno wkurzony, że tego nie przewidział.

— Jak, do cholery, mógł cokolwiek przewidzieć, skoro nie znał twojego ojca?!

- No cóż, ja też jestem mocno wkurzona, że nikt mi o nim nie wspomniał, ale matka nie żyje, babka nie jest w stanie powiedzieć ani jednego dobrego słowa o tym człowieku, a Gillian nic nie wie.

- Westchnęła. - Nie wiem, czy to coś warte, ale odkryłam jego prawdziwe nazwisko. Hugh jeszcze o niczym nie wie. Powinnam mu powiedzieć. Powinnam już zadzwonić do ojca. Dlaczego tego nie robię, David?

David pogłaskał się po gładkiej czaszce.

- Może dlatego, że nie jesteś pewna, czy reakcja ojca przypadnie ci do gustu.

- Nie dbam o to, czy jego rodzice byli czarnoskórzy.

- Nie chodzi o odcień skóry — powiedział David. — Pomyśl o tym, dlaczego nigdy nie zainteresowałam się, jak żyjesz. To cię musiało niepokoić. Mnie by niepokoiło.

Dana się uśmiechnęła. David znał się na uczuciach. Twierdził, że rozwód zmusił go do konfrontacji z własnymi emocjami, ale Dana podejrzewała, że zawsze był wrażliwy.

- To nie wszystko - powiedziała. - Nawet nie wiedział, że matka była w ciąży. Ożenił się tuż po tym, jak ona opuściła college. A jeśli zadzwonię, a on każe mi wynosić się do diabła, zanim zniszczę jego szczęśliwe życie rodzinne?

- Powiedz mu, że z chęcią się wyniesiesz, ale najpierw musi ci odpowiedzieć na kilka pytań. Będziesz miała jedną możliwość kontaktu z tym gościem, Dana, nie zmarnuj tego.

Lizzie wybrała sobie ten moment, żeby się napiąć i narobić w pieluchę. Dana zastanawiała się, czy miał to być dosadny komentarz do rozmowy dorosłych.

- Ej, tata! - przerwała im nagle Ali, przybiegając z czterema butelkami wody i Śmietanką przyciśniętą do piersi.

Była już bardzo blisko, kiedy upuściła butelki. Na szczęście David złapał je, zanim spadły na ziemię.

- Trochę za duży ładunek.
 - Musiałam wziąć cztery - oznajmiła. - Jedna dla ciebie, jedna dla mnie, jedna dla Dany, jedna dla Lizzie. — Podeszła do dziecka i zmarszczyła nos. - Błę. Gzy to jest to, co myślę?
 - Obawiam się, że tak - przytaknęła Dana.
 - Teraz posprzątasz? Nigdy nie urodzę dziecka, jeśli będę musiała to robić. - Z dumą wyciągnęła przed siebie Śmietankę. Szyja lalki była starannie owinięta czerwonym szalikiem.
 - Pięknie wygląda! — wykrzyknęła Dana. — A gdzie Czekoladka?
 - W domu.
 - Co tam robi?
 - Chowa się.
 - Przed czym?
- Mała wzruszyła ramionami.
- Tam jest bezpieczna. Dana, czy Lizzie może pić wodę?
 - Chyba tak, ale raczej nie z takich butelek.
 - Nie mogę się doczekać, kiedy będzie dość duża, żeby się ze mną bawić. Mogę udawać, że to moja siostra? Mama wychodzi za mąż, wiesz? Mówi, że po to, żebym miała siostrę, bo ja tego chcę, ale nie wiem, czy polubię tę siostrę.
- Dana zerknęła na Davida.
- Nie miałam pojęcia, że Susan ponownie wychodzi za mąż.
 - Ja też nie, aż do zeszłego tygodnia. - Popatrzył na córkę i zmarszczył brwi. - Dlaczego miałabyś nie lubić tej siostry?
- Znowu wzruszyła ramionami.
- Nie wiem. Może polubię.
- Nagle zerwała się i pobiegła do domu.
- Dokąd to? - zawołał David.
 - Na film! - odkrzyknęła. Wśliznęła się do środka dokładnie w chwili, gdy na ulicy pojawiło się auto Hugh.
- Dana patrzyła, jak się zbliża.
- Kiepski moment. Hugh uwielbia Ali. Będzie mu przykro, że nie pogada z nią ze względu na jakiś film.
 - Film przynajmniej nie jest dupkiem - wymamrotał David.

Rzuciła mu karcące spojrzenie.

- Hugh też nie. Jest po prostu zaniepokojony.

- A może grunt mu się usunął spod nóg — prychnął. - Do-
tąd zawsze potrafił bardzo starannie dobierać sobie kolorowych
współpracowników. Tym razem nie.

- Przestań, David. To niesprawiedliwe. Broni czarnoskórych
w sądzie znacznie energiczniej niż białych. Poza tym obserwowa-
łam go z Lizzie. Przepada za nią, tak jak przepada za Ali.

David znowu prychnął.

- No dobra - westchnęła. - Ciągłe jesteś zły. Chyba powinienam
iść do domu.

Odwróciła się w chwili, w której Hugh wysiadł z auta i ruszył
w ich kierunku. Wyglądał cudownie, musiała to przyznać mimo
złości, niechęci i żalu. Miał rozpiętą białą koszulę, niebieski blezer
narzucony na ramiona i poruszał się z typową dla Clarke'ów pew-
nością siebie. Tylko w jego oczach widać było wahanie.

- Jak się masz? - zagadnął Davida i wyciągnął rękę.

David demonstracyjnie włożył swoją dłoń do kieszeni. Dana
miała tego dosyć.

- Idę do domu przewinąć Lizzie. Dziecko nie może leżeć w ku-
pie. Proponuję, żebyście wy również uprzątnęli łajno, które was
dzieli.

Hugh omal nie wybuchnął śmiechem. Dana zawsze miała cięty
język. Tak, sytuacja między nim a Davidem była do dupy. Nawet
teraz David odwrócił się i ruszył do domu.

- Czekaj, David. Poczekaj chwilę.

David przystanął, ale się nie odwrócił.

- Jestem ci winien przeprosiny.

- No. — Nadal się nie odwracał.

- Przepraszam.

- Łatwo powiedzieć, stary.

Hugh westchnął.

- Myliłem się. Rzucałem bezpodstawne oskarżenia, czego nie
powinienem być robić.

- No - powtórzył David, ale tym razem odwrócił się, żeby spojrzeć na rozmówcę.

- Byłem przygnębiony. Pod presją.

- Takie życie.

- Ale nie moje. Mów sobie, że jestem zepsuty, że jestem arogancki, mów co chcesz, ale niepewność to dla mnie coś nowego.

- I presja? Przecież masz to na co dzień w pracy. Jak sobie radzisz?

- To nic osobistego. Takiej presji jak ta nigdy nie czułem, nawet kiedy ożeniłem się z Daną... Nie nazywaj mnie snobem. Byłeś dobrym przyjacielem, brakuje mi naszych rozmów. Jeśli w ogóle kiedyś potrzebowałem twojej rady, to właśnie teraz.

- A więc jestem twoim czarnym informatorem — powiedział David.

Hugh wpatrywał się w niego.

- Gdybym potrzebował informatora, zadzwoniłbym do jednego z ekspertów, z którymi pracuję. Ty jesteś moim przyjacielem. Potrzebuję porady przyjaciela. Daj spokój, David - dodał ze zmęczeniem w głosie. - Nie uważasz, że trochę przesadzasz?

David nawet nie mrugnął okiem.

- W kwestiach rasowych przesada nie istnieje. Ten problem powoduje kłótnie, a ja się na to nie piszę.

- Poważnie uważasz mnie za hipokrytę?

- Kiedyś nie. Teraz nie jestem pewien.

Hugh nie odpowiedział od razu. W rzeczy samej, David dobrze to ujął.

- Nie ty jeden - przyznał. - I musisz wiedzieć, że nie czuję się dobrze z tego powodu. Ja nie mam problemu z pochodzeniem Lizzie, to moja córka. Nie obchodzi mnie, że jej skóra jest ciemniejsza niż moja. Więc co mnie gryzie?

- Może twoja biała jak śnieg rodzina i przyjaciele.

Hugh mógłby mu przypomnieć, że ma współlnika z Kuby, czarnoskórego kumpla od koszykówki i wielorasowych klientów. Rozumiał jednak, o co chodzi Davidowi.

- Moja rodzina jest, jaka jest. Nie mogę jej zmienić.

- Nie, ale możesz ignorować jej wpływ na siebie. Czemu musisz się z nią zgadzać?

- Nie zgadzam się. Przez ostatnie dziesięć dni kłóciłem się z każdym członkiem tej pieprzonej rodziny. Ale interesuje mnie, co oni myślą. I to, co myślą moi przyjaciele.

-Jeśli nie mogą zaakceptować twojej córki, nie są twoimi przyjaciółmi.

- Nie chodzi o to, że nie mogą jej zaakceptować, tylko o to, że zadają pytania. Czy to nie jest normalna reakcja? Czy to źle, że szukam odpowiedzi?

-Nie.

- Dana uważa, że tak.

- Wątpię, ale odnalezienie jej ojca jest bardziej skomplikowane dla niej niż dla ciebie. Nie chodzi tylko o kolor skóry.

- Mnie też nie.

- Czyżby? Ależ ty musisz znaleźć tego gościa, żeby ludzie wiedzieli, skąd się wziął kolor skóry Lizzie. To nasuwa pewne pytanie. Czy gdybyś miał cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie, podarowałbyś jej brązową skórę?

Hugh nie zamierzał kłamać.

- Nie. A ty? Co wybrałbyś dla Ali?

- Białą skórę - odparł David. - Miałaby łatwiejsze życie. No chyba że jako dorosła kobieta zakochałaby się w czarnym łajdaku, takim jak ja. W takim wypadku jej matka zeszyłaby na atak serca.

- I co z tego wynika?

-Cholera wie.

- Proszę cię o radę. Co mam robić?

- Kochać córkę.

- Ale co z żoną? Uważa mnie za rasistę.

- Będziesz musiał ją przekonać, że nim nie jesteś.

-Jak?

David uniósł ręce.

- Nie moja sprawa. To twoja żona, czego nie omieszkałeś mi kilkakrotnie przypomnieć podczas naszej ostatniej rozmowy.

Hugh poczuł, że napięcie między nimi ponownie narasta.

- Przecież ty naprawdę ją kochasz.
- No pewnie. To niezwykła kobieta. Tyle że wyszła za ciebie.
- Nie przyszło ci do głowy, że czuję się trochę niepewnie?
- Nie pomyślałem.

Hugh uśmiechnął się ironicznie.

- Czyli nie tylko ja dowiedziałem się dziś czegoś nowego.

Dana była na patio, kiedy Hugh wrócił. Obserwowała go, gdy stanął przy wózku i zaczął wpatrywać się w Lizzie.

- O czym myślisz, kiedy patrzysz na nią w ten sposób? - zapytała w końcu.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Niewiele da się zrobić z tak małym dzieckiem. Je, płacze, krzyczy i sady kupy.

- Przecież wiedziałeś, że na początku tak będzie.

- Spodziewałem się, że nie będziemy mieli nawet chwili dla siebie.

- Kochasz ją?

- Jasne, że ją kocham. To moja córka.

- A kochałeś ją, kiedy się urodziła? - **zapytała Dana.**

- A ty? — Popatrzył na nią.

- Tak.

Akurat tego była pewna.

Hugh znowu odwrócił się do dziecka.

- To matczyna miłość. Matki zawsze kochają. Ojcowie muszą do tego dorosnąć. - Fala uderzyła o skały poniżej i chmura wodnego aerozolu wzbijała się ponad plażą. - Nie znam wszystkich odpowiedzi, Dee - dodał. - W porządku, nie powinienem był robić tego testu na ojcostwo. Czy możemy wreszcie o tym zapomnieć i żyć normalnie?

Dana bardzo tego pragnęła. Jeszcze bardziej jednak pragnęła cofnąć się w czasie i odzyskać to, co mieli kiedyś. Tylko że nie była tą samą osobą co przed narodzinami dziecka. Postanowiła mu to wytłumaczyć.

- Zastanawiałam się, jak ułożyłoby się moje życie, gdyby moje

dorastanie przypominało dorastanie Lizzie w przyszłości. Czy gdyby moja skóra była ciemniejsza, miałabym tych samych przyjaciół? Te same szanse? - Nie spuszczała z niego wzroku. - Potem zaczęłam się zastanawiać, co by się stało, gdyby Lizzie urodziła się, powiedzmy z chorobą nerek, i gdybym zaczęła szukać ojca i odkryła, że jest czarnoskóry. Czy byśmy go zaakceptowali? Czy powiedzielibyśmy ludziom? Czy może kiedy tego nie widać, to nie ma znaczenia? Nie powinno tak być.

Milczał.

- Zgadzam się — powiedział w końcu.

- Co więc z tym zrobimy? - zapytała. - Gdyby dwa tygodnie temu ktoś zarysował taką hipotetyczną sytuację i zapytał mnie, jak zareagujesz, udzieliłabym innej odpowiedzi. To sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać, co wiem o tobie.

- Człowiek uczy się całe życie - powiedział Hugh.

Dana nienawidziła frazesów.

- Niby co to znaczy?

- Poznasz odpowiedzi. Nie możesz być nieszczęśliwa, dopóki się nie pojawia.

- Nie jestem nieszczęśliwa. Mam Lizzie. Mam babcię. Mam przyjaciół.

- Masz mnie.

- Czyżby? - spytała smutno. - Jeśli nie wiesz, kim jestem, a to ma dla ciebie znaczenie, jak mogę być tego pewna?

Nie odpowiedział od razu, tylko popatrzył na fale. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos brzmiał dziwnie bezbronne.

- Co teraz zrobimy?

Dana również czuła się bezbronna. W przypływie solidarności z mężem sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej kartkę. Rozwijając ją, spojrzała na adres swojego ojca.

- Albany - powiedziała i wręczyła kartkę Hugh.

Wyruszyli wczesnym rankiem w środę, kierując się na zachód przez Massachusetts ku granicy Nowego Jorku. Zakładali, że przy sprzyjających warunkach na drodze powinni dojechać do Albany w trzy godziny. Sześciogodzinna wyprawa w obie strony byłaby zbyt wyczerpująca dla Dany bez Hugh, zwłaszcza że ze względu na Lizzie musieli się często zatrzymywać.

- Zostaw ją mnie - zaproponowała Tara.

Dana jednak nie mogła zapomnieć słów Davida.

- Będę miała tylko jedną okazję, nie chcę jej zmarnować. Jeśli popatrzy na tę maleńką buzię, na pewno zmięknie.

- Chcesz, żeby okazywał uczucia? - zapytała Tara ze zdumieniem.

- Chcę, żeby zrozumiał, po co go szukałam, i wiedział, dlaczego to aż tyle dla mnie znaczy.

Mimo to Dana była przygotowana na najgorsze, na drzwi zatrzaśnięte przed nosem i wizytę zakończoną jeszcze przed rozpoczęciem. Hugh również przeczuwał taką możliwość i sugerował, żeby najpierw zadzwonili, ale się nie zgodziła. Zaszła już tak daleko, że chciała przynajmniej zerknąć na tego człowieka.

Hugh miał być świadkiem i z tego powodu dodatkowo cieszyło ją, że pojechali razem. Jeśli nie uda się jej nic wskórać u Jacka Jonesa Kettyle, nie chciała po powrocie wysłuchiwać pytań na temat tego, czy na pewno dość się starała.

Poza tym obecność męża dawała jej duchowe wsparcie. Wiedział, że czuła się bezbronna. Sam przyrządził jej śniadanie, za-

nim wyjechali, zatrzymał się po drodze w Dunkin' Donuts na jej ulubioną kawę latte i nieproszony robił przerwy na odpoczynek.

Jazda przebiegała bez zakłóceń, ale Dana była bardzo spięta po wjeździe do Albany. Niemal wybuchnęła, gdy wskazówki serwisu MapQuest zaprowadziły ich pod kościół.

- To niemożliwe! - krzyknęła.

Byłaby niepokieszona, gdyby odbyli całą podróż na próżno.

Hugh ponownie sprawdzał wskazówki. Popatrzył na kościół i na niewielki budynek tuż za nim.

- Chyba tam. - Wskazał na dom.

- To teren kościoła.

- Plebania. Może wynajmuje pokój?

- Albo mamy zły adres - zauważyła. - W spisie absolwentów widnieje dwukrotnie, jako adres zamieszkania i adres pracy. Facet zrobił dyplom z inżynierii. Założyłam, że pracuje w domu przy komputerze czy coś w tym rodzaju.

Hugh popatrzył jej w oczy.

- Można się o tym przekonać tylko w jeden sposób.

Zaparkowali na jednym z trzech wolnych miejsc przed plebanią. Kiedy Hugh odpinał Lizzie z fotelika, Dana podeszła do tylnych drzwi i wyjęła pieluszkę z torby. Drżącymi rękami przewinęła córeczkę, ale kiedy Hugh zaproponował, że ją poniesie, pokręciła głową. Musiała czuć ciepło Lizzie przy swoim ciele. Córka była jej poduszką bezpieczeństwa, dowodem, że jest kochana.

- Wszystko będzie dobrze, Dee - powiedział Hugh łagodnie i objął ją ramieniem.

- Zależy, co rozumiesz przez „dobrze” - odparła. - A może to jakiś chory dowcip i tak naprawdę facet mieszka na cmentarzu?

- No to sprawa się zamknie.

- Tak sądzisz?

Plebania była niewielkim budynkiem z cegły. Zdobił go jedynie łuk utworzony przez zwieszające się dęby. Na zwirowej ścieżce gdzieś tam przebiegały się kępy trawy.

Drzwi wejściowe były otwarte. Nacisnęli dzwonek i czekali pod siatkowymi drzwiami, aż ktoś podejdzie. Kobieta, która się

zjawiła, miała na sobie beżową spódnicę i bluzkę oraz espadryle. Wyglądała na czterdziestkę, co oznaczało, że mieli do czynienia ze świetnie zakonserwowaną pięćdziesięcioletką, albo nie była żoną ojca Dany.

- Szukamy Jacka Kettyle - oświadczyła Dana pośpiesznie.

- No to trafili państwo we właściwe miejsce. Jestem Mary West, sekretarka na plebanii. - Otworzyła siatkowe drzwi. — A państwo?

- Nazywam się Dana Clarke. - Uświadomiła sobie, że skoro rozmawia z sekretarką, a znajdują się na plebanii, nadal istnieje możliwość, że Jack Kettyle nie żyje. - To mój mąż Hugh, a to nasza córka Elizabeth.

Sekretarka uśmiechnęła się do Lizzie.

- Jest po prostu piękna. Ile ma?

- Tylko dwa tygodnie.

- Go za szczęście, że dostali państwo tak malutkie dziecko. Nowi mieszkańcy miasta?

Dana nie zamierzała prostować nieporozumienia.

- Nie. Przyjechaliśmy tutaj tylko na jeden dzień. A właściwie na rano. — Minęła jedenasta.

- Goście są zawsze mile widziani i mogą zostać, jak długo zechcą. - Mary wskazała im skromnie umeblowany salon. - Proszę czuć się jak u siebie w domu. Coś zimnego do picia?

Albany leżało w głębi lądu i choć oceaniczne powietrze zaczęło się już ochładzać, wiatry nie dotarły jeszcze tak daleko na zachód. Danie było gorąco, wątpiła jednak, czy zdoła cokolwiek przełknąć. Pokręciła głową, a sekretarka powiedziała:

- Ojciec Jack jest w swoim gabinecie. Zaraz go zawiadomię, że państwo przyjechali.

I zniknęła.

Dana szeroko otwartymi oczyma popatrzyła na Hugh.

- Ojciec Jack? - wyszeptwała. — Ojciec Jack?

- Nic nie rozumiem — odszepnęła.

- Człowiek, którego szukam, jest żonaty i ma dzieci. Jack Kettyle nie może być ojcem Jackiem. A jeśli to wszystko to jedno wielkie oszustwo?

- Zaczniemy od początku.

- Jak? To jedyne nazwisko, jakie mam, a szukałam wszędzie.

- Witam - dobiegł ich głos od drzwi.

Dana się odwróciła. Rozpoznała go natychmiast. Twarz była bardziej dojrzała, włosy raczej siwe niż blond, a czarne spodnie, czarna koszulka z krótkim rękawem i koloratka bardzo się różniły od kolorowej apaszki i dżinsów. Jednak bez wątpienia był to człowiek ze zdjęcia.

Uśmiech nie zniknął, choć teraz na obliczu mężczyzny malowało się zaskoczenie.

- Mary miała rację - powiedział miłym głosem. - Wygląda pani dokładnie tak jak pewna znana mi kobieta, tyle że ona jest w San Francisco. Rozmawiałem z nią dziś z samego rana.

Dana z trudem wydobyła z siebie głos.

- Nazywam się Dana Clarke i szukam Jacka Kettyle, tylko nie wydaje mi się, żeby był księdzem.

- Ależ jest — zapewnił ją duchowny miłym tonem.

- Jack Jones Kettyle?

- No, no. Ktoś zrobił rozeznanie. Zgadza się.

- Ksiądz? Powiedziano mi, że jest pan żonaty i ma dzieci.

- Mam sześcioro dzieci. Moja żona umarła jednak dziesięć lat temu, a wszystkie dzieci dorosły, postanowiłem zatem zrobić coś ze swoim życiem.

- Nie sądzę, by żonaci mężczyźni mogli zostawać księżmi - wtrącił Hugh

- Jestem wdowcem. Ze względu na niedobór duchownych w parafii zostałem zaakceptowany. Mężczyźni tacy jak ja mają doświadczenie w sprawach małżeństwa i rodzicielstwa. To zaleta dla parafii.

- Czy księża nie muszą mieć ukończonych studiów teologicznych? - drażył temat Hugh.

- Owszem. Spędziłem cztery lata w seminarium. Potem rok jako diakon, pomagałem w kościele w weekendy. Pod koniec tego roku zostałem wyświęcony. Miałem szczęście. - Ponownie się uśmiechnął. — Nie wszyscy księża dostają od razu swoją parafię,

ale moja akurat utraciła swojego księdza, a ponieważ znałem większość wiernych, logika wskazywała na mnie.

To wyjaśnienie również w żaden sposób nie mogło połączyć duchownego z playboyem. Dana nie była pewna, czy odnalazła właściwego człowieka.

- Gdzie ksiądz chodził do college'u? — zapytała go.

Ksiądz skrzyżował ramiona i oparł się o krzesło z wysokim oparciem.

- Przed dyplomem? W Wisconsin.

- Znał ksiądz Elizabeth Joseph?

- Jasne, że tak. Złamała mi serce i rzuciła szkołę.

- Dlaczego?

- Tęskniła za domem i doszła do wniosku, że tam ukończy naukę.

- Wie ksiądz, co się z nią stało?

- Utonęła - odparł poważniejszym tonem. - To było bardzo dawno temu.

- Skąd ksiądz wie o jej śmierci?

- Wpadłem na naszą znajomą, która o tym słyszała. — Chyba zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że nie są to błahe pytania.

- Usiłował ksiądz kiedykolwiek skontaktować się z jej rodziną?

- Nie. Jak mówiłem, złamała mi serce. Nie kochała mnie, wobec tego poślubiłem inną kobietę. Doszedłem do wniosku, że myślenie o Liz jest nie fair w stosunku do mojej żony, więc z tym skończyłem. Mogłem w nieskończoność rozpaczać nad związkiem bez przyszłości albo żyć. Żeby dać sobie radę, musiałem zapomnieć o Liz. Znała ją pani? - dodał cicho.

Dana skinęła głową.

- Była moją matką.

Jego twarz się rozpromieniła. W następnej chwili wyglądała tak, jakby odpłynęła z niej cała krew.

Dana miała czas się przygotować. Nie zaszokowało jej spotkanie z ojcem, tylko czuła się poruszona faktem, że jest on księdzem.

- Ile ma pani lat? — spytał ją.

- Trzydzieści cztery. Urodziłam się siedem miesięcy po wyjeździe matki z Wisconsin.

Kiedy się w nią wpatrywał, jego oczy wypełniły się łzami.

- Naprawdę ksiądz nie wiedział? - zapytała.

Pokręcił głową. Po chwili wziął się w garść i popatrzył na dziecko.

- To pani córka?

- Tak. Przyjechałam z jej powodu - odparła Dana. - Nie chcę niczego od księdza, niczego nie potrzebuję, więc jeśli myśli ksiądz, że zjawiłam się po pieniądze, to się myli. Jestem tu tylko dlatego, że mój mąż i ja...

- Hugh Clarke - przerwał jej Hugh i wyciągnął rękę. - To nasza córka Elizabeth.

- Lizzie - poprawiła go Dana. - Ponieważ ma murzyńskie rysy, chcieliśmy się dowiedzieć, skąd się wzięły.

Ksiądz cofnął się o krok.

- Nie jest adoptowana?

- Nie. Pomyłka w laboratorium ani romans z przyjacielem również nie wchodzi w grę - odparła Dana, by z góry położyć kres ewentualnym spekulacjom. - Mój mąż wie wszystko o swojej rodzinie, ale ja niewiele o swojej. Czy ma ksiądz czarnoskórych krewnych?

Duchowny wypuścił powietrze z płuc. Z niepewnym uśmiechem podrapał się po potylicy.

- O rany. Będę się musiał przyzwyczaić do tej myśli. Nie sądziłem, że Liz miała dziecko.

- Miała — przytaknęła Dana niecierpliwie. — Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Nie, nie mam.

- Skąd ta pewność?

- Kilka lat temu moja siostra potrzebowała przeszczepu szpiku kostnego. Szukaliśmy w rodzinie odpowiedniego dawcy i w końcu znalazł się odległy kuzyn, ale w trakcie tych poszukiwań odtworzyliśmy z detalami drzewo genealogiczne rodziny.

- Dlaczego potrzebna była transplantacja? - spytała Dana, zaciekawiona wbrew sobie.

- Białaczką. Siostra wyzdrowiała. Cud współczesnej medycyny.

Dane to ucieszyło, ze względu na nieznaną ciotkę i siebie. Nie mogła nawet zmusić się do myślenia o tym, że Lizzie odziedziczyłaby potencjalnie śmiertelną chorobę.

- A więc nie ma ksiądz czarnoskórych krewnych - powtórzyła. Kiedy pokręcił głową, popatrzyła ze zdumieniem na Hugh. — Czyli Lizzie musiała odziedziczyć brązową skórę po kimś innym.

- Może usiadziecie? - spytał ojciec Jack.

Ojciec Jack, pomyślała Dana. Łatwiej jej było myśleć o nim jak o ojcu tysięcy.

- Tak - odparł Hugh i lekko popchnął ją w kierunku sofy.

- Dostaliśmy odpowiedź - wyszeptwała. - Nie możemy dłużej zostać.

- Możemy — powiedział cicho. - Niech ta wyprawa na coś się przyda. - Lizzie zaczęła się wiercić. - Mam ją potrzymać?

Dana pokręciła głową, położyła sobie dziecko na ramieniu i zaczęła je lekko kołysać.

Hugh usiadł obok żony i popatrzył na księdza.

- Czy w rodzinie zdarzały się jakieś inne przypadki raka?

- Nie. - Ojciec Jack usiadł na krześle z wysokim oparciem i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

- A inne choroby dziedziczne? — drażył Hugh.

- Nadciśnienie, a poza tym twardziele z nas. - Popatrzył na Dane. - Mogę pani mówić po imieniu? - Nie czekając na odpowiedź, dodał: — Gdzie mieszkasz?

- Półtora kilometra od miejsca, w którym dorastałam.

- Czy twoja matka kiedykolwiek wyszła za mąż?

- Nie, zbyt krótko żyła.

- Czyli nie masz rodzeństwa.

- Nie mam. Ja stanowiłam centrum życia mamy, a po jej śmierci, centrum życia dziadków.

- Czym się zajmują dzieci księdza? - spytał Hugh.

Ojciec Jack się uśmiechnął.

- Mam czterech synów. Jeden jest ekspertem od elektroniki, dwaj to nauczyciele, a najmłodszy dorabia jako kelner w Los Angeles i biega na castingi. Najstarsza córka, trzydziestotrzylatka, jest pełnoetatową mamą. Ma czwórkę dzieci. Jej siostra studiuje prawo.

Dana spojrzała znacząco na Hugh. Nie chciała, żeby przedłużył wizytę.

- Lizzie jest głodna. Powinniśmy już jechać.

Hugh zerknął na odległy kąt pomieszczenia.

- Może tam ją nakarmisz?

Dana nie zamierzała obnażać piersi w obecności obcego mężczyzny, poza tym upał był nieznośny. Marzyła o ucieczce.

- Proszę, zostań jeszcze trochę — odezwał się ksiądz. - Chciałbym usłyszeć coś o twoim życiu.

Zacisnęła mocno usta i pokręciła głową.

- Nie ma takiej potrzeby.

- To nie jest kwestia potrzeby — powiedział pełen życzliwości.

Danie bardzo się to nie podobało. Gdzie byłeś przez te wszystkie lata?, pomyślała. Wesoło wychowywałeś sobie szóstkę dzieci, a kiedy wszystkie się usamodzielniały, zostałeś księdzem?

- Chodzi o mnie - oznajmiła niegrzecznie, ale nie mogła się powstrzymać. - O moją potrzebę. Chcę jechać do domu.

Rzuciła Hugh błagalne spojrzenie i wstała. Na szczęście poszedł w jej ślady.

Lizzie trochę ucichła, gdy Dana wędrowała do drzwi. Hugh otworzył je przed nią.

- Na pewno nie chcecie zostać dłużej? - ponownie zapytał duchowny. — Może na lunch? Albo wyskoczmy przekąsić coś na mieście.

Dana odwróciła się do niego.

- A jeśli ktoś podejdzie do nas i spyta księdza, kim jesteśmy, powie mu ksiądz?

- Tak.

- Nawet gdyby to miało wpływ na księdza karierę?

- W żadnym wypadku by nie miało. Wszyscy wiedzą o moich dzieciach.

- Z nieprawego łoża? - Kiedy nie odpowiadał, dodała: - Co z nimi? Powie im ksiądz o mnie?

- Bardzo chętnie, ale najpierw musiałbym cokolwiek o tobie wiedzieć.

- Niby dlaczego? — zapytała ostro.

- Bo będą pytali.

- A nie dlatego, że ksiądz chce wiedzieć?

- Dana - odezwał się Hugh cicho, ale ojciec Jack uniósł dłoń.

- Ma prawo być zła — powiedział do niego, po czym zwrócił się do Dany: - Tak, sam też chciałbym coś wiedzieć.

- Żeby się upewnić, że jestem księdza córką?

—Jesteś nią.

- Skąd ta pewność? — zapytała wyzywająco. - Skąd może ksiądz wiedzieć, że moja matka nie spała z innym mężczyzną?

Duchowny uśmiechnął się do niej.

- Poczekaj chwilę. — Cofnął się do budynku. —Jeszcze minutkę. Bardzo proszę.

Odwrócił się i ruszył do gabinetu.

Dana chciała odjechać, udając sama przed sobą, że człowiek, który nieodpowiedzialnie zasiał swoje nasienie w Madison, nic a nic się nie zmienił, jednak nawet nie drgnęła. Oszołomiona i niepewna mogła tylko podać Lizzie swojemu mężowi i podeprzeć jej plecy dłońmi.

- Stąd wiem - odezwał się zniecierpliwiony ojciec Jack. Trzymał w dłoni fotografię w ramce, na której stał ramię w ramię z młodą kobietą w akademickiej szacie. Oboje promienieli. - To zeszłoroczne zdjęcie z rozdania dyplomów w Wisconsin. Moja córka Jennifer.

Dana zerknęła na zdjęcie, po czym wbiła w nie uważne spojrzenie. Zabrała fotografię z jego rąk, nie odrywając wzroku od twarzy córki księdza. Mogłaby to być jej własna twarz. Najwyraźniej rysy, których Dana nie odziedziczyła po matce, były rysami Jacka.

Przez te wszystkie lata bardzo pragnęła rodzeństwa, marzyła o tym, żeby jej rodzina była większa. Teraz jednak świadomość, że ma niemal identyczną przyrodną siostrę, okazała się nie do zniesienia.

Jej oczy wypełniły się łzami, nie chciała jednak płakać.

- Jak to możliwe? - wykrztusiła. - Przecież mamy różne matki.

- Tak. Tyle że jej matka była bardzo podobna do twojej. - Urwał zakłopotany. - Tak czy owak, resztę załatwiły moje geny.

Dana jeszcze przez chwilę wpatrywała się w zdjęcie, po czym muje oddała.

- No cóż, dziękuję. - Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- To chyba przesądza sprawę.

Miała wielką gulę w gardle. Odwróciła się i ruszyła w stronę auta.

- Chciałbym wam złożyć wizytę! - zawołał za nią ksiądz.

Nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, czego ona chce.

Była tylko częściowo świadoma, że Hugh wkłada dziecko do fotelika, że mała popłakuje i trzeba ją nakarmić. Jednak zapięła pas i czekała, nie patrząc na księdza, czekała, aż Hugh wykręci, czekała, aż wyjedzie na ulicę i kościół zniknie im z oczu. Wtedy pochyliła głowę i wybuchnęła płaczem.

19

Hugh nie miał pojęcia, co robić. Nie mógł tak po prostu jechać, z Daną płaczącą na fotelu z przodu i dzieckiem wydzierającym się z tyłu. W zasięgu wzroku nigdzie nie było Dunkin' Donuts ani McDonalda. Zjechał więc na pierwszy lepszy parking przed jakimś biurowcem, znalazł miejsce w cieniu dębu i wrzucił jałowy bieg.

Dotknął ręki Dany. Kiedy się nie wyrwała, pogłaskał ją po ramieniu. Nic nie mówił. Co można było powiedzieć? Liczył na to, że w trakcie wizyty dostanie więcej odpowiedzi. Jeśli jednak on był rozczarowany, to jak musiała się czuć Dana?

I tak siedział, delikatnie masując jej kark, żeby wiedziała, że jest tuż obok.

Kiedy szloch w końcu zamienił się w czkawkę, Hugh wyszedł z auta, odpiął dziecko i podał Danie, która w milczeniu podwinęła bluzkę i zabrała się do karmienia. Lizzie od razu ucichła.

Hugh łyknął wodę z butelki, po czym podał ją żonie. Wzięła butelkę, również trochę wypić, zamknęła oczy i czekała, aż Lizzie się naje.

Hugh milczał, dopóki nie położyła sobie małej na ramieniu.

— Nic ci nie jest? - zapytał.

Pokręciła głową.

— Czy to coś dało? Czy mamy odpowiedzi?

- Przynajmniej wiemy, że jest twoim ojcem.

Dotknęła policzkiem główki córki, głaszcząc jej drobne plecy.

- Wiemy na przykład, że nie masz czarnoskórych przodków
- dodał.

— Wierzysz mu?

— Ta opowieść była całkiem przekonująca.

Dana wciąż masowała plecy Lizzie, aż w końcu małej się odbiło. Wytarła usta córki śliniakiem, po czym przystawiła ją do drugiej piersi.

— Może odrobinę zbyt przekonująca?

— To znaczy stworzona po to, żeby nie dopuścić żadnych wątpliwości? - Hugh zastanawiał się nad tym przez chwilę. — Przecież nie wiedział, że przyjedziemy. Niewiele osób wymyśliłoby coś takiego na miejscu.

— Notoryczny kłamca i owszem.

— Sądzisz, że to notoryczny kłamca?

Dana popatrzyła na męża. Dostrzegwał rozczarowanie w jej oczach.

— Nie wiem, co sądzić. Nie spodziewałam się księdza. Nie spodziewałam się człowieka, który będzie sugerował, że kochał moją matkę, i poleci pokazywać mi zdjęcie swojej córki, żebym się przekonała, jakie jesteśmy do siebie podobne. Nie spodziewałam się, że będzie chciał utrzymywać z nami kontakt.

— Ale to chyba dobrze, prawda? - Hugh nie miał nic przeciwko poinformowaniu swojej rodziny, że ojciec Dany jest księdzem. Ten fakt ogromnie by pomógł zamknąć usta jego bliskim.

Westchnęła ze znużeniem.

— Tak dużo się teraz dzieje - z dzieckiem, z nami, z babcią. Nie będzie chciała dzielić się mną z człowiekiem, którego uważa za krzywdziciela swojej córki. Poza tym wciąż nie mamy żadnych odpowiedzi, Hugh. Popatrz na Lizzie. Jeśli ta karnacja to nie spadek po moim ojcu, to po kim?

Po Ellie Jo, pomyślał Hugh.

— Dowiemy się.

-Jak?

— Nie wiem, ale się dowiemy. Na pewno jesteś głodna. Chcesz gdzieś wpaść na lunch?

— Nie czuję się najlepiej w Albany - wyznała.

— Ale jesteś głodna?

- Chyba tak.
- Czy to odpowiedź twierdząca? - naciskał delikatnie.
- Nie jestem głodna, ale wiem, że muszę jeść, żeby nie zabrakło mi mleka.

-Jeśli chcesz zrezygnować z karmienia, zrób to. Nie mam nic przeciwko mleku w proszku.

- Chcę karmić. — Popatrzyła na niego. - Bo widzisz, ja rozumiem, co to obowiązek, a on nie. Czy gdybyś naprawdę kogoś kochał, nie chciałabyś wiedzieć, co się z nim dzieje? Nie próbowałabyś sprawdzić, gdzie jest i co robi?

- Próbowałbym - przytaknął Hugh. - To się nazywa walka o to, czego pragniesz.

- Zgadza się - odparła ze złością. - A on nie walczył. Dał sobie spokój, machnął ręką, zamknął ten rozdział życia.

- Teraz ty robisz to samo - zauważył Hugh.

-Ja?

Złagodził oskarżenie, natychmiast biorąc winę na siebie.

- Skrzywdziłem cię. Przepraszam. Ale ty w odwecie odstawiłaś mnie na boczny tor. Wiem, że wcześniej mnie kochałaś, Dee. Co się stało z tą miłością?

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Co ojciec Jack mówił o rozpaczaniu nad związkiem bez przyszłości? - ciągnął Hugh. - Czy tak właśnie nas postrzegasz, jako związek bez przyszłości? - Kiedy nie odpowiedziała, ciągnął: - Bo jeśli tak, to ja się z tobą nie zgadzam. Po prostu się docieramy, i tyle.

- Skóra Lizzie nagle nie zbieleje.

-Jasne, że nie - przytaknął. - Ale to nie znaczy, że będziemy skoncentrowani na jej kolorze. Oskarżasz mnie, że jestem tym przygnębiony. Przygnębiony to niewłaściwe słowo. Po prostu chcę wiedzieć, skąd się wzięła. Czy proszę o zbyt wiele?

- Tak, skoro ja nie mam pojęcia, skąd się wzięła. Tak, skoro sama z trudem próbuję zrozumieć, kim jestem. Pod tym względem czuję się przepuszczona przez emocjonalną wyżymaczkę i nie mam ochoty o tym teraz rozmawiać! - Odsunęła dziecko od piersi i położyła je na udzie.

Ponieważ nic nie mówiła, odezwał się cicho:

- Znowu to robisz. Odpychasz mnie.

- Męcę się z tym, Hugh.

- W porządku. - Postanowił się wycofać. - W porządku. Pomyślmy o lunchu. Wszystko po kolei.

I tak właśnie zaczęli się zachowywać. Kiedy Lizzie się odbiło, zapiął ją w foteliku. Potem kupili hamburgery i frytki w pobliskim fastfoodzie i zjedli je podczas jazdy. Kiedy dotarli do autostrady, Dana zamknęła oczy.

Hugh jechał w milczeniu. Czuł się kompletnie bezużyteczny. Nagle zadzwoniła jego komórka, a sekretarka poinformowała go, że łączy rozmowę z Danielem Drummondem. Hugh natychmiast się ożywił.

Daniel Drummond był słynnym bostońskim prawnikiem o nadmiernie rozdętym ego. Twierdził, że stanowi prototyp przynajmniej jednego z głównych bohaterów w każdym prawniczym serialu rozgrywającym się w okolicy. Z pewnością nie brakowało mu urody, umiejętności i talentu. Słynął z ekstrawagancji i był arogancki aż do przesady.

Hugh i Daniel raz wspólnie reprezentowali klientów w pewnej złożonej sprawie. Nigdy jeszcze nie wystąpili przeciwko sobie.

- Jak się miewasz, Hugh? - spytał Daniel dziarskim tonem.

- Świetnie, Dan. A ty?

- Miewałem się świetnie, dopóki nie dostałem pewnej informacji przez telefon. - Wciąż zachowywał się po koleżeńsku. - Co się dzieje?

- Zależy, kto dzwonił.

Usłyszał prychnięcie.

- Znasz listę moich klientów. Masz ochotę podjąć się sprawy pod publiczność? Brakuje ci rozgłosu?

- Niczego mi nie brakuje, dlatego właśnie wcale nie mam ochoty podejmować się pewnej sprawy, która pojawiła się na horyzoncie. Liczymy na cichą i szybką ugodę. Jeśli mowa o tej samej sprawie, musimy się spotkać. Telefony nie są bezpieczne.

- Telefony nie są bezpieczne. - Serdeczność zniknęła. - Może pomyśl o fałszywych oskarżeniach. Zdajesz sobie sprawę, ile takich telefonów dostaje senator?

- Kto sieje wiatr...

- Bądź realistą, Hugh. Wiesz, z kim masz do czynienia?

- Wiem.

- No to wiesz również, co sobą reprezentuje. Takie oskarżenie, jakie widnieje w twoim liście, nie będzie dobrze odebrane.

- To nie mój problem. Moim problemem jest moja klientka.

- Podobnie jak moim. Mój klient nie lubi, kiedy się go straszy.

- Ja też nie - odparł Hugh. — Posłuchaj, Dan, sprawa jest pilna.

Albo spotkamy się jutro, albo wyślę papiery do sądu. Moja klientka nie ma nic do stracenia. A twój klient? - Obaj wiedzieli, jak wygląda sytuacja. - Ale możemy znaleźć dyskretne rozwiązanie. Zaczniemy od spotkania w moim gabinecie. Jutro rano, ty ustal godzinę.

- Jestem zajęty do przyszłego tygodnia.

- Wobec tego twój klient wybrał sobie złego adwokata. Najpóźniej w piątek, inaczej idziemy do sądu.

- Daj spokój, Hugh. Z tymi kobietami nic nie jest pilne.

Lekceważenie w głosie rozmówcy rozwścieczyło Hugh.

- Tym razem jest. Rozmawiamy o poważnym problemie zdrowotnym małego chłopca. Jeśli ty nie zdołasz mi pomóc, zrobi to sędzia.

- Problem zdrowotny? Zdradź coś więcej.

- Nie tutaj. W gabinecie. Jeśli nie jutrzejszego ranka, to w piątek. — Nie zamierzał iść na dalsze ustępstwa. - Ustal porę.

- Będziemy musieli spotkać się wczesnym rankiem, powiedzmy o siódmej. Podobno urodziło się wam dziecko. Może być ci ciężko.

- Siódma rano w piątek. Będę przy drzwiach, żeby cię wpuścić.

Dana przespała większą część drogi powrotnej. Czuła się nieco lepiej, gdy wysiadali z auta, a kiedy Hugh zaproponował, że przypilnuje dziecka, a ona pojedzie do Ellie Jo, zgodziła się. Uznała, że konfrontacja z babcią - i ponowne wypytywanie o drzewo gene-

alogiczne rodziny Josephów - pójdzie łatwiej, jeśli nic nie będzie odwracało jej uwagi.

Właśnie brała Lizzie na ręce, żeby ją nakarmić przed wyjazdem, kiedy na podwórzu zjawił się David. Miał na sobie podarty podkoszulek i szorty mocno ochlapane farbą.

- Malujemy pokój Ali na zielono - wyjaśnił. - Jest w domu, cała w farbie, ale zmusiła mnie, żebym wyszedł, gdy tylko ujrzała auto. Skończyła się jej włóczka podczas robienia drugiego szala. Biedna lalka jest tak opatulona, że ledwie widać jej oczy, Ali jednak się uparła, żeby szalik był jeszcze dłuższy. Jest pewna, że masz jeszcze tę włóczkę. Usiłuję spełniać jej życzenia, żeby i ona spełniała moje. Twierdzi, że nie zamierza wracać do Nowego Jorku.

- Hm. Mnie też o tym wspomniała - mruknęła Dana.

- Wyjaśniła dlaczego? - zapytał. - Kocha Susan. Nie wiem, w czym problem.

- A pytałeś?

- Ali? No pewnie. Mówi, że po prostu chce ze mną mieszkać, potem wygląda przez okno i krzyczy: „Patrz! Ocean!”, albo spogląda na wasz dom i oznajmia, że lubi wasze dziecko, później patrzy na mnie i twierdzi, że nie powinienem mieszkać tu sam i że będzie o wiele fajniej, jeśli zamieszkamy razem. - Przejechał dłońią po łysej czaszce. Była to jedyna część jego ciała niepokryta zieloną farbą. - Susan twierdzi, że przy wyjeździe z Nowego Jorku Ali zachowywała się normalnie. Ten narzeczony wydaje się miły. Podobno dobrze dogadują się z Ali. Zdaniem Susan to reakcja na nową sytuację.

- Na dzielenie się mamą? - spytał Hugh.

- I zmiany. On mieszka zaledwie parę ulic dalej, ale zapisał ją do ekskluzywnej nowej szkoły. Bardzo ą ę.

- A ę bogatej?

- A ę białej.

Dane uderzyła niespodziewana myśl.

- Ukrywa tę lalkę, Czekoladkę. Teraz mówisz, że owinęła ją szalikiem tak, że nie widać twarzy. Nie sądzisz, że próbuje ci coś przekazać?

W oczach Davida widać było troskę.

- Że nie chce być jedyną osobą o czarnej skórze w całej szkole?
- Znowu dotknął głowy ręką. - To ma sens, prawda? W porządku, spytam Susan. - Odwrócił się i odszedł.

Ledwie Dana zdążyła zaparkować przed Włóczkarnią, Tara od razu wybiegła, żeby poznać nowiny o Albany. Dana zdradziła jej tylko najistotniejsze fakty. Nie miała ochoty się nad tym rozwodzić. Wciąż czuła się emocjonalnie przytłoczona istnieniem ojca Jacka.

Tara nie naciskała, zresztą były jeszcze dwie bardzo delikatne sprawy do obgadania.

Najpierw wyciągnęła z kieszeni czek i podała go Danie. Widniały na nim nazwiska Oliviera i Corinne Jamesów, został wypisany dwa tygodnie wcześniej, eleganckim charakterem pisma Corinne. Opiewał na czterdzieści osiem dolarów i jakieś drobniaki, zapłacono nim za książkę o robieniu na drutach oraz motek kaszmiru na beret dla Corinne.

- Pomagałam Ellie Jo przy księgowaniu i znalazłam to w kopercie z banku - wyjaśniła Tara.

- Bez pokrycia? - zdumiała się Dana. Corinne była bogata.

- Jedna z nas będzie musiała ją o to zapytać. Jestem tchórzem, więc zostawiam to tobie. Wiem, jak uwielbiasz Corinne — zażartowała.

- Była dzisiaj?

- Tak, ale nie zabawiła długo.

- Ostatnio szybko wychodzi. Coś musiało się stać.

Tara wzięła Dane za rękę.

- To nie wszystko. Coś się dzieje również z Ellie Jo. Chyba nie czuje się dobrze. Starałam się zwalić winę na jej kostkę, ale Sandra też to zauważyła. A ty?

- Wydaje się roztargniona - przytaknęła Dana.

- No tak, ale bardziej nas niepokoi jej brak równowagi. Dziś ledwie wpadła i wypadła. Może sama coś dostrzega i nie chce, żeby inni też to zauważyli, albo naprawdę nie czuje się zdrowa. Teraz jest w domu, razem z Saundrą.

Z sercem walącym jak młotem Dana wręczyła Tarze czek Corinne.

- Idę tam. - Niemal pobiegła po kamiennej ścieżce, na schody z tyłu, i wpadła przez werandę do kuchni. Obie kobiety siedziały przy stoliku i piły herbatę. Wydawały się całkowicie rozluźnione, przynajmniej do chwili, w której Ellie Jo zapytała:

- Co się wydarzyło w Albany?

Dana się zawahała. Chociaż specjalnie wybrała się z wizytą do babci, nagle zupełnie odechciało się jej rozmawiać o ojcu Jacku.

Błędnie zinterpretowawszy milczenie wnuczki, starsza pani powiedziała:

- Saundra zna sprawę. Możesz przy niej mówić.

- Niewiele jest do opowiadania. — Osunęła się na krzesło. Veronica natychmiast wskoczyła jej na kolana i wbiła spojrzenie w swoją panią.

Dana pokrótce opisała wizytę u ojca Jacka. To wystarczyło, żeby przygnębić Ellie Jo.

- On coś ukrywa - oświadczyła. - Przecież zawsze tak jest, prawda? Człowiek, który ma najwięcej do ukrycia, to ten, który zwraca się do Boga.

- Wątpię, by tak było w tym przypadku, babciu.

- No jasne, że wątpisz, przecież właśnie odnalazaś ojca. Chcesz mu wierzyć.

- Nie — oświadczyła Dana stanowczo. — Nie było go przy mojej matce i nigdy nie było go przy mnie. Właśnie przez to jestem do niego uprzedzona. Ale Hugh ma rację. Ten człowiek nie wiedział, że przyjedziemy... Nawet nie zdawał sobie sprawy z mojego istnienia, a jednak jego odpowiedzi na nasze pytania miały sens.

Ellie Jo drżącymi rękami złapała za blat stołu i dźwignęła się z krzesła.

- Mężczyźni to łotry. - Odwróciła się i niemal upadła.

Veronica zeskoczyła z kolan Dany.

- Babciu...

- Leci Oprah. - Ellie Jo puściła blat i pokuśtykała ku drzwiom.
— Powinnaś obejrzeć jej program, Dana Jo. Dowiedziałybyś się coś
niedużo, jak ludzie łąą.

Veronica wyszła za swoją panią.

Dana patrzyła za nimi, po czym napotkała wzrok Saundry.

- Nic jej nie jest?

— Jest drażliwa - odparła Saundra cicho. - I słaba. Zapropo-
nowałam, żeby poszła do lekarza, ale mówi, że widziała się z nim
w sprawie kostki i że nie znaleźli żadnych innych problemów.

- Była na oddziale urazowym - zauważyła Dana. - Nie inte-
resowało ich nic poza złamaniem.

- Trzeba by zacząć od pytania, co spowodowało upadek. Być
może to już ten wiek, Dana. Człowiek traci zmysł równowagi, nie
jest już taki sprawny jak kiedyś. A gips naprawdę przeszkadza.

- Co do ogólnego stanu jej zdrowia... Myślisz, że mamy powo-
dy do niepokoju?

- Tak - odparła Saundra. W jej oczach czaił się smutek, cho-
ciaż uśmiechała się łagodnie. - Czy się do tego przyzna? Nie. Je-
dyne, co możesz zrobić, to skłonić internistę, żeby namówił ją na
wizytę, kiedy Ellie Jo odwiedzi ortopedę. Uda się?

- Zrobię wszystko, żeby się udało.

Saundra popatrzyła na filiżanki.

- I zgadzam się z tobą co do twojego taty. Zawsze istnieje moż-
liwość, że wcześniej przygotował sobie historyjkę o siostrze, jeśli
usiłuje ukryć swoje pochodzenie. Możliwe, że rodzina bez żadnego
wysiłku znalazła dalekiego kuzyna, który został dawcą. Ale twój
ojciec to duchowny. Jestem skłonna mu uwierzyć.

Dana była jej wdzięczna za wsparcie.

- Czyli wracamy do punktu wyjścia.

- Nie da się ukryć — oświadczyła Saundra takim tonem, że
Dana zaczęła się zastanawiać, czy starsza pani wie coś, czego ona
nie wie.

- Nie pierwszy raz popijasz herbatkę z Ellie Jo, jak miemam.

- Ano nie. Robimy to prawie każdego popołudnia od jej wy-
padku.

- O czym rozmawiacie?
- Gdybym ci to powtórzyła, zdradziłabym przyjaciółkę.
- Czy to takie poufne?
- Pogaduszki staruszek zawsze są poufne. Rozmowa to jedna z niewielu rzeczy, które nam pozostają, kiedy się starzejemy. Tak wiele tracimy.

- Na przykład?
- Energię. Siłę. Zdrowie. Pieniądze. Niezależność.
- Jesteś niezależna.

- Uhm. Chwilowo. Za dziesięć lat mogę potrzebować kogoś, kto będzie mnie karmił owsianką, czytał mi książki i upewniał się, że nie wyjdę z domu i się nie zgubię.

- No właśnie. - Dana pochyliła się i wzięła Saundrę za rękę.
- A jeśli Ellie Jo jeszcze bardziej się pogorszy? Jeśli to roztrągnięcie przerodzi się w dezorientację i babcia straci pamięć? Wtedy nigdy nie poznam prawdy o korzeniach Lizzie.

- Zakładasz, że Ellie Jo zna prawdę. Jesteś pewna, że tak jest?
- Nie - odparła Dana. — A ty jak myślisz?

Saundra przez chwilę milczała, lecz w jej oczach widać było troskę.

- Myślę, że nie — oświadczyła w końcu.

Hugh zadzwonił do domu rodziców, pewien, że odbierze matkę, i streścił jej to, czego się dowiedzieli w Albany.

- Książdz? - Wydawała się zachwycona.
- Bardzo katolicki - dodał. - I bardzo biały.
- Jesteś pewien?

- No cóż, był na plebanii, miał koloratkę, a sekretarka nazywała go ojcem Jackiem.

- Nie, miałam na myśli pochodzenie. Jeśli nie po nim dziecko odziedziczyło kolor skóry, to po kim?

- Nie wiem. Ale przynajmniej możemy wykluczyć rodzinę Dany ze strony ojca. Co ważniejsze, tata przez ostatnie pięć lat uważał tego człowieka za jakąś szumowinę. Okazuje się, że to książdz.

- Bardzo się cieszę ze względu na Dane. Ojciec też będzie zadowolony. Dam ci go do telefonu.

- Nie, mam. Wystarczy, że przekażesz mu tę informację.

- Sam powinieneś mu to przekazać.

- Wciąż nie mam odpowiedzi na pytanie, które go dręczy.

- Hugh.

-Jeszcze nie, mam.

Ale już kilka minut później zadzwonił telefon, a kiedy Hugh podniósł słuchawkę, usłyszał rozwścieczony głos ojca. Eatonowi nie chodziło jednak o Darię.

- Go ty, do cholery, wyprawiasz ze Stanem Hutchinsonem?!

Trochę to zajęło, zanim Hugh zrozumiał, o co chodzi.

- Drummond do ciebie dzwonił?

- Nie do mnie - wycedził Eaton. - Przynajmniej nie na początku. Najpierw zadzwonił do mojego brata, żeby oznajmić, że nękaś senatora, i żeby przypomnieć Bradowi, że w Kongresie przygotowywane są projekty pewnych ustaw, które mogą mieć bezpośredni wpływ na jego interesy. Wtedy zatelefonował do mnie, ale dopiero po tym, jak najpierw zadzwonił Brad, by mi wyjaśnić, że zerwałeś się ze smyczy i że powinienem cię utemperować. Drummond był nieco grzeczniejszy, jednak chodziło mu o to samo. Oświadczył, że dzwoni do mnie z szacunku, jako że należymy do jednego klubu uniwersyteckiego. Chciał, żebym wiedział, że mój syn igra z ogniem.

- Igra z ogniem? Jak mały chłopiec?

- Nie zdajesz sobie sprawy, jakich kłopotów może narobić Hutchinson. Facet jest potężny i mściwy.

- Kiedy się posłucha, co mówi w senacie, można by pomyśleć, że to święty.

- To, co mówi, to jedno, a co robi, to drugie. Może zrujnować twojego stryja, a także mnie.

- Zrujnować ciebie? Niby jak?

- Towarzysko. Może utrudniać nam życie, na Vineyard oraz tutaj. I zaszkodzić promocji mojej książki.

- Uważasz, że całe środowisko wydawców siedzi u niego w kieszeni? Chyba go przeceniasz.

- A ty go nie doceniasz - odparował Eaton. - Może mi zaszkodzić i już. Co ty wyprawiasz, Hugh?

- Najwyraźniej dotknąłem czułej struny.

- Oskarżając Hutcha o ojcostwo dziecka jakiejś żalosnej baby?

- Nie jest żalosna - odparł Hugh stanowczo. - Chłopiec również nie. To uroczy dzieciak, który potrzebuje pomocy.

- Niby dlaczego Hutch ma jej udzielić?

- Bo to jego syn.

- Zdołasz to udowodnić?

- Okoliczności na to wskazują. Trzeba wykonać badanie DNA, żeby ostatecznie pozbyć się wątpliwości.

- Dowiedziesz tego, tak jak dowiodłeś, że Dana nie miała romansu? Twoja matka twierdzi, że jej rodzina to rdzenni Irlandzcy katolicy. Jeśli Ellie Jo nie ma murzyńskich korzeni, to kogo jeszcze sprawdzisz? Nas?

Hugh bez słowa odłożył słuchawkę.

20

W piątkowy poranek Hugh zjawił się w kancelarii na pół godziny przed Danielem Drummondem. Przy kubku świeżej kawy przeczytał ostatnie zgromadzone przez Lakeya informacje. Kiedy zjawił się Drummond, Hugh był już całkowicie rozbudzony.

Gość z kolei wyglądał tak, jakby dopiero zwlókł się z łóżka.

- Kawy? - spytał Hugh uprzejmie.

Drummond tylko jęknął.

- Byle mocnej. Ze śmietanką, trzy łyżeczki cukru.

Hugh przygotował ją w kubku z nazwą firmy. Gestem wskazał Drummondowi miejsce na sofie, ten jednak usiadł na fotelu, na którym zwykle siadał Hugh.

W innych okolicznościach Hugh nie zwróciłby na to uwagi, jednak jeśli Drummond chciał w ten sposób dać mu coś do zrozumienia, postanowił nie pozostawać mu dłużny. Z teczką w dłoni zasiadł na skórzanym fotelu za biurkiem.

- Dzięki, że się zjawiłeś, Dan. Sytuacja jest pilna.

- Wciąż to powtarzasz, ale dla kogo? Dla twojej klientki czy dla mojego klienta?

- Zważywszy na to, że twój klient za dwa miesiące będzie ubiegał się o reelekcję, dla obojga.

- Senator nie ma liczących się przeciwników.

- To się może zmienić, jeśli pewne informacje wydostaną się na światło dzienne.

- Czyli to szantaż? Mamy początek września. Takie niepoważ-

ne oskarżenie przyciągnie uwagę ludzi, ale rozstrzygnięcie sprawy zapewne nastąpi po wyborach.

Hugh pochylił się do przodu.

- Pora ma związek z wypadkiem, który wydarzył się dwa tygodnie temu. Chłopiec ma cztery lata. Bawił się przed domem, kiedy na chodnik wpadło auto i go potrąciło. Kierowca, starszy człowiek, miał zawał serca. W chwili wypadku już nie żył. Obie strony nie były ubezpieczone. Gdyby moja klientka miała wybór, nigdy nawet nie zbliżyłaby się do twojego klienta. Nie chce mieć z nim więcej do czynienia, tak samo, jak on z nią. Jednak obrażenia są poważne.

- Czyli? - Drummond ziewnął.

- Doszło do pęknięcia kręgosłupa na odcinku pomiędzy miednicą a klatką piersiową. Pęknięcie rozciąga się przez płytki wzrostowe z prawej strony, a to oznacza, że bez dalszych interwencji chirurgicznych chłopiec będzie rósł asymetrycznie. Niezbędny jest specjalistyczny zabieg.

Drummond wypił jeszcze trochę kawy. W jego głosie nie było słychać żadnych emocji.

- Żaden szpital nie odmówi takiej operacji dziecku.

- Zgadza się, ale wtedy matka do końca życia zmuszona będzie spłacać długi. Pracuje jako kelnerka i wpadła w tę nieszczęsną dziurę - zarabia zbyt dużo, żeby operacja była za darmo, i zbyt mało, żeby spłacić rachunki. Już zaczynają nękać ją płatnościami. Chłopiec ma zostać wypuszczony ze szpitala, co oznacza, że matka będzie musiała zwalniać się z pracy, żeby się nim opiekować, i w rezultacie zarobi jeszcze mniej. Zważywszy na to, że najlepszy lekarz od tego rodzaju przypadków praktykuje w St. Louis, być może w ogóle będzie musiała rzucić pracę.

- Jesteśmy w Bostonie. Tu mamy najlepszych specjalistów.

- Ale nie od takich przypadków. Sprawdziłem. Najlepszy ośrodek specjalizujący się w takich problemach jest w dziecięcym szpitalu w St. Louis.

Drummond się skrzywił.

- A komu potrzebny najlepszy specjalista? Drugi najlepszy się nie nada?

- Dla wielu ludzi, owszem. - Hugh uśmiechnął się do rozmówcy. - Dla chłopca, którego ojcem jest twój klient, w żadnym wypadku. Syn Hutchinsona zasługuje na najwyższą jakością. Hutch bez wątplenia zgodziłby się ze mną.

- O, bez wątplenia. Gdyby to był jego syn. Zakład o każde pieniądze, że nie jest.

- Przegrasz. Dowody są niepodważalne.

- Jakie dowody?

- Mam sześciu świadków gotowych zeznać, że nasz drogi Hutch był w knajpie tamtej nocy i że obsługiwała go moja klientka. Mam też dwóch świadków, jednego ze stopniem naukowym doktora, którzy zeznają, że samochód odpowiadający opisowi auta twojego klienta później parkował przed interesującym nas motelem. Mam też rachunki z wypożyczalni samochodów i z motelu.

- Widać bzyknęła się z szoferem.

Hugh pokręcił głową.

- Jest kasetą z nagraniem. - Lakey odwalił kawał dobrej roboty. - Pięć lat temu takie taśmy nie były równie powszechne jak obecnie, ale akurat w tym motelu często zdarzały się kradzieże, stąd zwyczaj nagrywania. Obraz jest dość niewyraźny, jednak bez trudu można rozpoznać senatora.

- Wiesz, jak łatwo spreparować takie taśmy?

- Wiesz, jak łatwo udowodnić, że nie są spreparowane?

Drummond odezwał się dopiero po chwili.

- I to wszystko?

Hugh pokręcił głową. Najlepsze zostawił sobie na sam koniec.

- Wygląda na to, że podczas orgazmu senator wykrzykuje pewne żeńskie imię. Dwie kobiety, plus moja klientka, chętnie to zeznają. Trzy kobiety powtórzą to samo imię.

- Które dwie kobiety?

- Nicole Anastasia i Veronica Duncan. - Nicole była aktorką, którą Lakey znalazł na samym początku, i choć jej zdjęć z senatorem nie opublikowano, wzmianki o romansie trafiły jednak do brukowców. Veronica była lobbystką na rzecz firm farmakologicznych. Od wielu lat blisko współpracowała z senatorem.

Zrozumiałwszy, co to oznacza, Drummond zmienił kierunek rozmowy.

- Jakie to imię? - Teraz był już całkowicie rozbudzony.

- Dahlia. - Hugh czekał, aż gość przetrawi tę informację. - Nie jest to imię żony senatora. Ani też jego matki.

- Dahlia? Nie „Daj mi”? Albo „Dalej”?

- Dahlia. Trzy nieznane sobie kobiety nie mogły tego wymyślić. Jak sądzisz, kim jest Dahlia? Jego pierwszą kochanką? Utraconą miłością?

- Uważam, że imię jest nieistotne. Masz niezbite dowody, że twoja klientka... Jak ona się nazywa? Crystal Kostas? Że była w jednym pokoju z moim klientem?

- Nie mam ich zdjęcia w łóżku.

- A jak wchodzi do pokoju lub z niego wychodzą?

- Nie.

- A zatem, drogi przyjacielu, być może to zwykły zbieg okoliczności.

- Za to bardzo obciążający, jeśli dojdzie do procesu - odparł Hugh bez wahania, gdyż właściwie przez cały czas prowadził procesy poszlakowe. Czasem dowody były bardzo mizerne, czasem, jak teraz, nie.

- Wspomniałeś, że nie chcesz procesu — zauważył Drummond.

- Nie chcę. Ale jeśli Hutchinson chce, jestem gotowy. - Odwrócił kartkę w teczce, odpiął zdjęcie chłopca i położył je na biurku. — Popatrz na dziecko.

Drummond zerknął na fotografię. Na jego twarzy na moment pojawiło się zdumienie. Szybko zwrócił zdjęcie Hugh.

- Zakład, że wystarczy pójść do pierwszej lepszej szkoły w kraju i znaleźć dzieciaka, który będzie wyglądał jak kopia senatora.

- Pewnie masz rację - przytaknął Hugh. - Ale czy któreś z tych dzieci urodziło się dziewięć miesięcy po dniu, w którym senatora widziano w barze, gdzie obsługiwała go matka dziecka, a ona jest w stanie udowodnić, że spędziła z nim dwie godziny w motelu?

- Udowodnić? Sam powiedziałaś, że nie masz ich wspólnych zdjęć z tego motelu. Kto zaprzeczy, że każde z nich przyszło tam z kimś innym?

- Jeszcze jedno. - Hugh zerknął na zdjęcie, które leżało na środku biurka. Wiedział, że to jego atut. — To słodki dzieciak, Dan. Jego matka twierdzi, że nieźle kopał piłkę. Wiosną miała go zapisać do drużyny maluchów. Być może jednak już nigdy nie będzie grał. Jego przyszłość jest zagrożona. Biorąc pod uwagę dowody poszlakowe, którymi dysponuję, sędzia nie będzie mógł umyć rąk.

Drummond westchnął.

- Ile ona chce?

- Nie chce - poprawił go Hugh. - Potrzebuje. Pieniądze powinny trafić na fundusz powierniczy. Jej nie interesuje nic poza środkami, dzięki którym dziecko znów będzie chodzić. Nie zależy jej na osobistym zysku.

- Taka szlachetna? A spała z żonatym.

- To żonaty spał z nią. Wiedziała, że jest senatorem, bo tak się zwracali do niego ludzie w barze, ale czy wiedziała, że ma żonę? Szczerze wątpię. Niezbyt interesuje się polityką.

- Ile chce? - powtórzył Drummond.

- Potrzebuje - znowu poprawił go Hugh. - Milion.

Drummond gapił się na niego w milczeniu.

- Na fundusz — dodał Hugh. - Z opcją powiększenia sumy, jeśli zdrowie chłopca będzie tego wymagało.

- Albo ujawni ten romans? To szantaż!

- Nie. To konieczność.

Drummond dopił swoją kawę.

- Milion dolców.

- Senator ma tyle. Ma setki milionów.

- I dlatego może paść łupem takiej kobiety? Milion dolarów, bo tak sobie wymyśliła?

—Jeśli nie wierzy jej, może przekona go badanie DNA.

Drummond roześmiał się z niedowierzaniem.

- Naprawdę sądzisz, że mój klient na to pójdzie?

Hugh wzruszył ramionami.

- Mamy trudne do podważenia dowody, których zebrałoby się na kilka dni zeznań w sądzie. Albo twój klient dyskretnie się przyzna, albo badanie DNA oszczędzi wszystkim zainteresowanym czasu, wysiłku i upokorzeń związanych z przesłuchaniem. Badanie przebiega szybko. Twój klient bardzo często bywa w Bostonie. — Hugh wyczuł, że ma przewagę. Mógł sobie pozwolić na wspaniałość. — Wiem, że nie możesz przystać na pewne rzeczy bez rozmowy z senatorem. Weź teczkę, tu są dowody. Na tym etapie po prostu spisalibyśmy oświadczenie o przyznaniu się do odpowiedzialności i założeniu wstępnego funduszu, żeby wstępnie zaplanować leczenie chłopca. Chętnie jak najszybciej zakończę sprawę w cywilizowany sposób. Jestem pewien, że i senator by tego chciał. — Popchnął zdjęcie chłopca ku Drummondowi. - Weź i to. Może pomóc.

Drummond wpatrywał się w fotografię.

- Lubię twój ojca, Hugh. Stryja też. Musisz tylko zrozumieć, że senator nienawidzi tego rodzaju oskarżeń. - Uniósł dłoń. — Nie grozę ci, jedynie cię informuję, że jeśli wyskoczysz z tym oskarżeniem i coś pójdzie nie po twojej myśli, spodziewaj się reperkusji.

Hugh miewał w czasie swojej kariery chwile, w których wyczuwał, że klient kłamie. Crystal nie należała do takich osób, w dodatku poznał jej syna.

- Zaryzykuję - oznajmił. Wstał i wpiął zdjęcie do opinii medycznej, zamknął teczkę i popchnął w stronę gościa. - Dziękuję, że przyszedłeś, Dan. Odezwijsię na początku tygodnia.

Drummond wziął teczkę.

- Nie przeginaj.

- Senator będzie w Bostonie w przyszły piątek, na imprezie charytatywnej.

- Nie wiedziałem.

- Najwyraźniej nie trafiłeś na jego listę hojnych darczyńców. Mogę załatwić badanie o dowolnej porze.

- A jeśli zdecyduje się walczyć?

- Chce nagłówków?

- A twoja klientka? - Zaśmiał się rubaszenie. - Ejże, kobieta, która wymyka się z baru na bzykanko w pobliskim motelu, nie jest uroczą, niewinną istotką.

- Ona prawie jest. Dobra z niej matka i dobry człowiek. W tej chwili siedzi w szpitalnej sali, zmordowana po robocie do północy, i próbuje ubrać swojego syna mimo tej gipsowej formy, i pewnie zastanawia się, który czterolatek zasługuje na coś takiego. Jeszcze dziś wypiszą go ze szpitala, a ona nie ma opiekunki, która będzie nosiła go w gipsie. Wobec tego nie pójdzie do pracy i nie zarobi. Do następnego piątku jest sporo czasu.

- Być może następny piątek nie wypali.

- Musi, Dan. Nie możemy czekać. Oszczędziłeś mi wysiłku związanego z wypełnianiem dokumentów dzięki temu, że dziś tu przyszedłeś, ale czas ucieka. Jeśli nie odezwiesz się do mnie w poniedziałek, zadzwonię do kancelarii Harkinsa, żeby ustalił termin rozprawy na piątek.

- Harkins. - To nie było pytanie, lecz demonstracyjne zdumienie.

- Jest dobrym sędzią. Takie sprawy to jego działka.

- No jasne, sam ma chore dziecko.

- Właśnie. - Hugh pokiwał głową.

Po dłużej chwili Drummond parsknął śmiechem.

- Sprytny jesteś.

- Nigdy o tym nie zapominaj. - Hugh wypuścił gościa z kancelarii. Wracając od drzwi, był bardzo zadowolony z siebie. Czuł się potrzebny. Powiedział wszystko, co należało powiedzieć.

Zamierzał pójść do szpitala, by podzielić się nowinami z Crystal. Zjechał windą do podziemnego garażu, wsiadł do auta, ale na zalanej słońcem ulicy zerknął na zegarek, zmienił zdanie i wyjechał z miasta.

Lizzie była syta i zadowolona, odpoczywała na leżaczku na podłodze w kuchni. Tak intrygowało ją migotanie promieni słońca, że Dana uznała, iż kąpiel może poczekać. Zaciekawione dziec-

ko to dziecko szczęśliwe, do pediatry były umówione dopiero na dziewiątą. Dochodziło wóół do ósmej.

Patrząc na zegar, Dana przypomniała sobie, że dawniej, gdy jeszcze były sobie bliskie, właśnie o tej porze zwykła dzwonić z północnego Maine kuzynka Ellie Jo, Emma Young. Emma pracowała na wsi przez tyle lat, że nawet po sprzedaży farmy i przeprowadzce do miasta nadal wstawała z kurami. Dana była pewna, że kuzynka jest już na nogach.

Wystukała numer, który wczoraj wypadł z ogromnego, sfatygowanego notesu babci. Czuła się nie w porządku wobec Ellie Jo, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie wiedziała, dokąd jeszcze się zwrócić. Chwyciwszy się ostatniej deski ratunki, pod pretekstem popisywania się Lizzie objechała miasto i wypytywała o rodzinę Ellie Jo, ale bez rezultatu. Nikt nie znał babki Dany, zanim przeprowadziła się do miasta, a to nastąpiło wkrótce po tym, jak poznała Earla. Tylko Emma pamiętała Ellie Jo jeszcze z Maine.

- Halo? - rozległ się chrapliwy głos. Zapewne należał do Emmy. Dana doszła do wniosku, że kuzynka ma co najmniej osiemdziesiątkę.

- Emma? Mówi Dana Joseph.

- Kto?

- Dana Joseph - powtórzyła głośniej.

Zapadła cisza, po czym rozległo się ostrożne:

- Dzwonisz w sprawie mojej kuzynki Eleanor?

- Tak i nie.

- Nie żyje?

- Chryste, skąd! - wykrzyknęła. - Tak pomyślałaś?

- Co?

- Babcia ma się dobrze! - wykrzyknęła Dana. Wdawanie się w szczegóły byłoby bez sensu.

- Kiedy telefon dzwoni po tak długiej przerwie, nie zawsze są to dobre wieści - ciągnęła Emma silnym akcentem z Maine.

- Tym razem tak. Urodziłam dziecko.

Znowu zapadło milczenie, po czym Dana usłyszała chrapliwe:

- Kiedy?

- Ma dwa i pół tygodnia.
- I nikt do mnie wcześniej nie zadzwonił? - Emma podniosła głos.

- Przepraszam - powiedziała Dana. — Miałam sporo na głowie. Jeszcze nawet nie rozesłaliśmy zawiadomień o narodzinach.

Emma z pewnością była na liście, mimo to Ellie Jo powinna była do niej zadzwonić.

- Byłam na twoim ślubie - ciągnęła Emma. - Babcia potrzebowała kogoś, kto jeszcze żyje, a ja jestem pamiątką po rodzinie Josephów. Pod każdym innym względem wykluczyła mnie ze swojego życia. Wiesz, dlaczego?

Dana czekała. Ponieważ Emma milczała, oświadczyła:

- Nie bardzo.

Ellie Jo oznajmiła jedynie, że Emma to drażliwa staruszka, gotowa ranić każdego, komu zazdrości.

- Ośmieliłam się opowiedzieć o jej Earlu coś, co się jej nie spodobało — ciągnęła Emma. - Ten człowiek wcale nie był taki, jak wszyscy uważali. Nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział.

Dana wstrzymała oddech, po czym zapytała:

- Pod jakim względem nie był taki, jak myśleli ludzie?

- Był bigamistą.

- Co takiego?

- Bigamistą... Och, nie powinnam tego mówić. Ellie Jo oświadczyła, że jestem zazdrosna, bo wyszła za dobrego mężczyznę, a ja w ogóle nie mam męża. Powiedziała, że jestem brzydkim człowiekiem — właśnie tak, brzydkim człowiekiem - i trzasnęła słuchawką.

- Bigamistą - powtórzyła Dana. Wydawało się to wręcz idiotyczne, zważywszy na jej wspomnienia o dziadku. Był niezwykle oddany żonie, córce i wnuczce, świata poza nimi nie widział, mimo że ze względu na pracę często przebywał poza domem.

Po drugiej stronie przewodu rozległ się cichy jęk.

- Nie powinnam tego mówić. Teraz się jeszcze bardziej wścieknę.

Dana wyczuła, że tracą kontakt. Zapytała szybko:

- Czy Earl miał afroamerykańskie korzenie?
- Co?
- Czy miał czarnoskórą rodzinę?
- Powiedziałam, że był bigamistą - odparła Emma po chwili milczenia.

- A twój ojciec? I stryj? - Stryj Gemmy był ojcem Ellie Jo.
- Czy w jego żyłach płynęła murzyńska krew?

- Jaka krew? - wykrzyknęła starsza pani. — Co ty wygadujesz, Dana? - Nagle jej głos odpłynął. - Halo? Tu jestem. - Znów było ją słychać. - Przyszła moja pani szofer. Zabiera mnie do miasta na poranną herbatkę. Powtórzysz Ellie Jo, że ją kocham i żałuję, że ją wkurzyłam, i że jest moją jedyną rodziną?

- Powtórzę - obiecała Dana, ale wątpiła, czy Emma cokolwiek usłyszała, zanim odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, wpatrzona w córkę. Pomyślała, że lepiej by jej poszło, gdyby spotkała się z Emmą osobiście, była jednak świadoma, że Ellie Jo dostałaby zawału, gdyby się o tym dowiedziała. Poza tym Dana dysponowała zdjęciami pradziadków i prapradziadków. Bez wątpienia wyglądali na białych. Gdyby choć jeden z nich przypominał czarnoskórego, Emma bez trudu zorientowałaby się, o czym mówi Dana.

Nie, Dana uważała, że Lizzie nie odziedziczyła ciemnej skóry po rodzinie babci Ellie. Z Earlem sprawa nie była pewna. Ale bigamistą?

Nagle dostrzegła, która jest godzina. Odpięła Lizzie, otoczyła ramionami mały, ciepły tobołek, podeszła do okna i wystawiła córkę na słońce.

- Och, mamó — mruknęła. - Czy to nie najśłodsze maleństwo, jakie kiedykolwiek widziałeś? Czy też się tak czułaś, kiedy mnie urodziłaś, czy w Lizzie jest coś wyjątkowego?

Właśnie rozmyślała nad tym, że jej dziecko jest niezwykle z bardzo wielu względów, kiedy zadzwonił telefon. Wróciła na sofę i podniosła słuchawkę bezprzewodowego, po czym zamarała. 518. Natychmiast rozpoznała ten kierunkowy. Tak naprawdę rozpoznała cały numer. Dzwonił ojciec Jack.

Celowo odsunęła kciuk od przycisku i z bijącym sercem czekała, aż sygnał zamilknie. Ojciec Jack nie zostawił wiadomości.

Tchórz, pomyślała.

Cisnęła słuchawkę i zaniósła dziecko na górę. Parę minut później rozebrała małą i włożyła ją do wyłożonej ręczniczkami umywalki. Było jej znacznie wygodniej myć dziecko w ten sposób niż w szaleni luksusowej waniencie, którą kupili.

Popryskła ciepłą wodą na skórę córki.

- Ooo - zagruchała. - Czy to nie cudowne?

Lizzie nie wydawała się przekonana. Jej drobne ciało było napięte, w ciemnych oczach pojawił się niepokój.

Podczas kąpieli dziecka Dana nie przestawała mówić i najprawdopodobniej właśnie dlatego nie usłyszała warkotu silnika na podjeździe. Kiedy Hugh nagle stanął w drzwiach łazienki, drgnęła.

- Przestraszyłeś mnie. Nie spodziewałam się ciebie w domu. Nie powinienesz być na spotkaniu?

- Byłem. — Z zadowoloną miną dołączył do niej, kiedy mydliła włosy dziecka. Lizzie wykrzywiła usta. — Co się dzieje? — zapytał.

- Chyba nie lubi być goła - odparła Dana.

- No i dobrze. Myślisz, że tak jej zostanie do pełnoletności?

- Raczej nie. - Cieszył ją dobry humor męża. - Jak poszło?

- Powiedziałem, co miałem do powiedzenia.

- I to cokolwiek dało?

- Dało. Do poniedziałku ma czas na przemyślenia. Jesteście umówione na dziewiątą, tak? - Kiedy Dana skinęła głową, dodał: - Mógłbym pójść z wami?

- Jasne, że tak. - Każdy przejaw zaangażowania świadczył o jego uczuciu do Lizzie. — Nie znasz doktor Woods.

Hugh dokładnie sprawdzał pediatrów, porównywał ich CV, rekomendacje i opinie pacjentów, ale pilny przypadek sprawił, że siedział w pracy tego dnia, gdy Dana rozmawiała z Laurą Woods. Co prawda lekarka zjawiła się w szpitalu w dniu narodzin Lizzie, ale Hugh akurat nie było.

Dana polewała wodą z kubka włosy córki. Dziecko zaczęło popłakiwać.

- Ciii, skarbie, cichutko. Zaraz będzie po wszystkim. - Pośpiesznie zakończyła mycie. Hugh trzymał rozłożony ręcznik, którym owinął Lizzie, po czym zaniósł ją do pokoju dziecięcego.

W tym momencie Danie nic nie brakowało do pełni szczęścia. Zanim posprzątała łazienkę i przeszła do pokoju córki, Hugh zdążył już ubrać Lizzie. Jej strój, maleńką sukienkę z plisami i białe rajstopki w drobne pastelowe kwiatki, dostali w prezencie.

- Wygląda... przepięknie - westchnęła Dana.

Nie ona jedna tak uważała. W przychodni ludzie już od drzwi wejściowych głośno komplementowali urodę Lizzie. Pielęgniarka zaprowadziła ich do gabinetu, gdzie zmierzyła i zważyła małą. Gdy przyszła Laura, ostrożnie zbadała Lizzie, jednocześnie zadając rutynowe pytania. Już po wszystkim odwróciła się do Dany i Hugh.

- Czy padały pytania co do jej koloru skóry?

- Owszem — przyznał Hugh. — Sugerowano nam rozmaite prawdopodobne wyjaśnienia.

- Niewątpliwie — zauważyła Laura. - Teraz Lizzie jest nieświadoma, że kolor jej skóry nieco różni się od waszego, ale to się zmieni. W pewnym momencie być może zechcecie rozmawiać z rodzicami mieszanych dzieci.

- Połowa takiej mieszanej pary mieszka po sąsiedzku i bardzo nam pomaga.

Lekarka podniosła kartę dziewczynki.

- Po urodzeniu zrobiono Lizzie serię standardowych badań. Wyniki są w normie. Wasza córka nie cierpi na fenyloketonurię, jej metabolizm jest w porządku, nie stwierdzono niedoczynności tarczycy.- Uniosła wzrok i popatrzyła na Dane, a potem na Hugh. - Okazała się jednak nosicielką sierpowatej krwinki czerwonej.

Serce Dany zamarło.

- Co to takiego?

- Niedokrwistość sierpowata to zaburzenie, które polega na tym, że zwykłe okrągłe czerwone krwinki przybierają sierpowaty kształt. Ze względu na ten kształt, przepływ krwi w drobnych

naczyniach krwionośnych może być zahamowany. To powoduje zmniejszenie liczby krwinek i inne problemy.

- Niedokrwistość sierpowata - powtórzył Hugh ciężkim głosem.

- Tak. Większość ludzi, którzy na nią cierpią, ma afrykańskich przodków.

- Lizzie nie może być chora - powiedziała Dana. — Wydaje się zbyt... zbyt zdrowa, by chorowała.

- Ależ ona nie jest chora - zapewniła ją lekarka. — Nosicielstwo nie ma nic wspólnego z chorobą. Powinna po prostu to wiedzieć, kiedy zapragnie mieć własne dzieci. Jeśli ojciec dziecka również będzie nosicielem, dziecko może urodzić się chore.

- Jak to się stało? - zapytała Dana.

- To cecha dziedziczna. Jeden na dwunastu czarnoskórych na to cierpi.

- Średnio to optymistyczne - zauważył Hugh. - Czy i ona może zachorować?

- Nie, ale kiedy rozpoznanie choroby następuje szybko i noworodek dostaje antybiotyk, lepiej sobie radzi. Dlatego właśnie badamy dzieci tuż po urodzeniu.

To wyjaśnienie tylko częściowo uspokoiło Dane.

- A więc odziedziczyła to razem z brązową skórą.

- Na to wygląda. Jedno z was przekazało jej tę wrodzoną cechę.

- Nieświadomie? - Dana przełknęła ślinę.

Lekarka uśmiechnęła się do niej.

- Właśnie to usiłuję wam wytłumaczyć. Nosicielstwo nic wiąże się z chorobą. To po prostu ryzyko dla następnych pokoleń.

- Założmy zatem, że ja jestem nosicielką - ciągnęła Dana.

- Gdyby Hugh miał afrykańskie korzenie, Lizzie mogłaby się rozchorować?

- Tylko gdyby Hugh również był nosicielem.

- Czy biali bywają nosicielami?

- Rzadko. Kiedy napotykamy tę cechę u białych, zwykle uważne spojrzenie na drzewo genealogiczne pozwala odkryć afrykańskiego przodka.

- Jesteśmy Anglosasami - odezwał się Hugh. — Norwegami, z jednej strony, naturalnie wiele lat temu.

Laura zerknęła na Dane.

- Wspominałaś, że podejrzewasz, iż to po tobie Lizzie odziedziczyła afrykańskie geny. Tę cechę również.

- A więc ja jestem nosicielką.

- Tak.

- Nie ma szans, żeby nosicielstwo ominęło jedno pokolenie?

- Nie, skoro ma je twoja córka.

- Czyli także jedno z moich rodziców.

- Tak.

Dana zerknęła na Hugh.

- Myślisz, że mój ojciec zgodzi się na badanie?

- Tak, jeśli rzeczywiście zależy mu na kontakcie - odparł Hugh. Popatrzył na lekarzkę. - Na czym ono polega?

- To zwykłe pobranie krwi, można je wykonać w każdym laboratorium. My też mamy takie na dole. Analiza próbki zajmuje kilka minut.

- Mogę iść tam teraz? - spytała Dana i popatrzyła na Hugh.

- Skoro mam o to prosić ojca, też powinnam to zrobić. - Chciała wiedzieć. To będzie pierwszy konkretny dowód, pierwszy rozstrzygający krok w śledzeniu korzeni. — Hugh może tu zostać z dzieckiem.

Lekarka wypisała skierowanie i Dana poszła do laboratorium analitycznego. Wystarczyło jedynie pokazać skierowanie i ubezpieczenie, od razu została przyjęta.

Laborant szybko i bezboleśnie pobrał krew z żyły w zgięciu łokcia. Problemy zaczęły się, kiedy oświadczył:

- Za kilka dni przekażę wyniki pani lekarzowi.

- O nie - powiedziała Dana szybko. - Potrzebne mi są teraz.

- Dzięki wynikom nie dowiedziałyby się, które z rodziców przekazało jej fełerny gen, ale po życiu w zawieszaniu przez ponad dwa tygodnie pragnęła chociaż jednego niezaprzeczalnego dowodu.

- Doktor Woods mówiła, że badanie nie potrwa długo - jęczała błagalnie. - Nie ma możliwości...?

Laborant skrzywił się wymownie.

- Nie cierpią, kiedy ich ponaglam.

- Doktor Woods mówiła, że to zajmie tylko kilka minut. - Niezupełnie, ale prawie. - Czeka na wyniki. Mogę tutaj posiedzieć i zanieść je na górę?

Mężczyzna wydawał się zrezygnowany. Z fiolką w dłoni odparł:

- Proszę wrócić do gabinetu. Zadzwoń, jak skończą.

Usatysfakcjonowana Dana wróciła windą na piętro. Hugh i Lizzie nadal byli w gabinecie, lekarka mówiła o genetyce. Dana pochyliła głowę nad córką, zamknęła oczy i z lubością wdychała słodki zapach dziecka.

Kiedy zadzwonił telefon, szybko uniosła wzrok. Odebrała Laura. Słuchając, zmarszczyła brwi. Gdy odłożyła słuchawkę, wydała się zdumiona.

- Wynik negatywny.

- Negatywny?

- Najwyraźniej nie jesteś nosicielką. — Zapadła znacząca cisza, którą w końcu przerwała Dana.

- To musi być błąd. Niepotrzebnie ich ponaglałam.

- Nikogo nie ponaglałaś. Spowalnia ich tylko papierkowa robota, nie samo badanie.

- No to źle je odczytali. — Usiłowała znaleźć wytłumaczenie. — Może powinnam iść tam jeszcze raz?

- Mam lepszy pomysł - oznajmiła lekarka i wskazała palcem na Hugh.

To niedorzeczne — jęknęła Dana.

- Wcale nie - zaprotestował Hugh. - Przynajmniej wykluczmy taką ewentualność. Na pewno jedno z nas jest nosicielem? - zwrócił się do Laury.

- Na pewno. - Już wypisywała skierowanie.

Wyszedł z nim i przez dziesięć minut, gdy Laura poszła do innej pacjentki, Dana siedziała sama. Nakarmiła dziecko, właściwie po to, żeby się czymś zająć, a nie dlatego, że Lizzie była głodna. Właśnie czekała, aż małej się odbije, kiedy wrócił Hugh.

Dana uniosła brwi.

- Zadzwoń - powiedział.

- Teraz?

- Tak. Facet cię zapamiętał.

Pogłaskała Lizzie po plecach.

- Niedokrwistość sierpowata.

- Nie. Tylko nosicielstwo, nie choroba. • — Hugh oparł się o blat stołu do badań i skrzyżował nogi w kostkach. — Gen.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak można chodzić po świecie przez trzydzieści cztery lata i nic o tym nie wiedzieć.

Drzwi się otworzyły i Laura wśliznęła się do środka. Patrzyła na Hugh.

- Wynik dodatni.

Wzrok Dany poszybował ku mężowi. Na twarzy Hugh pojawił się pełen niedowierzania uśmiech.

- To niemożliwe. Każdy członek mojej rodziny został dokładnie sprawdzony, i to od pokoleń.

- Mówię ci tylko to, na co wskazuje badanie - oświadczyła Laura. - Wynik Dany jest negatywny, twój pozytywny.

- Musieli je pomylić. - Dana całkowicie zgadzała się z mężem. — Albo błędnie odczytać.

Laura jednak już kręciła głową.

- Poprosiłam w laboratorium, żeby zerknęli ponownie. Wynik Hugh jest bez najmniejszych wątpliwości dodatni.

21

Hugh jednak chciał wątpić, i nie miało to nic wspólnego z hipokryzją. Sama myśl, że to po nim Lizzie odziedziczyła swoje afrykańskie pochodzenie, była niezgodna z tym, co od zawsze mówiono mu o rodzinie. Z tym, co o rodzinie mówili mu rodzice.

Wierzył jednak w naukę.

Wynik badania nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Stawiał w całkowicie nowym świetle kolor skóry Lizzie oraz, jak znienacka uświadomił sobie Hugh, również reakcję Eatona.

W drodze do domu milczał, gromadząc w myślach dowody, które zatrzesły wszystkim, w co dotąd wierzył.

Kiedy Dana i Lizzie wysiadły, pojechał na Old Burgess Way. Popędzany gniewem, bezustannie dodawał gazu, aż w końcu wjechał na podjazd przed domem rodziców. Zahamował i błyskawicznie ruszył ku wielkiemu budynkowi z cegły.

Wcisnął dzwonek. Kiedy nikt nie wyszedł, otworzył drzwi kluczem. Już w domu przeszedł zamaszystym krokiem przez salon ku bibliotece ojca. Eatona tam nie było, ale jego najnowsza książka leżała na samym środku wielkiego dębowego biurka, które ojciec Hugh odziedziczył po pradziadku. Zapewne rzekomy.

„Prosto z drukarni”, brzmiał odręczny wpis wydawcy Eatona. „Życzę wielu znakomitych recenzji”.

Kipiąc złością, Hugh wrócił przez hol do kuchni. Również i tam nikogo nie zastał, ale zobaczył otwarte drzwi do ogrodu. Bez wahania skierował kroki w tamtym kierunku i energicznie przeszedł na drugą stronę basenu. Jego rodzice siedzieli ze znajo-

mym małżeństwem przy stole z kutego żelaza, pod wielkim parasolem. Talerze wskazywały na to, że lunch ma się ku końcowi.

Dorothy pierwsza dostrzegła syna. Tak się ucieszyła, że inni również się obejrżeli.

Hugh patrzył prosto na ojca.

- Możemy porozmawiać?

- Hugh — odezwał się Eaton miło zaskoczonym tonem, zupełnie jakby wcześniej nic ich nie poróżniło. - Na pewno pamiętasz Harry'ego i Ellen Stone'ów. Harry został emerytowanym przewodniczącym szpitala. Właśnie to świętujemy.

Hugh wyciągnął rękę do gościa.

- Gratuluję. - Skinął głową Ellen, po czym popatrzył na ojca i powtórzył: — Możemy porozmawiać?

- Masz ochotę na kanapkę, Hugh? - zapytała Dorothy radośnie.

- Nie, chciałem tylko na moment wypożyczyć tatę. — Hugh znowu spojrział na ojca. Eaton musiał dostrzec furię w jego oczach, bo wstał i wziął syna za ramię.

- Zaraz wracam - oznajmił gościom i obszedł basen. Już w domu puścił ramię Hugh i poszedł za nim do kuchni. - To było raczej nieuprzejme - zauważył. - Mam nadzieję, że twoja sprawa okaże się ważna.

Hugh nie miał co do tego wątpliwości, chociaż było mu wszystko jedno, co dla Eatona jest ważne. Zawsze go szanował. Mimo sprzeczek uważał, że ojciec jest uczciwy. Teraz już w to nie wierzył.

Starając się nie podnosić głosu, powiedział:

- Dziś, kiedy Dana i ja zawieźliśmy Lizzie do pediatry, zdarzyła się interesująca rzecz. Po analizie wyników badań Lizzie okazało się, że moje dziecko jest nosicielem niedokrwistości sierpowatej. Wiesz, co to takiego?

- Tak. — Eaton patrzył na niego nieufnie.

- Odziedziczyła ów gen po jednym z rodziców - ciągnął Hugh opanowanym głosem. - Naturalnie założyliśmy, że po Danie, bo od początku byliśmy przekonani, że to ona ma afrykańskie korze-

nie, skoro moja rodzina jest biała jak śnieg. O dziwo, tato, badanie Dany dało negatywny wynik. No to pomyślałem, a co mi tam, sam się zbadam, wynik będzie negatywny, więc raz jeszcze pobiorą krew Danie. Tyle że mój test wyszedł dodatni.

Z twarzy Eatona odpłynęła cała krew. Nic nie mówił, tylko patrzył na syna, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Hugh.

- Zacząłem myśleć o tym, z jaką pasją zaatakowałeś moją żonę w dniu narodzin Lizzie. Od razu oskarżyłeś ją o romans. Zastanawiałem się też nad tym, że nie chciałeś widzieć mojego dziecka. - Ta myśl nadal sprawiała mu ból. - I to już nawet po tym, jak Dana zrobiła badanie DNA, żeby udowodnić mi, że jestem ojcem Lizzie. Dziwiło mnie, dlaczego nie chcesz odwiedzić niewinnego malucha o brązowej skórze. Ty, zawsze tak szanujący kolorowych.

Eaton uparcie milczał. Hugh oparł drżącą dłoń na ładzie.

- Kiedy tu jechałem, przypomniałem sobie naszą ostatnią rozmowę przez telefon. Skupiłeś się na swojej książce, powtarzałeś, że to kiepski moment, całkiem jakbyśmy oboje, ja i Dana, celowo cię sabotowali. Potem pomyślałem o samej książce. To nic innego, jak świadectwo czystości naszej rodziny. I przyszło mi do głowy, że gdybyś napisał książkę uczciwie, wyszłoby na jaw, że twoje życie to oszustwo.

- Nic o tym nie wiem.

- A wspaniały biały liberał, na jakiego pozujesz w swoich książkach? Czy on naprawdę istnieje? - grzmiał Hugh. - Czy przez te wszystkie lata starałeś się przypodobać mniejszościom ze względu na poczucie winy, że uchodzisz za białego?

- Nie pisałem niczego z taką intencją - oświadczył jego ojciec.

- Czy naprawdę nie masz żadnych uprzedzeń, czy to wszystko tylko na pokaz?

- A co za różnica? — warknął Eaton. — Czyżby cel nie uświęcał środków?

- Nie. Liczy się motyw. To, co jest tutaj. - Hugh dotknął swojej piersi, tak jak niedawno Dana.

- Nie zawsze — sprzeciwił się Eaton.

- Nawet jeśli przez to jesteś oszustem?

Eaton mrugnął, słysząc to słowo. Wola walki nagle go opuściła, teraz wydawał się całkiem bezbronny.

- Ta niedokrwistość to pierwszy konkretny dowód, o którym słyszę.

- Pierwszy konkretny dowód? A niekonkretne dowody?

- Nie było ich. W ogóle.

- Ale wiedziałeś, że istnieje możliwość, że nasza rodzina niekoniecznie jest taka, za jaką uchodzi?

Eaton wpatrywał się w niego. Po długiej chwili pokiwał głową i odwrócił wzrok.

- Kiedy? - dopytywał się Hugh. - Jak dawno temu?

- Nie tak dawno.

- Mówimy o rekonstrukcji wydarzeń?

- Nie. Nie minęło nawet siedemdziesiąt pięć lat. - Znowu popatrzył na Hugh. — W dzieciństwie słyszałem pogłoski. Potem też, przed narodzinami was obu. Spędzaliśmy wakacje na Vineyard.

- Zamarł i mocno zacisnął wargi.

- Mów dalej - zażądał Hugh.

- Hugh, ja nawet nie wiem, co wiem. - Jego ojciec uniósł wzrok.

- Zacznij od plotek. - Nigdy jeszcze nie naciskał tak na ojca. Miał do niego zbyt wiele szacunku. Wszystko się jednak zmieniło.

Eaton oparł się o zlew i spojrzał przez okno w stronę basenu, na stół z kutego żelaza, przy którym siedziała jego żona z gośćmi. Przez chwilę milczał, potem westchnął.

- Plotkowano, że moja matka miała romans z kimś na wyspie.

- Z kimś o murzyńskim pochodzeniu?

- Tak. Był prawnikiem w Waszyngtonie, ale spędzał lato w Oak Cliffs. Matka widywała się z nim na mieście.

- Widywała?

Eaton wbił w niego spojrzenie. Hugh uświadomił sobie, że ojciec ma równie ciemne oczy jak on sam, jak Lizzie.

- Nie mam stuprocentowej pewności, że romansowali ze sobą.

- Tato - prychnął Hugh. - Jestem nosicielem niedokrwistości sierpowatej. Myślisz, że po mamie?

Eaton nie odpowiedział.

- Czy ona cokolwiek wie?

- Nie.

Hugh przycisnął pulsującą żyłę na czole.

- Czy twój ojciec wiedział, że jego żona miała romans?

- Nie wiem, co wiedział.

- Czy cokolwiek ci mówił?

- Nie.

- Co jeszcze wiesz o tym facecie? Znasz jego nazwisko?

- Tak.

- Żyje?

- Nie.

- Ma rodzinę?

- Siostrę. Pochodził z mieszanej rodziny, jedno z rodziców było białe, drugie czarne. Sam miał jasnobrązową skórę.

Hugh postanowił skupić się na genetyce.

- Czyli jego dziecko z białą kobietą mogło mieć jasną skórę?

Eaton wyraźnie się zawahał.

- Może tak, a może nie. Kiedy się urodziłem, plotki ucichły. Potem znowu się pojawiły, kiedy przyjechałem na Vineyard z ciężarną żoną. Ci sami plotkarze zaczęli spekulować, że być może moje dziecko będzie przypominało dziadka. Po twoich narodzinach znów nastał spokój. To samo przerabialiśmy z Robertem.

- Z Robertem - powtórzył Hugh. Coś go zastanowiło. - Skończyliście na Robercie, czyli zadowoliła was dwójka dzieci. Większość Clarke'ów ma troje albo czworo. Nie chciałeś ryzykować?

- Nie. Druga ciąża była zagrożona. Matce poradzono, żeby nie rodziła więcej dzieci.

Hugh przyjął to wyjaśnienie do wiadomości.

- Robert był dla mnie dowodem - powiedział Eaton. - Kiedy i jego dzieci urodziły się białe, uznałem, że wszystko, co mówiono na Vineyard, to najzwyczajniejsze oszczerstwa.

Hugh nie chciał słuchać wymówek.

- Ale na widok Lizzie od razu domyśliłeś się prawdy.

- Nie. Nieprawda. Minęło zbyt wiele czasu. Poza tym były inne możliwości - powiedział, myśląc o rodzinie Dany.

- Ale tę również należało wziąć pod uwagę - upierał się Hugh.
- A ty nie pisałeś ani słowa. Zamiast tego oskarżyłeś moją żonę o romans. Jak mogłeś?!

- Nie można było tego wykluczyć.

Hugh był wściekły.

- Dana miała mnie zdradzać tak, jak twoja matka swojego męża? Pytałeś ją kiedyś o to?

- Nie mogłem - odparł Eaton i ruszył do holu.

Hugh podniósł głos.

- Bo nie wypadało nawet zasugerować, że była niewierna? Nie pomyślałeś o tym, gdy oskarżyłeś Danę? Może i nie ma takiego dobrego pochodzenia jak my... — Nagle urwał i parsknął śmiechem.

- Ha, ha. Przecież my wcale nie jesteśmy arystokratami, prawda?

Eaton położył dłoń na gałce drzwi.

- Co ja mam, do cholery, zrobić?! Książka wychodzi we wtorek za tydzień.

- Książka? — powtórzył Hugh. - A co z moją żoną?

Eaton najwyraźniej nie słyszał lub nie chciał słyszeć.

- Mamy zaplanowaną całą promocję. Zarezerwowane terminy wywiadów prasowych i występów w telewizji. - Popatrzył z udręką na syna. - Przedstawiłem w tej książce swoje życie jako fakt. Jeśli to kłamstwo, jestem skończony jako pisarz. Możesz sobie wyobrazić skandal, który wybuchnie, jeśli wszystko wyjdzie na jaw? Brukowce będą miały używanie. - Zmrużył oczy. - Go tam brukowce. „Times” będzie miał używanie. A... A moi studenci? Jak im to wyjaśnię? Co powiem rektorowi?

Hugh ani odrobinę mu nie współczuł.

- Co oboje z mamą zawsze powtarzaliście? Nie kłam, bo kłamstwo wróci do ciebie rykoszetem?

- Nie kłamałem świadomie.

- Ale jesteś badaczem. Dobrze wiesz, jak grzebać w przeszłości i dokopywać się do faktów. Zrobiłeś to dla Woodrowa Wilsona. Zrobiłeś to dla Grovera Clevelanda. Dlaczego nie mogłeś tego zrobić dla Eatona Clarke'a?

Jego ojciec się wyprostował.

— Z tego samego powodu, dla którego ty założyłeś, że to twoja żona odpowiada za kolor skóry waszej córki. Wychowano mnie w pewnych przekonaniach. Wygodniej mi było się ich trzymać, niż dopuścić inne możliwości.

— Wygodniej - powtórzył Hugh.

— Owszem, wygodniej. Czy nie wszyscy wolimy myśleć o sobie jako o arystokracji?

— Nie jesteśmy arystokracją. A ty to wiedziałeś. - Uniósł rękę, widząc, że ojciec zamierza oponować. — Gdzieś tam w głębi duszy wiedziałeś. Co cię opętało, żeby napisać *Rodowód pewnego człowieka*?

-Jestem historykiem. *Rodowód pewnego człowieka* to dzieło historyczne. Clarke'owie zawsze odgrywali istotną rolę w moich książkach.

— Epizodyczną. Dotąd nigdy głównej. Coś ty sobie myślał?

— Myślałem, że to wypali - warknął Eaton. -Jesteśmy liderami biznesu, politykami, dyplomatami. Pojawialiśmy się na każdym zakręcie historii tego kraju dzięki dobrej, uczciwej, ciężkiej pracy. Jestem dumny ze swojej rodziny. - Urwał i położył dłoń na piersi. - Co ja powiem agentowi? Wydawcy?

— Co powiesz mamie? — dodał Hugh, świadom, że najgorsze dopiero ich czeka w domu. — Co ja powiem mojej żonie? Nie zapomni, jak źle potraktowała ją nasza rodzina, ty i stryj Brad. Przy okazji, czy on wie? - Nagle uderzyła go pewna myśl. - Kto jest jego ojcem?

— Człowiek, o którym myślałem, że jest moim.

Dana zajmowała się Lizzie, usiłując o niczym nie myśleć. Kiedy odłożyła dziecko, skoncentrowała się na farerskim szalu. Zależało jej, żeby był gotowy na jesienne wyprzedaje.

Na nim właśnie skupiła całą uwagę. Gdy zdołała ukończyć koronkowy szlaczek, musiała jeszcze policzyć oczka i dopasować wzór. Wykończenie każdego rzędu zajmowało dziesięć minut.

Nie mogła przejmować się telefonem z Albany, nie mogła martwić się Hugh, Eatonem ani Ellie Jo. Musiała się skoncentrować na pracy. To jej pomagało. Kiedy Lizzie znowu przebudziła się i zażądała mleka, Dana była już całkiem zrelaksowana.

W trakcie karmienia w drzwiach pojawiła się Ali. Miała ze sobą obie lalki — Śmietankę w czerwonym szaliku niedbale owiniętym wokół szyi i Czekoladkę opatuloną zielonym szalikiem tak szczelnie, że niemal nie było widać twarzy. Kiedy Dana opuściła szal, Ali natychmiast go poprawiła.

— Nie chcesz odsłonić jej nosa, żeby mogła oddychać? — zapytała Dana.

- Nie musi oddychać. Lubi być zakryta.

— Dlaczego?

- Bo może widzieć, co się dzieje, a jej nikt nie widzi - wyjaśniła Ali. Przytuliła obie lalki i uniosła wzrok: — Jedziemy do sklepu?

Wobec tego pojechały. Przez całą drogę Ali paplała o wszystkim, co tylko przykuło jej wzrok, i chociaż Dana bardzo pragnęła porozmawiać z nią o nowej szkole, nie miała pojęcia, od czego za-

cząć. Ali wyskoczyła z auta w chwili, gdy się zatrzymało, i wbiegła do sklepu.

Dana ruszyła za nią z Lizzie w ramionach. W sklepie porozmawiała z Tarą o zamówieniu, na które ekspedientka wystawiła błędny rachunek, z Olivia o chętnych na jesienne kursy i wypytała Saundrę o samopoczucie Ellie Jo. Usłyszawszy, że starsza pani wciąż jest przygnębiona, zostawiła Lizzie i Ali pod czujną opieką Saundry i poszła do domu Ellie Jo.

Nie zastała jej w kuchni.

- Babciu? - zawołała i obeszła pozostałe pomieszczenia na parterze. - Babciu?! — krzyknęła, wspinając się po schodach.

Ellie Jo nie było również w sypialni ani w łazience, ale Dana usłyszała Veronicę.

Przerażona, że czeka ją powtórka sprzed dwóch tygodni, pobiegła przez korytarz do sypialni swojej matki. Nie zastała tam Ellie Jo, jednak drzwi do garderoby były otwarte, a drabina opuszczona jak wcześniej. Veronica miauknęła ze strychu.

- Babciu? - zawołała ponownie Dana i w pośpiechu wspięła się po drabinie.

Nie od razu zobaczyła Ellie Jo. Dopiero kiedy Veronica znowu miauknęła, Dana dostrzegła je obie. Starsza pani i kotka siedziały obok siebie w zacienionym kącie pod okapem. Ellie Jo miała wyciągniętą przed siebie nogę w gipsie. Fragment różowej izolacji leżał tuż przy jej biodrze, na podłodze walały się jakieś papiery.

- Co ty tu robisz, babciu?! - wykrzyknęła Dana. Ten upał nie mógł być obojętny dla zdrowia staruszki. Rzuciła się ku niej. - Co to jest?

Kiedy Ellie Jo nie odpowiedziała, Dana zaczęła zbierać papiery. Było tam kilka dokumentów, wycinek z gazety i odręcznie napisana notka.

Dana zerknęła pytająco na Ellie Jo, a potem na wycinek. Ukazał się dzień po śmierci Earla i opisywał nietypowy wypadek w motelowym pokoju, upadek i odkrycie ciała po dwunastu godzinach. Resztę sobie darowała, jednak trzy słowa z ostatniego wersu rzuciły się jej w oczy: „żona w separacji”.

- Co to ma być? - Znowu popatrzyła na Ellie Jo.

W oczach starszej pani widać było ból, coś dziwnego stało się z jej ustami. Były lekko wykrzywione, jednak się nie poruszały.

- Babciu?

Dłonie również pozostały nieruchome.

- Babciu - jęknęła Dana. Nie myśląc o niczym innym, przykłękała i dotknęła twarzy babci. Była ciepła, puls na szyi też dawał się wyczuć. Ellie Jo nie mogła jednak mówić.

Przerażona Dana zaczęła szukać telefonu w kieszeni i uświadomiła sobie, że został w torebce w sklepie.

- Czekaj, babciu - powiedziała niemal bez tchu. - Muszę sprowadzić pomoc.

Zeszła szybko po drabinie, chwyciła bezprzewodowy telefon z sypialni i ponownie wspięła się na strych. Najpierw zadzwoniła do sklepu, potem do Hugh.

Na dźwięk jego głosu wszystko powróciło - bliskość, która ich niegdyś łączyła, stabilizacja, jaką jej zapewniał. To był nagły wypadek. Potrzebowała go.

- Tak? - powiedział dziwnie spokojnym głosem.

Dana robiła wszystko, żeby nie panikować.

- Gdzie jesteś?

- Na autostradzie.

- Jak daleko od sklepu?

- Kwadrans. — Chyba wyczuł jej panikę, bo w jego głosie pojawił się niepokój. — Co się stało?

- Chodzi o Ellie Jo - odparła. Przykucnęła przy babci, podniosła jej bezwładną rękę i przycisnęła do swojej szyi. - Wzywają karetkę, ale mogę potrzebować twojej pomocy przy Lizzie.

- Znowu stopa?

- Nie.

- Serce?

- Raczej nie.

- Wylew?

- Może - odparła. - Przyjedziesz tutaj?

Hugh przyjechał pod dom Ellie Jo w chwili, gdy wnoszono ją do karetki. Dana podbiegła do auta męża.

- To pewnie wylew, ale nic jeszcze nie wiadomo! - krzyknęła. Wydawała się przerażona. - Muszę przy niej być, Hugh. Lizzie została w sklepie, nie mam pojęcia, ile to potrwa. Nie mogę jej ze sobą zabrać. W domu mamy małe butelki z gotowym sztucznym mlekiem. Musisz je tylko otworzyć i naciągnąć na nie smoczek.

- Nie ma problemu - odparł. Co prawda jeszcze nie karmił dziecka, dotąd zajmowała się tym Dana, ale sporo czytał na ten temat.

- Przepraszam? — zawołał sanitariusz.

Dana zrobiła krok w jego kierunku.

- Wszystko, czego potrzebujesz, jest w szafce po prawej stronie lodówki - powiedziała do męża.

Jak długo podgrzewać mleko?

- Kapnij na rękę, musi być ciepłe! - odkrzyknęła, wspinając się do karetki.

- Dasz mi znać, co się dzieje?

Skinęła głową. Gdy drzwi karetki się zamykały, Tara oderwała się od grupy kobiet, które z niepokojem patrzyły na ambulans, i podeszła do Hugh.

- Bogu dzięki, że jesteś - westchnęła. - Nie wygląda to dobrze. Jeśli chcesz, wezmę dziecko, a ty pojedziesz do szpitala.

Hugh ufał Tarze, jednak chciał się zająć Lizzie.

- Na razie nie trzeba - powiedział. - Będziemy potrzebowali laktatora.

- Przywiozę. Podjadę do szpitala, pokażę Danie, jak go używać, i przywiozę ci mleko.

- Wielkie dzięki - odrzekł i spostrzegł, że Lizzie śpi na ramieniu kobiety, która z lękiem spoglądała na karetkę. Widział ją już przed sklepem i został jej przedstawiony przed niespełna dwoma tygodniami. - Czy to... Saundra?

- Saundra Belisle - przypomniała mu Tara. - Jest cudowna.

Spotkali się tuż przed sklepem. Saundra była niemal równie wysoka jak Hugh i ubrana w stylowe białe spodnie i bluzkę koloru

czekolady. Miała krótkie siwe włosy, jasnobrązową skórę i pełne cierpienia oczy.

- Co mówili sanitariusze?

- Nie słyszałem.

Wydawała się bardzo przygnębiona.

- Ostatnio nie była sobą. Teraz, kiedy cofam się myślami w przeszłość, zastanawiam się, czy ten jej pierwszy upadek nie był spowodowany miniwylewem, przejściowym napadem niedokrwiennym. Być może miała ich kilka, ale zaparła się i nie poszła do lekarza. Powinnyśmy były nalegać. — Zdumiewająco delikatnymi dłońmi zdjęła dziecko z ramienia i przez chwilę je kołysała, zanim trafiło w ręce Hugh. Lizzie przez cały czas słodko spała.

- Szczęściarz z ciebie - westchnęła Sandra.

Patrząc na córkę, Hugh poczuł przypływ emocji, silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Lizzie była jego dzieckiem.

- Dziękuję, że się nią zaopiekowałaś.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Coś w głosie Saundry sprawiło, że Hugh spojrział na nią uważniej. Widział radość z opieki nad dzieckiem i czerpał z niej pociechę.

- Chętnie się na coś przydam - powiedziała. - Mieszkam pięć minut stąd, Tara ma mój numer. Zadzwoń, proszę.

- Dziękuję — odparł Hugh i patrzył, jak wraca do sklepu. Wtedy właśnie dostrzegł Ali Johnson. Siedziała na dużym krześle przy długim stole, ścisła swoje lalki i patrzyła na niego oczami pełnymi bólu.

- Ali. - Podszedł do niej. - Skąd się tu wzięłaś?

- Przyjechałam z Daną — odparła przestraszonym głosem.

- Co się stało babci Ellie?

- Nie jestem pewien. - Przyklęknął.

- Czy ona umrze?

- Mam nadzieję, że nie. Potrzebuję twojej pomocy, Ali. Pojechały do szpitala, zostałem sam z Lizzie i tak naprawdę nie bardzo wiem, co robić. Ogromnie byś mi pomogła, gdybyś usiadła z tyłu i pilnowała Lizzie, kiedy będę prowadził. Możesz to zrobić?

Pokiwała głową.

Hugh uśmiechnął się do niej.

- Dobra z ciebie dziewczynka. - Wstał. — Masz jakąś torbę na swoje rzeczy?

Nie minęło wiele czasu, nim dojechali do domu. Na sąsiednim podjeździe David właśnie wysiadał z auta.

Ali momentalnie wyskoczyła z samochodu i podbiegła do ojca.

- Tato, tato, coś okropnego stało się babci Ellie! Musieli wynieść ją z domu na noszach! Czy nie tak robią z umarłymi?

- Spokojnie, żyje! — zawołał Hugh i wyjął Lizzie z fotelika. Kiedy się wyprostował, zobaczył, że David stoi obok niego.

- Co się stało?

- Chyba miała wylew. Ali wystraszyła się karetki. Jest w domu?

- Tak.

- Powiedzieć ci coś zdumiewającego? - spytał Hugh i nie czekając na odpowiedź, wyrzucił to z siebie: - Mój dziadek był Mulatem.

David gapił się na niego.

- Tak, ja też się tak poczułem - oświadczył Hugh. - Dopiero się dowiedziałem. Po raz pierwszy wypowiedziałem to na głos.

David zmarszczył brwi.

- Powtórz.

- Mój dziadek był Mulatem.

- Który dziadek? - zapytał David, jakby to był jakiś dowcip. „Ten potentat biznesu czy ambasador w Islandii?” Hugh niemal usłyszał jego myśli.

- Prawnik, w którym pewnego lata na Vineyard zadurzyła się matka mojego ojca.

Dopiero po dłuższej chwili David uświadomił sobie, że Hugh mówi poważnie. Nagle się wściekł.

- Ty sukinsynu.

- Nie ja, masz na myśli mojego ojca - zażartował Hugh nieudolnie.

- Po tym wszystkim, na co naraziłeś Dane? Jesteście kłamcami. A więc cała wasza gromada tylko udaje białych? Przez całe życie ciągniecie z tego korzyści. Paradujecie sobie, świętsi od papieża, a tak naprawdę ukrywacie fakt, że płynie w was mieszana krew.

Tym razem Hugh nie protestował. Wiedział, że mu się należy i że musi pozwolić Davidowi wylać z siebie żal, jeśli w ogóle jeszcze kiedykolwiek mają być przyjaciółmi.

- Jak to dopiero się dowiedziałeś? - spytał w końcu David.

Hugh opowiedział mu o badaniach na gen niedokrwistości sierpowatej i swojej późniejszej konfrontacji z Eatonem.

- Czy on naprawdę nic nie wiedział? - dopytywał się David.
- Wierzysz w to?

Hugh przez chwilę się zastanawiał.

- Owszem, wierzę. Widziałem jego minę. Mogę mieć do niego pretensje, że wcześniej nie zweryfikował pogłosek, ale nie udawał zdumienia. - Nie opowiadał o przerażeniu Eatona na myśl o książce. Nie stawiałoby to ojca w zbyt korzystnym świetle.

David jeszcze przez chwilę wpatrywał się w twarz rozmówcy, jakby czekał, że Hugh wybuchnie śmiechem i wszystkiemu zaprzeczy. Nie było jednak czemu zaprzeczać. To się działo naprawdę.

W oczach Davida nie było już gniewu. Pogłaskał się po łycej czaszce.

- W zasadzie to nawet zabawne, wiesz? Twój tata musiał być w niezłym szoku. A skoro o szoku mowa, powiedziałem Susan o lalkach Ali. Najpierw się wściekła, ale jak tylko się uspokoiła, odzyskała równowagę. Twierdzi, że wszystko sobie wymyślam, że usiłuję popsuć jej humor i że rozpuściłem Ali, dlatego nie ma ochoty wracać. — Zerknął na Lizzie. - Chcesz zostawić mi dziecko i jechać do szpitala?

- Poczekam na telefon Dany. - Wpatrywał się w Davida. - Ale dzięki. Doceniam propozycję.

- Co do tamtego... - David mówił teraz znacznie ciszej. - To jeszcze nie koniec świata.

- Nie, ale z pewnością zmienia mój sposób patrzenia na świat.

- Może i dobrze.

- Może. Do tego jeszcze nie doszedłem. Wiem to dopiero od dwóch godzin.

- Cieszę się, że mi powiedziałaś.

- Ja też.

David znów popatrzył na Lizzie.

- Wiesz, co robić, kiedy zacznie płakać?

- Jeszcze jej nie karmiłem, ale dam sobie radę. Jak porządnie zgłodnieje, będzie jadła, prawda?

Prawda w teorii. W praktyce wyglądało to trochę gorzej. Nie mógł znaleźć podgrzewacza do butelek, a kiedy Lizzie zaczęła płakać, musiał się uciec do planu B, który obejmował podgrzanie butelki z mlekiem w rondlu z wodą na kuchence. Niestety, w książkach nie pisano o przegrzaniu mleka. Na chwilę wstawił butelkę do lodówki, a kiedy wrzaski małej przybrały na sile, do zamrażalnika. W końcu wyjął drugą butelkę, podgrzewał ją krótko i naciągnął na nią smoczek.

Najwyraźniej nie przypadł on do gustu Lizzie. Przez cały czas szukała piersi i coraz bardziej denerwowało ją, że nie może jej znaleźć. W końcu spróbowała pociągnąć z butelki, błyskawicznie się zakrztusiła i znów zaczęła wrzeszczeć.

Hugh popatrzył na rozdarte opakowanie, gdzie przeczytał, że użył smoczka o większym otworze, dla starszych dzieci. Wyszukał w szafce smoczki dla młodszych niemowląt, wyjął jeden z nich i znów naciągnął go na butelkę. Kiedy Lizzie nie przestawała z nim walczyć, odetchnął głęboko i zaczął przemawiać do niej kojącym tonem. Pomogło.

Wtedy zadzwonił telefon. Z braku trzeciej ręki Hugh próbował trzymać i karmić Lizzie jedną, żeby drugą podnieść słuchawkę, ale dziewczynka znów zaczęła płakać. Ułożył ją więc bezpiecznie pomiędzy poduszkami na sofie i przytrzymał butelkę, ale kiedy wyciągnął rękę, nie mógł dosięgnąć słuchawki. Nagle uświadomił sobie, że za moment włączy się sekretarka, więc wyciągnął butelkę z ust dziecka i złapał słuchawkę. Na szczęście zdążył. Dzwoniła Dana.

- Cześć - powiedział. - Poczekaj sekundę. - Podniósł Lizzie, włożył jej smoczek do ust, po czym wsunął telefon między bark a ucho. — Co z nią?

- Stan jest stabilny. Dlaczego Lizzie płakała?

- Wyrwałem jej butelkę z ust, żeby odebrać telefon. Co to oznacza?

- Oddycha samodzielnie, z sercem też wszystko w porządku. Jest problem z prawą stroną jej ciała. Robią badania, żeby znaleźć przyczynę.

- Co mogę zrobić?

- Zostań z Lizzie. Tara jedzie do mnie z laktatorem. Później przywiezie ci moje mleko.

- Lizzie chyba polubiła sztuczne.

- Ale ja pęknię, poza tym i tak powinnam się nauczyć ściągać mleko. Babcia nieprędko wróci do domu, jeśli w ogóle.

- Wróci, Dee. Nawet nie dopuszczaj do siebie myśli, że mogłoby być inaczej.

Drżącym głosem powiedziała:

-Jeśli znajdą przyczynę, i tak będzie to oznaczało operację albo leki. Nie wiedzą, czy kiedykolwiek odzyska pełną sprawność.

-Jeśli nie wiedzą, to znaczy, że być może odzyska.

- Ale już nigdy nie będzie taka jak dawniej, Hugh.

Te słowa go poruszyły.

- Zaczynam się zastanawiać, czy życie nie polega właśnie na tym - to chronologiczny łańcuch stworzony z ogniw zmiany. Każde nowe sprawia, że całość skręca w nieco innym kierunku.

- Ale ja chcę wrócić do tego, co było.

- Łańcuchy nie są tak elastyczne, żeby zgiąć się o sto osiemdziesiąt stopni.

- To moja babcia, jedyna łączność z przeszłością. Była dla mnie jak matka. To wyjątkowa rola.

- Tak - przytaknął i nagle pomyślał o Eatonie. Był bardzo związany ze swoją matką. Hugh pamiętał, że kiedy umarła, jego ojciec miesiącami nie mógł tego przeboleć.

- Muszę kończyć. Zadzwoń, kiedy będę coś wiedziała.

- Zadzwoń. - Umilkł na chwilę. - Kocham cię.
- Potem porozmawiamy — odparła cicho i przerwała połączenie.

Hugh skończył karmić Lizzie, ale kiedy jej się w końcu odbiło, myślał już tylko o słowach Dany. Matka rzeczywiście odgrywała wyjątkową rolę w życiu małego człowieka. Była przy nim, gdy zabrakło wszystkich innych, jakby związana niepisaną umową z dzieckiem wychowanym od narodzin.

Hugh miał matkę. Jeśli czuła się związana z nim taką niepisaną umową, musiał się o tym przekonać. Podniósł słuchawkę.

23

Hugh uświadomił sobie, że odkad wyjechał z Old Burgess Way, minęły dwie godziny. Na pewno było już po lunchu i Stone'owie zdążyli wyjść. Eaton zapewne medytował w bibliotece, a Dorothy, jak zawsze, podniesie słuchawkę.

Jej ton nie był jednak zbyt radosny.

- To ja - powiedział.

Zapadła cisza, po czym usłyszał oburzone:

- Coś ty nagadał ojcu, Hugh?

- Nie powiedział ci?

- Ani słowa. Wrzeszczał na nas, że to nagły wypadek, po czym zamknął się w bibliotece. Kiedy zapukałam, by go poinformować, że Stone'owie wychodzą, oświadczył, że rozmawia przez telefon. To było bardzo krępujące, Hugh. Bardzo niegrzeczne. Odpowiada za każdym razem, kiedy go wołam, ale nie chce wyjść. Co mu powiedziałeś?

Nie mógł jej powtórzyć. To nie było zadanie dla niego. Eaton sam musiał znaleźć jakiś sposób — zebrać się na odwagę — i to zrobić. Powinien był powiedzieć żonie wiele lat wcześniej. Hugh dręczyła myśl, że mimo dwóch ciąż Dorothy ojciec nie podzielił się z nią informacją o tych plotkach. Jeśli jedno z rodziców prawnika na wyspie było czarne, oznaczało to, że Eaton jest w jednej czwartej czarny.

A Hugh w jednej ósmej. To się wydawało nierzeczywiste.

Nie mógł jednak niczego zdradzić matce. Tym musiał zająć się Eaton.

- Sytuacja jest trudna, mamó. Babcia Dany miała wylew.
- Usłyszał, że Dorothy jęknęła. - Są teraz w szpitalu, próbują ustalić, co go spowodowało. Powinienem być przy Danie, ale nie wiem, ile czasu to zajmie. Mógłbym zabrać ze sobą Lizzie, jednak szpital to nie jest najlepsze miejsce dla takiego malucha. Ktoś musi zostać z nią w domu. Dasz radę?

- Hm...

- Wiem, że byłaś tu wcześniej.

- Ale twój ojciec nie wie. - Dorothy wydawała się przestraszona. - Co ja mu powiem?

- Że cię potrzebuję - zasugerował. - Że moje dziecko cię potrzebuje. Wiem, że stawiam cię w niezręcznej sytuacji, ale nie ufam nikomu innemu. - Nie zatrudnili niańki, a opiekunki jeszcze nie mieli. Mógł zadzwonić do firmy i wynająć kompletnie obcą osobę, Mógł też zadzwonić do Davida lub Tary. Dorothy jednak była jego matką, a Lizzie krwią z jej krwi. - Muszę być teraz przy żonie. Ostatnie tygodnie były dla nas trudne. Nie wspierałem jej tak, jak powinienem. Jestem jej to winien.

- Winien? To jakieś zobowiązanie?

- Ujmę to inaczej. Zachowałem się źle i muszę to naprawić.

- Jak to źle? - spytała Dorothy.

- Chodzi o te rasowe sprawy, mamó. Nie mogę teraz o tym mówić, a co do taty, mieliśmy sprzeczkę. Będziesz musiała go o to spytać.

- Nie powie mi. Jest zły, a ty stawiasz mnie w trudnej sytuacji. Nie wiem, co zrobić.

- Powiedz mu o Ellie Jo - poradził jej. - Powiedz mu, że Dana jest sama. Zrozumie.

- Wątpię.

- Uwierz mi. Zrozumie.

Dorothy wpatrywała się w drzwi biblioteki. Wyrzeźbione w litym mahoni, składały się z ośmiu wypukłych płyt - każda miała nieco inną fakturę. Przejechała palcem po jednej z nich, po czym zastukała:

- Eaton? Otwórz, proszę. "

- Nie teraz, Dorothy. — Miał stłumiony głos.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

- To chyba nie jest takie pilne?

- Jest! — zawołała i przyłożyła dłoń do jednej z płyt. - Babcia Dany miała wylew. Dana jest z nią w szpitalu. Hugh chce do niej dołączyć, ale wolałby nie zabierać ze sobą dziecka. Pytał, czy mogłabym posiedzieć z małą pod jego nieobecność.

Po drugiej stronie drzwi panowało milczenie.

- Eaton? - Zaczęła szarpać za gałkę. - Proszę, otwórz drzwi. Powiedz, co się stało. — Nadal milczał. - Eaton!

- Jedź do Hugh! - zawołał.

- Mówiłam mu, że stawia mnie w niezręcznej sytuacji, bo nie chcesz, żebym ich odwiedzała, ale zgadzam się, że powinien być teraz przy żonie.

- Jedź do Hugh. - Tym razem powiedział to bardziej stanowczym tonem.

- Dana musi szaleć z niepokoju, babcia jest dla niej wszystkim, więc doskonale rozumiem, dlaczego Hugh chce jej towarzyszyć. Gdyby mogli przewidzieć ten wypadek, bez wątpienia załatwiliby kogoś do opieki. Na pewno telefon do mnie i prośba o taką przysługę sporo kosztowały Hugh, zważywszy na to, co się dzieje między nami. Takie rzeczy naprawdę zaskakują, a ja jestem przecież rodziną, mają w domu całkiem malutkie dziecko...

- Dorothy! Jedź!

- Ale ty jesteś moim mężem. - Oparła drugą rękę o sąsiednią płytę. - I czujesz się przygnębiony. Powinnaś zostać z tobą.

Zapadła cisza. Nagle drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że Dorothy odskoczyła w zdumieniu.

- Dorothy. - Patrzył na nią wilkiem. — Kazałem ci jechać.

Dorothy poczuła się zaniepokojona jego wyglądem. Miał potargane włosy, bladą twarz, zmęczony wzrok.

- Mój Boże, wyglądasz jak żywy trup.

Westchnął i przejechał palcami przez włosy, tak jak to robił Hugh. Podobieństwo ojca i syna było niezwykle widoczne, jak zawsze.

- Mam różne sprawy na głowie, Dot.
- Jakie sprawy?
- Chyba publikacja książki powinna zostać przesunięta na inny termin.

Dorothy była przerażona.

- Przecież książka już się drukuje. Promocja też jest przygotowana. W przyszły wtorek kilkaset osób przychodzi z tej okazji na przyjęcie w Platanowej Sali w Klubie Uniwersyteckim.

- Niektóre rzeczy w książce mogą się mijać z prawdą.

Dorothy odetchnęła nieśmiało.

- W porządku. To normalne. Denerwujesz się, jak zawsze przed publikacją każdej książki, ale ja wiem, że nigdy nie popełniasz błędów. Zawsze kurczowo trzymasz się faktów. Na pewno i ty, i Mark wszystko posprawdzaliście po kilka razy.

Wydawał się jeszcze bardziej zmęczony.

-Jedź pomóc Hugh. On musi to zrobić dla Dany.

- Też tak powiedział - zauważyła Dorothy, ale zachowanie męża tym bardziej ją zdumiewało. — Gość się z tobą dzieje?

- Mówiłem ci. Martwię się książką.

- Dotąd nigdy nie przejmowałeś się Daną.

- Dorothy.

Uznała, że to dobry moment.

- Widziałam się z nią. W ostatni wtorek. - Czekala, aż Eaton eksploduje ze złości. Kiedy nadal milczał, dodała: - Widziałam dziecko. Trzymałam je na rękach. To urocza dziewczynka.

- Proszę, Dot. Idź już.

- Biorę rzeczy na noc - ostrzegła go. - Być może wrócę dopiero rano.

Patrzył na nią długo i wymownie.

- W porządku - powiedziała. - Jadę.

Eaton zostawił otwarte drzwi i wrócił do ogromnego dębowego biurka, które odziedziczył po licznych krewnych, z którymi, jak się okazało, najwyraźniej nie łączyły go więzy krwi. Nie usiadł, lecz stanął przed nim ze zwieszoną głową, nasłuchując, co robi

Dorothy. Dopiero kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi z tyłu domu i stłumiony ryk silnika, odetchnął.

Uniósł wzrok i popatrzył na półki pełne książek. Te same woluminy, które w przeszłości przynosiły mu ukojenie, teraz zaczęły ciążyć mu na sumieniu. Książki jego autorstwa były najbardziej obraźliwie.

Hugh miał rację. Co go opętało, że postanowił napisać *Rodowód pewnego człowieka*? Arogancja? Egocentryzm? Pycha?

Z niesmakiem wyszedł z biblioteki. Salon jednak również był nierozzerwalnie związany z historią, wszystkie meble pojawiły się w Ameryce w ślad za pierwszym z Clarke'ow. Zmieniano tapicerkę, restaurowano drewno, gdy przechodziły z pochodzenia na pokolenie, ale we wszystkim nadal kryła się myśl przewodnia twórców.

Rodzinne portrety wisały na ścianach, każdy podpisany przez znanego w tamtych czasach artystę. Niektórzy nadal byli słynni. Rozmaici mniej znaczący krewni, w mniejszych rozmiarach, wisieli w grupach nad rzeźbioną skrzynią i opuszczanym biurkiem. Przodkowie matki Eatona zajmowali hol. Po lewej stronie sekretarzyka zawisły pokaźne podobizny dziadków ze strony ojca. Rodzice Eatona, w jeszcze większym rozmiarze, zajmowali honorowe miejsce nad sofą.

Eaton uwielbiał ojca, czuł do niego olbrzymi szacunek i zgadzał się z nim aż do przesady, gdyż rozpaczliwie pragnął go zadowolić. Ojciec miał na imię Bradley, podobnie jak jego pierworodny, który bardziej go przypominał zarówno charakterem, jak i aparycją. Obaj Bradleyowie byli wizjonerami i przywódcami, a ich pracownicy przetwarzali owe wizje na codzienną pracę. Eaton jednak wdał się w matkę, przykładał taką samą wagę do szczegółów i był równie twórczy.

Pamiętał, że jego matka robiło wszystko to, co inne kobiety z jej klasy w tamtych czasach - haftowała, szyła i zajmowała się ogrodem. Nie było to szczególnie praktyczne. Ani, jak sobie właśnie uświadomił, szczególnie twórcze.

- Niech to diabli - zaklął, patrząc na jej olejny portret. - Naprawdę myślałaś, że nigdy się nie dowiem? Nie przyszło ci do głó-

wy, że miałem prawo wiedzieć? Tak trudno było mi to wyznać? Po śmierci taty miałas na to dziesięć lat. - Zastanawiał się przez chwilę. - A Thomas Belisle? Byłaś z nim po śmierci taty? Czy on w ogóle wiedział o mnie, czy i jego okłamałaś?

Odwrócił się do ojca.

- A ty? Zostawiałaś ją trzy lata z rządu, jedne wakacje po drugich. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że...? Nie, skąd. Przywykłaś, że ludzie wykonują polecenia prezesa zarządu. Jeśli nie mogłaś pojąć, że zostałem pisarzem, za cholere nie pojałbyś, że twoja żona była z innym. Spała z innym! - wykrzyknął. - A może wiedziałaś? Może wiedziałaś i nie przyjąłeś tego do wiadomości, nawet nie odważyłaś się wypowiedzieć tego na głos, żeby to w żaden sposób nie wpłynęło na twoją pozycję społeczną? A może nic cię to nie obeszło? Może było tak jak z twoją pracą - ktoś inny zajmował się detalami, na które ty nie miałeś czasu albo ochoty? Czy tak właśnie było, mamó? Czy wiedział i nic go to nie obeszło? Czy i ja nic go nie obchodziłem?

Z trudem chwycił powietrze w płuca.

- Krażyły te wszystkie plotki, ale wy nie pisnęliście ani słówka, do cholery! - powiedział do obojga. - Zawsze wiedziałem, że jesteście zimni jak lód, ale to, co zrobiliście, było samolubne i krótkowzroczne! Nie przyszło wam do głowy, że będę miał dzieci? Nie przyszło wam do głowy, że i one będą miały prawo wiedzieć? Co z was za ludzie? Jak można ukrywać coś tak istotnego i mogącego mieć takie konsekwencje przed kimś, kogo nazywaliście swoim synem?

Ale już go tak nie nazywali. Odeszli z tego świata w przeświadczeniu, że ich sekret jest bezpieczny.

W końcu Eaton się dowiedział. Zwalanie winy na rodziców było bezsensowne, bo i sam nie był bez winy. Słyszał plotki. Hugh miał rację. Mógł wytropić prawdę. Nie zrobił tego, bo nie chciał wiedzieć, i tyle. Prosty i wstydlivy sekret. Wiódł życie bostońskiej eminencji. Afrykańskie geny miały zachwiać tą łodzią.

Teraz jednak wiedział. I Hugh też.

Przede wszystkim musiał powiedzieć Dorothy. Nawet nie chciał

myśleć, jak to przyjmą Brad i Robert, nie mówiąc już o wydawcy. Nie byłoby jednak w stanie spokojnie zasnąć obok Dorothy, dopóki nie będzie wiedziała. Dalsze kłamstwa teraz, gdy już wszystko stało się jasne, byłyby dokładaniem się do zła poczynionego przez rodziców.

Wyszedł z salonu, chwycił kluczyk ze stolika z drewna różanego i w tym samym momencie zauważył swoje odbicie w ozdobnym lustrze w holu. Dorothy miała rację. Wyglądał okropnie. Mimo to nie chciało mu się nawet przyczesać włosów, wołał nie zwlekać, żeby nie popaść w zniechęcenie. Przeszedł przez kuchnię do garażu i uruchomił auto, wyjechał na Old Burgess Way i ruszył na północ.

Jazda sprawiała mu trudność, niejedną raz był gotów wracać. Jeśli Dorothy się nie dowie, nie będzie cierpiała, przekonywał samego siebie. A jeśli ona się nie dowie, nikt nie musi. Nie chodziło o to, że bał się gadulstwa swojej żony. Wiedziała, co mówić i co przemilczeć.

Pomyślał, że jeśli jej powie, Dorothy będzie zamieszana w każde kolejne kłamstwo. Powątpiewał, czy ma prawo tak ją potraktować.

A potem znów pomyślał, że dalsze kłamstwa mogą okazać się niemożliwe, zważywszy na narodziny Elizabeth Ames Clarke.

Robert z pewnością się nie ucieszy. Żartował sobie, że jest nieślubnym dzieckiem swojego stryja Bradleya, jednak prawda okazała się znacznie gorsza. Robert był w jednej ósmej czarnoskóry. Jego czwórka dzieci była czarna w jednej szesnastej.

Robert też musiał się dowiedzieć. Ale najpierw Dorothy.

Eaton wciąż jechał przed siebie. Zawahał się jeszcze raz po zjeździe z autostrady, i znowu, gdy ujrzał dom Hugh. Mimo to nie spuścił nogi z gazu. Gdy wjechał na podjazd i zaparkował za samochodem Dorothy, wiedział, że nie ma już odwrotu.

Podszedł do drzwi wejściowych i cicho zapukał. Twarz żony szybko pojawiła się w oknie z boku. Zdumiał ją jego widok, a potem zaniepokoił. Natychmiast otworzyła drzwi.

- Eaton! - Starła się mówić szeptem, co świadczyło o tym, że dziecko śpi.

Pokiwał głową. Wypadało jakoś to wyjaśnić, więc powiedział tylko:

- Pomyślałem, że przyjadę.
- Hugh już nie ma.
- W porządku. To nawet dobrze. - Nie wiedział, od czego zacząć.

- Co się stało?
- A dlaczego coś się musiało stać? zapytał cicho.
- Nie byłeś w tym domu od czasu narodzin dziecka - odparła.
- I nie wyglądasz najlepiej.
- Mogę wejść? — westchnął.
- Naturalnie. - Cofnęła się o krok. - To w takim samym stopniu twój dom jak mój, chociaż do nas nie należy, ale to my daliśmy Hugh pieniądze, za które go kupił.

- Dorothy. — Minała ją i wszedł do holu. - Dostaje takie same dywidendy jak my. I nieźle zarabia. Sam sobie kupił ten dom.

- Pewnie masz rację, Eaton, ale martwię się tym, dlaczegojechałeś całą drogę. Czy coś się dzieje z twoim zdrowiem? Coś, czego mi nie powiedziałaś?

- Nic mi nie jest. - Wszedł do salonu, wiedząc, że żona pójdzie za nim. Otworzył usta, po czym je zamknął i zaczął rozglądać się dookoła. Salon Hugh było nowocześniejszą i młodszą wersją ich własnego salonu. Eaton zauważył kilka przedmiotów odziedziczonych po rodzinie, ale były umiejętnie zestawione z nowoczesnymi akcentami. Zapatrzył się na portrety. Nawet nie był pewien, czy zna te twarze. Wyczuł, że obrazy wiszą tutaj bardziej ze względu na swoją wartość artystyczną niż względy sentymentalne.

Uświadomił sobie, że to chyba dobrze. W końcu Hugh zapewne nie był spokrewniony z żadnym z tych przodków.

- Eaton?

Popatrzył na Dorothy.

- Hugh dzwonił?

- Jeszcze nie. Pewnie dopiero dotarł do szpitala.

Eaton pokiwał głową. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

Dorothy patrzyła na niego uważnie i czekała.

- Cieszę się, że Hugh jest z Daną - powiedział wreszcie. - Może trzeba będzie podjąć pewne decyzje. W takich chwilach mąż powinien być przy żonie.

- Czy ty też musisz podjąć decyzje dotyczące książki? — zapytała go wprost.

Była bystrą kobietą. Zasłużyła na szczerłość.

- Zdecydowanie tak.

-Jakiego rodzaju?

- Czy wrócić i poprawić błędy.

- Nie możesz tego zrobić w tym wydaniu. Czy problem jest tak poważny, że nie może poczekać do wydania w miękkiej okładce?

Zadzwonił telefon. Dorothy z irytacją zmarszczyła brwi, gestem pokazała, że zaraz wraca, i wypadła z pokoju.

Eaton zaczął wyzywać się w duchu od śmierdzących tchórzy i doszedł do wniosku, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Poszedł za żoną, ale zatrzymał się w holu. Zauważył, że wiklinowy koszyk w salonie jest pusty. Cicho wspiał się po schodach i wszedł do pokoju dziecięcego. Hugh i Dana pokazywali tę sypialnię teściom podczas ich ostatniej wizyty. Jak to dzieci, byli z niej bardzo dumni i domagali się aprobaty.

Zdaniem Eatona, malowana łąka była przesłodzona. Czyste ściany, ewentualnie z jednym obrazkiem, najwyżej dwoma, bardziej by pasowały do jego stylu.

Inna sprawa, że czyste ściany z jednym obrazkiem, najwyżej dwoma, wymyśliła Dorothy do pokoiów dziecięcych ich synów, a Eaton miał niezmiennie przyzwyczajenia.

Zastanawiał się, czy - tak jak twierdził Hugh - rzeczywiście nie napisał *Rodowodu pewnego człowieka*, żeby uprawdopodobnić to, co nie musiało być prawdą. A właśnie takiej ewentualnej prawdy czasem się obawiał. Zastanawiał się, czy przez całe życie otaczał się tarczą ochronną w postaci arystokratycznego pochodzenia, żeby nie stawiać czoła rzeczywistości.

Podszedł do łóżeczka. Elizabeth Ames Clarke spała na plecach. Miała na sobie różowe śpioszki, takie jak kiedyś córeczki Roberta, ale na tym podobieństwa się kończyły. Jej ramiona były odsłonięte,

a nogi miały jasnobrązowy kolor. To twarz dziecka przykuła jego uwagę. Otoczona rzadkimi loczkami, które zapamiętał z dnia jej narodzin, miała delikatny miedziany odcień i wyjątkowo gładkie policzki, maleńką bródkę i nos jak guziczek. Jej rzęsy były ciemne i długie, a powieki miały kolor lśniącego złota.

Była naprawdę piękna.

Jej obraz rozmazał mu się przed oczami. Eaton nie wiedział, czy ze strachu przed tym, co czeka jego wnuczkę, z lęku przed wyznaniem prawdy Dorothy, z lęku przed wyznaniem prawdy Robertowi i przyjaciółom, czy może z obawy przed utratą szacunku czytelników.

Jednak patrząc przez łzy na to dziecko, nie widział różnicy między kolorem skóry wnuczki a swoim. Dostrzegał jedynie jej niewinność.

Dana była wdzięczna Hugh, że jej towarzyszył. Nie zadawała sobie pytania, dlaczego nie zadzwoniła do Gillian ani do Tary. Po prostu potrzebowała Hugh. Myślał trzeźwo, słuchał wyjaśnień doktora, co już wiedzą i co mogą zrobić. Wypełnił formularze za Dane, kiedy była w rozsypce, i zadawał pytania, których ona nie mogła zadać. Kiedy przyszło do podejmowania decyzji, zredukował wybór do dwóch opcji, wyjaśnił obie, wysłuchał przemyśleń Dany i poparł jej decyzję.

Ellie Jo miała zator tętnic. Najlepsze rokowania dawała operacja, niosła jednak za sobą ryzyko. Alternatywa, choć mniej ryzykowna, groziła utratą sprawności życiowej.

Odpowiedzialność związana z wyborem, który mógł zabić ukochaną osobę, była niesłychana. Dana nie chciała wybierać.

Trzymała Ellie Jo za rękę, zanim ją odwieźli, powtarzała jej, że ją kocha, że wszystko będzie dobrze i żeby się nie martwiła, bo panuje nad wszystkim w sklepie. Ucałowała babcinę policzek i na chwilę zamarła. Zapach jabłek został przytłumiony przed odór leków, jednak wciąż rozkoszowała się znajomą miękkością skóry Ellie Jo. Kiedy wózek z babcią ruszył, a Hugh odciągnął Dane, przycisnęła dłoń do ust.

Ellie Jo nie była młoda. Dana wiedziała, że babcia nie będzie żyła wiecznie, jednak przerażała ją myśl, że być może już wkrótce ją utraci.

Szpitalny bufet był zamknięty, więc Hugh przyniósł kawę z automatu do pomieszczenia, gdzie siedziała Dana. Był to niewielki pokój, w delikatnych szarościach i różu z odcieniem fioletowym,

co zapewne miało uspokajać oczekujących. Zdaniem Hugh, kolory niespecjalnie sprawdziły się pod tym względem. Nadal był zdenerwowany.

Ellie Jo operowano od dwóch godzin. Miały minąć jeszcze ze dwie albo i więcej, zanim się dowiedzą, czy paraliż ustąpi. Nie wiedzieli również, czy starsza pani przeżyje operację. Istniało niebezpieczeństwo, że umrze w trakcie. Lekarz powiedział im o tym całkiem szczerze.

Hugh postawił kawę na stoliku po lewej stronie Dany i usiadł obok niej na sofie.

- Dajesz sobie radę?

Rzuciła mu zmartwione spojrzenie i skinęła głową.

- A ty? - zapytała po chwili.

- Bywało lepiej.

Odwróciła się, żeby podnieść kawę, i zaczęła ją ostrożnie pić. Potem otoczyła kubek dłońmi i usiadła wygodniej. W końcu spojrzała na Hugh.

- Nie wiem, dokąd poszedłeś tego popołudnia. Byłeś w pracy?

Hugh nawet nie pomyślał o pracy. Nie pomyślał o Stanie Hutchinsonie, Crystal Kostas ani o jej synu. Od późnego poranka nie myślał o niczym oprócz tego, skąd pochodzi i kim naprawdę jest.

- Musiałem porozmawiać z ojcem — odparł.

Zadumała się nad tym, na jej czole pojawiła się kolejna zmarszczka.

- I porozmawiałeś? - zapytała w końcu.

Nie był pewien, czy to odpowiednia pora i miejsce. Jednak byli tu sami, a ta dyskusja mogła oderwać myśli Dany od stanu zdrowia babci. Poza tym chciał porozmawiać, a w żonie miał wdzięczną słuchaczkę. Raczej nie groziło mu, że Dana wstanie i wyjdzie, gdyby powiedział coś, co nie przypadłoby jej do gustu.

Wobec tego opowiedział jej o prawniku na Vineyard, o plotkach, wśród których dorastał Eaton, o kłótni. Choć Hugh myślał, że jego gniew już minął, wszystko wróciło w trakcie tej opowieści. Z łokciami na kolanach, zaciskając pięści, mówił gorzkie słowa:

- Twierdzi, że nie kłaniał świadomie, ale przecież mógł to sprawdzić. Zrobił karierę, szukając najintymniejszych szczegółów dotyczących bohaterów swoich książek. Wie, jak wyciągać brudy.

- Akurat tych właśnie brudów nie chciał wyciągać.

- Zgadza się. I nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby nie miało to wpływu na innych. Ale nawet przed urodzeniem Lizzie byłaś ty. Traktował ciebie i twoją rodzinę jak ludzi drugiej kategorii.

Nie zaprotestowała.

Hugh wbił wzrok w ścianę naprzeciwko. Wisiał tam obraz, coś w kolorach oceanicznych, raczej nowoczesnego i rozmytego. Znał ocean, patrzył na niego przez okno własnego domu. Oryginał uspokajał, ten obrazek ani trochę.

- Kim jestem, żeby go krytykować? — westchnął. - Zachowywałem się równie paskudnie. Zażądałem testu na ojcostwo. - Popatrzył na Dane. - No dobra, nic nie wiedziałem o tym facecie na Vineyard i uwierzyłem bez zastrzeżeń w rodzinny mit. To była arogancja, Dano, i bardzo się tego wstydzę. Ale wiedziałem, że mnie nie zdradziłaś. - Wpatrywał się w swój kubek kawy i dodał z niesmakiem: — Nawet nie chcę o tym dyskutować.

- O czym? - zapytała.

- O sobie. O tym, kim jestem.

Kiedy milczała, zerknął na nią i zobaczył, że marszczy brwi. Uderzyło go, że te zmarszczki nie pasują do piegów, bladych na jeszcze bielszej skórze, ale jednak widocznych. Stanowiły część jej pogodnej osobowości, która od początku tak go pociągała.

- Czy czujesz się inaczej? - zapytała w końcu.

Chciał się czuć inaczej. Uważał, że powinien, jednak tak nie było.

- Nie. Czy to oznacza, że mi z tym dobrze?

- W pewnym sensie.

- No więc właśnie.

- Twoje słowa mogą się źle kojarzyć. Tak, jakbyś znał prawdę i celowo udawał. Ale czy taka była twoja intencja? Przecież o to pytasz przysięgłych podczas rozprawy? Czy zatem wiedziałeś, że jesteś częściowo czarny i celowo to ukrywałeś?

- Nie. Ale powinienem czuć się inaczej - upierał się. - Pewnie jestem po prostu otępiały.

- Może to nic wielkiego.

- W mojej rodzinie i owszem. Stryj jest gotów oskarżyć ojca, że celowo ukrywał tę informację, żeby dostać swoją działkę z udziałów rodzinnych. Będzie się upierał, że formalnie Eaton nie jest Clarkiem.

- Przecież jest. Jego matka została po ślubie panią Clarke. Poza tym była również matką twojego stryja Brada.

W korytarzu otworzyły się drzwi. Dana natychmiast zerwała się na nogi i zamarła. Kiedy kobieta w stroju chirurga wyszła z sali i ruszyła w przeciwnym kierunku, Dana jęknęła bezradnie.

Hugh zbliżył się do niej.

- Nie śpieszyło się jej - zauważył. - To dobry znak.

Dana stała przez chwilę z opuszczoną głową. W końcu odechnęła, odwróciła się i usiadła.

- Szkoda, że nie mam ze sobą drutów - mruknęła. - Jak mogłam ich nie zabrać, w takiej chwili?

- Przywiózłbym ci, gdybyś poprosiła.

- Nie pomyślałam. Mój mózg działa na zwolnionych obrotach.

Hugh usiadł obok niej.

- Ellie Jo wyjdzie z tego - oświadczył.

Dana popatrzyła na niego ze smutkiem.

- A co z Robertem?

Hugh naprawdę ją podziwiał. Sądził, że Robert jest ostatnią osobą, która mogłaby przyjść jej do głowy.

- Nie będzie zadowolony. Wyrzeknie się ojca, jeśli dzięki temu będzie mógł utrzymać dobre stosunki z Bradem.

- Ale to nie zmieni tego, kim jest.

- Ani kim ja jestem. - Pochylił się ku niej. - Czy to ma dla ciebie znaczenie?

Zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w podłogę.

- Chodzi ci o Roberta? Nie. Nie jestem pewna, czy będę miała do niego równie ciepłe uczucia jak dotąd. Nie mogę mu ufać, nie wiem, po czyjej stoi stronie.

- Mówimy o stronach?
- Popatrzyła mu w oczy.
- Tak.
- A ty po czyjej jesteś stronie?
- Lizzie.
- Czy ja też?

Podniosła swoją kawę i wypijała spory łyk. Później odstawiła kubek i wytarła górną wargę palcem. Dopiero wtedy spojrzała na męża.

- Nie wiem. Jesteś?
- Skoro po mnie odziedziczyła kolor skóry, to chyba oczywiste?
- Nie. Kolor skóry to cecha fizyczna. Nie emocja.
- Jestem po stronie Lizzie. A ty jesteś po mojej?
- Jesteś moim mężem.

- Mąż to tylko pojęcie - sparafrazował jej myśl. - Jakiś czas temu pytałaś, jak się czuję jako mąż kobiety o afrykańskich korzeniach. Teraz ja zapytam ciebie -jak się czujesz jako żona mężczyzny o afrykańskich korzeniach?

Nawet nie mrugnęła.

- Dokładnie tak samo, jak wczoraj. Mam gdzieś, kim był twój dziadek. Nigdy mnie to nie interesowało.

- Ale w gabinecie pediatry, kiedy dostaliśmy wyniki badań i zrozumiałaś, co to oznacza, nie byłaś ani trochę zadowolona, że snob dostał za swoje?

Przez chwilę milczała, wpatrując się w dywan. Kiedy spojrzała na męża, na jej twarzy malowała się łagodność.

- Poczułam ulgę. Dzięki temu jesteś bardziej ludzki. A ja nie czuję się taka gorsza.

- Gorsza? - To go zdumiało. — Naprawdę tak uważałaś?
- Tak.

- Wmówiłaś to sobie - oświadczył. - Ale nie ulżyło ci, że okazałaś się biała?

- Wcale nie okazałam się biała. — Wjej głosie słyszał wyrzut.
- Okazało się jedynie, że nie jestem nosicielką niedokrwiłości sierpowatej. Mogę mieć rozmaite niespodzianki ukryte w swo-

im drzewie genealogicznym. Nie mam pojęcia, kim był dziadek Earl

Hugh spróbował po raz ostatni.

- Ale nie miałas poczucia, że sprawiedliwości stało się zadość?
- zapytał pół żartem, pół serio.

- Nie. Przykro mi, Hugh. Nie pragnę zemsty.

- Jesteś święta.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Gdybym była święta, rozumiałabym, dlaczego musiałeś zrobić to badanie DNA. Gdybym była święta, odebrałabym telefon dziś rano, kiedy dzwonił Jack Kettle. - Uniosła rękę. - Nie pytaj. Nie odebrałam. Nie jestem święta. — Jej głos złagodniał. - Mogę zrozumieć, jak się czujesz, bo też przez to przeszłam. Ale jedyne zadowolenie, jakie czerpię z tego splotu wydarzeń, dotyczy świadomości tego, że to gwarancja twojej miłości do Lizzie.

- Zawsze kochałem Lizzie.

- A mnie? - Podciągnęła kolana.

- Naprawdę cię kocham - powiedział. — I chcę, żebyś i ty mnie kochała.

Oparła głowę na kolanach. Po chwili przechyliła ją, żeby popatrzeć na męża.

- Dlaczego? Bo czujesz się zagubiony, pozbawiony korzeni i musisz się czegoś ucześcić? Bo wiesz, że mnie twój kolor nie przeszkadza, czego nie mógłbyś powiedzieć o swoich przyjaciołach?

- Moi przyjaciele dadzą sobie z tym radę.

- No to nie ma problemu. Kiedy im powiesz?

Miała go. Nie potrafił odpowiedzieć.

Złagodniała i po raz pierwszy od siedemnastu dni objęła go ramieniem.

- Tak właśnie twierdził David. Ludzie nie mają nic przeciwko mniejszościom, dopóki kolorowa rodzina nie zamieszka obok nich. Wiemy, że na twoich partnerach z pracy nie robi to wrażenia. Praca nie ucierpi. Problem może być z częścią ludzi, których znałeś przez całe życie. Na przykład z Cunninghamsami. Przy okazji, już nie pracuję w Izbie Wystawienniczej.

- Od kiedy? - zapytał Hugh.
- Od początku tygodnia.
- Dlaczego nic nie mówiłaś?
- A po co? Może to zresztą przypadek, wiesz, dwa zlecenia.

Jedno może, pomyślał. Ale nie dwa. Dana była dokładnie taką dekoratorką, jaką filia z Północnego Wybrzeża chętnie by promowała. Poza tym, trudno było mówić o przypadku, skoro Cunninghamowie co roku sponsorowali Izbę.

Ogarnęła go wściekłość.

- Zadzwoń do nich.
- Nie zrobisz tego. - Zabrała rękę z jego ramienia.
- Przecież zależało ci na tych zleceniach.

- Zmieniłam zdanie. - Wyprostowała się. - Mam małe dziecko i babcię, która raczej nie może biegać do sklepu. Ten sklep to rodzinny interes, ważniejszego nie będzie.

- Nie chodzi o samą pracę, tylko o zasady - upierał się Hugh. Wpatrywał się w swoje ręce, zanim zapytał cicho: - Co mogę zrobić?

- Nic. Nie chcę tych zleceń.

- A ja nie chcę tych przyjaciół - oświadczył. - Jeśli mnie odrzucają, bo mój dziadek był kolorowy, ich sprawa. - Westchnął płytko. — Ale co mam zrobić z resztą? Z tym pochodzeniem? Powinienem się zmienić? Inaczej zachowywać?

- Nie - prychnęła, ale z uśmiechem, który chwycił go za serce. - Nadal jesteś sobą. Produktem czterdziestu lat takiego, a nie innego zachowania. Tego nie zmienisz. Zmieni się tylko to, co ty z tym zrobisz.

- To znaczy?

- Nie wiem.

- Potrzebuję pomocy, Dee.

- Skoro nie wiedziałam, co robić, kiedy chodziło o mnie, jak mogłabym ci radzić teraz, gdy chodzi o ciebie? - Wydawała się niemal rozbawiona.

Drzwi w korytarzu się otworzyły. Chirurg, który operował Ellie Jo, ruszył ku Danie i Hugh.

Ellie Jo nie groziła śmierć. Lekarze nie wiedzieli jedynie, czy starsza pani odzyska całkowitą sprawność po prawej stronie, ale usunęli zator, który spowodował wylew, i byli pewni, że lekarstwa zminimalizują ryzyko wystąpienia następnego.

Dana aż osłabła z ulgi. Chciała natychmiast zobaczyć babcię, ale powiedziano jej, że aż do następnego ranka Ellie Jo zostanie na sali pooperacyjnej, a zapewne i potem będzie zbyt nieprzytomna, żeby zdawać sobie sprawę z odwiedzin wnuczki.

Siedzenie w szpitalu nie miało sensu. Było już po pierwszej w nocy. Przy odrobinie szczęścia Dana mogła wrócić do domu w porze karmienia Lizzie. Miała pełne piersi i poza fizyczną ulgą brakowało jej również emocjonalnego kontaktu z dzieckiem.

Kiedy podjechali pod dom, zaniepokoił ich widok auta Eatona tuż za samochodem Dorothy.

Pierwszą reakcją Dany była krzepiąca myśl: „I tak powinno być”. Potem jednak przypomniała sobie wydarzenia ostatnich dni i już nie była pewna, co o tym sądzić.

Hugh nawet nie drgnął. Wyłączył silnik, ale wciąż siedział w fotelu, z rękami na kierownicy.

- Jestem na to zbyt zmęczony - powiedział.

- Pewnie już śpi, razem z twoją mamą.

- Chryste, mam nadzieję - wymamrotał Hugh i otworzył drzwi.

Eaton spał, ale nie z Dorothy. Ułożył się na sofie w salonie, ze skrzyżowanymi rękami i nogami. Jego buty stały obok siebie na podłodze. Z telewizora dobiegały ściszone dźwięki.

Hugh zgasił odbiornik, a potem podszedł do wyłącznika światła.

- Zostawię ojca tutaj — wyszeptał.

- Nie powinniśmy - odszepnęła Dana. - Nie będzie mu tu wygodnie.

- A co mnie to obchodzi? — Popatrzył na nią.

Eaton drgnął i otworzył oczy. Najwyraźniej zaniepokojony tym, gdzie się ocknął, nagle zauważył syna i usiadł.

- Chyba zasnąłem.

- Idź na górę do mamy - powiedział Hugh.

Eaton popatrzył na Dane.

- Co z twoją babcią?

Dana nie wiedziała, czy chciał wiedzieć, czy tylko okazywał w ten sposób uprzejmość. Jego mina wskazywała na to, że naprawdę go to interesuje. Widziała na twarzy teścia bezbronność, którą wcześniej dostrzegła w Hugh.

W Hugh było to krzepiące. W Eatonie wzbudzało dziwny niepokój.

Niepewna, jak postąpić, Dana zaczęła nasłuchiwać kojącego szumu fal. „Bądź miła”, wyszeptła do niej matka. Wobec tego Dana odparła:

- Operacja się powiodła. Jutro będziemy wiedzieli więcej.

- Odwróciła się do Hugh i dodała: - Idę na górę nakarmić Lizzie.

Hugh zazdrościł jej tej wymówki. Był zbyt zmęczony, żeby wymyślić coś przekonującego.

- Idę spać — powiedział do ojca. — Zgaś światła.

Ruszył ku drzwiom.

- Czekaj, Hugh. Chciałbym porozmawiać.

-Jest późno, tato.

- Proszę.

Hugh przystanął w drzwiach. Po chwili odwrócił się, podszedł do fotela i usiadł. Nie odezwał się ani słowem. To nie on chciał rozmawiać.

- Widziałem małą - zaczął Eaton. -Jest piękna.

- Kolor jej skóry się nie zmienił. Co nie pomaga.

- Hugh. - Eaton mówił słabym głosem. - Nie wiedziałem. Powinienem być. Ale nie wiedziałem.

- Przyjechałeś, żeby to powiedzieć?

- Właściwie... - Eaton wstał z sofy i podszedł do drzwi balkonowych. Gdy tylko je otworzył, szum fal przybrał na sile. — Właściwie to przyjechałem tu powiedzieć twojej matce.

Hugh popatrzył na niego.

- I co ona na to?
- Nic. Nie powiedziałem jej.
- Dlaczego nie?

Eaton nie odpowiedział. Zamknął drzwi. Teraz, gdy ocean ucichł, milczenie starszego pana było jeszcze bardziej wymowne.

- Nie wiem — odparł w końcu.
- Nie ułatwiasz sprawy.
- Może muszę przywyknąć do tej myśli.
- Im dłużej będziesz zwlekał, tym gorzej mama to przyjmie.

Możesz twierdzić, że wcześniej nie wiedziałeś, ale teraz już wiesz. Musisz jej powiedzieć.

Eaton milczał.

- Czego się boisz?

Eaton nadal nic nie mówił.

- Nie znenawidzi cię za to, że twój ojciec był Mulatem. Ma znacznie bardziej otwarty umysł niż ty.

- Uzna, że wszystko wiedziałem i kłamałem. Spyta, dlaczego nie sprawdziłem tych plotek. Będzie mówiła to samo co ty o sprawdzaniu informacji do książki. Będzie zła i urażona. — Podeszedł do sofy i zatrzymał się przy niej, z uwagą wpatrując się w poduszki.

- Co za bajzel. Nie mam pojęcia, co robić.

Hugh czuł, że jego gniew mija. Eaton wydawał się kompletnie przybity. Przypomniał sobie, co Dana mówiła - że trzeba zrobić cokolwiek.

- Powiedz jej, a potem go odszukaj.
- Ale czy naprawdę chcę cokolwiek o nim wiedzieć?
- Chcesz - oświadczył Hugh. - To twój biologiczny ojciec. Myślisz, że Dana miała ochotę szukać swojego ojca? Zmusiliśmy ją. Byłaby z nas banda hipokrytów, gdybyśmy teraz nie zrobili tego samego.

- Z nas?

Hugh się zawahał. Usiłował nadal złościć się na Eatona, ale nie mógł. W końcu to był jego ojciec.

- Tak. Pomogę ci. Jak on się nazywa?
- Thomas. Thomas Belisle. Spędzał lato w Oak Bluffs. Był

tam człowiekiem legendą, przystojnym Mulatem o jasnej skórze. Uwiódł niejedną białą kobietę.

- Eaton?

Spojrzenie Hugh poszybowało ku drzwiom. Jego matka stała tam w skromnej białej koszuli. Z włosami zaczesanymi do tyłu i zdumionym wyrazem twarzy wyglądała na swój wiek.

Zmarszczyła brwi, patrząc na Eatona, po czym odwróciła się do Hugh. Co jednak on miał jej powiedzieć? Był tylko jej synem. Wyszła za Eatona. To właśnie on powinien to wytłumaczyć.

Nie dała żadnemu z nich okazji. Zaciśnęła usta, odwróciła się i zniknęła na schodach.

Eaton, który stał jak słup soli, nagle oprzytomniał. Zawołał żonę i ruszył za nią, ale Hugh złapał go za ramię.

- Idzie teraz do Dany. Niech porozmawiają.

Lizzie z zadowoleniemssała pierś matki, gdy w drzwiach pojawiła się Dorothy. Stała tak przez chwilę, po czym wśliznęła się do pokoju i oparła o ścianę.

Wyczerpana Dana niemal zasnęła w trakcie karmienia, ale szybko oprzytomniała.

- Co się stało?

- Właśnie usłyszałam coś dziwnego - wyszeptła Dorothy.

— Czy wiesz coś o tym, żeby ojcem Eatona był Mula?

Dana zastanawiała się, co odpowiedzieć, kiedy Dorothy dodała:

- A więc to prawda. I żona dowiaduje się ostatnia.

- Wcale nie, Dorothy. Naprawdę. Ja wiem od Hugh, ale on dowiedział się dopiero dzisiaj.

- A Eaton?

- On także. - Opowiedziała jej o niedokrwistości sierpowatej i o badaniach, które przeprowadzili. - Nic ci dziś wcześniej nie powiedział?

- Nie. I nie potrafię zrozumieć, dlaczego.

Dana nie potrafiła czytać w myślach Eatona. Pamiętała jednak niedowierzanie, które poczuła w gabinecie lekarki na wieść, że Hugh jest nosicielem. Zupełnie się tego nie spodziewała. Jeśli

na niej zrobiło to takie wrażenie, mogła sobie tylko wyobrazić, co czuje Dorothy po ponad czterdziestu latach małżeństwa.

- Chyba powinnyśmy zrozumieć, jak on się czuje - powiedziała Dana. — Nie spodziewał się tego. W najgorszych koszmarach nie przyszło mu to do głowy.

- Jak możesz go bronić? Przecież paskudnie cię potraktował.

Dana była zbyt zmęczona, by czuć gniew. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Gdy byłeś tu we wtorek, mówiłeś o dorastaniu w pewnych kręgach towarzyskich i przejmowaniu określonych zachowań. Nie myślisz o tym, co robisz, bo każdy w tych kręgach postępuje tak samo. Eaton nie nazwałby tego arogancją, tylko sposobem bycia.

- Byli arogancy. Obaj, Eaton i Hugh!

- Ale nie wiedzieli, Dorothy. Eaton słyszał plotki, i tyle.

- I nie uważał za stosowne mnie o nich poinformować? Urodziłam mu dzieci. Nie powinnam była wiedzieć?

- Plotki — przypomniała Dana, ale Dorothy nie zwracała na to uwagi.

- Szczyci się swoją inteligencją. Czyżby uważał, że jestem zbyt głupia, żeby zrozumieć... albo zbyt niedyskretna, żeby trzymać język za zębami?

- Nie — odrzekł Eaton od drzwi. W półmroku sypialni dziecka wydawał się całkiem wyczerpany. - Nie powiedziałem ci, bo sam sobie nie mogłem tego powiedzieć. Gdybym powiedział tobie, to stałoby się realne. A ja w to nie wierzyłem.

- To nie był drobiazg bez znaczenia - zauważyła Dorothy.

- Miałem z tym problem emocjonalny. Gdybym uznał, że ta plotka nie jest bezpodstawna, musiałbym uznać, że moja matka być może miała romans. To było bardzo trudne.

- Potrafię to zrozumieć - oświadczyła Dorothy z nietypowym dla siebie sarkazmem. - Nie da się powiedzieć dobrego słowa o ludziach, którzy zdradzają. Cóż za tolerancja. Łatwo ferujesz wyroki.

- Tak — przyznał Eaton. - Czasem.

- Czasem? - powtórzyła.

- Czasem, mamo. - Hugh wyłonił się zza pleców Eatona. - To tylko człowiek, jak my wszyscy. Ile usłyszałaś na dole?

- Wystarczająco wiele. Czy twój detektyw zdoła odnaleźć Thomasa Belisle?

- On nie żyje — odparł Eaton. — Ale być może żyje jego siostra.

- Thomas Belisle? - Dana pogłaskała plecy Lizzie.

- Facet, przez którego stało się to wszystko - wyjaśnił jej Hugh.

— Czy to nazwisko coś ci mówi?

Dana nagle przypomniała sobie ciemne oczy wpatrzone w Lizzie i czułość na twarzy. W tym samym momencie zrozumiała miłość, z jaką pewne ręce kołysały jej dziecko.

Oszołomiona wyszeptwała:

- Ja ją znam. — I popatrzyła na pozostałych.

Choć świadomość, że Sandra Belisłe może być spokrewniona z Lizzie, wręcz oszołomiła Dane, należało na razie poczekać ze sprawdzeniem tej informacji. Teraz najważniejsza była Ellie Jo. Dana pojechała do szpitala w sobotni poranek i przekonała się, że babcia trafiła z sali pooperacyjnej na OIOM. Było to rutynowe postępowanie, nie działo się nic niepokojącego, mimo obecności rozmaitych urządzeń. Trudno było jednak nie wpaść w panikę na widok samej Ellie Jo. Głowę miała obandażowaną, wydawała się popielata i krucha na tle białej pościeli.

Dana ujęła bezwładną dłoń staruszki i ją ucałowała.

- Babcu?

Ellie Jo otworzyła oczy. Uśmiechnęła się na widok gościa, nieco krzywo, ale Dana pomyślała, że lepszy taki półuśmiech niż nic.

- Nie umarłam - wymamrotała Ellie Jo. - To dobrze.

- To cudownie! — Danie ogromnie ulżyło, że babcia może mówić. - Jak się czujesz?

- Słabo. Nie mogę się za bardzo ruszać.

- Ale będziesz mogła. Teraz musisz odpoczywać i myśleć o wspaniałych rzeczach.

- Nie mam włosów - oświadczyła Ellie Jo.

- Tylko z tyłu, na samym dole - wyjaśniła jej Dana. - Niedługo sezon na kapelusze, dobrze się wstrześliś. Powiedz tylko, jaki chcesz, a w tydzień zrobię ci na drutach cały tuzin.

- Znakomity pomysł - powiedziała starsza pani cicho i zamknęła oczy.

Dana chciała ją zapytać, co takiego czytała na strychu tuż przed wylewem. Wiedziała jednak, że nie może niepokoić babci. Posiedziała jeszcze kilka minut, po czym cmoknęła Ellie Jo w policzek i cicho wyszła.

Wsiadła do samochodu i ruszyła do domu obok sadu. Postanowiła przeczytać dokumenty na strychu. W trakcie jazdy zadzwoniła do Hugh, żeby sprawdzić, co z Lizzie, ale właśnie odprowadzał rodziców i nie bardzo mógł rozmawiać. Kiedy po chwili rozległ się sygnał, uznała, że to na pewno Hugh postanowił oddzwonić.

- Dana? - rozległ się głos pełen wahania.

Jej serce niemal zamarło. Powinna była zerknąć na wyświetlacz. Za późno.

- Tak?

- Mówi Jack Kettyle.

Jakby nie wiedziała. Jakby nie rozpoznała tego głosu, mimo że wizyta była krótka. Zresztą zdradziłoby go samo wahanie.

- Skąd ma ksiądz ten numer? - zapytała.

Z telefonem domowym zapewne poszło mu łatwo, w końcu powiedziała, że nadal mieszka w tym samym mieście, w którym się wychowała. Dobrze wiedział, co to za miasto, i znał nazwisko męża Dany. Wystarczyło zadzwonić do informacji. Jednak numer jej komórki był zastrzeżony.

- Dała mi go twoja teściowa - wyjaśnił. - Cieszę się, że jej o mnie powiedziałaś.

Dana się jednak nie cieszyła. Nie miała pretensji do biednej Dorothy, która zapewne doszła do wniosku, że postępuje słusznie, skoro Jack Kettyle nie tylko jest biologicznym ojcem Dany, ale i księdzem. Jednak nie chciała z nim teraz rozmawiać. Nie potrafiła sobie poradzić z emocjami, nawet nie mogła zacząć o nich myśleć.

- Szczerze mówiąc, to nie jest dla mnie najlepszy moment — powiedziała. - Babcia jest bardzo chora.

- Przykro mi. - Wyraźnie się przejął. - Czy to coś poważnego?

- Tak. Sytuacja jest bardzo niepewna. Nie mogę teraz rozmawiać.

- Może innym razem?

- Tak. Nie ma sprawy. Do widzenia.

- Poczekaj - powiedział, zanim zdążyła odsunąć aparat od ucha. - Powiedziałem o tobie rodzinie. Bardzo chcą cię poznać.

Oczy Dany wypełniły się łzami.

- Hm, nie teraz. Nie dam rady, muszę kończyć.

Rozłączyła się pośpiesznie. Było jej wszystko jedno, czy jeszcze coś mówił, czy nie, jednak szybko tego pożałowała. Przecież nocą sama twierdziła w rozmowie z Hugh, że liczą się intencje. Jeśli Jack Kettyle nawet nie wiedział o jej istnieniu, czy mogła go winić za to, że przez trzydzieści cztery lata ją ignorował?

Jedyną winną osobą w tej całej sytuacji była jej matka, ale niewiele dało się z tym zrobić. Elizabeth umarła zbyt młodo. Dana nie zamierzała winić jej za wszystko.

Wobec tego postanowiła skupić się na Earlu. Zahamowała przed domem Ellie Jo i weszła do środka. Postanowiła, że później pójdzie do Włóczkami. Veronica miauknęła, wbiegając do domu z ukrycia, w którym czekała.

Dana pochyliła się, posadziła sobie kocicę na kolanach i ją uścisnęła. Tego było za wiele dla Veroniki. Zeskoczyła z kolan Dany i spojrzała na nią z oczekiwaniem.

- Ellie Jo czuje się lepiej - zapewniła ją Dana, głaszcząc jedwabiste futro na łebku kota. - Trochę poleży w szpitalu, ale wszystko dobrze się skończy.

Ktoś musiał wpadać do domu, żeby nakarmić i napoić kota, a także zmienić piach w kuwecie. Dana dodała to do listy swoich obowiązków, po czym weszła po schodach do pokoju matki.

Wejście na strych nadal było otwarte, drabina opuszczona. Papiery leżały tam, gdzie ostatnio, na deskach pod obluźowanym fragmentem izolacji.

Dana usiadła na podłodze i podniosła jakieś dokumenty. Pierwszy był z biura koronera stanu Illinois - jako przyczynę śmierci Earla podawał uraz głowy w wyniku uderzenia podczas upadku.

Drugi to było policyjne zaświadczenie, że ofiara była sama w chwili wypadku i że nie był on spowodowany przez osoby trzecie. Trzecim dokumentem był akt ślubu Ellie Jo. Dana dobrze znała tę datę, w tym dniu dziadkowie obchodzili rocznicę ślubu, który wzięli na rok przed narodzinami Elizabeth.

Nie znalazła nic interesującego, więc podniosła wycinek z gazety. *Śmierć komiwojażera z Massachusetts w pokoju hotelowym*, głosił nagłówek. Na początku opisano szczegóły wypadku, dobrze znane Danie. Potem dostrzegła zdanie, które dzień wcześniej przykuło jej uwagę. Tym zdaniem kończył się artykuł.

„Żona w separacji, Miranda Joseph, mieszka w okolicy”.

Dana przeczytała zdanie po raz drugi i trzeci. Nigdy nie słyszała o Mirandzie Joseph, nie mówiąc już o jej ślubie z Earlem. Nie miała pojęcia, co to oznacza.

Najwyraźniej kuzynka Emma również tego nie wiedziała. Pod wycinkiem leżała odręcznie sporządzona notatka, napisana kilka miesięcy po śmierci Earla. „Eleanor, przyjaciółka wysłała mi ten wycinek. WIEDZIAŁAŚ, że Earl miał już żonę? Jak mógł poślubić CIEBIE, skoro był żonaty? Gzy wiesz, kim jest EARL?”.

Dana odłożyła list i kołyszając się na kolanach w półmroku ciepłego strychu, rozplakała się na myśl o tym, co poczuła babcia po przeczytaniu tych słów. I tak śmierć Earla była dla niej tragedią, jednak strach przed ujawnieniem prawdy musiał być jeszcze gorszy. Tyle lat. Do teraz. Dana nagle zrozumiała, dlaczego Ellie Jo nie chciała szukać ojca wnuczki. Jedno odkrycie mogło prowadzić do innego, a babcia uważała bigamię za grzech śmiertelny.

Dana zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem przyczyną wylewów nie był lęk przed ujawnieniem prawdy. Ellie Jo musiało być ciężko, kiedy wychwalała Earla na głos i tłumiła wszystkie straszne myśli na jego temat.

A Earl? Dobroduszny, pobożny Earl? Jak wszyscy, Dana go podziwiała. Był miłym, spokojnym mężem, pozostawił załatwienie formalności rozwodowych pierwszej żonie. Dlaczego jednak

nie upewnił się, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik? Przecież chyba przed następnym ślubem chciał mieć w dłoni dokument rozwodowy? Czemu pozostawił pytanie bez odpowiedzi żonie, która, jak twierdził, była światłem jego życia?

Dana czuła się przeraźliwie smutna. Veronica otarła się o nią, więc ją objęła i ukryła twarz w kocim futrze. Jakby wyczuwając ból wnuczki swojej pani, Veronica nie protestowała.

W końcu Dana wytarła twarz i się podniosła. Zebrała papiery i wepchnęła je w ścianę, do schowka przygotowanego przez Ellie Jo, po czym starannie zasłoniła miejsce izolacją. Nikt, kto nie wiedział, gdzie szukać, nie miał szans ich znaleźć, a Dana potrafiła trzymać język za zębami. Najwyraźniej Ellie Jo postanowiła zabrać sekret Earla do grobu. Jej wnuczka nie zamierzała tego zmieniać.

Czy było to słuszne posunięcie? Dana nie wiedziała. Ktoś mógłby oświadczyć, że miała taką samą pewność, że Earl dopuścił się bigamii, jak Eaton w kwestii romansu matki. Zdaniem Dany jednak różnica polegała na tym, że sekret Eatona miał bezpośredni wpływ na życie innych, a sekret Earla i Ellie Jo nie.

Hugh stał na skraju patio i patrzył ponad ostatnimi kwitnącymi różami na morze. Lizzie spała w wózku obok. Na szczęście zmęczyły ją koszmarne wrzaski, które urządziła i z powodu których kilka razy sięgał po słuchawkę, żeby ściągnąć matkę z powrotem.

Jednak Lizzie nie była dzieckiem Dorothy. To Hugh musiał się nauczyć, jak postępować z córką.

Rozkoszując się wiatrem na twarzy, myślał o Lizzie i o swoim dziedzictwie. Czuł, że to powinno mieć wpływ na jego pracę, ale za każdym razem, gdy przeglądał w myślach sprawy, nie widział żadnych powodów do zmian. Z rozkoszą dodałby zarzut o dyskryminację rasową w związku z nieuzasadnionym rozwiązaniem umowy o pracę, w końcu chciał to zrobić, zanim jeszcze usłyszał o istnieniu Thomasa Belisle'a, ale to zwyczajnie nie byłoby rozsądne. Czy powinien zniekszałcać swój profesjonalny osąd tylko dlatego, że dowiedział się nowych rzeczy o samym sobie?

Nie mógł też sobie wyobrazić, jak sadza klientów w kancelarii i obwieszcza im, że właśnie dowiedział się o swoich afrykańskich korzeniach. Wywyższałyby się, i to w zupełnie nieuzasadniony sposób.

Dana powiedziała, że coś powinno się zmienić. Ale co?

Z wiatrem od oceanu dobiegł go jakiś szept, ale nim Hugh zrozumiał słowa, cofnęły się razem z falą.

Dana przyjechała do domu po Lizzie, nie zabawiła jednak długo. Postanowiła uspokoić się w sklepie. Usiłowała złościć się na Earla, że spartaczył tak istotną część swojego życia, ale dziadek już nie żył. Wobec tego jej gniew skupił się na Ellie Jo za to, że przez tyle lat cierpiała w milczeniu.

W chwili, gdy stanęła na progu Włóczkami, jej puls się uspokoił. Klientki siedziały przy długim stole, pracownicy wywijając drutami albo poprawiając wzory. Inne wertowały notesy pełne wzorów, szukając czegoś, co przypadnie im do gustu, jeszcze inne dotykały najnowszych włóczek, kolekcji zimowych wełen, alpaki, moheru i wełny z jaka. Część z nich była jaskrawa, inne ręcznie malowane i wielokolorowe.

Corinne James podziwiała te ostatnie. Była ubrana w granatowe spodnie i jedwabną koszulkę na ramiączkach, włosy starannie uczesała w koński ogon. Apaszka Hermesa zwisała z rączki jej torby Ferragamo.

Właśnie przyglądała się ręcznie malowanemu motkowi, którego barwa bardzo pasowała do jej stroju. Przypominała nieco czarną kratę.

— Bardzo ładna - zauważyła Dana, mijając klientkę.

Corinne uniosła wzrok.

— Może szalik dla Olivera? Czy sweter?

— Sweter. - Dana przystanęła. Nie mogła się oprzeć. Na sweter byłaby potrzebna włóczka o wartości kilkuset dolarów. Ale czy apaszka od Hermesa nie zasłużyła na doborowe towarzystwo?
- Sweter. Zdecydowanie.

Corinne wskazała głową śpiącą Lizzie.

- Jest bardzo ładna. - Uniosła wzrok. - Jak się miewa Ellie Jo?
- Chyba dobrze.

Corinne pokiwała głową. Podniosła próbkę zrobioną przez Ellie Jo zaledwie kilka dni wcześniej.

- To mnie uspokaja. Takie tradycyjne.

Sama trochę kupiłam - przyznała Dana. Zamierzała zrobić filcowaną torbę.

- Tego? Poważnie?

- Jest taka piękna. Nie mogłam się oprzeć.

Corinne znowu popatrzyła na motek. Trzymała go w dłoni, lekko ścisnęła, przyjrzała mu się w słońcu i w cieniu. Kupuj, pona-głała ją w myślach Dana, kiedy nagle przypomniał się jej czek bez pokrycia. Musiała o to spytać, ale coś w Corinne jej to uniemożli-wiało. Kruchość?

Dotąd Dana nigdy nie myślała o tym, że Corinne jest krucha. Może kapryśna, ale krucha? Nawet za nią nie przepadała, w prze-ciwienństwie do Ellie Jo.

- Wszystko w porządku? — zapytała teraz.

- No pewnie. - Corinne wydawała się zdumiona. — Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz, jakbyś była zmęczona. - Właściwie nie chodziło o zmęczenie, a napięcie. - Ostatnio rzadziej wpadasz.

- Och, to przez problemy z galą w muzeum. Ludzie, którzy mieli pracować nad reklamą, wymyślali rozmaite wymówki, żeby nie przychodzić na zebrania, a ostateczny termin przypada na przyszły tydzień. Musiałam poświęcić temu sporo czasu.

- Wszystko będzie dobrze.

- Z pewnością. - Odłożyła motek na miejsce. — To musi zaczekać. Jestem zbyt skołowana, żeby mieć pewność, czy kolor pasuje. Poza tym teraz nie będę miała czasu na druty. Proszę, przekaz Ellie Jo życzenia powrotu do zdrowia. Jeśli mogę cokolwiek dla niej zrobić, daj mi znać.

- Dobrze.

Dana patrzyła, jak Corinne wychodzi. Usiłowała zrozumieć, co w tej kobiecie ją niepokoi, kiedy nagle pojawiła się Saundra Be-

lisle. Dana uświadomiła sobie, że to stryjeczna prababka Lizzie. Dzięki temu Saundra nie była już tylko zaufaną przyjaciółką, ale w tym momencie jedyną krewną Dany w sklepie.

Bez wahania podała jej dziecko i bez wahania uściśnięła ją serdecznie. Saundra nie wydawała się zdziwiona.

- Twoja babcia wydobrzeje, Dana Jo — powiedziała cicho. - Jej czas jeszcze nie nadszedł. Czuję to całym sercem. Lada chwila znowu będzie siedziała na tym stołku.

Dana cofnęła się, żeby popatrzeć na twarz Saundry.

- Ale czy będzie w stanie funkcjonować?

- Może nie tak sprawnie jak dotychczas, ale na pewno.

- Porobić jakieś zmiany w domu?

- Jeszcze nie. Poczekajmy, aż dowiemy się więcej.

Saundra nie była wieszczką, ale Dana bardzo pragnęła wierzyć jej słowom. Pilnowała spraw w sklepie, jednocześnie mając oko na kołyskę. Trochę później nakarmiła Lizzie, a potem usiadła obok Saundry, żeby popracować nad farerskim szalem. Skończyła najbardziej pracochłonną część, dwadzieścia centymetrów skomplikowanego wzoru, który ciągnął się przy szerokiej dolnej krawędzi, ale nadal musiała zrzucać oczka w co drugim rzędzie, przesunąć znaczniki i kontynuować trudny wzór, aby ujednoczyć krawędzie i tylny klin w całym szalu.

Saundra dotknęła palcem rąbka szala.

- Wspaniała robota. Wełna jest idealna.

- Mieszanka alpaki i jedwabiu.

- Alpaka, żeby był ciepły, jedwab dla mocy i połysku - najlepsze z jednego i drugiego. Tak, mieszanki mają swoje zalety, prawda?

Dana uśmiechnęła się i nadal robiła na drutach. Czy w tych słowach kryła się analogia do ich obecnej sytuacji? Zamierzona analogia? Bez wątplenia.

Cisza między nimi nie była kłopotliwa. Dana zawsze czuła się swobodnie przy Saundrze, łączyło je wzajemne porozumienie. Chciała wypytać ją o dziadka Hugh, ale tego nie zrobiła. Zbyt ceniła sobie błogość tej chwili, żeby ją mącić.

Późnym popołudniem rozległ się dzwonek do drzwi. Po chwili w całym sklepie zapadła cisza. Zdumiona Dana uniosła wzrok. Ujrzała Hugh i tuż za nim, Eatona.

Saundra wstała. Dana uświadomiła sobie, że przyjaciółka nie patrzy na Hugh, lecz na jego ojca. Eaton wysunął się przed Hugh i ruszył w kierunku narożnika, gdzie siedziały. Sklep powrócił do normalnego rytmu, kasa wypłukała kartę kredytową, mechanizm szczęknął, druty znowu zaczęły brzęczeć.

Kiedy Eaton do nich dotarł, wyciągnął dłoń ku Saundrze.

- Jestem Eaton Clarke - przedstawił się.

Te formalności były lekko absurdalne, Eaton jednak nie umiał zachowywać się inaczej. Zresztą niby co miałyby zrobić, pomyślała Dana.

Saundra patrzyła na niego spokojnie.

- Saundra Belisle — powiedziała.

- Czy Thomas jest pani bratem?

- Był.

- Wiedziała pani, że Thomas miał romans z moją matką?

- Tak.

- Skąd?

Saundra uśmiechnęła się do niego.

- Tego się nie da wyjaśnić jednym słowem. Usiądźmy, proszę.

- Wróciła na sofę, na której siedziała przed chwilą obok Dany.

Dana nawet nie drgnęła. Nie była zadowolona, że Eaton wybrał sobie akurat tę chwilę na wizytę w sklepie. Chciała nieco dłużej nacieszyć się obecnością Saundry, zyskać jeszcze trochę czasu, by zebrać siły przed ponowną konfrontacją z Ellie Jo.

Jednak mogła sobie tylko wyobrazić, co czuł Eaton. Siedział sztywno wyprostowany, z nogą na nodze, i prostował zmarszczkę na spodniach gestem, który podpatrzyła u niego setki razy.

- Jak dowiedziała się pani o ich romansie? - zapytał.

Saundra odpowiedziała cicho, ale bez skrępowania:

- Brat był niemal dwadzieścia lat starszy ode mnie. Podziwiałam go. Włóczyłam się za nim. Miałam pięć lat, kiedy zaczął się spotykać z pana matką.

Eaton nie okazywał żadnych emocji.

- Czy kiedykolwiek widziała ich pani razem?

- Nie w łóżku, ale niedługo potem. I razem w ogrodzie. Byłam zbyt młoda, żeby zrozumieć, po co ludzie się rozbiegają. Kiedy dorosłam i zrozumiałam, spytałam Thomasa o tę sprawę. Przyznał się do romansu. Pochlebiało mu to. Pod tym względem był niepoprawny.

- Wiedział, że jestem jego synem?

- Nie. Z jego słów wywnioskowałam, że pana matka pociła się ze strachu przez całe lato, zastanawiając się, czy jej dziecko będzie kolorowe. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy urodził się pan taki podobny do niej. Nie, Thomas nie miał pojęcia, że jest pan jego dzieckiem.

- Pani miała.

Uśmiechnęła się do niego.

- Dopiero po narodzinach pańskiej wnuczki. Zawsze to podejrzewałam, więc strzygłam uchem, gdy tylko padło pańskie nazwisko. Był pan dobrym człowiekiem. Chciałam wierzyć, że Thomas to pana ojciec. Potem urodzili się pańscy synowie, Hugh wyglądał tak jak pan. Kiedy został prawnikiem, zastanawiałam się, czy nie odziedziczył upodobań po Thomasie. Więc i jego losy też mnie interesowały.

- Śledziła nas pani? — zapytał Eaton.

Saundra zachichotała.

- Nie jestem aż tak przebiegła. Szukałam wzmianek o was w gazetach. Kiedy Hugh miał ważny proces, czytałam o tym. Pan pisze książki, czytałam recenzje i słuchałam wywiadów. Poza tym oglądam telewizję. W zeszłym roku Hugh był w wiadomościach, kiedy reprezentował tego gościa, który strzelał na poczcie. A w „Boston Magazine” znalazłam artykuł o ojcach i synach. Zamieszczono zdjęcia was obu. Ten artykuł był strzałem w dziesiątkę.

Dana uśmiechnęła się na te słowa. Mężczyzn one nie rozbawiły, ale Hugh zapytał:

- Przeprowadziłaś się tutaj ze względu na nas?

- Niezupełnie. Mieszkałam na Vineyard - no, nie przez cały czas. Kiedy pracowałam jako pielęgniarka, mieszkałam w Bostonie.

Dwanaście lat temu przeszłam na emeryturę i wróciłam na wyspę, ale straciła swój urok. Zimą jest tam ciężko. Czułam się odizolowana od reszty świata. Im byłam starsza, tym bardziej pragnęłam przebywać nieopodal przyjaciół i lekarzy, do których mam zaufanie. Wobec tego wybrałam kilka dzielnic zamieszkałych głównie przez ludzi w podeszłym wieku i zaczęłam czytać miejscowe gazety, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Ślęczałam nad listą transakcji nieruchomości. - Rozpromieniła się. - Pewnego dnia znalazłam ciebie, Hugh. Okazałeś się kupcem tutejszej działki, więc powiedziałam do siebie: „Oto miejsce dla mnie”. I kupiłam dom.

- A Włóczkarnia? - chciał wiedzieć Hugh. — Od jak dawna tu przychodzisz?

Na to pytanie odpowiedziała Dana. Popatrzyła na Saundrę z mieszaniną podziwu i rozbawienia, po czym odparła:

- Zaczęłaś tuż przed moim ślubem, pamiętam. Tyle się działo w moim życiu, a ty weszłaś tu sobie spokojnie i kupiłaś włóczkę.

W ciemnych oczach Saundry pojawił się błysk.

- Zawsze lubiłam robić na drutach. Nie mogłam się tutaj nie zjawić.

- Wiedziałaś, że wychodzę za Hugh?

- Szczerze mówiąc, nie. — Sama wydawała się zdumiona. — To był przypadek. Podśluchałam rozmowę o nadchodzącym ślubie, ale nazwisko Hugh padło dopiero po dłuższym czasie. - Uniosła brew. - Najwyraźniej przegapiłam zawiadomienie o zaręczynach. Ale widziałam to o ślubie. Było piękne ogłoszenie na całą stronę w „Timesie”. - Przeniosła wzrok z Hugh na Eatona.

- To dopiero był strzał w dziesiątkę - podsumowała Dana. W gazecie zamieszczono z pół tuzina zdjęć.

- Właśnie.

Eaton zdjął nogę z nogi.

- Trochę to zajmie, zanim przywyknę.

- Do mnie?

- Do pani. - Zamachał ręką. - Do siebie. Do Lizzie. Do tego wszystkiego.

- Dopiero się pan dowiedział?

- Wczoraj.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Ja miałam kilka tygodni. Dzięki temu mogę na to patrzeć z pewnej perspektywy.

- Nic pani nikomu nie powiedziała — oświadczył Eaton.

Dana zastanawiała się, czy pyta, czy też ostrzega Saundrę, kiedy starsza pani odrzekła:

- Nie musiałam nikomu nic mówić. Sama świadomość sprawia mi radość. Czytałam wszystkie pana książki. Czuję dumę na myśl, że jestem pańską ciotką.

Eaton mocniej zacisnął wąskie usta. Dana zawsze sądziła, że to cecha Clarke'ow, ale uderzyło ją, że matka teścia miała identyczne wargi. Zastanawiała się, które rysy odziedziczył po Thomasie Belisle'em. Na miejscu Eatona poprosiłaby o zdjęcie. Chciałaby wiedzieć wszystko o Thomasie, znać jego ulubione potrawy, hobby i zainteresowania. Chciałaby dowiedzieć się czegoś o innych dzieciach Thomasa.

Nie zapytała Jacka Kettyle o żadną z tych rzeczy. Jednak była ich ciekawa.

Odwróciła się do Eatona w chwili, gdy jej teść pytał:

- Czego pani potrzeba?

Saundra znieruchomiała. W jej oczach nie było już ciepła.

- Usiłuje pan sobie kupić moje milczenie? - zapytała. - Nie ma potrzeby. Nie dzielę się z ludźmi poufnymi informacjami. Dana, czy powiedziała ci cokolwiek? - Dana pokręciła głową, a Saundra dodała: - Nawet twoja babcia o niczym nie wie. - Popatrzyła na Eatona. - Mój brat miał reputację uwodziciela. Nie uciszę plotek, ale nawiązałam kontakt z jego dziećmi, ich dziećmi i dziećmi tych dzieci. Powitały mnie z radością, ja je również. Innej rodziny nie mam, pani Clarke. Pyta pan, czego potrzebuję? Od pana zupełnie niczego.

- Proszę wybaczyć. - Eaton ściągnął brwi. - Nie miałem na myśli nic złego.

- Może i nie — przyznała Saundra. — Ale ja nie chcę litości. Nie proszę o nic, za co sama nie mogłabym zapłacić, a stać mnie na wiele, dziękuję.

Dana jeszcze nigdy nie widziała takiej miny teścia. Przysięgłaby, że jest upokorzony.

- Przepraszam - westchnął. - Usiłuję sobie to wszystko poukładać i najwyraźniej powiedziałem nie to, co trzeba. Jest pani moją rodzoną ciotką. Gdybym miał inną ciotkę, a nie mam, zadałbym jej to samo pytanie. Nie ma to absolutnie nic wspólnego z faktem, że Thomas był kolorowy.

Saundra złagodniała.

- Zapewne przesadziłam - oznajmiła z godnością. - Gdyby był pan mną, zrozumiałby pan, że zwykle takie uwagi mają wiele wspólnego z kolorem skóry. Chyba i ja usiłuję sobie to wszystko poukładać.

26

Hugh nie był zadowolony, kiedy o ósmej rano w niedzielę rozległ się dzwonek do drzwi. Nawet półgłówek powinien się domyślić, że sen jest niezwykle cenny w domu, w którym niedawno na świat przyszło dziecko. Co więcej, po raz pierwszy od kilku tygodni Dana spała tuż obok niego. Być może nieświadomie przesunęła się we śnie, ale i tak od narodzin Lizzie nie leżeli tak blisko siebie.

Teraz zerwała się zaniepokojona.

- Dzwonek. Gdyby coś stało się babci, zatelefonowaliby, prawda?

- Na pewno - wymamrotał, gramoląc się spod pościeli. Wskoczył w dżinsy, zbiegł ze schodów i otworzył drzwi, gotów nawrzeszczyć na intruza.

Robert pierwszy zaczął wrzeszczeć. Sam wyglądał, jakby przed momentem wstał z łóżka.

- Coś ty narobił, do cholery?!

- Wiesz co wygaduje ojciec? Że jesteśmy czarni - on jest czarny, ty jesteś czarny, ja jestem czarny. Coś ty mu powiedziała?!

-Ja?

- Wszystko przez twoje dziecko, przez twoją żonę, która puszczała się z kim popadnie. Nie chrzań mi o badaniach DNA, tam jest ogromny margines błędu. Tata przyszedł do mnie godzinę temu, mówiąc, że przez pół nocy deliberował nad tym, kiedy najlepiej mi powiedzieć, i w końcu doszedł do wniosku, że teraz. Co

się z tobą dzieje, Hugh? Brad się wścieka, bo grozisz pozwaniem Hutch'a do sądu w sprawie o ojcostwo jakiegoś dzieciaka! Daj spokój. Romanse się zdarzają. Nieślubne bachory też. Problem robi się wtedy, kiedy ktoś ma takiego brata jak ja, który chce, żeby wszyscy byli równie nieszczęśliwi jak on.

U boku Hugh pojawiła się Dana i objęła męża w talii.

- Robert - odezwała się w ramach powitania.

- Dana, dasz nam parę minut? - warknął. - To sprawa między Hugh a mną.

Nawet nie drgnęła.

- Nie jestem nieszczęśliwy - oświadczył Hugh. - A to, co powiedział ci tata, jest prawdą.

- Opanuj się! - wrzasnął Robert. - W życiu nie słyszałem podobnych bzdur! Znasz chyba historię rodziny?

- Romanse się zdarzają. Przed chwilą to powiedziałeś.

- Poważnie uważasz, że matka taty miała romans? Ten sople lodu? Jeśli uprawiała seks z kimkolwiek poza swoim mężem, to musiał być gwałt.

- Nie, długoletni romans. Mamy dowody.

- A tak. Siostrę. Tata wspomniał mi o niej. Nie uważasz, że ona czegoś chce? Nie przyszło ci do głowy, że wygra na tym, że będzie rozpowiadała o swoim pokrewieństwie z Eatonem Clarkiem? Ja tego nie kupuję. Nie powiem swoim dzieciakom, że są czarne. Nie powiem tego ludziom, z którymi pracuję, a już za cholerę nie powiem tego Bradowi.

- Tata to zrobi.

- I tak ma przesrane u Brada, co za różnica. Brad wie, co się dzieje. Nie jest durniem, ja też nie jestem.

- A jesteś hipokrytą, Robert?

- Nie większym niż ty.

- Ja jestem — wyznał Hugh i natychmiast się zawstydził. Nie mógł jednak cofnąć tych słów. - Ja jestem — powtórzył cicho. — Nie czułem się szczęśliwy, kiedy urodziła się Lizzie.

- Ale teraz się czujesz — powiedział Robert szyderczym tonem.

- Bo jesteś awangardą postępu, uderzysz się w pierś i oświadczysz:

„Hej, ludzie, jestem jednym z was i jestem z tego dumny”. A oni będą się śmiali, Hugh. Ja nie zamierzam być obiektem ich drwin.

- Umilkł. — Ty chcesz? Twoja sprawa. Ja nie. - Odwrócił się i ruszył po ścieżce.

- DNA to DNA! - zawołał za nim Hugh. - Jak zamierzasz z tym walczyć?

Robert odwrócił się do brata.

- Powiem każdemu, kto zapyta, że ojcu na starość odbiło, a ty usiłujesz kryć puszczałką żonę. - Popatrzył wilkiem na Dane.

- Twój stary to ksiądz? Dla mnie może nawet być papieżem. Doigracie się. - Uniósł obie ręce i odszedł.

Hugh patrzył za nim, aż eleganckie czarne BMW zniknęło za zakrętem.

- Zignorował to o DNA - mruknął.

Kiedy Dana nie odpowiedziała, popatrzył na nią. Zabrała rękę z jęgo talii i wsunęła dłonie do kieszeni szlafroka.

- Mówiłeś poważnie? - zapytała.

- Że jestem hipokryta? Tak.

- Hipokryta co innego mówi, a co innego myśli. Nie jesteś taki.

- Hipokryta to również człowiek dwulicowy, który uważa innych za gorszych od siebie.

- Ty taki nie jesteś.

- Myślisz? Sam nie wiem, Dee. Czasem zachowuję się tak, a czasem inaczej. Nazwałbym to arogancją.

- A ja prawdziwym życiem. Wcześniej tam, gdzie w grę wchodziły sprawy rasowe, postępowałeś jak należy.

- Dopóki to nie pojawiło się pod moim dachem.

- A niby co miałeś zrobić?

Popatrzył na drogę.

- Robert uważa, że powinniśmy ukryć pokrewieństwo Thomasa z naszą rodziną. Myśli, że to źle wpłynie na jego życie. I mówi, że się doigramy. — Popatrzył na żonę. — Myślisz, że ma rację?

Gdy Dana wróciła do szpitala, myślała o tym, jakie piętno odiskają sekrety na tych, którzy ich dochowują. Była przekonana, że wylew Ellie Jo to rezultat napięcia związanego z ukrywaniem pierwszego małżeństwa Earla.

Wchodząc do pokoju babci, wyszeptwała jej imię. Ellie Jo nie odpowiedziała. Teraz leżała w prywatnej jedyńce, z jednym monitorem, który cicho brzęczał.

Dana przysunęła krzesło i usiadła tuż przy łóżku, po czym oparła dłonie na poręczy. Chociaż długo zwlekała z wizytą, żeby się uspokoić, nadal była zła.

— Powinnaś była mi powiedzieć - szepnęła. - Powinnaś była mnie wtajemniczyć w sekret dziadka Earla. I tak bym go kochała. Naprawdę myślałaś, że przestanę?

Ellie Jo westchnęła. Dana nie była pewna, czy to zbieg okoliczności.

— I nie przyszło ci do głowy, że trzymając to w tajemnicy, możesz się rozchorować? — ciągnęła. — Ukrywałaś to, napięcie narastało i w końcu miałaś wylew. To nie fair, babciu. Istnienie żony w separacji to tylko wzmianka w gazecie. Dziadek był pewien, że jest po sprawie. Gdy brał z tobą ślub, działał w dobrej wierze.

Usta Ellie Jo się rozchyliły.

— Czyżby? - wyszeptwała.

Dana się wyprostowała.

— Obudziłaś się. Jak się czujesz?

Starsza pani nie otworzyła oczu, ale na jej ustach pojawił się krzywy półuśmiech.

— Otepiała.

— I dobrze — oświadczyła Dana gniewnie. - Powinnaś się tak czuć. - Wcale nie miała na myśli leków. - Żle postąpiłaś, nie mówiąc mi o niczym. Zrobiłaś z igły widły.

— Naprawdę?

— Dziadek Earl wcale nie zamierzał być mężem dwóch kobiet naraz. Nie miał o niczym pojęcia.

-Jesteś pewna?

— A ty nie?

- Nie. Ale powiedz, że ty tak. Dzięki temu lepiej się poczuję.

- Och, babciu. - Dana była wkurzona. - Czy przez te wszystkie lata usiłowałaś przekonać samą siebie?

W jej uszach wciąż brzmiały słowa Ellie Jo. Earl był kochany - Earl był kochający - Earl był najlepszy pod słońcem. Całe miasto w to wierzyło.

Ellie Jo otworzyła oczy.

- Być może wyślą mnie na rehabilitację. - Mówiła powoli, z trudem. — Zajmiesz się Veronica?

Dana odetchnęła głęboko i spróbowała powściągnąć gniew.

- Oczywiście. Sklepem również.

- Co do Veroniki... - Teraz słowa były bełkotliwe. — Nigdzie jej nie zabieraj. Lubi swój dom.

- Będę do niej wpadała każdego dnia.

- Rozmawiaj z nią. - Ellie Jo zamknęła oczy. - Ale nie... mów... jej... o Earlu.

Gniew Dany powrócił. Nieważne, że mówiły o kocie, Dana miała już dosyć kłamstw.

- Veronica zapewne o wszystkim wie. Była na strychu, razem z tobą, kiedy chowałaś te dokumenty.

- Nie... umie... czytać. Zajmij się nią, Dana Jo. I słuchaj... matki.

Wzmianka o Elizabeth nie poprawiła sytuacji.

- Matki? - powtórzyła Dana. — Matki, która kłamała na temat mojego ojca? Matki, która przez tyle lat trzymała mnie z dala od niego? Moja matka nie jest żadnym aniołem.

- Nikt z nas nie jest. - Ellie Jo głęboko westchnęła.

- Odpoczywaj, babciu - powiedziała Dana z lekkim rozdrażnieniem i wstała. - Wrócę jutro.

- Nie złość się...

Ale Dana była zła. Była zła nawet na Elizabeth i to ją przygnębiało. Przez to czuła się skłócona ze wszystkimi i samotna. Najbardziej odczuwała to podczas jazdy do domu i zadzwoniła do ojca Jacka. Był księdzem. Księża słuchają wiernych. Mają nieść pociechę i radę.

- Halo? - odezwał się.
- Już po mszy?
- Zapadło milczenie, po czym usłyszała pełne wahania:
- Dana?
- Tak. Nie wiem, kiedy ksiądz ma wolne.
- Teraz jest dobry moment.
- No to dobrze - odparła. — Chyba.
- Dziękuję, że oddzwoniłaś.
- Jestem dobrze wychowana.
- Znowu nie spieszył się z odpowiedzią.
- Chyba jesteś zła. Na mnie?
- Na księdza, na moją matkę. I na babcię. Na męża. Na teścia.
- Urwała. - Mam kontynuować?
- Zależy. Został ktoś jeszcze?
- Dana uśmiechnęła się pod nosem.
- Mogłam też wściekać się na teściową za to, że czasem przy mężu zachowuje się jak pustak, tylko że ona przechodzi przez to wszystko z mojego powodu.
- Czy masz na myśli kwestię koloru skóry twojej córki?
- Przede wszystkim. - Nie miała siły opisywać mu całej reszty.
- Co do męża... Z nim jest coraz lepiej.
- Kiedy tu był, odniosłem wrażenie, że z nim wszystko w porządku.
- Jak mówię, jest z nim coraz lepiej. Zaczynam podejrzewać, że to ja stanowią problem. Nie tylko dla niego, ale dla wszystkich.
- Czy ten gniew jest uzasadniony?
- Zastanawiała się nad tym przez chwilę.
- Tak mi się wydaje. Zdarzają się różne rzeczy, rzeczy, których się nie spodziewamy i nie rozumiemy. Można je wyprzeć, kłamać na ich temat albo zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego.
- Zrobiło się jej smutno. - Dlaczego ludzie tak postępują?
- Bo nie są doskonali.
- Nie wiedzą, że ranią innych?
- Kiedy myślą trzeźwo, wiedzą.

- Każda z osób przeze mnie wymienionych zrobiła coś, co moim zdaniem było bardzo egoistyczne.

- Nie wzięli pod uwagę twoich uczuć?

- Właśnie. Zgadza się. - Szybko odetchnęła. — Tyle że teraz przyszło mi do głowy, że to ja jestem samolubna. Jestem? Czy zbyt wiele żądam, jeśli proszę najbliższych mi ludzi, by brali mnie pod uwagę przy podejmowaniu ważnych decyzji?

- Nie. Masz prawo tego oczekiwać.

- A jeśli tak się nie dzieje, co powinnam robić?

- Porozmawiać z nimi. Wyjaśnić, co czujesz. Miejmy nadzieję, że w przyszłości postąpią inaczej, przynajmniej w sprawach związanych z tobą.

Jego głos przynosił jej ukojenie.

- Nauczyli tego księdza w seminarium? — zapytała. Wydawało się jej, że słyszy chichot.

- Nie. Życie mnie tego nauczyło. - Spoważniał. — Dana, daleko mi do doskonałości. Nasz Pan wie, ile popełniłem błędów. Ty jesteś najważniejszym - to znaczy nie twoje narodziny, ale to, co zrobiłem potem. Powinienem był odszukać twoją matkę. Powinienem upewnić się, że nic jej nie jest. Bardzo żałuję, że tego nie zrobiłem. Zaślepiły mnie własne potrzeby. Chciałbym cię teraz bardzo za to przeprosić.

Dana milczała. Nie wiedziała, jak zareagować na te przeprosiny. Czuła się tak samo zagubiona jak wtedy, kiedy zginęła jej matka.

- Życie jest pełne rozmaitych „a gdyby” - ciągnął ojciec Jack. - Tyle że odnoszą się do przeszłości. Możemy je rozpamiętywać, rozpamiętywać przeszłość, albo iść przed siebie. Ja chcę iść przed siebie.

- Ksiądz się tego nauczył. Czy to dzięki wierze?

- Raczej dzięki zdrowemu rozsądkowi. Nie zawsze odnoszę sukcesy. Na przykład nie wiedziałem, jak sobie poradzić z faktem, że mam jeszcze jedną dorosłą córkę.

Oczy Dany wypełniły się łzami. Jechała przed siebie bez słowa.

- Chciałbym cię poznać.

- Teraz nie mogę o tym myśleć.

- Przecież zadzwoniłaś.

Rzeczywiście. To było interesujące.

- Bo ksiądz jest duchownym, a ja potrzebuję pomocy — usiłowała wytłumaczyć to i sobie, i jemu. - Źle się zachowuję. Nie jestem z tego dumna.

- Uświadomienie sobie problemu to pierwszy krok. Masz go za sobą.

- Co dalej?

- Wybacz sobie. Mówiłem ci to już wcześniej, Dana. Nikt z nas nie jest doskonały.

-I co wtedy?

- Postaraj się być ponad tym. Kiedy jesteś z kimś, kto wzbudza twój gniew, zmusz się, żeby znaleźć trzy zalety takiej osoby.

Ogromna ciężarówka minęła Dane z prawej strony. Na zderzaku, wielkimi literami napisano JEZUS MOIM PRZEWODNIKIEM.

- Czy to z Ewangelii? - zapytała ojca Jacka.

- Nie - odparł cicho. — To moje. Zawsze powtarzałem to swoim dzieciom. Chyba pomagało.

W poniedziałek Hugh był w kancelarii, pisał streszczenie apelacji i znowu czuł, że stąpa po solidnym gruncie, kiedy zadzwoniła zdenerwowana Crystal. Jej głos brzmiał równie histerycznie jak tamtego pierwszego dnia w szpitalnym ogrodzie.

- Przyszedł tu jakiś facet i zaczął wypytywać o mnie i Jaya. Zapytałam, kim jest, a on oświadczył, że to rutynowe przesłuchanie, więc znowu zapytałam, jak się nazywa, ale mi nie powiedział. No to ja powiedziałam, że nie będę z nim rozmawiać, a on mi na to, że pożałuję. Poprosiłam o dokumenty, wtedy facet wycelował we mnie palec, jakby mnie ostrzegał, i wyszedł. Znał moje imię, i Jaya też, i wiedział, gdzie pracuję. To na pewno senator go nasłał.

Hugh odsunął się od komputera.

— Usiłuje cię zastraszyć.

- No to mu się udało. To był wielki facet, mógłby roztrzaskać mi drzwi i nawet by się przy tym nie spocił. Niby co mam teraz robić? Wyprowadzić się? Nie stać mnie na alarm, a poza tym alarm nic nie da, jeśli postanowią spalić mi dom. To byłby koniec mojej sprawy przeciwko senatorowi.

— Nie spali ci domu, Crystal.

— Skąd wiesz?

- Bo to by nie było zastraszanie, tylko morderstwo.

- A Hutchinson nie posunąłby się do tego? Skąd ta pewność? Może jednak daruję sobie tę sprawę.

— Jeśli tak, to za co wyślesz Jaya do St. Louis? - Kiedy nie odpowiedziała, dodał: - Muszę cię o coś zapytać, Crystal. To

ważne. Czy poza senatorem jest ktokolwiek, kto chciałby cię przestraszyć?

- Nie.

- A twoja matka?

- Matka?

- Nie jesteście w najlepszych stosunkach.

- Nie najlepsze stosunki nie oznaczają, że się nienawidzimy.

Była tu w sobotę i niedzielę, przyniosła jedzenie. Nie ma pieniędzy, żeby mi je dać, i nie może pomóc w opiece nad Jayem, bo pracuje na dwunastogodzinnych zmianach. Ale jest w porządku. Poza tym ja znam ludzi, z którymi się zadaje. Ten facet to nie był jeden z nich.

- Nie przedstawił się?

- Mówiłam ci już, że nie. A jeśli wróci? Go zrobię?

- Zachowaj spokój i zamykaj drzwi na zamek. Jeśli pokaże się raz jeszcze, wezwij policję. Tymczasem ja zadzwonię do adwokata senatora.

Dodzwonienie się do Dana Drummonda trwało pięć minut, w których trakcie sekretarka Drummonda „szukała go”, chociaż Hugh podejrzewał, że facet przez cały czas był na miejscu.

- Witaj, Hugh - odezwał się Drummond przyjacielsko.

- Wcześniej dzwonisz. Myślałam, że mamy czas do środy.

- To senator ma czas do środy, Dan, ale wyskoczyło coś nowego. Moja klientka jest nękana.

- Cóż to znaczy?

- Odwiedził ją groźnie wyglądający facet, który wie znacznie więcej, niż powinien. Przekaż Hutchowi, żeby już go na nią nie nasyłał.

- A co Hutch ma z tym wspólnego?

Hugh westchnął.

- Daj spokój, Dan. Nie bawmy się w te gierki.

- Żadnych gierki. Co Hutch ma wspólnego z jakimś mężczyzną, który odwiedził twoją klientkę?

- Może i nic. Podejrzewałam, że najmie detektywa, żeby rozmawiał z jej znajomymi, ale fachowiec z pewnością nie skontakto-

wałby się z moją klientką. W końcu jest reprezentowaną stroną. To pogwałcenie zasad etycznych. Jeśli zdarzy się to ponownie, zwołałam konferencję prasową i wszystko opiszę. Hutch może nie mieć nic wspólnego z facetem, który dobijał się do drzwi mojej klientki, ale media zapewne będą uważały inaczej. Uwielbiają takie sprawy. Powiedz mu, żeby więcej nie wysyłał tego człowieka, chyba że chce, aby te fakty ujrzały światło dzienne. A skoro już o tym mowa, racz mu przypomnieć, że ma czas do środy - albo uzna swoje ojcostwo, albo zgodzi się na przeprowadzenie badania DNA.

- Środa już niedługo - wymamrotał Drummond, całkiem jakby sprawdzał w kalendarzu, czy może umówić się na lunch. - Senator przygotowuje projekt ustawy...

- Wiem o projekcie - przerwał mu Hugh. — Chodzi o obniżenie wieku szkolnego wśród ubogich dzieci. Bardzo bym nie chciał, żeby powstała plama na wizerunku senatora tylko dlatego, że nie raczy zadbać o własne dziecko.

- Senator przygotowuje projekt ustawy — powtórzył Drummond, jakby nie słyszał Hugh. — I to szybko, bo plan wymaga pieniędzy. Niektórzy w Kongresie nie mają ochoty wydawać zbyt wiele na biednych. Hutch do nich nie należy. Haruje jak wół, żeby zgromadzić poparcie. Śmiem twierdzić, że to ważniejsze niż jakieś spreparowane zarzuty kobiety, której nawet nie zna.

- Środa albo upublicznię sprawę.

Kilka minut po zakończeniu rozmowy Hugh wszedł do gabinetu swojego współpracownika. Julian Kohn wiedział wszystko o sprawie Crystal, Hugh informował go na bieżąco. Teraz opisał ostatnie posunięcie senatora.

- Myślisz, że się mylę? — zapytał. - Crystal przysięga, że nikt inny nie ma powodu jej grozić, i sądząc po śledztwie Lakeya, nie kłamie. Ta kobieta nie jest hazardystką ani narkomanką, płaci czynsz na czas. Ma trzy karty kredytowe, ale zawsze spłaca zadłużenie, a jej historia kredytowa jest w porządku. Wszyscy w pracy ją lubią.

Julian zdjął okulary, odchylił się na krześle i położył stopy na blacie biurka.

- Postępujesz słusznie - powiedział. - Ja też jej wierzę. I tak, myślę, że senator kogoś nasłał. Czy już tak nie zrobił z tym asystentem, który odszedł z jego sztabu, żeby pracować dla konkurencji?

- Coś w tym rodzaju. - Hugh zaczął spacerować po pokoju. Wszystko tu było nowe i pięknie zaaranżowane przez Dane, która odpowiadała za wystrój większości pomieszczeń w kancelarii. Gabinet Juliana różnił się jednak od gabinetu Hugh. Ojciec Juliana był rzeźnikiem, matka gospodynią domową. Nie mieli pieniędzy na książki w skórzanych oprawkach i podpórki z brązu, ani na edukację. Kiedy Julian skończył prawo, jego długi urosły niemal do stu tysięcy dolarów. Od tamtego czasu zarobił mnóstwo pieniędzy, ale nigdy nie zapomniał o korzeniach. Prostota wnętrza to odzwierciedlała.

Hugh również nie zapomniał o korzeniach. Niestety, okazały się fikcją.

- Chcesz usłyszeć coś dziwnego? - spytał, po czym opowiedział Julianowi o swoim dziadku.

W połowie opowieści Julian opuścił nogi na podłogę.

- To niesamowite - oświadczył, gdy Hugh skończył. - I twój ojciec z tym żył?

- Wmówił sobie, że to nieprawda.

- Chodziło o jego matkę, Hugh. Matkę. Zważywszy na to, ile znaczy wasza rodzina, mogę zrozumieć, że nie chciał, aby te plotki okazały się prawdą. Jego milczenie niekoniecznie musi świadczyć o hipokryzji, raczej o rodzinnej lojalności.

—Jesteś bardzo wyrozumiały.

- Nie zawsze. Miałem cioteczną babkę, która dorastała w Europie Wschodniej. I ona, i jej mąż wypierali się żydowskiego pochodzenia, żeby uniknąć holokaustu. Nawet po emigracji do Nowego Jorku zaprzeczali. Ich dzieci także. Moi kuzyni wciąż nie przyznają się do tego, że są Żydami. Mogę to zrozumieć. Żydów w ich mieście wyłapano i pozabijano.

- Kłamali, żeby ocalić swoje życie. Nie jestem pewien, czy można ich potępić - powiedział Hugh.

- Ja ich nie potępiam, w każdym razie nie za kłamstwa. Za to,

że nie potrafią docenić życia. Przez cały czas narzekają. W rozmowach ciągle twierdzą, że coś im odebrano — pracę, dom, mistrzostwo w golfie - a to wszystko dlatego, że ktoś inny ma trochę więcej pieniędzy albo lepszą pozycję. Zawsze wypadają gorzej. Nigdy nie są wystarczająco dobrzy. To poczucie winy. Niszczy pewność siebie. Ale twój ojciec... No cóż, żył z wątpliwościami, a mimo to zdołał dokonać czegoś w życiu. - Uśmiechnął się. — Mulat? Super.

Jego oczy pojaśniały. Obrócił się na fotelu, otworzył szufladę w komodzie za biurkiem i wyjął z niej aparat fotograficzny.

- Musisz to zobaczyć. - Zaczął przeglądać zdjęcia. — Czekaj, już prawie mam. — Minęło kilka sekund. — Proszę.

Odwrócił aparat, żeby Hugh mógł się przyjrzeć. Hugh wstał, chcąc lepiej widzieć. To zdjęcie Julian zrobił dwa tygodnie wcześniej. Hugh pamiętała tamtą chwilę. Czuł się jak hipokryta, uśmiechając się do obiektywu i udając szczęśliwego, świeżo upieczonego tatusia, mimo że on i Dana właściwie ze sobą nie rozmawiali.

Na tej fotografii jednak się nie uśmiechał. Hugh przewinął do zdjęcia z uśmiechami.

- To mi się nie podobało - zauważył Julian. - To, które ci pokazałem, jest prawdziwsze.

Hugh przyjrzał się fotografii raz jeszcze. Pozy były takie same - Dana trzymała Lizzie, Hugh stał przy jej boku i obejmował obie ramieniem. Uśmiechy jednak zniknęły i zamiast patrzeć w obiektyw, patrzyli na Lizzie.

Tak, to zdjęcie było bardziej prawdziwe i bardzo piękne.

- Wyślesz mi je mailem? - zapytał Hugh.

Następnego dnia projekt ustawy autorstwa Hutchinsona trafił do prasy. HUTCHINSON-LOY SKUTEKZNIE PRZE DO GŁOSOWANIA. Artykuł ze szczegółami opisywał zdradę jednego z ważniejszych członków opozycji podczas głosowania, w którym miała obowiązywać dyscyplina partyjna. Zmiana poparcia Zwiastowała przesilenie w podziale poparcia przy głosowaniu nad nową ustawą.

Dana, która przeczytała artykuł podobnie jak Hugh, przewróciła stronę, żeby przeczytać ciąg dalszy.

- Posłuchaj tylko tych sloganów — powiedział nad jej ramieniem. - „Oto zwieńczenie życiowej walki senatora Hutchinsona o prawa biednych”. „Żaden senator nie pracował ciężiej od Stana Hutchinsona na rzecz biednej części społeczeństwa”. „Doświadczony senator z Connecticut wspiera wrażliwe społecznie ustawodawstwo”.- Hugh prychnął. - Jeśli ten projekt przejdzie, to tylko dlatego, że mamy rok wyborów, a senatorzy, którzy liczą na reelekcję, trzęsą się ze strachu.

- Ale to dobra ustawa, prawda? - zapytała Dana.

- Zdecydowanie tak. Nie mogę nic zarzucić Hutchinsonowi. Nie zamierzam przyczepić się do niczego, co zdołał w senacie przez dwadzieścia lat. Winię go jednak za to, że zostawia moralność na Kapitolu. To, co robi w senacie, bardzo się różni od tego, jak postępuje w życiu. Czy kiedykolwiek dał potrzebującym choćby centa więcej, niż oczekivaliby od niego wyborcy? Czy kiedykolwiek nie przespał się z kobietą, która była atrakcyjna i chętna? Czy kiedykolwiek nie użył taktyki silnej ręki, kiedy czuł, że ktoś może popsuć mu szyki?

Dana nie odpowiedziała. Czytała właśnie wzmiankę, upchniętą wśród innych artykułów: MIEJSCOWY MARSZAND OSKARŻONY O OSZUSTWO. Był to tylko jeden akapit i niewiele informacji, ale nazwisko marszanda wprawiło ją w osłupienie. Zdumiona pokazała je palcem.

- Wiesz, kto to?

Hugh przeczytał wzmiankę.

- Oliver James?

- Jego żona ciągle przesiaduje we Włóczkami, czy też raczej przesiadywała. - Dana była zaszokowana. - Ostatnio rzadko wpada. Musiała się tego spodziewać. Jak myślisz, co zrobił?

- Oszustwo w świecie sztuki zazwyczaj oznacza sprzedawanie kopii jako oryginału. — Hugh popatrzył na Danę. — Czy ja znam tę żonę?

- Ma na imię Corinne. Pamiętałbyś, gdybyś ją poznał. To zdu-

miewające. - Nie czuła satysfakcji. Pamiętała, jak przyszło jej do głowy, że Corinne jest krucha. - Jej mąż oskarżony? Na pewno potwornie się czuje.

- Zadzwoisz do niej?

- Nawet nie znam numeru. Mieszkają na Greendale.

- Wielkie posiadłości - zauważył Hugh.

- Uhm. - Wielkie posiadłości, wielkie trawniki, wielkie auta, co tylko dowodziło, że za wielkie pieniądze nie zawsze da się kupić spokój ducha. Dana usiłowała sobie wyobrazić, co czuje Corinne, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Przyszła Susan Johnson, była żona Davida.

Susan wydawała się znacznie bardziej surowa, niż była w rzeczywistości. Miała długie, proste włosy i czarny strój — spodnie do jogi, koszulkę bez rękawów, krótką bluzę z kapturem i espadryle. U Davida leżała wielka czarna torba wypełniona niezbędnymi rzeczami. Wesoły, szeroki uśmiech kobiety kontrastował z tą czernią. Od razu widać było, że Susan to mama Ali.

- Susan. - Dana otworzyła siatkowe drzwi. - Nie wiedziałam, że jesteś w mieście.

- David bez przerwy powtarzał, że Ali nie chce wracać do Nowego Jorku. Było coraz gorzej. John i ja postanowiliśmy przyjechać, żeby wyjaśnić sprawy. Przecież w tym tygodniu musi wrócić do szkoły.

- Nadal się opiera?

- Już nie, bo rozwiązaliśmy problem.

Hugh dołączył do nich.

- Chodziło o szkołę?

- Tylko i wyłącznie. To wspinała szkoła, najlepsza, i dlatego byłam zachwycona, kiedy John postanowił uruchomić swoje kontakty i ją tam umieścić. Potem zadzwonił David i zdecydowaliśmy się przejrzeć statystyki. No tak, nie są aż tak przychylni mniejszościom, jakbym sobie życzyła. Ali musiała to wyczuć, kiedy wiosną zniecka tam wpadliśmy. Ktoś powinien przełamać barierę rasową, ale być może moja córka nie jest jeszcze na to gotowa. Szkoła, do której chodziła dotychczas, też jest dobra, a Ali ją uwiel-

bia. - Susan znowu się uśmiechnęła. - Wróci tam i już bardzo się cieszy na spotkanie z przyjaciółkami.

- Ja również się cieszę — powiedziała Dana.

- I ja. Powinam była uświadomić sobie, że to może być problem. Po prostu nie przyszło mi to do głowy - westchnęła. - A tak w ogóle chciałam podziękować wam obojgu. Byliście dobrzy dla Ali.

- Ona była dobra dla nas - zauważył Hugh.

Susan zaczęła się wycofywać, nie spuszczać wzroku z Dany.

- Muszę poszukać sklepu z włóczką w mieście. Ali już mnie poinformowała.

- Znajdę ci coś. - Dana pomachała Susan. Kiedy zostali sami, odwróciła się do Hugh. - To trochę przerażające.

- Że Susan nie przewidziała problemu? Nawet bardzo. Jest bystra i świadoma, my też się za takich uważamy, ale kto wie, czy nie popełnilibyśmy podobnego błędu?

- Zapewne istnieją sposoby na jego uniknięcie - odrób lekcje, najpierw zgromadź wszystkie fakty, zanim wydasz wyrok.

- Mówisz jak prawniczka - zauważył Hugh bez uśmiechu. - Dobija mnie myśl, że Lizzie stoi na zewnątrz i tylko patrzy do środka, ale to się nieuchronnie stanie. Niektóre kręgi są nadal zamknięte.

- Wszystkie dzieci tego doświadczają, Hugh. To element dorastania.

- Ale problem rasowy to co innego. Poza tym chodzi o moje dziecko.

- Nie możemy jej przez cały czas chronić, będzie musiała się dowiedzieć, że istnieją uprzedzenia.

- Może to się zmieni, zanim Lizzie zdąży dorosnąć.

Jeśli to było pytanie, Dana nie znała na nie odpowiedzi. Podzielała jednak obawy Hugh. Objęła go w pasie i przycisnęła twarz do jego szyi.

Hugh na pewno kochał Lizzie. I to było naprawdę dobre.

*

Eaton siedział przed wyłączonym monitorem, kiedy w drzwiach biblioteki stanęła Dorothy.

- Wychodzę - oznajmiła.

- Dokąd? — zapytał pozornie lekkim tonem. Ostatnio ciągle kipiała złością.

- Nie wiem. Zobaczę, jak dotrę na miejsce.

Odpuść, przykazał sobie w myślach. Ale nie mógł.

- Wiesz, że to nie ma sensu?

- A musi mieć? - Uniosła brodę.

- Zawsze miało. Jesteś zorganizowaną kobietą.

- Tak było, kiedy mój dzień wypełniały usługi dla męża. Nie muszę być zorganizowana, kiedy robię coś dla siebie.

- Czyli teraz, po tym, jak odkryłaś, że twój mąż jest czarną owcą.

- Jeśli to jakaś aluzja do pochodzenia, to udam, że jej nie słyszałam. Robię coś dla siebie, bo zmęczyło mnie stawianie cię przed sobą. Nie zasłużyłeś na to, a jeśli uważasz, że to też ma coś wspólnego z kolorem skóry, to bardzo się mylisz.

- Dorothy - powiedział z pewną urazą. Postanowiła zostać niezależną kobietą akurat wtedy, gdy potrzebował swojej dawnej, dobrze znanej żony.

-Co?

Nie wiedział, od czego zacząć.

- Książka wychodzi w ciągu tygodnia. Wiedziałaś, że dzwonił mój brat?

To ją przystopowało.

-Nie.

- Kazał mi trzymać gębę na kłódkę.

- Dlaczego mnie to nie dziwi?

- Uważasz, że powinienem?

Otworzyła usta, żeby udzielić mu szybkiej riposty, po czym natychmiast je zamknęła.

- Pytasz mnie o opinię?

-Tak.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Czy mógłbyś powtórzyć pytanie?

Był na tyle rozsądny, żeby się nie uśmiechnąć, chociaż ledwie się opanował. Jego żona tak się skupiła na buncie, że miała kłopoty z koncentracją. To było ujmujące.

- Zapytałem, co twoim zdaniem powinienem zrobić z tym, czego dowiedziałem się o swoim ojcu.

Znów się zastanowiła.

- To, co podpowiada ci sumienie.

- Nic mi nie podpowiada.

W jej oczach pojawił się gniewny błysk.

- No dobrze, nie jestem szczególnie bystra. Gdybym była, pewnie w ostatnich czterdziestu latach pytałbyś mnie o opinię na temat innych rzeczy, przede wszystkim o to, czy przejmuję się, że plotki, które słyszałeś, dorastając, mogą być prawdziwe. Poważnie, Eaton, jesteś nieznośny. Wiesz, z czym masz problem?

Eaton mógłby wymienić przynajmniej kilka problemów, ale odparł:

- Nie.

- Nie znasz różnicy między potulnością a głupotą. Może przez te wszystkie lata byłam potulna, bo tego oczekiwano od mężatek w moich czasach - właściwie nie od wszystkich mężatek, tylko od tych z naszych kręgów społecznych, co zresztą zaczyna mnie mocno denerwować. Ale byłam potulna. Nie znaczy to jednak, że nie mam swojego zdania, ani że jestem głupia.

- Właśnie poprosiłem cię o opinię i nie potrafiłaś jej wypowiedzieć - zauważył.

- Nie potrafiłam? - Uniosła brew. - Z pewnością potrafiłabym, gdybym chciała.

Sfrustrowany Eaton westchnął.

- Wobec tego proszę cię o nią. Powiedz, co mam zrobić w sprawie swojej mniej niż chlubnej przeszłości.

Szeroko otworzyła oczy.

- Przestań uważać ją za niechlubną.

- Dot.

- Poważnie, Eaton. Dlaczego to taka tragedia? Czy to nie oka-

zja, żeby dowiedzieć się czegoś o sobie? Przecież nikt nie oświadczy, że jesteś oszustem, i nie odbierze ci pieniędzy.

- Pieniądze nie spędzają mi snu z powiek.

- I dobrze. - Uśmiechnęła się. - Zawsze to jakiś postęp.

Chciał i musiał zająć się drugim problemem.

- Nie sądzisz, że to trochę szokujące, że mój ojciec jest kimś innym, niż myślałem?

- Jasne. Tylko czy warto tak nad tym deliberować? Chyba nie - oświadczyła. - Chcesz usłyszeć prawdę, Eaton? Jesteś interesujący, bo piszesz o interesujących ludziach. Zaakceptuj, kim jesteś, dowiedz się czegoś o swojej przeszłości, może nieco zmienić przyszłość, i szczerze mówiąc, sam z siebie możesz być interesującą osobą.

I z tymi słowami wyszła.

Projekt ustawy Hutchinson-Loy przeszedł trzema głosami. To ucieszyło Hugh. Jeśli Hutch czuł się zwycięzcą, mógł okazać się hojniejszy dla Crystal Kostas i jej syna.

Przynajmniej w teorii.

Dan Drummond podważył ją w środowy poranek, kiedy zadzwonił niedługo po tym, jak Hugh zjawił się w pracy.

- Senator zamierza odeprzeć zarzuty - oświadczył. — Nie pamięta tej kobiety i wątpi, by to był jego syn.

Hugh był rozczarowany. Miał nadzieję na cichą ugodę.

- Zaprzeczy, że tamtego wieczoru był w barze „U Maca”?

- Nie.

- Zaprzeczy, że miał romanse z kobietami, które podpisały oświadczenie pod przysięgą?

- Nie. Ale przedstawi nazwiska innych kobiet, które wysuwały nieuzasadnione roszczenia pod jego adresem, jak ta.

Hugh zignorował te słowa.

- Przedstawi? Mówimy o rozprawie. Rozprawa jest publiczna.

- Zważywszy na pozycję senatora, zakładam, że w tym wypadku będziemy mieli wyjątek od reguły - oznajmił Drummond.

- Tylko spróbujcie. - Hugh obrócił się na fotelu i otworzył szufladę za sobą. - Natychmiast zwołam konferencję prasową.

- Uzyskamy zakaz dyskutowania o sprawie podczas jej trwania.

- Podczas konferencji prasowej sprzeciwimy się wydaniu takiego zakazu - odparł Hugh.

Nie chciał tak walczyć, ale był przygotowany na najgorsze ze względu na chłopca.

Wyciągnął teczkę ze skargą.

- Jestem gotów, Dan. O drugiej po południu będę w sądzie rodzinnym w Lowell, aby złożyć pilny wniosek o zasądzenie rodzicielstwa i przyznanie natychmiastowego wsparcia finansowego, z przeznaczeniem na opłacenie leczenia czteroletniego chłopca. Poczciwy ze mnie facet, więc poproszę sąd o szybkie podjęcie postanowienia, aby badanie na ojcostwo przeprowadzono jeszcze podczas piątkowej bytności senatora w mieście.

- Nie uzyskasz takiego postanowienia - orzekł Drummond.

- Dlaczego nie?

- Bo masz do czynienia z senatorem Stanów Zjednoczonych.

Po odłożeniu słuchawki Hugh czuł się zaniepokojony. Dan Drummond słynał z bezczelności, ale podczas rozmowy w jego głosie dała się słyszeć pewność siebie, która doskwierała Hugh. Wyglądało na to, że Drummond wie coś, czego on nie wiedział. Ktoś w sądzie rodzinnym pociągał za sznurki w imieniu senatora.

Zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do swojego informatora w sądzie, kiedy ten człowiek sam zadzwonił do niego.

- Sean Manley na linii - oświadczyła sekretarka Hugh.

Sean Manley był młodszym urzędnikiem w sądzie. Hugh poznał go kilka lat wcześniej, kiedy reprezentował jego ojca w sprawie o śmiertelne potrącenie. Podnosząc słuchawkę, oświadczył:

- Po prostu telepatia, Sean. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

- Jestem ci to winien, Hugh. Wybroniłeś mojego tatę. Chodzą słuchy, że zamierzasz założyć sprawę przeciwko pewnemu senatorowi. Chyba powinieneś wiedzieć, że Quidlark ma chrapkę na tę sprawę.

Sędzia Sądu Najwyższego Quidlark był wyznawcą starej szkoły i mizoginistą, a przy okazji również długoletnim przyjacielem J. Stana Hutchinsona. To senator stał za wyborem Quidlarka na urząd sędziego wiele lat wcześniej.

Hugh wyczuł pismo nosem.

- Dzięki, Sean. Doceniam to.

Po zakończeniu rozmowy zadzwonił do głównego sędziego sądu rodzinnego, który przede wszystkim odpowiadał za sprawy administracyjne. Między innymi układał terminarz zadań sądu. Hugh studiował razem z jego synem.

- Hugh Clarke - powiedział sędzia entuzjastycznie. - Dawno nie rozmawialiśmy.

- To moja wina - odparł Hugh. - Jak się miewa Mary?

- Doskonale. A twoja żona?

- Świetnie. Urodziło się nam dziecko.

- Miło mi to słyszeć, ale chyba nie dlatego zadzwoniłeś.

- Nie. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale krążą plotki o pewnej ugodzie. - Wyłuszczył sprawę i podkreślił, że sytuacja wymaga pośpiechu. Nie ujawnił źródła, a sędzia o nie nie pytał. Zainteresował się kilkoma rzeczami dotyczącymi dowodów Hugh, po czym obiecał mu natychmiastowe śledztwo wewnętrzne.

- O drugiej będę składał pilny wniosek - powiedział Hugh.

- Proszę tylko o uczciwe przesłuchanie.

- Uznaj to za pewnik.

Kiedy Dana pojawiła się w szpitalu, zastała Ellie Jo w znakomitym humorze. Gęste siwe włosy babci były rozczesane i skromnie upięte z tyłu tak, że kiedy leżała na plecach, trudno było się zorientować, która część została ogolona. Oczy Ellie Jo błyszczały.

- Nie muszę jechać na rehabilitację - powiedziała. Nie mówiła jeszcze równie wyraźnie jak kiedyś, ale czyniła postępy na tyle szybko, że w jej słowach dawało się słyszeć wyraźną ulgę. - To, co utraciłam, wraca. Mogę już szydełkować. - Pokazała fioletową robótkę na stoliku obok łóżka. — Potem zacznę robić na drutach. I chodzić. Za parę dni odeślą mnie do domu.

- To bardzo dobra wiadomość, babciu. - Dana uświadomiła sobie, że nie potrafi zbyt długo gniewać się na Ellie Jo.

- Będę musiała ćwiczyć w domu — ciągnęła starsza pani. I być może spać na dole. Ale dam radę utrzymać małą Lizzie.

- Na pewno. - Dana uśmiechnęła się do niej.

- I chodzić do sklepu. Brakuje mi tego, Dana Jo. — Wzięła wnuczkę za rękę. - Dziękuję.

- Nie ma za co dziękować. Wiesz, że uwielbiam sklep. Z przyjemnością cię zastępowałam.

- Uwielbiasz go na tyle, żeby zawsze to robić?

Dana zamarła. Znała to spojrzenie. Coś się kotłowało w bystrym umyśle Ellie Jo.

- Rozmawiałam ze swoim prawnikiem — ciągnęła babcia. — Przygotuje dokumenty. Jeśli tylko zechcesz, sklep będzie twój.

- Przecież należy do ciebie.

Ellie Jo uśmiechnęła się krzywo.

- Teraz należałby do twojej matki, gdyby żyła. Chcesz go?

- Jasne, że tak - odparła Dana z podnieceniem. Z wykształcenia była projektantką wewnątrz, ale robienie na drutach miała we krwi.

- Nie będę żyła wiecznie. - Ellie Jo nagle spoważniała. - Ten wylew to być może początek.

- Babciu...

- To prawda. Musimy być szczerze, nie sądzisz? - Odpowiedź na to pytanie kryła się w jej spojrzeniu. - Lepiej się czuję od tamtej rozmowy o Earlu.

Dana pokiwała głową.

- Nienawidzisz go?

Pokręciła głową.

- A mnie?

- Za to, że robiłaś to, co uważałaś za słuszne? — Teraz nie miała co do tego wątpliwości.

- Był dobrym człowiekiem i bardzo cię kochał.

- Ciebie też, babciu. Ciebie też kochał.

Hugh wyjechał z Bostonu w południe, ale dopiero po długiej rozmowie z Crystal. Ewentualne upublicznienie sprawy nie przypadło jej do gustu. Twierdziła, zresztą słusznie, że obiecał jej prywatną ugodę. Była przerażona, że media zrobią z niej pośmiewisko.

Skłaniała ją, by rozważyła ewentualne korzyści i straty. Korzyści były oczywiste - najlepsza opieka medyczna dla Jaya. A straty? Utrata zabezpieczenia finansowego dla Jaya była wystarczająco tragiczna, ale Hutchinson mógł jej zaszkodzić znacznie bardziej. Mógł zaatakować ją w prasie, nazwać niemoralną oportunistką i wyłudzaczką. Mógł odmalować ją jako intrygantkę, a siebie jako ofiarę, i bez wątpienia zrobiłby to z pasją i elokwencją.

Wybór należał do Crystal.

- Nie mogę cię zmusić - powiedział Hugh. — Mogę ci tylko doradzić. A moim zdaniem nie powinnaś się teraz wycofywać.

W końcu zgodziła się z nim, ale nie wyglądała na uszczęśliwioną. Tym samym Hugh zrozumiał, że gra toczy się o jeszcze wyższą stawkę.

Pragnął zwycięstwa dla Crystal i jej syna, ale także dla siebie. Dotąd uważał swoje zwycięstwa za coś oczywistego. Clarke'om wychodziło wszystko, czego się tknęli. Obecna świadomość, że jest Clarkiem tylko w części, nieco zachwiało tym przekonaniem.

Potrzebował wygranej. To oznaczało, że musi się przygotować na pokerowe zagrania.

Po wyjściu od babci Dana pojechała do Włóczkami. Po zjeździe z autostrady skręciła jednak w innym kierunku, przez miasto, żeby odwiedzić Corinne. Podejrzewała, że robi to wyłącznie ze względu na babcię. W końcu tylko Ellie Jo lubiła Corinne. Dana nie.

Posiadłość Corinne była otoczona sporym drewnianym płotem, który ciągnął się łagodnym, niskim łukiem po obu stronach ceglanego podjazdu. Dana porównała numer na skrzynce pocztowej z numerem, który znalazła w dokumentacji sklepu. Dwieście dwadzieścia dziewięć. Adres na pewno się zgadzał.

Skręciła i wjechała na podjazd. Teren wokół domu był bardzo zadbany, trawniki przystrzyżone, kwiatowe grządki wibrowały różem i żółcią jesiennych astrów.

Sam budynek okazał się olbrzymią stiukową rezydencją w stylu Tudorów, ze stromym dachem, wysokimi oknami z mnóstwem

szybek, licznymi spadzistymi daszkami i dekoracyjnym murem pruskim. Podjechała pod wykończone łukiem drzwi, wyszła z auta i nacisnęła dzwonek. Melodyjny sygnał był bardzo donośny.

Nikt nie otwierał, więc zajrzała przez szklaną szybkę do środka. Drewniane parkiety lśniły, pięknie rzeźbiony półokrągły stolik stał pod rzeźbą we wnęcie na eleganckiej klatce schodowej. Promienie słońca padały przez górną balustradę.

Nigdzie nie było ani śladu życia. Znowu nacisnęła dzwonek.

- Proszę poszukać w wiejskim domku! — wrzasnął dozorca i machnął ręką, wskazując teren za budynkiem.

Dana się cofnęła. Za garażem stała miniatura wielkiego domu - takie same stiuki, takie same wysokie okna o wielu szybkach. Rolety były opuszczone.

Nie znalazła dzwonka, więc lekko zapukała. I tutaj nikt nie otworzył.

Zapukała raz jeszcze i już miała odejść, gdy nagle dobiegł ją odgłos kroków. Jedna z rolet się podniosła, Corinne wyjrzała przez okno. Przynajmniej Danie wydawało się, że to Corinne, bo niewiele dało się dostrzec.

Ktokolwiek to był, przez chwilę się nie poruszał. W końcu drzwi się otworzyły.

Na progu stała Corinne, ale nie ta elegancko ubrana, którą widywała Dana. Ta Corinne nie miała makijażu ani kolczyków z brylantami. Jej oczy były zapadnięte, a kasztanowe włosy związane w niedbały koński ogon. Miała na sobie za duże dzinsy i podkoszulek i wyglądała tak, jakby od dawna nie spała. Opierała się ciężko o drzwi, z ręką na gałce od wewnętrznej strony.

- Nie powinnaś była przychodzić - powiedziała cicho.

- Martwiłam się - odparła Dana.

- To samo powiedziała Lidia Forsythe, kiedy zjawiła się tu wczoraj rano, ale wcale się nie martwiła. Przyszła węszyć. Chciała sprawdzić, czy rzeczywiście mieszkam pod tym adresem, bo nigdy nie zapraszałam tu pań, ale tak naprawdę przyszła mi powiedzieć, że powinnam sama wycofać się z zarządu, zanim ktokolwiek to zasugeruje. Zapewniła mnie, że same poradzą sobie przy gali. - Jej

głos ucichł. - Naturalnie, wiedziałam o tym. Byłam ich kobietą od czarnej roboty. Harowałam jak wół. Nigdy nie byłam jedną z nich.

- Ja też nie. — Dana miała nadzieję, że dzięki tej uwadze Corinne poczuje się lepiej. — Widziałam artykuł w gazecie. Chciałam się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku.

- Nie - odparła Corinne ze smutkiem.

- Co się stało? - Kiedyś w sklepie Dana zastanawiała się, czy Corinne jest zbyt idealna, żeby być prawdziwa, ale teraz jej widok budził niepokój. - Zawsze wydawałaś się taka pewna siebie.

Corinne potarła oczy. Kiedy opuściła ręce, było jasne, że płakała.

- Widziałas mnie taką, jaką chciałam być.

- A nie byłaś taka? - Dana czuła się rozczarowana. Corinne dodawała klasy sklepowi. - Ani trochę?

- Może trochę - przyznała Corinne. - Rzeczywiście mieszkam pod tym adresem, ale w domku gościnnym, wynajmujemy go i nie jest naszą własnością. I jeżdżę mercedesem, chociaż teraz chyba nie można tak powiedzieć, bo został zajęty. Jestem również żoną Olivera Jamesa, chociaż on tak często znika, że czasem wcale nie mam pewności. Teraz będzie jeszcze gorzej. - Miała na myśli aresztowanie Olivera.

- Czy przestępstwo, o które go oskarżono, jest aż tak poważne?

Corinne wyraźnie się zawahała.

- Nie wiem. Obawiam się, że może być więcej zarzutów.

- Co masz na myśli?

- Że narobił też wiele innych głupstw. Nigdy nie mieliśmy tylu pieniędzy, ilu się spodziewałam, więc chyba nie chodzi o narkotyki. Było jednak sporo telefonów i nagłych wyjazdów. Policja zadaje mi pytania, jakbym cokolwiek wiedziała, jakby mi się zwierzał, ale on tego nie robił. Rozmawialiśmy, zanim zabrali go do aresztu. Zapytałam, co się dzieje. Powiedział, że nie chciałam wiedzieć. Czy mnie chronił? Czy trzymanie mnie w nieświadomości miało mi zapewnić bezpieczeństwo?

Dana zastanawiała się, co odpowiedziałby Hugh.

- Według prawa żona nie może zeznawać przeciwko mężowi.
- Ale może zostać oskarżona o współudział.
- Nie byłaś jego współniczką.

- Nie brałam udziału w tym, co robił. Ale nie jestem również niewinna - oświadczyła. W jej głosie słyhać było pogardę dla samej siebie. — Pragnęłam życia, jakie mi oferował. Tak bardzo go pragnęłam, że nie zadawałam pytań. Nie pytałam, skąd ma biżuterię albo auta. Nie pytałam, dlaczego wciąż wynajmujemy domek gościnny, a nie kupiliśmy posiadłości, jak obiecywał. Nie pytałam, jak spłacimy rachunki, a kiedy moje karty kredytowe przestały być akceptowane, zrzucił winę na firmę, pociął kartę i dał mi inną. A ja się nią posługiwałam.

Dana była zdumiona.

- Ale jak ci się to udało? Mam na myśli zarząd muzeum?

- Oliver dostarczył do muzeum dzieło, na którym im zależało. Może pochodziło z przestępstwa, sama nie wiem. Swoją prowinę przekazał z powrotem do muzeum, co bardzo się spodobało jego dyrekcji, więc umieścili mnie w zarządzie. Tak to działa. Chodzi wyłącznie o pieniądze. Dla nas — dla mnie - była to część wizerunku.

- Świetnie ci szło.

- Ludzie widzą wyłącznie to, co chcą widzieć. Kiedyś byłam aktorką. Dałam sobie radę, tylko niepokój narastał. To przypominało budowanie domku z kart — wystarczy wyciągnąć jedną, a wszystko się zawali.

- Tak mi przykro, Corinne.

- Mnie też. Muszę się stąd wynieść do jutrzejszego południa. Nie mam pojęcia, dokąd pójść. Jeśli postanowią oskarżyć mnie o współudział, to nie wiem, co zrobię.

- Zadzwońisz do Hugh - oznajmiła Dana. - A jeśli chodzi o to, dokąd powinnaś iść, spróbuj zacząć od domu mojej babci. Będzie zachwycona, jeśli z nią zamieszkaasz, dopóki nie poukładasz swoich spraw.

Corinne popatrzyła na nią dziwnie.

- Dlaczego mi to proponujesz? Przecież nawet mnie nie lubisz.

Danie zrobiło się głupio.

- Mówiłam tak kiedyś?

- Nie. Wyczułam to. Wiedziałaś, że jestem oszustką.

- Byłam zazdrosna. Czułam się rozbita, a ty byłaś taka poukładana. A co do mieszkania u Ellie Jo... - Już miała powiedzieć, że Corinne mogłaby pomagać babci, kiedy rozmówczyni jej przerwała.

- Nie mogę, Dana. Jesteś kochana, że to zaproponowałaś, ale nie mogę.

- Dlaczego?

Corinne uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie umiałabym spojrzeć tym ludziom w oczy. To by było zbyt upokarzające.

- To dobrzy ludzie. Zrozumieją.

Corinne jednak stanowczo pokręciła głową.

- Dziękuję za miłą propozycję, ale nie.

Dana czuła się zawstydzona. Nic, czego doświadczyła w ostatnim miesiącu, nawet badanie DNA nie mogło się równać z problemami Corinne. Teraz jej własne rozczulanie się nad sobą wydawało się infantylne, a gniew był raczej zwykłą złośliwością. W porównaniu z Corinne naprawdę miała wiele.

Jadąc do domu, przypomniała sobie słowa babci: „Nic nie dzieje się przypadkowo. Ten chłopak zrobił ci przysługę, nie umawiając się z tobą na randkę, bo umówiłaś się z innym”. Albo: „Ten college cię odrzucił, bo tamten jest dla ciebie znacznie bardziej odpowiedni”. Albo nawet: „Nie byłabyś tak silną i niezależną kobietą, gdyby twoja matka nie umarła”.

Dana straciła zlecenie od Cunninghamów i wkrótce potem miejsce w Izbie Wystawienniczej, co oznaczało, że poza dokończeniem kilku ostatnich zleceń nie będzie miała nowych. Jako wolna osoba najbardziej pragnęła poprowadzić Włóczkarnię.

Niewiele zamierzała zmienić, ale zawsze będą nowe motki do kupienia, nowe wzory, pomysły i książki. Mogła zwiększyć wy-

bór dekoracyjnych guzików do swetrów i ozdobnych wstążek do szalików. Postanowiła dwa razy w roku uczestniczyć w targach wystawienniczych, a jej wyprawy na zakupy z Tarą zaowocują nowymi projektami. Mogła nawet wprowadzić linię wzorów bazujących na rzeczach robionych przez swoją matkę, jak farerski szal.

Były to ekscytujące perspektywy - dziedzictwo Josephów, które pewnego dnia sama zamierzała przekazać córce.

Później, przed sklepem, znalazła słoneczne miejsce i posadziła sobie Lizzie na kolanach.

- Jest dobrze, skarbie - powiedziała.

I było dobrze. Dana się odnalazła. Otrzymała odpowiedzi na pytania, które dręczyły ją od lat. Zaczęła panować na swoim życiem. Rozmawiała z ojcem Jackiem i choć nie była pewna, czy pragnie utrzymywać z nim kontakt, wiedziała przynajmniej, kim był. I jego rady okazały się całkiem niezłe.

Lizzie zakwiliła. Zdecydowanie podobało się jej przebywanie na świeżym powietrzu. Uśmiechając się do córki, Dana pomyślała o Hugh, który jechał do Lowell. Kiedy już się zdecydował, był konsekwentny. Teraz, gdy zaakceptował Lizzie, wiedziała, że zawsze będzie się o nią troszczył.

Wietrzyk poruszał gałęziami, roznosząc wokoło fałę aromatycznej woni. Drzewa w sadzie ugięły się od jabłek niemal każdej odmiany, gotowych do zerwania. Na ocienionym parapecie domu drzemała Veronica.

Dana uśmiechnęła się, kiedy srebrna furgonetka Tary wyłoniła się zza rogu. Wstała, żeby powitać przyjaciółkę.

Tara opuściła szybę.

- Dzwoniłaś?

Dana skinęła głową. Chociaż oficjalne decyzje nie zostały jeszcze podjęte, wiedziała, że jeśli ma przejąć sklep, chce, aby jej przyjaciółka znalazła się na liście płac. Oznaczałoby to, że Tara może rzucić znienawidzoną pracę księgową, i chociaż Dana nie wiedziała, ile będzie w stanie jej zapłacić, Tara i tak tyle wydawała we Włóczkami, że jej dochód na czysto był zapewne zbliżony do

ewentualnej wypłaty. Dana chciała podzielić się z nią tymi nowi-
nami, ale było jeszcze za wcześnie.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Chciałam tylko, żebyś przyjechała - odparła i cofnęła się
o krok, żeby Tara mogła wysiąść.

Gdy Hugh skręcił za róg i ujrzał budynek sądu, natychmiast
dostrzegł również dziennikarzy. Nie był zdumiony. Domyślał
się, że prasa wywęszy ewentualny proces. Pogłoski, które skłoniły
Seana Manleya do zatelefonowania, krążyły po sądzie. Senator nie
musiał być wymieniony z nazwiska, ale mnóstwo ludzi domyślało
się i tak, o kogo chodzi.

Hugh znalazł wolne miejsce nieco dalej na ulicy i zaparkował,
jednak nie wyszedł z samochodu. Była dopiero za dziesięć drugą.
Powiedział Drummondowi, że złoży pozew o drugiej.

Pierwsza pięćdziesiąt jeden. Hugh zabębnił palcem o kierow-
nicę. Pierwsza pięćdziesiąt cztery. Pojawiło się jeszcze kilku repor-
terów. Pierwsza pięćdziesiąt siedem. Sprzedawca hot dogów bliżej
podjechał swoim wózkiem.

O pierwszej pięćdziesiąt osiem Hugh złapał aktówkę i wysiadł
z auta. Wrzucił monetę do parkometru i odszedł.

- Hugh! - usłyszał.

Ted Heath był tutejszym prawnikiem, z którym współpracował
Hugh. Hugh uniósł rękę, ale się nie zatrzymał.

- Jak leci?

Ted pokręcił głową i dołączył do niego.

- Nie mogę narzekać. Co cię tu sprowadza?

- To i tamto.

- Aha. Ściśle tajne. Musi być coś wielkiego, stąd sępy, które tu
krążą.

Dostrzegł swojego klienta, klepnął Hugh w plecy i odszedł.

Hugh wciąż zmierzał przed siebie. Udało mu się uniknąć wielu
reporterów, ale dwaj doskoczyli do niego z obu stron, kiedy dotarł
do kamiennych schodów.

- Co to za sprawa, Hugh?

- Możesz potwierdzić, że chodzi o senatora?
- Kim jest pański klient?
- Co to za skarga?

Hugh uniósł rękę i się nie zatrzymywał. Telefon w jego kieszeni milczał. Czas uciekał. Wiedział, że kiedy wejdzie do budynku, nie będzie już odwrotu.

Dochodził właśnie do ostatniego stopnia, kiedy usłyszał za sobą pośpieszne kroki. Z ręką na drzwiach obejrzał się za siebie.

Nie rozpoznał spoconego młodzieńca, ale jego przejęty wyraz twarzy świadczył o tym, że to pracownik kancelarii Dana. Łapiąc oddech, mężczyzna wykrztusił:

- Mam panu przekazać, że załatwimy to prywatnie.
- Jacy my? - spytał Hugh, ale cofnął się od drzwi.
- Senator — wyjaśnił nieznajomy i ruszył za Hugh, który odszedł jeszcze dalej. - Pracuję dla Dana Drummonda. Właśnie do mnie zadzwonił.

Hugh nie musiał pytać, dlaczego ten młody człowiek jest w Lowell. Przysłano go tutaj, żeby Drummond mógł czekać do ostatniej chwili w nadziei, że Hugh ustąpi pierwszy.

Panując teraz nad sytuacją, Hugh oświadczył:

- To musi zostać załatwione w piątek.
- Senator proponuje czwartą po południu w swoim gabinecie. Jeśli chociaż jedno słowo wymknie się do prasy, nici z umowy.
- To dotyczy również drugiej strony - odparł Hugh. - Jeśli wycofa się z porozumienia, natychmiast wzywam prasę. I chcę mieć to na piśmie.
- Pan Drummond właśnie wysłał pismo do pana kancelarii.
- Widzi pan tę kawiarnię? - Hugh wskazał brodą lokal Starbucks. - Poczekam tam, dopóki nie zadzwonią do mnie z kancelarii, że pismo przyszło. Jeśli nie dojdzie do trzeciej, wnoszę pozew.
- Powiadomię o tym pana Drummonda - oświadczył prawnik i zbiegł po schodach. Hugh poszedł za nim i został błyskawicznie otoczony przez reporterów.
- Czy sprawę odroczoneo?
- Czy to prawda, że zamieszany jest jeden z senatorów?

Hugh uniósł rękę.

- Nie ma żadnej sprawy. Przykro mi. - Przechodząc się przez tłum, dotarł w końcu do ulicy. Zatrzymał się dopiero przy aucie. Patrząc na rzadniejącą, niezadowoloną grupę reporterów, zadzwonił do kancelarii i kazał im oddzwonić natychmiast po przyjściu listu. Potem poszedł do Starbucksa, zamówił mokrą frappuccino *Venti* i w końcu odetchnął z ulgą.

Postanowił czekać na telefon, choć była to zwykła formalność. Wiedział, że list przyjdzie. Dan Drummond był irytującym sukinsynem, ale dotrzymywał słowa.

29

Eaton postanowił powrócić do przeszłości. W środę pojechał do Vermontu, żeby zwiedzić miasta, w których spędzał sporo czasu, gdy był chłopcem. W czwartek pojechał do New Jersey i spacerował po kampusie swojej prywatnej szkoły średniej. Wiedział jednak, że tylko niepotrzebnie zwleka. Musiał stawić czoło oczywistym nieścisłościom w książce.

W piątek, na cztery dni przed publikacją, spędził rano w swoim gabinecie, czytając te fragmenty *Rodowodu pewnego człowieka*, które dotyczyły jego rodziców i jego samego. Tam właśnie były błędy. Gdyby zdecydował się zmienić tekst w następnym wydaniu, musiałyby przeprowadzić badania. Można to było zrobić.

W tej chwili jednak należało się zastanowić nad tym, jak promować obecne wydanie.

Nie miał wątpliwości, że Thomas Belisle był jego ojcem. Górka Hugh okazała się zagubionym elementem układanki, a nosicielstwo niedokrwistości sierpowatej przez Hugh tylko to potwierdziło. Eaton sam nie chciał przeprowadzać badania. Dobrze wiedział, jaki będzie wynik.

Pytanie brzmiało, ile powiedzieć i komu. Kiedy już wyzna prawdę, nie będzie odwrotu.

Kiedy z samego rana odebrał telefon z wydawnictwa, by przedyskutować ostatnie poprawki dotyczące promocji, niepokój Eatona wzrósł. Późnym rankiem zjawiła się Dorothy z drożdżówką i kawą, ale Eaton nie mógł jeść. W południe już siedział w aucie.

Minął country club i restauracje w porcie, gdzie tak często chodził z Dorothy, i tamtejsze przystanie jachtowe.

Nie wiedząc nawet, dokąd zmierza, skierował się na północ. Niedługo później trafił do kancelarii Hugh.

Hugh był tylko odrobinę spokojniejszy od ojca, a to dlatego, że mógł zająć się pracą. Akurat miał zrobić sobie przerwę, kiedy ruch przy drzwiach przyciągnął jego uwagę.

- Właśnie minąłem recepcjonistkę. - Eaton wskazał kciukiem recepcję. - Pewnie założyła, że na mnie czekasz. - Wszedł z wyraźnym wahaniem. - Nie chciałbym przeszkadzać. Dokończ to, co miałeś zrobić.

Usiadł w fotelu.

Hugh dopisał końcowe zdanie do notatki i odwrócił się do ojca.

- Co u mamy? - spytał po chwili kłopotliwego milczenia.

- Wyzwoliła się - mruknął Eaton.

Hugh parsknął śmiechem.

- Nadal się wścieka?

- Nie. Ale najwyraźniej czeka z wydaniem wyroku. Oczekuje ode mnie czegoś więcej.

- Robert się do ciebie odzywał?

Eaton pokręcił głową.

- A do ciebie?

- Nie. Jest w fazie zaprzeczenia. Schudłeś, tato.

Eaton wzruszył ramionami.

- Nie mogę jednocześnie jeść i przyzwyczajając się do tej sytuacji.

- Zmiana życiowego nastawienia wymaga sporo wysiłku.

- Hugh zerknął na zegarek. Było wpół do drugiej. - Nie jadłem lunchu. A ty? - Wiedział, naturalnie, że ojciec również nie jadł. Wstał. - Wyjdźmy. Umieram z głodu.

Poszli do Klubu Uniwersyteckiego, gdzie mogli porozmawiać na osobności. O tej porze już pustoszał. Z biura Hugh było tam niedaleko, a w Sali Wiązowej serwowano ulubioną sałatkę krabową Eatona.

Kiedy usiedli, przywitało się z nimi paru znajomych ale już po chwili mieli całą wyłożoną drewnem salę dla siebie.

Jedli w milczeniu. Hugh wbił zęby w kanapkę klubową. Myślał o czasach, kiedy jadał takie lunche z Eatonem. Klub Uniwersytecki, podobnie jak country club, był częścią jego przeszłości, członkostwo w nim traktował jak coś oczywistego. Teraz gorzko tego żałował.

Po zjedzeniu niespełna połowy sałatki Eaton odłożył widelec.

- Czy bylibyśmy tu dzisiaj, gdybym dorastając, znał prawdę.

Hugh przełknął kęs kanapki.

- Mógłbyś znać prawdę o swoim pochodzeniu i dorastać w tym samym domu.

- Albo i nie - mruknął Eaton. - A gdyby mój ojciec, Bradley, rozwiódł się z matką?

- Jej rodzina zachowała by nazwisko.

- Ale nie pieniądze. Nie miałbym tak uprzywilejowanego dzieciństwa. Wciąż się zastanawiam nad tym, co mam teraz, a czego bym nie otrzymał, gdyby... - Nie dokończył zdania.

- Gdyby twoja skóra była brązowa?

- Tak.

- Dobrze sobie radziłeś w szkole. Sam dostałeś się do college'u, na studia również. Zasłużyłeś sobie na miejsce W tych placówkach.

- Czyżby? - spytał Eaton cicho. - Byli inni o podobnych kwalifikacjach, którzy się nie dostali. Czy sam sobie zawdzięczam przyjęcie, czy też pieniądzom albo nazwisku z tradycjami- To samo tyczy się książek, które napisałem. Czy pierwsza sprzedała się dlatego, że pochodziłem ze znamienitej rodziny? Mój debiut daleki był od doskonałości, a jednak przetarł mi szlak.

- Był niezły - zauważył Hugh.

- Niezły, ale nie doskonały. Jest sporo dobrych książek, które nigdy nie zostaną opublikowane. Moi wydawcy mogli równie dobrze zrezygnować ze mnie.

- Ale byłeś dobry - upierał się Hugh.

Eaton pokręcił głową.

- Mój wizerunek wzmacniał pozycję książki. Dobrze, wróćmy do tematu. Bylibyśmy tu dzisiaj? Ilu czarnoskórych przychodzi do Sali Wiązowej? Gwarantuję ci, że na pewno nie wszyscy absolwenci tej uczelni.

- Nie czują się tu swobodnie. To bastion białych.

- Bastion uprzywilejowanych - oświadczył Eaton z niesmakiem. - Czuję się temu winny. Powiniennem protestować przeciwko tej ekskluzywności. Zawsze uważałem się za postępowca.

- Ja też, a jednak tu jestem - powiedział Hugh. Jeśli ta dwulicowość w kwestii liberalizmu była przestępstwem, był równie winny jak ojciec. - Całymi dniami reprezentuję klientów z mniejszości rasowych, po czym idę do domu w okolicy, gdzie właściwie brak ludzi innych ras. David Johnson to wyjątek.

- Czy to znaczy, że powinieneś się przeprowadzić?

- Czy to znaczy, że powinniśmy zrezygnować z członkostwa klubu?

- No właśnie. Co to znaczy? - zapytał Eaton.

- Nie mam bladego pojęcia - odparł Hugh.

W odległym kącie sali otworzyły się drzwi, do środka weszła grupa osób. Hugh rozpoznawał wielu z tych ludzi, byli to prominentni przedstawiciele świata biznesu.

Kilku z nich przystanęło przy ich stoliku, kilku innych ociągało się przy drzwiach do prywatnej jadalni. W tej grupie jednym z ostatnich, którzy się pojawili, był Stan Hutchinson.

Eaton zeszytniał na jego widok.

- Będą kłopoty?

Nie przestając jeść, Hugh wzruszył ramionami.

Hutchinson był na środku sali, kiedy ich ujrzał. Gestem dał znać reszcie grupy, by szła dalej, po czym podszedł do Hugh i Eatona.

Obaj wstali. Hutchinson uścisnął im dłonie i wskazał bar.

- Whisky, bez wody! - zawołał. - To był interesujący weekend - oświadczył, gdy usiedli. - Twój chłopak niezłe mnie ograł, Eaton. Mówił ci o tym?

- Oczywiście, że tak - odparł Eaton opanowanym tonem. - Jest dobry w tym, co robi.

Senator zachichotał i ciągnął tym samym koleżeńskim tonem:

- Będę o tym pamiętał następnym razem, kiedy jakaś kobieta wystąpi z potencjalnie niebezpiecznym oskarżeniem. Znacnie mnie przecież — oświadczył przeciągle. - Porządny ze mnie facet. Przez ostatnie trzydzieści lat walczę o prawa biednych. Walczyłem o podniesienie minimalnej płacy, zaproponowałem ulgi proedukacyjne i sponsorowałem kursy przygotowujące do zawodu. Wiecie, o czym dyskutowaliśmy w tamtej sali? - Uniósł wzrok, kiedy barman przyniósł mu whisky, i po chwili upił duży łyk. Odstawił szklankę i uśmiechnął się do rozmówców. - Spotkanie było poświęcone skłonieniu czołowych postaci biznesu do zatrudniania nastolatków i fundowania stypendiów uniwersyteckich. - Uderzył się w pierś. - To są moje priorytety.

- Nikt temu nie zaprzecza, Hutch — powiedział Eaton.

- Owszem, twój syn - odparł Hutchinson tym samym pogodnym tonem. - Walczę o skromność, uczciwość i szacunek.

- I wartości rodzinne - wtrącił Hugh. - Nie to próbowałeś powiedzieć na spotkaniu z prasą parę tygodni wcześniej?

- Dobrze wiem, jaka jest prawda - mówił senator. - Pewna dziewczyna ma poważne problemy. Postanowiła zatem mnie dopaść, bo nie ma nic a nic do stracenia. Zgodzę się na to, Hugh, bo dobrze rozegrałeś tę partię, muszę ci to przyznać. Wiedziałeś, że nie będę chciał upublicznić nawet oskarżenia. - Znowu napił się trochę whisky i odstawił szklankę. - Gzy to z powodu książki, Eaton? Bo nie chciałem udzielić ci pieprzonego wywiadu? Gzy dlatego, Hugh, że nie zaproponowałem ci posady radcy prawnego mojego komitetu?

-Jakiej posady?

- Tej, którą dałem twojemu kumplowi ze studiów? — Wydawał się szczerze zdumiony. - O co chodziło? Znasz mnie, znasz moją rodzinę. Czemu uczepliłeś się właśnie mnie?

Na Hugh nie zrobiło to żadnego wrażenia. Stan Hutchinson był wytrawnym politykiem. Mógł odgrywać rolę urażonej ofiary, ale Hugh dobrze wiedział, że senator aż kipi ze złości.

- Wzięłem tę sprawę, zanim w ogóle padło twoje nazwisko - wyjaśnił Hugh.

- W porządku. - Senator pokiwał głową. - Potem jednak mogeś się wykręcić. Oświadczyć, że zachodzi tu konflikt interesów.

- Nie ma żadnego konfliktu interesów. Moja firma nie reprezentuje nikogo, z kim cokolwiek cię łączy. Wziąłem tę sprawę, bo wierzę tej kobiecie, a ona potrzebuje pomocy. I masz rację, wszyscy wiemy, co sobą reprezentujesz. Doszedłem do wniosku, że właśnie ty z pewnością będziesz pragnął, aby twoje dziecko miało najlepszą opiekę.

Senator jęknął cicho.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile kobiet usiłuje występować z roszczeniami wobec mnie?

- To słodki dzieciak, Hutch - dodał Hugh. - Bystry i uroczy. Na tyle sprawny, że będzie z niego świetny lekkoatleta, zakładając, że otrzyma właściwą opiekę medyczną.

- To nie moje dziecko.

- Od tego są badania.

- Chryste, Hugh, czy ty zdajesz sobie sprawę, jak możesz mi nabrudzić? Jeśli ktoś się dowie...

- Nikt się nie dowie, jeśli sam nikomu o tym nie wspomnisz. Wszystko będzie w sekrecie, od badania po umowę. Twoja rodzina nigdy się o tym nie dowie. Z pewnością masz jakieś oszczędności, o których nie wiedzą twoi bliscy.

Senator spojrział na niego wilkiem.

- Ty cyniczny sukinsynu. A gdyby ciebie ktoś tak potraktował? Gdybyś znalazł się na moim miejscu? Co byś zrobił? Czy ty narażałbyś na ryzyko rodzinę, pracę, swój wizerunek?

Hugh nie wahał się ani przez moment. Naprawdę wierzył w to, co zamierzał teraz powiedzieć Hutchinsonowi.

- Jeśli chodziłoby o słuszną sprawę, zaryzykowałbym. Przez całe swoje życie walczyłem o to, co reprezentuje sobą ten dzieciak. Odwracanie się do niego plecami, mimo że istnieje proste rozwiązanie tej sprawy, byłoby szczytem hipokryzji. Czy wierzysz w to, co mówisz w Kongresie albo w programie Larry'ego Kinga, czy to tylko czcza gadanina? Czy publicznie twierdzisz jedno, prywatnie co innego? Jeśli jesteś człowiekiem honoru, powinieneś to teraz udowodnić.

Hutchinson wpatrywał się w niego długo, ciężkim wzrokiem. Hugh przygotowywał się na następny atak, kiedy jego rozmówca jęknął ze złością, odepchnął krzesło i wypadł z sali.

Hugh popatrzył za nim.

- No właśnie. - Eaton spojrzął na syna pełnym zrozumienia wzrokiem. - Dobrze to rozegrałeś.

Tak, uświadomił sobie Hugh. I nie mówili o Hutchinsonie.

Dana nie przestawała myśleć o Corinne. Usiłowała dodzwonić się do niej w czwartek, ale nikt nie odbierał, a w piątek nagrany na taśmę głos powiedział, że abonent został odłączony. Pojechałyby do Greendale, ale doszła do wniosku, że już nie zostanie tam Corinne. Jej życie zostało wystawione na widok publiczny, jej upokorzenie było prawdziwe. Zapewne szukała miejsca, w którym nikt jej nie znał. Dana wątpiła, by jeszcze kiedykolwiek się spotkały.

Jeśli nic nie działo się bez przyczyny, jak twierdziła Ellie Jo, Corinne odegrała jakąś rolę w życiu Dany. Dzięki niej Dana była obecnie bardziej wyczulona na koszty, jakie niesło za sobą oszustwo.

Właśnie dlatego była jeszcze bardziej wyrozumiała dla Ellie Jo, która, wkrótce po powrocie do domu w sobotni poranek, zapytała o dokumenty na strychu.

- Schowane - odparła Dana spokojnie.
- Notatka z gazety i list Emmy - spalisz je dla mnie?
- Mam je spalić? Jesteś tego pewna?
- Całkowicie. Wiesz, co jest tam napisane. I ja wiem. A teraz je spalmy.

Dana spaliła je na grillu na werandzie z tyłu. Zrobiwszy to, zamknęła jedne drzwi do przeszłości.

Wkrótce uchyliły się inne drzwi. Po powrocie do domu zmieniła pieluchę Lizzie, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzył Hugh i chociaż Dana nasłuchiwała, dobiegało ją tylko niezrozumiałe mamrotanie. Potem usłyszała odgłosy kroków dwóch

osób na schodach. Rozpoznała kroki Hugh, ale nie miała pojęcia, kogo ze sobą prowadzi. Zapięła śpioszki Lizzie i odwróciła się do drzwi, po czym zaszokowana jęknęła.

Mimo niewielkiej różnicy wieku kobieta mogłaby być jej siostrą bliźniaczką. Miała identyczne blond włosy i zadarty nos, równie szczupłą sylwetkę, takie same piegi. I równie zdumiony wyraz twarzy jak Dana.

Przez chwilę żadna z kobiet się nie odezwała. Nagle nieznajoma oświadczyła:

- Jestem Jennifer Kettyle. Tata nie był pewien, czy ucieszysz się z tej wizyty, ale w poniedziałek zaczynam semestr zimowy na studiach, więc zaryzykowałam i wsiadłam w samolot.

- Mówił, że jesteś w San Francisco.

- Jutro będę. - Uśmiechnęła się szeroko. - Dziś jestem tutaj.
- Czy to twoje dziecko? Jest piękne!

Nie, jeszcze kilka dni wcześniej Dana nie ucieszyłaby się z tej wizyty. Była tak wściekła na to, czego nie dane jej było zaznać, gdy dorastała, że była gotowa stracić jeszcze więcej. A teraz przyjechała do niej przyrodnia siostra, córka człowieka, którego tożsamość ukrywała matka Dany. I Dana z radością powitała tę siostrę w swoim życiu.

Nic nie dzieje się bez przyczyny. Dana miała być za co wdzięczna.

I cały czas pragnęła więcej.

Według planu w poniedziałek wieczorem Dorothy i Eaton wybierali się samolotem do Nowego Jorku na kolację z wydawcą *Rodowodu pewnego człowieka*. Następnego dnia rano Eaton miał wywiad w telewizji śniadaniowej. Potem zamierzali wrócić do domu na wieczorne przyjęcie w klubie z okazji wydania książki, a potem zaczynała się trasa promocyjna.

Dorothy spakowała swoją torbę, po czym pomogła mężowi przy pakowaniu jego rzeczy. Niezależność była wspaniała, ale przez czterdzieści lat małżeństwa Dorothy przywykła do zajmowania się Eatonem. Zawsze był spięty tuż przed publikacją książki,

tym razem jednak miał powód. Usiłowała skłonić go do rozmowy na ten temat, ale odmówił.

Siedzieli w samolocie, czekając na start, kiedy w końcu wziął ją za rękę i splótł jej palce ze swoimi.

- Jak byś się czuła - spytał cicho, kiedy samolot zaczął kołować - gdybym nie ujawnił nic z tego, czego się dowiedziałem?

Nic? Nie tego oczekiwała.

- Musisz zrobić to, co uważasz za właściwe.

- Ale jak byś się czuła?

Dorothy musiała się nad tym zastanowić — nie nad odpowiedzią, ale nad właściwym sposobem jej przekazania. Jeśli Eaton już postanowił, prawda nie musiała okazać się pomocna. Ale jeśli był to test i on naprawdę chciał poznać jej opinię...

- Czułabym się rozczarowana. Miałeś okazję.

- Okazję.

- Żeby poruszające odkrycie przekuć w coś pozytywnego.

- To „poruszające odkrycie” może zdyskredytować wszystkie moje książki.

- Bo nie znałeś prawdy? Dajże spokój, Eaton - ofuknęła go, ale bez złości. - Po prostu wystąp i powiedz, czego się dowiedziałeś.

- W krajowej telewizji?

- A dlaczego nie? Ludzie cię szanują. Mógłbyś świecić przykładem.

Samolot ruszył po pasie.

- Mógłbym również na stałe odizolować od nas naszego drugiego syna, nie mówiąc już o własnym bracie, ich rodzinach i ludziach, których przez te wszystkie lata nazywaliśmy przyjaciółmi.

- Być może - przyznała.

- Czy to by cię zraniło?

- Tylko Robert. To mój syn. Mam nadzieję, że jednak przyjdzie.

Samolot się rozpędzał.

- Może potrzeba mu więcej czasu - powiedział Eaton. - Może powinienem mu to ofiarować.

Dorothy jednak nie była tego pewna. Robert już zbyt długo

znajdował się pod silnym wpływem stryja. Nie zaszkodzi, jeśli otworzy oczy i zobaczy, jak wygląda prawdziwy świat.

- Chyba potrzeba mu kopniaka w sam-wiesz-co — odparła i potwórzyła: - Masz okazję, Eaton.

Popatrzył na nią czule, ale pod wyrazem sympatii zobaczyła coś jeszcze. Chciała wierzyć, że to szacunek.

Uśmiechnął się, ucałował jej dłoń i przycisnął ją do serca w chwili, gdy samolot oderwał się od ziemi.

Poniedziałek był zdumiewającym dniem w sklepie. Po chłodnym weekendzie miłośniczki robótek ręcznych, które uśpiło ciepło późnego lata, nagle się przebudziły i uświadomiły sobie, że nadchodzi jesień. Drzwi otwierały się co chwila, a panie przychodziły szukać włóczki na szaliki, swetry i narzutki. W samym środku tego zamieszania Ellie Jo uparła się, żeby ktoś ją przyprowadził z domu, gdyż chciała oznajmić wszystkim, że Dana jest nową właścicielką.

W południe, właśnie gdy Dana karmiła Lizzie i uświadomiła sobie, że będzie potrzebowała pomocy, zjawiła się Saundra ze swoją cioteczną wnuczką. Toni Belisle była córką jednego z synów Thomasa. Młoda kobieta o świeżej twarzy właśnie wzięła sobie wolne na semestr w college'u, żeby zarobić na trzeci rok studiów za granicą. Uwielbiała dzieci i radziła sobie z nimi niemal równie dobrze jak Saundra. Dana zatrudniła ją jeszcze tego samego popołudnia.

Teraz Lizzie miała opiekunkę, więc Dana czuła się bardziej zrelaksowana. Do tego dziecko przespało w niedzielną noc pełne sześć godzin, dzięki czemu wróciła jej energia.

Jadąc do domu, Dana uświadomiła sobie, że jej życie jest dobre. Wiedziała, że Hugh naprawdę ją kocha. Popełnił jeden jedyny błąd i nie powinna winić go za to w nieskończoność. Na pewno mogła powiedzieć o nim więcej niż trzy dobre rzeczy, gdyby zamierzała posłuchać sugestii ojca Jacka.

Nawet jeśli silne emocje wczesnej fazy ich związku minęły, no cóż, chyba trzeba było się pogodzić z tym, że wszyscy świeżo upieczeni rodzice coś tracą przez obowiązki, które narzuca rodzicielstwo?

Hugh wcześniej wrócił z pracy. Zaparkowała za jego autem i ledwie zdążyła otworzyć tylne drzwi, żeby wyjąć Lizzie, wypadł z domu i boso pobiegł w kierunku auta. Miał na sobie dżinsy i stary granatowy podkoszulek. Nie widziała tego stroju od dnia narodzin Lizzie.

- Myślałem, że już nigdy nie przyjedziesz. - W jego głosie słyszano podniecenie.

- Zrobiłeś kolację? - zapytała.

To zawsze była uczta. Hugh gotował z aptekarską precyzją; im więcej składników, tym lepiej, o ile ktoś mu dokładnie powiedział, ile czego ma użyć i dokładnie kiedy.

Sam odpiął Lizzie.

- Tak, ale nie o to chodzi. - Popatrzył na Lizzie. — Cześć, skarbie. Jak ci minął dzień? - Poprawił na niej sweterek, dzieło Tary, i podniósł córkę.

- Minał jej wspaniale — zapewniła go Dana. Wzięła torbę z pieluszkami i razem ruszyli do domu. - Babcia oświadczyła, że odziedziczę po niej sklep, znalazłam opiekunkę dla Lizzie, zatrudniłam Tarę na pełen etat i zamówiłam boski moher z nowej fabryki. — Jej głos złagodniał. - I zadzwoniłam do ojca Jacka, żeby powiedzieć mu ojej wizycie.

Z Lizzie na rękę, Hugh przytrzymał drzwi żonie. Ledwie minęła próg, zamarła. Cały hol pełen był balonów - żółtych, różowych, zielonych, niebieskich, białych, pomarańczowych i liliiowych. Niektóre były przyczepione do podłogi, część do poręczy po obu stronach, inne gromadziły się pod kopulastym sufitem.

Była oczarowana.

- Skąd je wzięłeś? - Tulipany to jedno, łatwo je przetransportować. Balony jednak mogły stanowić pewien problem.

Hugh wydawał się bardzo z siebie dumny.

- Potrzebne były trzy dostawcze ciężarówki, mieliśmy też problem z przepchaniem kilku największych balonów przez drzwi, ale nieźle wyglądają, nie uważasz?

- Uważam — przytaknęła. - Co to za okazja?

- Zaczynamy od początku. Tak, jakby Lizzie dopiero się urodziła. A tu jest najlepsze.

Ostrożnie poprowadził ją przez labirynt balonów ku schodom. Na drugim schodku stało pudło, długie na ćwierć metra, szerokie na dwadzieścia centymetrów i wysokie na piętnaście. Było opakowane folią w kolorze fuksji i ozdobione białą atłasową wstążką.

Dana uśmiechnęła się szeroko.

- Co to takiego?
- Otwórz.

Uniosła pudło i jednym szarpnięciem rozwiązała wstążkę, po czym wsunęła palce pod taśmę i zdjęła folię. Rozpoznała pudełko w środku i ze zdumieniem zerknęła na męża.

- Papeteria?
- Otwórz.

Uniosła wieczko, tam w dwóch starannie ułożonych stosikach leżały białe zawiadomienia o narodzinach córki. Na każdym znajdowało się zdjęcie, pod nim zaś grubą czcionką wypisano: „Hugh i Dana Clarke z dumą powiadamiają o narodzinach swojej córki, Elizabeth Amos Clarke”. U dołu kartki widniała data narodzin Lizzie.

- Co o tym myślisz? — zapytał Hugh.

Nie od razu mogła odpowiedzieć, miała całkiem ściśnięte gardło. Na dopracowanym w najdrobniejszych szczegółach zdjęciu byli wszyscy troje. Zwróciła uwagę na przejęte twarze rodziców, idealne rysy dziecka. Nawet różowy pajacyk Lizzie pasował do różowej czcionki.

- Kto zrobił to zdjęcie? - szepnęła.
- Julian. Co o tym myślisz?

Miała łzy w oczach, kiedy popatrzyła na Hugh.

- Jestem oszołomiona.

- Lepsze niż balony?

- O Jezu.

- Trzeba się było spieszyć. Musiałem zapłacić dwa razy więcej, ale było warte każdego centa. Mamy jeszcze drugie takie pudełko, też setkę. Myślisz, że możemy je wykorzystać?

- O Jezu.

- To znaczy tak czy nie?

Serce Dany było tak przepełnione radością, że omal nie pękło.

— Dana?

-Tak.

Właśnie tego pragnęła - znaku, gestu, deklaracji. Objęła męża za szyję i przytuliła go, mimo że dziecko protestowało przeciwko gniewieniu. Słyszała cichy okrzyk, czuła bicie serca Hugh, słyszała fale uderzające o plażę za domem. Jest tak dumny, że chce to obwieścić całemu światu" — wyobrażała sobie, że to właśnie powiedziała jej matka.

Ale, naturalnie, to była jej własna myśl.

koniec